

Joanne Harris

DUCH Z PRZESZŁOŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA

JULIETTA

1

5 lipca 1610

Zacząło się od przyjazdu komediantów. Było ich siedmiu: sześciu mężczyzn i dziewczyna, ona w cekinach i zniszczonych koronkach, oni - w skórach i jedwabiach. Wszyscy w maskach i perukach, upudrowani i uszminkowani: Arlekin, Scaramuccia, długonosy Dottore, skromna Izabela i lubieżny Geronte. Widok ich pomalowanych na złoto paznokci, połyskujących pod warstwą kurzu, uśmiechów ich pobielonych kredą ust, dźwięk głosów, tak donośnych i tak słodkich, sprawił, że serce szybciej mi zabiło.

Przybyli niezapowiedziani zielono-złotym wozem o odrapanych i pokiereszowanych bokach, ale gdyby się uprzeć, nadal można było odczytać szkarłatny napis. *Światowej sławy trupa Lazarilla! Tragedie i komedie! Cuda niewidy!*

A wokół wymalowano szkarłatne, różowe i fiołkowe nimfy oraz satyrów, tygrysy i słonie. Pod spodem pyszniły się słowa wypisane złotymi literami:

Komedianci królewscy

Sama w to nie wierzyłam, chociaż mówiono, że stary Henryk miał plebejskie gusty i przedkładał pokazy dzikich bestii albo *comédie-ballet* nad najbardziej wyrafinowane tragedie. Cóż, przecież też dla niego tańczyłam w dniu ślubu króla, czując na sobie surowe spojrzenie jego Marii. To był najpiękniejszy dzień w moim życiu.

Występ trupy Lazarilla wypadł w porównaniu z tamtym przedstawieniem słabo, jednak ogarnął mnie jakiś tęskny nastrój, a sam kunszt artystów nie mógł wywołać we mnie aż takiego poruszenia. Może coś przeczuwałam; może przez chwilę zobaczyłam to, co było kiedyś, nim urzędnicy nowej inkwizycji zmusili nas do umiarkowania. Ale kiedy purpurowe, szkarłatne i zielone stroje artystów mieniły się w blasku słońca, wydawało mi się, że widzę jaskrawe, dumnie łopoczące proporczyki niegdysiejszych armii, zmagających się na polu bitewnym, wyzywający gest wobec apostatów i zwolenników nowego porządku.

„Cudami niewidami” okazały się małpka w czerwonym kubraczku i czarny niedźwiadek, ale oprócz śpiewów i improwizacji mogłyśmy podziwiać popisy połykacza ognia, żonglerów, grajków, akrobatów, a nawet tancerki na linie. Cały wirydarz był ich pełen, a Fleur śmiała się i piszczała z uciechy, tuliła się do mnie, nie zważając na szorstką brązową tkaninę mojego habitu.

Tancerka miała ciemne kręcone włosy, na palcach jej stóp połyskiwały złote pierścienie. Na naszych oczach wskoczyła na naprężoną linę, trzymaną z jednej strony przez Geronte'a, a z drugiej przez Arlekina. Rozległy się charakterystyczne dźwięki tamburyna. Dziewczyna odbiła się, wykonała salto i z powrotem wylądowała na linie tak zgrabnie, jak ja to robiłam kiedyś. No, prawie tak zgrabnie; bo ja należałam do zespołu Theatre des Cieux i nazywali mnie l'Ailee, Uskrzydloną, Podniebną Tancerką, Latającą Harpią. Kiedy wykonywałam swój numer na linie w dniu mojego największego triumfu, rozległ się stłumiony okrzyk, a potem zapanowała cisza, bo widzowie - wrażliwe damy, kawalerowie w upudrowanych perukach, biskupi, kupcy, służący, dworzanie, nawet sam król - zbledli i wpatrywali się we mnie oniemiałi. Do dziś pamiętam jego twarz, ufryzowane loki, przejęty wzrok - i ogłuszający huragan braw. Oczywiście duma to grzech, chociaż właściwie nigdy nie rozumiałam dlaczego. I z pewnością znaleźliby się tacy, którzy by powiedzieli, że to duma przywiodła mnie tu, gdzie jestem teraz - jeśli chcecie, zepchnęła mnie na samo dno, chociaż mówią, że w końcu zostanę wyniesiona.

Och, kiedy nadejdzie dzień Sądu, zatańczę z aniołami, zapewnia mnie siostra Małgorzata, ale to wariatka cierpiąca na nerwowe tiki, biedaczka przemieniająca wodę w wino za sprawą mikstury z trzymanej pod materacem butelki. Myśli, że o tym nie wiem, ale w naszym dormitorium, gdzie jedynie cienkie przepierzenia oddzielają wąskie łóżka, żadne tajemnice nie utrzymają się długo. To znaczy żadne poza moimi.

Opactwo Sainte Marie-de-la-mer znajduje się w zachodniej części półwyspu Noirs Moustiers. To obszerny budynek, wzniesiony wokół centralnego dziedzińca, z drewnianymi przybudówkami po bokach i z tyłu. Przez ostatnich pięć lat był moim domem; jak do tej pory, jeszcze nigdzie nie zagrzałam miejsca tak długo. Jestem teraz siostrą Augustą - kim byłam, nie powinno nikogo interesować, przynajmniej na razie. Opactwo to chyba jedyne miejsce, gdzie można zapomnieć o przeszłości. Ale przeszłość jest podstępą chorobą. Może ją przenosić podmuch wiatru, dźwięk fletu, ruchy stóp tancerki. Widzę to teraz, jak zwykle za późno; ale nie mam się dokąd udać, mogę tylko iść przed siebie. Zaczęło się od przyjazdu komediantów. Kto wie, czym się skończy?

Tancerka na linie zakończyła swój występ. Przyszła pora na popisy żonglerów przy dźwiękach muzyki, a potem kierownik trupy - przypuszczałam, że Lazarillo we własnej osobie - zapowiedział wielki finał.

- A teraz, dobre siostrzyczki - rozległ się na klasztorным dziedzińcu jego donośny głos - ku przestrodze i dla zabawy, ku uciechu i dla waszej przyjemności, zespół Lazarilla ma zaszczyt przedstawić przezabawną komedię obyczajową! Zapraszamy do obejrzenia... - Tu dramatycznie zawiesił głos i uklonił się, zamiatając ziemię trójgraniastym kapeluszem z długimi piórami - ..., „Les Amours de l'Hermite”!

Czarny kruk, ptak wieszczący nieszczęście, przeleciał nad naszymi głowami. Przez sekundę poczułam na swojej twarzy jego cień i skrzyżowałam palce, by odpędzić złego. *A kysz! A kysz!*

Ale kruk się tym nie przejął. Zatrzepotał skrzydłami i niezgrabnie usiadł na studni pośrodku wirydarza. Dostrzegłam, jak zuchwale łypie na mnie swoim żółtym okiem. Tymczasem kompania Lazarilla występowała, nie zwracając na ptaka najmniejszej uwagi. Kruk przechylił łepkę w moją stronę.

A kysz! A kysz! Widziałam kiedyś, jak moja matka przegoniła rój dzikich os, posługując się jedynie tym okrzykiem; ale kruk tylko w milczeniu rozdziawił dziób, ukazując niebieski koniuszek języka. Z trudem się powstrzymałam, by nie rzucić w niego kamieniem.

Tymczasem sztuka już się zaczęła: rozwiązły ksiądz postanowił uwieść piękną dziewczynę. Schroniła się w klasztorze, a jej ukochany, przebrany za zakonnice, próbował ją ratować. Ale dowiedział się o tym stary zalotnik, który sobie przysiągł, że skoro on nie może mieć dziewczyny, w takim razie nikt jej nie dostanie. Jego zamiary pokrzyżowało jednak niespodziewane pojawienie się małpki, która wskoczyła mu na głowę, umożliwiając zakochanym ucieczkę.

Sztuka była taka sobie, sami aktorzy zmęczeni upałem. Pomyślałam, że musi się im nie najlepiej powodzić, jeśli przyjechali do nas. Klasztor na wyspie nie może niczego zaoferować poza jedzeniem i noclegiem - a nawet i tego nie, gdyby rygorystycznie przestrzegać przepisów. Może kraj znów ogarnęły jakieś niepokoje. Nastaly ciężkie czasy dla wszelkiego rodzaju wagabundów. Ale Fleur podobało się przedstawienie, klaskała w rączki i głośno zachęcała piszczącą małpkę do działania. Siedząca obok mojej córeczki Perette, najmłodsza nowicjuszka, która sama przypominała małpkę, bo miała drobną, żywą twarzyczkę i bardzo krótko obcięte włosy, pohukiwała z przejęciem.

Kończył się ostatni akt. Zakochani znów byli razem. Ksiądz-rozpustnik został zdemaskowany. Lekko zakręciło mi się w głowie i w tym momencie zobaczyłam za aktorami jeszcze kogoś. Natychmiast go poznałam: to przechylenie głowy, ta charakterystyczna poza, ten długi cień, padający na białą, ubitą ziemię. Poznałam tego człowieka, chociaż widziałam go nie dłużej niż

przez sekundę: Guy LeMerle, mój własny kruk, zwiastujący nieszczęście. Po chwili zniknął.

Od tego się zaczęło: od komediantów, LeMerle'a i czarnego ptaka, zwiastuna nieszczęścia. *Fortuna kołem się toczy*, mawiała moja matka. Może nadeszła pora, żeby wykonała kolejny obrót, jak - według niektórych heretyków - kręci się Ziemia, sprowadzając pełzające cienie, tam gdzie kiedyś było światło. Może to tylko przywidzenie. Ale kiedy waganci podskakiwali i śpiewali przy wtórze tamburynu i fletu, kiedy z ich ukarminowanych ust strzelały języki ognia, kiedy się znacząco uśmiechali zza swoich masek, fikali koziołki, dokazywali, mizdrzyli się i tupali, aż wznosiły się obłoki kurzu, wydawało mi się, że widzę cień przesuwany się coraz bliżej, aż okrył swoim długim, ciemnym skrzydłem szkarłatne halki tancerki i kostium błazna, pobrzękujący tamburyn i wrzeszczącą małpkę, Izabelę i Scaramuccia. Mimo panującego skwaru, mimo ostrych promieni słonecznych, odbijających się od pobielonych murów opactwa, wstrząsnął mną dreszcz. Czułam, jak wahadło drgnęło, jak wolno zbliżają się nasze ostatnie dni.

Nie powinnam wierzyć w złe omeny i przeczucia. Wszystko to należy już do przeszłości, razem z Theatre des Cieux. Ale dlaczego po tylu latach ujrzałam właśnie LeMerle'a? Co to może oznaczać? Ciebie, który przez chwilę padał mi na twarz, już zniknął, aktorzy kończyli swoje występy, kłaniali się, spoceni, uśmiechali się, sypali różane płatki na nasze głowy. Uczciwie sobie zapracowali na nocleg i prowiant na dalszą drogę.

Siedząca obok mnie gruba siostra Antonina zapamiętała biła brawo, z wysiłku aż dostała plam na twarzy. Nagle poczułam zapach jej potu, w nosie zakręciło mi się od kurzu. Ktoś szturchnął mnie w plecy; obejrzałam się. Siostra Małgorzata miała twarz ściągniętą ni to z zachwyty, ni to z bólu, drżące usta rozchyliła z przejęcia. Smród ciał się nasilił. A mniszki, oparte o nagrzane mury opactwa, wydały przenikliwy i jakiś nieludzki okrzyk - *aiiii!* - zachwyty i ulgi,

jakby ich naturalna energia znalazła w końcu ujście, wprowadzając je w stan bliski obłędu. *Aii! Encore! Aii! Encore!*

Potem dobiegł mnie pojedynczy, wysoki, wprowadzający dysonans głos, niemal zagłuszony przez huragan oklasków. Usłyszałam: *Mere Marie. Wielebna matka...* - i znów szalony aplauz wypełnił powietrze drgające od skwaru, a potem jeszcze raz pojedynczy głos wybił się ponad ogólny gwar.

Rozejrzałam się, żeby zobaczyć, kto to tak krzyczy, i zobaczyłam siostrę Alfonsynę, suchotniczkę. Stała na najwyższym stopniu do kaplicy, ramiona rozpostarła, twarz miała białą i pełną uniesienia. Niewiele zakonnice zwróciło na nią uwagę. Członkowie trupy Lazarilla kłaniali się po raz ostatni: aktorzy jeszcze raz przedefilowali z kwiatami i cukierkami, połykacz ognia ostatni raz wypuścił z ust płomień, małpka wywinęła fikołka. Szminka spływała z twarzy Arlekina. Izabela -za stara do tej roli, z wydatnym brzuchem - rozpuszczała się z gorąca, karmin pomadki rozmazał się na jej ustach.

Siostra Alfonsyna wciąż próbowała przekrzyknąć zakonnice. Wydawało mi się, że powiedziała: „To wyrok na nas! Straszny wyrok!”.

To zirytowało kilka mniszek; Alfonsyna zawsze była najszcześliwsza, kiedy mogła odprawiać za coś pokutę.

- Na litość boską, Alfonsyno, co znowu?

Utkwiła w nas swoje oczy męczennicy.

- Moje siostry! - powiedziała tonem bardziej oskarżycielskim niż osoby nieutulonej w żalu. - Wielebna matka przełożona nie żyje!

Na te słowa wszyscy umilkli. Aktorzy poczuli się winni i byli speszeni, jakby świadomi tego, że nagle wymówiono im gościnę. Muzyk grający na tamburynie opuścił rękę wzdłuż ciała, dzwoneczki zabrzęczały ostro.

- Nie żyje? - Jakby to nie mogło być prawdą w tym obezwładniającym upale, pod tym bezchmurnym niebem.

Alfonsyna skinęła głową; stojąca za mną siostra Małgorzata już zaczęła zawodzić:

- *Miserere nobis, miserere nobis...*

Fleur spojrzała na mnie zdziwiona, a ja gwałtownie przygarnęłam ją do siebie.

- Już koniec? - spytała. - Czy małpka jeszcze zatańczy? Pokręciłam głową.

- Chyba nie.

- Dlaczego? Czy przez czarnego ptaka?

Spojrzałam na nią zaskoczona. Ma pięć lat, a wszystko widzi. Jej oczy są jak kawałki lustra, w których odbija się niebo - dziś niebieskie, jutro fioletowoszare jak burzowe chmury.

- No, przez czarnego ptaka - powtórzyła zniecierpliwiona. - Już odleciał.

Zerknęłam za siebie i przekonałam się, że ma rację. Kruk dostarczył wiadomość i zniknął. Wtedy nabrałam pewności, że przecucie mnie nie myli. Nasz beztroski czas dobiegł kresu. Koniec maskarady.

2

6 lipca 1610

Odesłaliśmy komediantów do miasta. Odjechali obrażeni, jakbyśmy ich o coś oskarżyły. Ale nie mogłyśmy im pozwolić zostać w opactwie, byłoby to czymś niestosownym w obliczu śmierci. Sama przyniosłam tym ludziom prowiant - chleb, kozi ser, obtoczony w popiele, i butelkę dobrego wina, a także siano dla koni, i pożegnałam odjeżdżających.

Lazarillo obrzucił mnie przenikliwym spojrzeniem, nim się odwrócił, by odejść.

- Kogoś mi przypominasz, *ma soeur*. Czyżbyśmy się już kiedyś spotkali?

- Nie sędę. Trafiłam tu, kiedy byłam małą dziewczynką. Wzruszył ramionami.

- Za dużo podróżuję. Wydaje mi się, że każdego człowieka już gdzieś kiedyś widziałem.

Znałam to uczucie, ale nic nie powiedziałam.

- Czasy są ciężkie, *ma soeur*. Wstaw się za nami do Pana Boga, kiedy będziesz się modliła.

- Dobrze.

Matka przełożona leżała na swoim wąskim łóżku. Po śmierci wydawała się jeszcze mniejsza i bardziej zasuszona niż za życia. Oczy miała zamknięte, siostra Alfonsyna już jej zdjęła *quichenotte* i włożyła wykrochmalony barbet, którego stara kobieta nigdy nie chciała nosić.

- Wystarczy mi *quichenotte* - mawiała. - *Kiss me not, kiss me not*, powtarzałyśmy angielskim żołnierzom i wskazywałyśmy nasze tradycyjne wandejskie czepce, żeby mieć pewność, że nas dobrze zrozumieli. Kto wie... - W jej oczach błysnęły figlarne ogniki. - Może ci angielscy łupieżcy nadal gdzieś się tutaj ukrywają. Jak w razie spotkania z nimi broniłabym swojej cnoty, nie mając *quichenotte*?

Alfonsyna mi powiedziała, że matka przełożona przewróciła się, kopiąc ziemniaki na polu. Minutę później już nie żyła.

To była dobra śmierć, mówię sobie. Matka przełożona nie cierpiała; obyło się bez księży, bez całego tego zamieszania. A nasza ksieni miała siedemdziesiąt trzy lata - wprost trudno to sobie wyobrazić - i była słabowita już wtedy, kiedy pięć lat temu pojawiłam się w klasztorze. I właśnie ona pierwsza przyjęła mnie tu serdecznie, ona odebrała Fleur...

Znowu dopadła mnie żalność niczym dobry przyjaciel, którego spotka się niespodziewanie. Widzicie, matka przełożona wydawała się nieśmiertelna: stały punkt orientacyjny na naszym małym widnokregu. Dobra, poczciwa matka

Maria, obchodząca zagony ziemniaków, przepasana fartuchem, jak to mają w zwyczaju chłopki.

Była dumna z naszych kartofli. Na tych słabych glebach nic się nie udawało poza ziemniakami. Na szczęście dla nas były wysoko cenione w kraju, a ich sprzedaż - obok soli i słoików marynowanych *salicorne* - przynosiła nam dość dochodów, byśmy mogły być niezależne. Dzięki pieniądзом ze sprzedaży i dziesięcinie miałyśmy zapewnione wystarczająco dostatnie życie, nawet jak dla kogoś, kto był przyzwyczajony do przemierzania kraju wzdłuż i wszerz. W moim wieku pora skończyć z szukaniem wrażeń. Poza tym, przypomniałam sobie, nawet kiedy jeździłam z Theatre des Cieux, równie często obrzucano nas kamieniami, co cukierkami, było dwa razy tyle lat chudych, co tłustych, a do tego jeszcze ci pijacy, plotkarki, nierządnicę, mężczyźni... Zresztą musiałam myśleć o Fleur, wtedy i teraz.

Jednym z moich bardzo wielu przewinień wobec Boga jest niewiara w istnienie grzechu. Moja córka została poczęta w grzechu, więc powinnam ją była wydać na świat pełna żalu i skruchy; może zostawić ją gdzieś na zboczu wzgórza, tak jak kiedyś nasi przodkowie porzucali swoje niechciane dzieci. Ale Fleur od początku była moją największą radością. Dla niej noszę habit bernardynki z wyhaftowanym czerwonym krzyżem na piersiach, pracuję w polu zamiast tańczyć na linie, poświęcam swoje dni Bogu, którego mało kocham i jeszcze mniej rozumiem. Ale mając ją u swego boku, wcale nie narzekam na takie życie. W klasztorze przynajmniej jesteśmy bezpieczne. Ma swój ogród. Swoje książki. Swoje przyjaciółki. Jest nas sześćdziesiąt pięć, nigdy nie miałam takiej dużej i pod wieloma względami bliskiej mi rodziny.

Powiedziałam im, że jestem wdową. Uznałam, że to będzie najbardziej wiarygodne. Bogata, młoda wdowa, teraz z malutkim dzieckiem, uciekająca przed prześladowaniami wierzycieli zmarłego męża. Biżuteria, którą udało mi się uratować w Epinal z mojego rozbitego wozu, okazała się wystarczającą kartą przetargową. Lata spędzone w teatrze dobrze mi się przysłużyły - byłam dość

przekonująca w oczach ksieni z prowincji, która nigdy nie opuszczała swych rodzinnych stron. Chociaż z upływem czasu uznałam, że mój podstęp był niepotrzebny. Nieliczne z nas przywiodło tu powołanie do życia klasztornego. Niewiele nas łączyło poza potrzebą odrobiny prywatności, nieufnością do ludzi, kobiecą solidarnością, ale to wystarczało, by zniwelować różnice pochodzenia i wiary. Każda z nas przed czymś uciekała, czasem nawet sama niezbyt dobrze wiedząc przed czym. Jak powiedziałam, wszystkie mamy swoje tajemnice.

Siostra Małgorzata, sucha jak szczapa, cierpi na nerwowe tiki, skutek wiecznego niepokoju. Przychodzi do mnie po ziółka, żeby uwolnić się od snów, w których - mówi - prześladowuje ją mężczyzna o muskularnych rękach. Przyrzędam jej nalewkę z rumianku i waleriany, słodzoną miodem, codziennie pije też słoną wodę i rycynę na przeczyszczenie, ale widzę po jej rozognionym spojrzeniu, że wciąż ją dręczą nocne koszmary.

Siostra Antonina, pulchna i rumiana na twarzy, ręce ma zawsze tłuste od rondli. W wieku czternastu lat powiła niemowlę, które niebawem zmarło. Niektóre mniszki mówią, że sama je zabiła; inne oskarżają o jego śmierć ojca Antoniny, który wpadł w szal, kiedy się dowiedział, że jego córka urodziła nieślubne dziecko. Z całą pewnością, nawet jeśli Antonina nie jest całkiem bez winy, wyrzuty sumienia nie odbierają jej apetytu; habit tak opina wielki brzuch, że mało nie popęka w szwach, okrągłą twarz okala pół tuzina trzęsących się podbródków. Antonina tuli do piersi paszteciki i ciastka, jakby to były dzieci; w panującym mroku trudno powiedzieć, kto kogo karmi.

Siostra Alfonsyna, biała jak kość słoniowa z wyjątkiem czerwonych plam na policzkach, wciąż kaszle i czasem pluje krwią. Znajduje się w stanie ustawicznego podniecenia. Ktoś jej powiedział, że chorzy są obdarzeni specjalnymi darami, w przeciwieństwie do ludzi zupełnie zdrowych. W rezultacie wiecznie buja w obłokach i wiele razy widziała diabła, który jej się ukazywał pod postacią wielkiego czarnego psa.

I Perette: dla świata siostra Anna, ale w głębi serca zawsze pozostanie Perette. Mała dzikuska, która nie odzywa się do nikogo. Liczy sobie trzynaście wiosen lub niewiele więcej. Znalaziono ją nagą na brzegu morza rok temu, w listopadzie. Przez trzy pierwsze dni nic nie jadła, tylko siedziała nieruchomo na podłodze swojej celi, twarzą do ściany. Potem był okres napadów szału, rozmazywania ekskrementów, rzucania jedzeniem w siostry, które się nią opiekowały, zwierzęcych ryków. Kategorycznie odmówiła włożenia ubrania, które jej przyniosłyśmy, krążąc nago po lodowatej celi i od czasu do czasu pohukując. Wyrażała w ten sposób swój brak przystosowania, swoje żale i triumfy.

Teraz można ją wziąć niemal za zupełnie normalną dziewczynkę. W białych szatach nowicjuszki jest niemal śliczna, śpiewając swoim wysokim głosikiem hymny, ale najlepiej czuje się w ogrodzie i w polu, kiedy rzuci barbet na krzak jeżyn i biega, aż powiewają jej spódnice. Wciąż nie mówi. Niektóre siostry wątpią, czy kiedykolwiek mówiła. Z jej złoto obwiedzionych oczu niczego nie można wyczytać. Zaczęły jej odrastać jasne włosy, zgolone do gołej skóry, bo w ten sposób chciałyśmy ją uwolnić od wszy. Sterczą zabawnie wokół drobnutkiej twarzyczki. Kocha Fleur, często szczebiocze do niej swoim wysokim, ptasim głosikiem, a spod jej szybkich, zręcznych palców wychodzą zabawki z trzciny i traw, rosnących nad morzem. Wyplata je specjalnie dla niej. Mnie też uważa za swoją przyjaciółkę, często idzie ze mną w pole, przygląda się, jak pracuję, i podśpiewuje sobie.

Tak, znowu mam rodzinę. Składają się na nią wszystkie kobiety, które się tu schroniły: Perette, Antonina, Małgorzata, Alfonsyna i ja; jest jeszcze pruderyjna Piete, lubiąca plotkować Benedykta, Tomasina cierpiąca na leniwe oko, Żermena o lnianych włosach i twarzy pokrytej bliznami, Klementyna o niepokojącej urodzie, która śpi z Żermeną, dziecienniała Rozamunda, bliższa Bogu niż inne mniszki, zdrowsze na umyśle, uwolniona od pamięci i grzechu.

Wiedziemy tu proste życie - a raczej wiodłyśmy. Jedzenia mamy w bród i jest smaczne. Żadnej z nas nie odmawia się tego, co stanowi jej pociechę - Małgorzacie butelki i codziennych lewatyw, Antoninie ciasteczek. Moją pociechą jest Fleur, która śpi obok mojej pryczy we własnym łóżeczku i towarzyszy mi, kiedy się modlę w kaplicy i pracuję w polu. Ktoś mógłby powiedzieć, że nie wiemy, co to prawdziwa dyscyplina, że bardziej przypominamy grupkę wieśniaczek, które wyjechały na wakacje, niż zakonnice, które powinna cechować asceza. Ale mieszkańcy wyspy kierują się swoimi własnymi prawami; nawet leżące na drugim brzegu Le Devin to dla nas inny świat. Ksiądz pojawia się raz w roku, by odprawić mszę. Powiedziano mi, że biskup ostatni raz wizytował klasztor szesnaście lat temu, z okazji koronacji Henryka. Dobrego króla zamordowano - to on pragnął, aby przy niedzieli każdy chłop miał kurę w garnku. Dzięki siostrze Antoninie stosujemy się do tego zalecenia z religijną żarliwością. Jego następcą został chłopiec, który jeszcze chodzi w krótkim kaftaniku.

Tyle zmian. Nie ufam im. Światem targają siły, które mogą go zniszczyć. Teraz, kiedy wszystko wokół się wali, a nad nami gromadzą się jak chmury ptaki zwiastujące nieszczęście, lepiej być z Fleur tutaj. Tu jest bezpiecznie.

7 lipca 1610

Opactwo bez ksieni. Kraj bez króla. Dwa dni temu i nam udzieliła się nerwowość panująca we Francji. Ludwik Dieu-donne, Dany przez Boga - wspaniałe imię dla dziecka wprowadzonego na tron zboczony krwią poprzednika. Jakby sam przydomek mógł zdjąć klątwę i uczynić ludzi ślepymi na demoralizację Kościoła i dworu oraz wciąż rosnące ambicje regentki Marii. Stary król był żołnierzem i wytrawnym politykiem. Za Henryka wiedzieliśmy, na czym stoimy. A mały Ludwik ma zaledwie dziewięć lat. I już, zaledwie dwa miesiące po śmierci jego ojca, zaczęły krążyć plotki. De Sully'ego, królewskiego doradcę, zastąpił faworyt Medyceuszki. Wrócili Kondeusze. I bez kart potrafie przewidzieć nadejście niespokojnych czasów. Zazwyczaj tutaj, w Noirs Moustiers, nie przejmujemy się takimi sprawami. Lecz tak jak Francja potrzebujemy przywódczyni, by czuć się bezpiecznie. Jak Francja boimy się nieznanego.

Bez matki przełożonej żyjemy w stanie zawieszenia, pozostawione same sobie. Wysłałyśmy wiadomość do biskupa w Rennes. Ale atmosferę wakacyjnych miesięcy mąci niepewność. Zwłoki ksieni leżą w kaplicy, wokół nich płoną świece i mirra w kadzielnicy, bo jest pełnia lata i w powietrzu wisi ciężka duchota. Na naszą wyspę nie dotarły jeszcze żadne wieści ze stałego lądu, ale wiemy, że podróż do Rennes zajmie przynajmniej cztery dni. Na razie dryfujemy pozbawione kotwicy. A potrzebna nam kotwica: zepsucie poprzedniej władzy teraz uległo jeszcze pogłębieniu, już nikt się z nią nie liczy. Prawie przestałyśmy się modlić.

Zapomniałyśmy o swoich obowiązkach. Każda mniszka, zwraca się ku temu, co stanowi jej największe pocieszenie: Antonina ku jedzeniu, Małgorzata ku picciu, Alfonsyna w kółko szoruje krużganki, aż popękała jej skóra na kola-

nach i trzeba ją było zanieść na łóżko; w drżącej dłoni wciąż ścisnęła szczotkę. Niektóre mniszki płaczą, nie wiedząc dlaczego. Inne odszukały komediantów, którzy się zatrzymali w odległej o trzy kilometry wiosce. Zeszłej nocy wróciły późno do dormitorium, przez otwarte okna jeszcze długo dobiegał mnie śmiech, kwaśny zapach wina i odgłosy wszetecznych czynów.

Na pozór mało się zmieniło. Zajmuję się tym, co zwykle. Uprawiam swoje zioła, piszę dziennik, chodzę z Fleur na spacer do przystani, zapalam w kaplicy kolejne świece przy zwłokach naszej biednej ksieni. Dziś rano odmówiłam swoją własną modlitwę, bez szukania wstawiennictwa u świętych, których pozłacane posągi stoją w niszach. Ale z każdym dniem mój niepokój narasta. Nie opuściły mnie złe przeczucia, które mnie ogarnęły w dniu występu wędrownego trupy.

Ostatniej nocy, zasłonięta przed wzrokiem innych sióstr cienkim przepierzeniem, powróżyłam sobie z kart. Ale nie przyniosło mi to ulgi. Kiedy Fleur spała bez troski w swoim łóżeczku obok mojej pryczy, ja w kółko wyciągałam te same karty. Wieża. Pustelnik. Śmierć. A potem dręczyły mnie złe sny.

4

8 lipca 1610

Opactwo Sainte Marie-de-la-mer wzniesiono na podmokłym terenie, wydartym morzu, jakieś trzy kilometry od brzegu. Z lewej strony rozpościerają się mokradła, zimną regularnie wylewające; słonawa woda dociera niemal pod same mury klasztoru, a czasem przesącza się do cellarium, gdzie przechowujemy zapasy żywności. Z prawej strony biegnie droga do miasta, którą przemierzają wozy i konie, a w każdy czwartek procesja kupców ciągnących z jednego targu na drugi z belami tkanin, wyrobami z wikliny i skór

oraz artykułami spożywczymi. To stare opactwo, zbudowane jakieś dwieście lat temu dla zakonu dominikanów, i opłacone jedyną monetą, jaką akceptuje Kościół: strachem przed potępieniem.

W tamtych czasach pobłażliwości i zepsucia pewna szlachecka rodzina zapewniła sobie wstęp do królestwa niebieskiego przez nadanie opactwu swojego imienia, ale braci zakonnych od samego początku prześladował pech. Sześćdziesiąt lat po zakończeniu budowy wybuchła zaraza i zmiotła ich z powierzchni ziemi. Zabudowania stały puste, póki dwa pokolenia później nie wprowadzili się do nich bernardyni. Musiało ich być jednak znacznie więcej niż nas, bo opactwo może pomieścić dwa razy tyle osób, niż przebywa w nim teraz. Ale czas i surowy klimat zrobiły swoje, odcisnęły piętno na niegdyś okazałych budynkach, wiele z nich nie nadaje się obecnie do użytku.

Widać, że kiedyś nie szczędzono grosza na ich wznoszenie. W kaplicy są porządne marmurowe posadzki, a jedyne okno witrażowe, które się zachowało, jest precudnej urody. Lecz przez lata wiatry wiejące od morza spowodowały erozję kamienia i łuki po zachodniej stronie uległy zniszczeniu. Dlatego w tamtym skrzydle prawie żadne pomieszczenia nie nadają się do zamieszkania. W części wschodniej nadal mamy dormitorium, krużganki, infirmerię i kalefaktorium, ale kwatery dla gości są w ruinie, a na dachu brakuje tylu dachówek, że zagnieździły się tam ptaki. Skryptorium też znajduje się w opłakanym stanie, chociaż nie ma to większego znaczenia, bo i tak tylko nieliczne z nas potrafią czytać, a poza tym mamy niewiele książek. Wokół kaplicy i krużganków wyrosły mniejsze zabudowania, w większości drewniane: piekarnia, garbarnia, stodoły i wędzarnia do suszenia ryb, więc zamiast okazałego klasztoru, odpowiadającego pierwotnym zamierzeniom dominikanów, teraz opactwo bardziej przypomina dzielnicę nędzy w jakimś podupadłym mieście.

Okoliczni mieszkańcy wykonują dużo prostych prac. To przywilej, za który płacą towarami i usługami, jak też dziesięciną, a w zamian mogą liczyć na

nasze modlitwy i odpusty. Sama święta, Marie-de-la-mer, jest kamiennym posągiem, stojącym teraz w wejściu do kaplicy na postumencie z nieociosanego piaskowca. Znalazł figurę dziewięćdziesiąt lat temu jakiś chłopak, szukający na mokradłach zabłąkanej owieczki. Metrowej wysokości bryła poczerńiałego bazaltu, z grubsza ociosana na kształt kobiety, ma obnażone piersi, a smukłe stopy skrywa długa szata. Dlatego lud nazwał ją syreną.

Od czasu odnalezienia posągu i przetransportowania go na teren opactwa czterdzieści lat temu zanotowano kilka cudownych ozdowień u ludzi, którzy się zwrócili do świętej o pomoc. Cieszy się też ona popularnością wśród rybaków; często modlą się do Marie-de-la-mer, by ich chroniła przed sztormami.

Moim zdaniem, posąg przedstawia bardzo starą kobietę. To nie Dziewica, tylko zmęczona starucha ze spuszczoną głową i zgarbionymi ramionami, wygładzonymi dotykiem setek rąk, które od blisko stulecia wyciągają się do niej z nabożną czcią. Jej obwisłe piersi też są wyraźnie wypolerowane. Kobiety bezpłodne albo mężatki pragnące urodzić dziecko nadal ich dotykają, mijając posąg, a płacą za błogosławieństwo kurą, butelką wina lub koszykiem ryb.

Jednak mimo szacunku, jaki jej okazują mieszkańcy wyspy, nasza Maria niewiele ma wspólnego z Matką Boską. Po pierwsze, jest za stara. Starsza od samego opactwa. Bazalt, z którego ją wykonano, wygląda, jakby miał tysiąc lat albo więcej, upstrzony jest kawałkami miki niczym odłamkami kości. I nie ma żadnego dowodu, że figura kiedykolwiek miała przedstawiać Matkę Boską. Prawdę mówiąc, jej obnażone piersi wydają się dziwnie nieskromne, bardziej pasują do jakiejś pogańskiej bogini sprzed wieków. Niektórzy okoliczni mieszkańcy nadal określają ją dawnym mianem - chociaż cuda, których dokonała, powinny już ugruntować jej pozycję w panteonie świętych. Ale rybacy są przesądni. Żyjemy obok nich, lecz pozostajemy dla nich równie obce, jak poprzednio dominikanie, jesteśmy przedstawicielkami innej rasy, które należy sobie zjednać dziesięcinami i darami.

Opactwo Sainte Marie-de-la-mer było dla mnie idealną kryjówką. Stare, podupadłe, na odludziu - to najbezpieczniejsza przystań, jaką kiedykolwiek znałam: w miarę oddalone od stałego ładu, jedyną osobą duchowną jest proboszcz, który sam ledwo zna łacinę. Moja sytuacja wydawała mi się zarówno śmieszna, jak absurdalna. Początkowo byłam jedną z tuzina rezydentek. Ale wśród sześćdziesięciu pięciu mniszek zaledwie połowa w ogóle jako tako czytała; mniej niż jedna dziesiąta znała łacinę. Zaczęłam od czytania podczas kapituł. Potem ograniczono moje codzienne obowiązki, żebym podczas nabożeństw mogła czytać ze starej, dużej Biblii, leżącej na pulpicie. W końcu matka przełożona zwróciła się do mnie z niezwykłą - niemal nieśmiałą - prośbą.

Rozumiesz, nowicjuszki... Mieliśmy ich dwanaście, w wieku od trzynastu do osiemnastu lat. To wstyd, żeby były takimi ignorantkami, podobnie jak prawie wszystkie z nas. Gdybym mogła je uczyć - chociaż troszeczkę. W skrypto-rium przechowywano stare księgi, ale jedynie nieliczne nowicjuszki mogły je studiować. Gdybym tylko im pokazała, co mają robić...

Dość szybko wszystko zrozumiałam. Nasza matka przełożona, osoba niezwyklej dobroci i niepozbawiona zmysłu praktycznego, też miała swoją tajemnicę. Ukrywała ją od pięćdziesięciu lat albo i dłużej, ucząc się długich ustępów Pisma Świętego na pamięć, by nie zdradzić swojej ignorancji; wymawiała się słabym wzrokiem, chcąc uniknąć zdemaskowania. Ksieni naszego opactwa nie umiała czytać po łacinie. Podejrzewałam, że w ogóle nie umie czytać.

Nie opuściła ani jednej mojej lekcji z nowicjuszkami. Stała w głębi refektarza - naszej zaimprovizowanej izby szkolnej - z głową przechyloną na bok, jakby rozumiała wszystko. Nikomu ani słówkiem nie wspomniałam o brakach w jej wykształceniu, zwracając się do niej o opinię w drobniejszych sprawach, z którymi wcześniej ją zapoznałam, a ona w dyskretny sposób okazywała mi swoją wdzięczność.

Po roku pobytu w klasztorze na jej prośbę złożyłam śluby i moja nowa pozycja profeski pozwalała mi brać pełny udział w życiu naszej małej wspólnoty.

Brakowało mi przełożonej. Wyrozumiała matka Maria. Jej wiara była tak prosta i bezgraniczna. Rzadko wymierzała kary - nie, żeby w ogóle było nas za co karać - traktując grzech jako dowód bycia nieszczęśliwym. Jeśli któraś siostra popełniła wykroczenie, przemawiała do niej łagodnie, karząc za kradzież darami, za lenistwo - zwolnieniem z codziennych obowiązków. Niewiele z nas nie odczuwało wstydu w obliczu jej dobrodusznej wspaniałomyślności. A przecież była heretyczką w takim samym stopniu, jak ja. Jej wiara niebezpiecznie zbliżała się do panteizmu, przed którym ostrzegał mnie Giordano, mój dawny nauczyciel. Nie była jednak zakłamana. Nie zawracając sobie głowy bardziej złożonymi kwestiami teologicznymi, można powiedzieć, że kwintesencją jej filozofii była miłość. Dla matki Marii przede wszystkim liczyła się miłość.

Nie kochaj często, ale na zawsze. To jedno z powiedzonek mojej matki. Przez całe swoje życie kierowałam się tą zasadą. Zanim pojawiłam się w opactwie, myślałam, że znam to uczucie. Miłość do matki, miłość do przyjaciół, mroczna i skomplikowana miłość kobiety do mężczyzny. Ale kiedy urodziła się Fleur, wszystko się zmieniło. Człowiekowi, który nigdy nie widział oceanu, może się wydawać, że wie, co to takiego, ale w swoim rozumowaniu ogranicza się tylko do tego, co jest mu znane; wyobraża sobie wielką masę wody, większą od stawu młyńskiego, większą od jeziora. Tymczasem rzeczywistość przechodzi wszelkie wyobrażenia: zapachy, dźwięki, cierpienie i radość, niedające się porównać z dotychczasowymi przeżyciami. Przekonałam się o tym dzięki Fleur. Zupełnie jakbym się na nowo narodziła. Od pierwszej chwili, kiedy matka Maria dała mi ją do karmienia, wiedziałam, że zmienił się cały mój świat. Do tej pory byłam sama i nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy; prowadziłam wędrownie życie, zmagalam się z losem, cierpiałam, tańczyłam, cudzołożyłam, kochałam, nienawidziłam, płakałam i triumfowałam zupełnie sama, żyłam z

dnia na dzień, niczym się nie przejmując, niczego nie pragnąc, niczego się nie bojąc. Teraz nagle wszystko się zmieniło: na świecie pojawiła się Fleur. Byłam jej matką.

Jednak to szczęście macone wiecznym niepokojem. Naturalnie wiedziałam, że małe dzieci często umierają - widziałam to wiele razy, przemierzając kraj wzdłuż i wszerz -powodem są choroby, wypadki albo głód - ale nigdy wcześniej nie wyobrażałam sobie bólu matki po śmierci dziecka ani poczucia przeraźliwej straty. Teraz boję się wszystkiego. Lekkomyślna Ailee, która tańczyła na linie i skakała na trapezie, stała się istotą bojaźliwą, gdaczącą kwoką; ze względu na swoje dziecko jedyne, czego pragnę, to spokój i bezpieczeństwo, gdy dawniej żadna byłam przygód. LeMerle, wieczny hazardzista, szydziłby sobie ze mnie. *Nie zakładaj się o to, czego nie chcesz stracić.* A jednak żal mi go, gdziekolwiek jest. W jego świecie nie ma oceanów.

Dziś rano ledwo co odmówiliśmy prymę, o jutrzni i laudzie zupełnie zapomnieliśmy. Byłam sama w kościele, kiedy wstawał świt, mleczne światło przesączało się przez dach nad pulpitem, gdzie brakuje najwięcej dachówek. Padał lekki deszczyk, jego krople wydzwaniały o zepsutą rynnę gamę składającą się z trzech dźwięków. Tamtego roku, kiedy budowałam piekarnię, sprzedałyśmy większość ołowiu; oddałyśmy dobry metal za kiepskie kamienie, serce południowego transeptu za chleb, duszę za ciało. Zastąpiłyśmy ołów gliną i gipsową zaprawą, ale tylko metal jest trwały.

Święta Marie-de-la-mer spogląda okrągłymi oczami pozbawionymi wyrazu. Czas sprawił, że rysy jej twarzy są zamazane; widzę przysadzistą kobietę z kamienia, kucającą z wysiłkiem, jak rodzące Cyganki. Przez otwarte drzwi słyszę szum morza niosący się nad mokradłami i krzyki ptaków. To niewątpliwie mewy. Tutaj nie ma kruków. Ciekawa jestem, czy matka Maria mnie teraz widzi. Ciekawa jestem, czy święta Maria słyszy moją cichą modlitwę.

Może to tylko krzyk mew wywołuje mój niepokój. Może zapach wolności, unoszący się nad mokradłami.

Tutaj nie ma kruków.

Ale już za późno. Nie tak łatwo się uwolnić od złego ducha, kiedy się go już wywoła. Mam wrażenie, jakby jego wizerunek był wytatuowany na moich powiekach, więc widzę go, czy mam otwarte, czy zamknięte oczy. Czuję, że zawsze mi towarzyszył, mój kruk, zwiastun nieszczęścia. Czy we śnie, czy na jawie, nigdy naprawdę nie przestałam o nim myśleć. Pięć lat spokoju to więcej, niż się spodziewałam -być może nawet na tyle nie zasługiwałam. Ale wszystko powraca, jak mówią mieszkańcy wyspy. I przeszłość wdziera się w teraźniejszość jak przyptyw morza w ląd.

9 lipca 1610

Najstarsze wspomnienie, które zachowałam w pamięci, to nasz wóz, pomalowany na pomarańczowo, z tygrysem z jednego boku i sielską scenką z owieczkami i pasterzami z drugiego. Kiedy byłam grzeczna, bawiłam się na tle owieczek. Kiedy coś przeszkrobałam, miałam do towarzystwa tygrysa. W głębi duszy najbardziej kochałam tygrysa.

Urodzona w cygańskiej rodzinie, miałam wiele matek, wielu ojców, wiele domów. Pamiętam Izabelę, moją prawdziwą matkę, silną, wysoką i piękną. Pamiętam Gabriela, akrobatę, i księżniczkę Farandolę, która nie miała rąk i posługiwała się nogami, jakby to były jej dłonie; ciemnoooką Żanetę, wróżkę, karty migotały jak płomienie w jej zgrabnych, pomarszczonych dłoniach, i Giordana, Żyda z południowych Włoch, który umiał czytać i pisać. Nie tylko po francusku, ale również po łacinie, grecku i hebrajsku. O ile wiedziałam, nie był moim krewnym, ale najbardziej ze wszystkich się o mnie troszczył - kochał mnie na

swój osobliwy sposób. Cyganki wołały na mnie Julietta; nie miałam innego imienia i go nie potrzebowałam.

To Giordano nauczył mnie literek, czytając mi z książek, które trzymał w tajnej skrytce w wozie. To on powiedział mi o Koperniku, nauczył mnie, że dziewięć sfer niebieskich nie obraca się wokół Ziemi, ale że Ziemia i planety obiegają Słońce. Mówił mi też o właściwościach metali i pierwiastków, ale nie wszystko rozumiałam. Pokazał mi, jak zrobić proch z mieszanki saletry, siarki i węgla drzewnego, i jak go podpalić, posługując się kawałkiem szpagatu. Inni przezywali go Le Philosophe i wyśmiewali się z jego książek i eksperymentów naukowych, ale to on nauczył mnie czytać, obserwować gwiazdy i nie ufać Kościołowi.

Od Gabriela nauczyłam się zonglować, robić salta, tańczyć na linie. Od Żanety - wróżyć z kart i z kości oraz zielarstwa. Od Farandoli - dumy i samodzielności. Od mojej matki - symboliki kolorów, mowy ptaków i formuł chroniących od złego. Gdzie indziej nauczyłam się kraść i posługiwać nożem, używać pięści w walce albo zalotnie poruszać biodrami na widok pijanego, stojącego na rogu ulicy, i wabić go w ciemny zaułek, gdzie już czekał ktoś o zręcznych rękach, by pozbawić głupca sakiewki.

Objeżdżaliśmy nadbrzeżne miasta i miasteczka, nigdy nie zatrzymując się w jednym miejscu na tyle długo, by zwrócić na siebie uwagę niepożądanych osób. Często chodziliśmy głodni, unikali nas wszyscy oprócz najbiedniejszych i najbardziej zdesperowanych, potępiano nas ze wszystkich ambon w całym kraju i obwiniano o wszelkie nieszczęścia, od suszy do zgnilizny drzew owocowych, ale staraliśmy się cieszyć ze wszystkiego i pomagaliśmy sobie w miarę swoich możliwości.

Kiedy miałam czternaście lat, rozproszyliśmy się, gdy zeloci spalili we Flandrii nasz wóz, oskarżając nas o kradzież i czary. Giordano uciekł na południe, Gabriel skierował się ku granicy, a moja matka zostawiła mnie pod opieką grupki karmelitanek, obiecując, że wróci po mnie, kiedy minie

niebezpieczeństwo. Zostałam u nich prawie przez osiem tygodni. Siostrzyczki były dobre, ale biedne - prawie tak biedne, jak my - większość z nich okazała się przerażonymi staruszkami, nieumiejącymi stawiać czoła światu istniejącemu poza murami ich klasztoru. Czułam się tam bardzo źle. Tęskniłam za matką i przyjaciółmi; tęskniłam za Giordanem i jego książkami; ale najbardziej mi brakowało wolności. Od Izabeli nie przyszła żadna wiadomość, ani dobra, ani zła. Karty pokazywały mi jedynie puchary i miecze. Nie mogłam usiedzieć na miejscu i niczego nie pragnęłam bardziej, niż uwolnić się od zapachu starych kobiet. Pewnej nocy uciekłam, przeszłam pieszo dziesięć kilometrów, dotarłam do Flandrii i przez parę tygodni się ukrywałam, żywiąc się odpadkami, mając nadzieję, że coś usłyszę o naszej grupce. Ale od tamtego czasu minęło kilka tygodni, rozmowy o wojnie przesłoniły wszystko i niewielu ludzi pamiętało jedną grupkę Cyganów pośród tylu innych. Zrozpaczona wróciłam do klasztoru, ale zastałam drzwi zamknięte, a na nich wyrysowany kredą znak, że za nimi wybuchła zaraza. Cóż, nie miałam innego wyjścia. Z Izabelą czy bez niej musiałam wyruszyć w świat.

I tak zostałam zupełnie sama i bez środków do życia. Kradnąc i grzebiąc w śmietnikach, zmierzałam do stolicy. Przez jakiś czas podróżowałam z grupą włoskich artystów, od których nauczyłam się języka i podstaw komedii dell'arte. Ale włoska sztuka już traciła popularność. Przez dwa lata wiodło nam się jako tako, aż moi towarzysze, zniechęceni i stęsknieni za gajami pomarańczowymi i ciepłymi, błękitnymi górami swojej ojczyzny, postanowili wrócić do domu. Pojechałabym z nimi. Ale może mnie podkusił mój zły duch, żebym została, a może moja cygańska natura. Pożegnałam się z nimi i sama, lecz mając teraz dość pieniędzy na swoje potrzeby, podążyłam w stronę Paryża.

Właśnie tam po raz pierwszy ujrzałam mojego ptaka-zwiastuna nieszczęść. Nazywano go LeMerle od koloru jego nieupudrowanych włosów, był prowokatorem między znudzonymi kawalerami, kręcącymi się na dworze, wciąż miał jakieś nowe pomysły, nigdy zupełnie nie popadł w niełaskę, ale

zawsze znajdował się o krok od społecznego potępienia- Wyglądem zewnętrznym niczym się nie wyróżniał, nosząc proste stroje i najskromniejszą biżuterię, ale jego oczy były tak pełne światłocienia, jak drzewa w lesie. Nigdy też nie widziałam równie ujmującego uśmiechu, uśmiechu człowieka, który uważa świat za zachwycający, ale absurdalny. Życie traktował jak grę. Był obojętny na zaszczyty i stanowiska. Wiecznie tonął w długach i nigdy nie chodził do kościoła.

Pociągała mnie w nim właśnie ta lekkomyślność, bo widziałam w niej pewne podobieństwo do siebie; ale w niczym nie byliśmy podobni, on i ja. Ja byłam szesnastoletnią dzikuską; LeMerle był dziesięć lat starszy, podstępny, zuchwały, pełen energii. Naturalnie się zakochałam.

Piskłę po wykluciu z jaja bierze za swoją matkę pierwszą poruszającą się istotę, którą zobaczy. LeMerle uratował mnie przed życiem na ulicy, zapewnił pozycję, a przede wszystkim zwrócił mi moją dumę. Naturalnie, że go kochałam, do tego ze ślepym oddaniem dopiero co wyklutego pisklęcia. *Nie kochaj często, ale na zawsze.* Byłam okropnie naiwna.

Kierował trupą aktorów tancerzy, Theatre du Flambeau, którego protektorem był Maximilien de Bethune, późniejszy książę Sully, miłośnik baletu. Organizował też inne przedstawienia, nie tak publiczne i niesponsorowane - co nie znaczy, że nie oglądał ich dwór. LeMerle kroczył wąską i niebezpieczną ścieżką, posługując się szantażem i intrygami, krążąc na obrzeżach modnego towarzystwa, ale nigdy do końca nie ulegając jego powabom. Chociaż nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska, wzięłam go za osobę szlachetnie urodzoną - z całą pewnością prawie wszyscy go znali. Jego „Ballet des Gueux” - „Balet żebraka” - który cieszył się takim powodzeniem na dworze, od razu wszystkim się spodobał, chociaż niektórzy go potępiali, dopatrując się w nim bluźnierstw. Nie zważając na głosy krytyków, LeMerle posunął się w swej zuchwałości nawet do tego, by swój „Ballet du Grand Pastoral” wystawić z udziałem członków dworu - książę Cramail zagrał w nim

w stroju kobiety - a kiedy już wstąpiłam do jego trupy, planował zaprezentowanie „Ballet Travesti”. Tego już było za wiele dla jego szanowanego mecenasa.

Początkowo mu pochlebiało, że jestem w nim bez pamięci zakochana, i bawił go widok mężczyzn pożądlivym wzrokiem obserwujących mój taniec na deskach scenicznych. Występowaliśmy, trupa LeMerle'a i ja, w salonach i teatrach całego miasta. W tym czasie stawały się modne *comédie-ballets*: popularne romanse, do których wątki czerpano z literatury klasycznej, przeplatane długimi intermediami, wypełnionymi tańcem i akrobacją. LeMerle pisał dialogi i opracowywał choreografię, starając się zadowolić gusty każdego rodzaju publiczności. Były bohaterские tyrady dla widzów z pierwszego balkonu, tancerki w zwiewnych kostiumach dla entuzjastów baletu oraz karły, żonglerzy i klauni dla pozostałych widzów, którzy w przeciwnym razie zaczynali się nudzić, a nasze pojawienie się witali głośnymi okrzykami i śmiechem.

Paryż - i LeMerle - sprawił, że zmieniłam się niemal nie do poznania: miałam czyste i lśniące włosy, zaróżowioną skórę, po raz pierwszy w swoim życiu nosiłam jedwabie i atłasy, koronki i futra; tańczyłam w pantofelkach haftowanych złotem; ukrywałam uśmiechy za wachlarzami z kości słoniowej i piór. Byłam młoda i z całą pewnością odurzona swoim nowym życiem, ale córka Izabeli nie straciła głowy dla falbanek i błyskotek. Nie, to miłość uczyniła mnie ślepą i kiedy nasz statek osiadł na mieliźnie, to miłość sprawiła, że go nie opuściłam.

LeMerle popadł w niełaskę równie niespodziewanie, jak poprzednio wzniosł się na wyżyny. Nigdy do końca się nie dowiedziałam, jak to się właściwie stało. Jednego dnia nasz „Ballet Travesti” był na ustach wszystkich, a następnego nastąpiła katastrofa: de Bethune z dnia na dzień przestał być naszym mecenasem, aktorzy i tancerze rozpierzchli się. Wierzyciele, którzy wcześniej trzymali się z daleka, teraz się zlecieli jak muchy do miodu. Nagle przestano

wymawiać imię Guy LeMerle'a; nagle nigdy nie mógł zastać przyjaciół, gdy składał im wizyty w ich domach. W końcu LeMerle ledwo uniknął pobicia przez pachołków nasłanych przez znanego z bezkompromisowości biskupa Evreux i pośpiesznie uciekł z Paryża, wymógłszy przedtem na swych dłużnikach, by odwzajemnili się za kilka dawnych przysług, i zabierając ze sobą tyle bogactw, ile zdołał. Ja podążyłam za nim. Możecie to nazwać, jak chcecie. Był czarującym łotrem, mającym dziesięć lat więcej doświadczenia ode mnie, a swoją nikczemność ukrywał pod warstewką dworskiej ogłady. Podążyłam za nim, bo nie wyobrażałam sobie, że mogłabym go zostawić. Poszłabym za nim do samego piekła.

Szybko przystosował się do wędrownego życia. Prawdę mówiąc, tak szybko, że zastanawiałam się, do jakiego stopnia nie był, jak ja, człowiekiem do wynajęcia. Spodziewałam się, że poczuje się upokorzony tym, że popadł w niełaskę a przynajmniej stanie się nieco ostrożniejszy. Ale nic z tych rzeczy. Z dnia na dzień z dworaka przemienił się w wędrownego aktora, zastępując wcześniej noszone jedwabie skórzanym strojem podróżnego. Przestał mówić z wyrafinowanym akcentem wyższych sfer, zaczął zmieniać sposób wymowy co tydzień, w zależności od tego, w jakiej okolicy akurat się znajdowaliśmy.

Uświadomiłam sobie, że dobrze się bawi; że ta gra - bo tak teraz nazywał naszą ucieczkę z Paryża - tylko go podnieciła. Wyszedł cało z tej przygody, wywoławszy serię głośnych skandali. Znieważył wiele wpływowych osób. A przede wszystkim, jak zrozumiałam, sprowokował biskupa Evreux - człowieka słynącego z opanowania - do niegodnej reakcji, a w opinii LeMerle'a już samo to było znaczącym zwycięstwem. W rezultacie nie tylko w żaden sposób nie czuł się upokorzony, ale pozostał równie nieodpowiedzialny, jak zawsze, i niemal natychmiast przystąpił do planowania następnego śmiałego przedsięwzięcia.

Z naszej dawnej trupy pozostało nas tylko siedmioro, łącznie ze mną. Dwie tancerki - Ghislaine, wiejska dziewczyna z Lotaryngii, i Hermina, była

kurtyzana, oraz czwórka karłów - Rico, Bazuel, Cateau i Le Borgne. Każdy z nich był inny. Rico i Cateau wyglądali jak dzieci, mieli małe głowy i piskliwe głosiki; Bazuel był pulchny i przypominał aniołka, a jednooki Le Borgne odznaczał się proporcjonalną budową ciała, miał szeroki tors i silne, dobrze umięśnione ramiona, ale karykaturalnie krótkie nogi. Był dziwnym i zgorzkniałym człowieczkiem, pełnym pogardy dla ludzi wysokich, jak nas nazywał, ale z jakiegoś powodu tolerował mnie - może dlatego, że się nad nim nie litowałam - i okazywał szacunek LeMerle'owi, a może nawet szczerze go lubił.

- Za czasów mojego dziadka opłacało się być karłem -mawiał. -
Przynajmniej nigdy człowiek nie chodził głodny. Zawsze można się było przyłączyć do cyrku albo wędrownej trupy. A jeśli chodzi o księży...

Duchowni bardzo się zmienili od czasów jego dziadka. Wszędzie tam, gdzie kiedyś okazywano współczucie, teraz królowała podejrzliwość, każdy próbował znaleźć kogoś, kogo mógłby obarczyć winą za ciężkie czasy i niepowodzenia. Karzeł albo kaleka zawsze pierwsi padali ofiarą, mówił Le Borgne, a taki niepożądany element, jak Cyganie i komedianty, świetnie nadawali się na kozły ofiarne.

- Były czasy - opowiadał - kiedy w każdej trupie trzymano karła albo półgłówek na szczęście. Nazywali nas niebożętami. Niewiniątkami Boga. W dzisiejszych czasach równie często taki biedny nieszczęśnik może oberwać kamieniem, jak dostać kawałek chleba. A jeśli chodzi o LeMerle'a i jego *comédie-ballets*, no cóż! - Uśmiechnął się ponuro. - Nie do śmiechu człowiekowi, kiedy ma pusty brzuch. Przyjdzie zima, to sam to odczuje razem z nami wszystkimi.

Ale w ciągu następnych tygodni nasza trupa wzbogaciła się o jeszcze trzy osoby, członków rozwiązanego zespołu z Aix. Caboche grał na flecie, Demiselle była całkiem niezłą tancerką, a Bouffon, niegdyś klaun, ostatnio przemienił się w kieszonkowca. Podróżowaliśmy pod szyldem Theatre du Grand Carnaval,

prezentując głównie burleski i krótkie przedstawienia baletowe, a karły zonglowały i wywijaly fikołki. Ale chociaż występy cieszyły się popularnością, na ogół niezbyt dobrze nam płacono i przez jakiś czas nasze kiesy były puste.

Zbliżała się pora żniw i od kilku tygodni rankami zajeżdżaliśmy do jakiejś wioski, zarabialiśmy trochę pieniędzy, pomagając miejscowym chłopom kosić trawę albo zrywać owoce, a wieczorami występowaliśmy na dziedzińcu najbliższej gospody za tyle monet, ile udało nam się zebrać. Początkowo od pracy w polu LeMerle dostawał bąbli na swoich wydelikacyonnych dłoniach, ale się nie skarżył. Pewnej nocy bez słowa przeniosłam się do jego wozu, a on przyjął moją obecność bez zdumienia i bez słowa komentarza, jakby dostawał coś, co mu się należy.

Był dziwnym kochankiem. Wyniosłym, ostrożnym, roztargnionym, milczącym. Kobiety uważały go za atrakcyjnego mężczyznę, ale on na ogół pozostawał obojętny na ich wdzięki. Nie wynikało to z jego lojalności wobec mnie. Po prostu należał do tego typu ludzi, którzy mając już jeden kaftan, nie widzą powodu, by zadawać sobie trud i kupować drugi. Dopiero później uświadomiłam sobie, jaki jest naprawdę: samolubny, powierzchowny, okrutny. Ale na razie dałam się oszukać i - spragniona uczucia - zadowolłam się, przynajmniej chwilowo, tymi drobnymi okruchami, jakimi był zdolny mnie obdarowywać.

W zamian za to dzieliłam się z nim wszystkim, co umiałam. Kiedy brakowało nam jedzenia, pokazałam LeMerle'owi, jak zastawiać sidła na drozdy i króliki. Wytłumaczyłam mu, które zioła leczą gorączkę, a które goją rany. Nauczyłam go zaklęć mojej matki; powtórzyłam mu nawet niektóre nauki Giordana, co LeMerle'a szczególnie zainteresowało.

Prawdę mówiąc, powiedziałam mu o sobie więcej, niż zamierzałam - właściwie znacznie więcej, niż nakazywał rozsądek. Ale był przebiegły i czarujący, a mnie schlebiało jego zainteresowanie. Większość z tego, co mówiłam, to były herezje, mieszanina cygańskich tradycji ludowych i nauk

Giordana. Ziemia - planety - krążące wokół Słońca. Bogini miłości i płodności, starsza niż Kościół, jej wyznawcy, niewiedzący, co to grzech czy skrucha. Mężczyźni i kobiety równi sobie - na te słowa uśmiechnął się, bo było to czymś wprost niesłychanym, ale rozsądnie powstrzymał się od komentarza. Po latach uznałam, że o tym zapomniał. Dopiero znacznie później uświadomiłam sobie, że Guy LeMerle o niczym nie zapomina; wszystko odkłada na później, przechowuje każdy strzęp informacji. Byłam głupia. Nie chcę się usprawiedliwiać. I pomimo tego, co się wydarzyło, przysięgam, że zaczął się o mnie odrobinę troszczyć. Dość, by raz czy dwa okazać mi trochę serca. Ale za mało, kiedy nadeszła chwila próby. O wiele za mało.

Nigdy nie poznałam jego prawdziwego nazwiska. Dawał do zrozumienia, że jest szlachetnie urodzony - z całą pewnością nie pochodził z ludu - chociaż nawet wtedy, kiedy byłam w nim bez pamięci zakochana, nie wierzyłam nawet w połowę tego, co mi mówił. Był aktorem i dramatopisarzem, poetą w stylu klasycznym; opowiadał o nieszczęściu, ruinie; wpadał w euforię na wspomnienie sal teatralnych, wypełnionych po brzegi.

Nie wątpiłam w to, że był aktorem. Miał talent parodystyczny, szeroki i ujmujący uśmiech, było coś nienaturalnego w sposobie, w jaki chodził, trzymał głowę, co świadczyło o bliskich związkach ze sceną. Dobrze umiał wykorzystywać swoje umiejętności. Czy sprzedawał maść na szczury czy ochwaczonego konia, jego siła perswazji graniczyła niemal z magią. Ale nie zawsze był aktorem. Musiał studiować; znał łacinę i grekę, nieobcy mu byli niektórzy filozofowie, o których mi mówił Giordano. Potrafił jeździć na koniu równie dobrze, jak cyrkowy wołyżer. Potrafił kraść niczym zawodowy kieszonkowiec i był niedoścignionym mistrzem we wszelkich grach hazardowych. Wydawało się, że potrafi się przystosować do każdych warunków, przy okazji zdobywając nowe umiejętności. Chociaż bardzo się starałam, nie potrafiłam przebić się przez warstwy fikcji, zmyśleń i oczywistych kłamstw, pod jakimi się ukrył. Nie zdradził żadnej ze swoich tajemnic, jakiegokolwiek one były.

Poza jedną. Wysoko na lewym ramieniu miał piętno, wypaloną lilię, która z latami wyblakła i stała się niemal srebrna. Kiedy go o nią zapytałam, uśmiechnął się tylko i zasłonił niepamięcią. Ale zauważyłam, że od tamtej pory zawsze się pilnował, by nie chodzić z odsłoniętym ramieniem, i wyciągnęłam swoje własne wnioski. Mój ukochany stracił kilka piór podczas tamtej przygody i nie lubił, by mu o tym przypominano.

6

11 lipca 1610

Nigdy nie wierzyłam w Boga. Przynajmniej nie w *waszego* Boga, tego, który spogląda na swoją szachownicę i przesuwa pionki według własnego widzimisie, czasami patrząc w twarz swojemu adwersarzowi z uśmiechem kogoś, kto już zna wynik gry. Wydaje mi się, że musi mieć jakąś okropną skazę stwórcy, który się upiera, żeby wystawiać swoje dzieci na próby kończące się ich klęską, który postarał się o to, by na tym świecie istniały najróżnorodniejsze przyjemności, i jednocześnie ogłosił, że wszelkie przyjemności są grzeszne, który stworzył tak niedoskonałego człowieka, a teraz oczekuje od niego, by dążył do osiągnięcia doskonałości. Diabeł przynajmniej prowadzi uczciwą grę. Wiemy, o co mu chodzi. Ale nawet on, ojciec kłamstwa, potajemnie pracuje dla Wszchemogącego. Jaki pan, taki sługa.

Giordano nazywał mnie poganką. W jego ustach nie brzmiało to jak komplement, bo był pobożnym żydem, wierzącym w nagrodę na tamtym świecie za swoje ziemskie cierpienia. Dla niego bycie poganinem równało się byciu osobą niemoralną, bezbożną, bez skrępowania oddającą się uciechom zmysłowym, nadto często korzystającą z różnych okazji, nadarzających się podczas podróży. Mój dawny nauczyciel jadał skromnie, pościł regularnie, często się modlił, a przez resztę czasu oddawał się swoim studiom. Był dobrym

towarzyszem podróży - mieliśmy do niego żal jedynie o to, że w szabas odmawiał wszelkiej pomocy, woląc nawet w zimowy wieczór obejść się bez ognia, niż zadać sobie trud rozpalenia go. Z wyjątkiem tego jednego dziwactwa był taki sam, jak my wszyscy; i nigdy nie widziałam, żeby pożerał dzieci, jak utrzymuje Kościół. Prawdę mówiąc, w ogóle rzadko jadał mięso. Co tylko świadczy o tym, jak bardzo Kościół może się mylić.

Może Giordano też się mylił, mówiłam sobie, kiedy starałam się upodobnić do swojego nauczyciela. Jego żydowski Bóg bardzo mi przypominał Boga katolickiego - a jedyna prawdziwa wiara wydawała mi się niemal nie do odróżnienia od tego, co głosili hugenoci czy heretycy protestanci z Anglii. Musi być jeszcze coś, powtarzałam sobie uparcie; coś poza grzechem i namaszczeniem, prochem i modlitwami; coś, co kocha życie tak bezkrytycznie, jak ja.

Moje trzynaste urodziny przyniosły mi swego rodzaju przebudzenie. Całe tamto lato było jednym długim ciągiem radości: nowej świadomości, rozpierającej mnie energii, wyostrzonego zmysłu smaku i powonienia. Po raz pierwszy, albo tak mi się przynajmniej wydawało, naprawdę zauważyłam kwiaty przy drodze; poczułam zapach nocy zapadającej nad brzegiem morza; smak chleba upieczonego przez matkę, z wierzchu czarnego od węgla, ale w środku, pod warstewką popiołu - miękkiego. Zauważyłam również, ile przyjemności sprawia mi, kiedy tkanina ubrania ociera się o skórę, albo smagają mnie lodowate bryzgi wody, kiedy kąpię się w strumieniu... Jeśli to wszystko były pogańskie rozkosze, pragnęłam ich więcej. Niemal z dnia na dzień świat stał mi się bliski jak druga matka i pełen tajemnic, które zdawały się nie do ogarnięcia. Otworzyłam się na jego inicjację. Każdy pęd, każdy kwiat, drzewo, ptak, zwierzę przepełniało mnie czułością i szczęściem. Straciłam dziewictwo za sprawą pewnego rybaka w Hawrze i doznałam objawienia nie mniej dla mnie doniosłego niż to, jakiego doznał święty Jan.

Giordano smutno kiwał głową i nazywał mnie bezwstydnicą. Przez jakiś czas uczył mnie wyłącznie teologii, więc kręciło mi się w głowie i protestowałam, domagając się lekcji historii, astronomii, łaciny, poezji, jak dawniej. Przez jakiś czas się temu opierał. Jestem dzikuską, oświadczył mi z dezaprobatą, niewiele lepszą od mieszkańców dopiero co odkrytego Quebecu. Wykradłam mu książki i ślęczałam nad łacińskimi erotykami, strasznie wolno przesuwając palcem po wersach. Kiedy przyszła zima, moje zmysły zamarzły i nauczyciel mi wybaczył, jak zwykle smutno kiwając głową. Znow uczył mnie tego, co kiedyś. Ale w głębi duszy pozostałam poganką. Nawet w opactwie jestem szczęśliwsza w polu niż w kaplicy. Gdy czuję ból w spracowanych mięśniach, przypominam sobie tamto lato, kiedy miałam trzynaście lat i byłam taką bezbożnicą.

Dziś pracowałam, aż rozboleły mnie plecy. Kiedy nie miałam już nic więcej do roboty przy ziołach i warzywach, przeszłam na słone mokradła, nie zważając na palące słońce, podkasałam spódnicę do kolan i brodziłam w błocie, w którym zapadałam się po kostki. W opactwie mieliśmy ludzi do ciężkich prac: łowienia ryb, zarzynania bydła, wyprawiania skór i pracy na słonych polach, ale nigdy się nie bałam znoju, a dzięki temu mogę zapanować nad strachem.

Nie przyszły jeszcze żadne wiadomości z Rennes. Ostatniej nocy znow miałam straszne sny: czyjaś ręka tasowała karty, a na każdej była twarz LeMerle'a. Ciekawa jestem, czy sama jestem sobie winna, pisząc o nim tak dużo w swoim dzienniku, ale kiedy się raz zacznie snuć opowieść, przypomina zbiegłego żrebaka, człowiek przestaje nad nią panować. Wszelkie próby jej przerwania są z góry skazane na niepowodzenie; lepiej wytrwać i pozwolić, żeby sama padła z wyczerpania.

Żaneta nauczyła mnie cenić własne sny. Są jak fale, powiedziała mi, na których unoszą się dziwne pływające przedmioty. Można je zbierać, a z głębinowych wirów mogą wiele wyczytać ci, którzy się na tym znają. Muszę wykorzystywać swoje sny, a nie bać się ich. Tylko głupiec boi się wiedzy.

Najgorzej wspominam naszą pierwszą zimę z Theatre du Grand Carnaval. Przez dwa miesiące byliśmy zmuszeni do bezczynności. Rozbiliśmy obóz tuż pod Vitre, małym miasteczkiem nad Vilaine. Przez cały grudzień padał śnieg, prawie skończyły się nam pieniądze, zaczynało brakować jedzenia, przy jednym z naszych wozów odpadło koło i nie było mowy, byśmy mogli wyruszyć w dalszą drogę wcześniej niż na wiosnę.

Myślę, że wszyscy uważaliśmy za coś oczywistego, że LeMerle nie będzie zebrał. Powiedział nam, że pisze tragedię, która - kiedy ją wystawimy - rozwiąże wszystkie nasze problemy. A na razie grzebaliśmy w śmietnikach, zebraliśmy, tańczyliśmy, zonglowaliśmy i fikaliśmy koziołki, brodząc po kostki w marznącym błocie. Dziewczyny zarabiała więcej od mężczyzn - czasami byłyśmy nawet lepsze od karłów, kiedy przestały wzbudzać sensację. Le Borgne jak zwykle gderał i zdaje się, że uważał to za osobistą zniewagę. LeMerle przyjmował wszystkie pieniądze, jakie mu przynosiliśmy, jakby mu się należały.

Pewnego razu, kiedy styczeń przyniósł roztopę i deszcz, nasze obozowisko minął wspaniały powóz i skierował się do miasta. Jakiś czas później LeMerle zebrał nas wszystkich i powiedział, żebyśmy się przygotowali na specjalny występ na zamku. Przybyliśmy świeżo umyci i w kostiumach, które uratowaliśmy, uciekając z Paryża. Zastaliśmy pół tuzina kawalerów zgromadzonych w wielkiej jadalni. Najwyraźniej grali w karty. W świetle świec dostrzegłam błysk złota leżącego na stole. W sali unosił się zapach grzanego wina, dymu z ognia na kominku i tytoniu, a LeMerle siedział w samym środku w swoim stroju dworaka, z kielichem ponczu w dłoni. Zachowywał się, jakby był w świetnych stosunkach z tymi ludźmi; równie dobrze moglibyśmy być znów w Paryżu. Wyczułam niebezpieczeństwo i wiedziałam, że LeMerle też je wyczuł. Ale nie przeszkadzało mu to, żeby świetnie się bawić.

Korpulentny młody szlachcic w różowych jedwabkach pochylił się do przodu i spojrzał na mnie przez lornion.

- Ach, cóż za czarujące stworzenie - powiedział. - Zbliź się, moja droga. Nie bój się, nie ugryzę cię.

Zrobiłam kilka kroków, moje atlasowe pantofelki zaszeleściły, kiedy szłam po wypolerowanym parkiecie, i ukloniłam się.

- Oto moja karta. Chodź, weź ją. Nie wstydź się. Ogarnęło mnie dziwne skrepowanie. Urosłam, odkąd wyjechaliśmy z Paryża, moja spódniczka była krótsza, a stanik bardziej obcisły niż kiedyś. Żałowałam teraz, że nie poświęciłam trochę czasu na niezbędne poprawki. Kawaler w jedwabiach uśmiechnął się znacząco i wręczył mi kartę, którą przytrzymał palcem i kciukiem. Zobaczyłam, że jest to królowa kier.

LeMerle mrugnął do mnie i uspokoiłam się. Jeśli to jedna z jego gier, pomyślałam, to też mogę w niej wziąć udział; widać było, że wszyscy znają jej reguły. Trójka pik przypadła Herminie, walet trefl - Cateau, as karo - Demi-selle, aż w końcu każdy z nas otrzymał imię od wyciągniętej karty, nawet karły, czemu towarzyszył rubaszny śmiech, chociaż zupełnie nie rozumiałam dlaczego. Potem zatańczyliśmy: najpierw wykonaliśmy kilka komicznych akrobacji, a następnie skróconą wersję „Ballet des Gueux”.

Chwilami, tańcząc, widziałam, jak na środek stołu rzucono karty, ale figury tańca były skomplikowane i nie mogłam się rozpraszać. Dopiero kiedy skończyliśmy występować i czterej zwycięzcy powstali, by odebrać swoje nagrody, zrozumiałam cel gry - i co było w niej stawką. Gracze, którym przypadły karły, komicznie przeklinali. Kiedy prowadzono mnie po szerokich schodach na górę, czułam się niby schwytna w pułapkę. W pewnej chwili usłyszałam, jak LeMerle spokojnie proponuje grę w pikietę.

Na dźwięk jego głosu odwróciłam się. Hermina spojrzała na mnie i zmarszczyła czoło - ona jedna wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi. W złotym świetle, padającym z kinkietu, wydała mi się dziwnie postarzała, jej umalowane policzki błyszczały. Twardo patrzyła swoimi niebieskimi oczami. Ich wyraz powiedział mi wszystko, co musiałam wiedzieć.

Panicz w jedwabiach zauważył moje wahanie.

- Przysługa za przysługę - oświadczył. - Przecież wygrałem, prawda?

LeMerle wiedział, że mu się przyglądam. Nie był pewien mojej reakcji, ale zaryzykował, tak jak się ryzykuje, grając w karty. Przez sekundę stanowiłam dla niego wielką niewiadomą. Potem się odwrócił, już pochłonięty nową grą, a ja w tamtej chwili go znienawidziłam. Och, nie za krótką chwilę obcowania na kozetce. Znałam gorsze rzeczy, zresztą mój kawaler szybko się zmęczył. Nie, chodziło o to, jak LeMerle nas wykorzystał. Potraktował mnie i innych, jakbyśmy byli dla niego niczym więcej niż kartami, którymi się gra lub które się odkłada na bok, jeśli reguły na to pozwalają.

Naturalnie wybaczę mu.

- Ależ, Julietto, myślisz, że chciałem tego? Zrobiłem to dla ciebie. Dla was wszystkich. Myślisz, że pozwoliłbym wam głodować, byleby tylko nie narazić na szwank swojego poczucia delikatności?

Wyjęłam nóż, tyle już razy ostrzony, że niewiele zostało z niegdyś szerokiego ostrza. Aż mnie swędziały palce, żeby nim przejechać po gardle LeMerle'a.

- Ale nie musiałeś tego robić w taki sposób - oświadczyłam. - Gdybyś mi powiedział... - Była to prawda; gdyby mnie zapoznał ze swoimi zamiarami, zgodziłabym się na wszystko przez wzgląd na niego.

Spojrzał mi prosto w oczy.

- Mogłabyś odmówić - powiedział. - Nie zmuszałbym cię, Julietto.

- *Sprzedaleś* nas. - Głos mi drżał. - Oszukałeś nas i sprzedałeś za garść złota! - Wiedział, że nie mogłabym się nie zgodzić. Gdybyśmy tamtego wieczoru odmówili udziału w tej grze, nazajutrz rano oglądalibyśmy LeMerle'a zakutego w dyby. A może zakończyłoby się to czymś znacznie poważniejszym. - Wykorzystałeś nas, Guy. Wykorzystałeś *mnie*.

Widziałam, jak próbuje ocenić wagę sytuacji. Byłam trochę podenerwowana, ale szybko przeszłaby mi złość. Ostatecznie nie byłam

dziewicą. Niczego naprawdę nie straciłam. Złote monety brzęknęły w jego palcach.

- Posłuchaj mnie, Julietto...

Nie był to odpowiedni moment na przymilanie się. Kiedy wyciągnął do mnie rękę, zamachnęłam się na niego nożem. Chciałam tylko, żeby się do mnie zbliżał, ale byłam szybka. Nie zdążył się uchylić i ostrzem noża przejechałam mu po wyciągniętych dłoniach.

- Następnym razem, LeMerle... - Cała dygotałam, ale nóż ani drgnął w mojej ręce. - Następnym razem pokiereszuję ci gębę.

Każdy człowiek spojrzałby na swoje pokaleczone ręce -choćby odruchowo - ale nie LeMerle. W jego oczach nie było ani odrobiny strachu czy bólu. Zamiast tego ujrzałam w nich zaskoczenie, fascynację, zachwyt. Zupełnie, jakby dokonał jakiegoś niespodziewanego odkrycia. Widziałam u niego ten wyraz twarzy już wcześniej, kiedy siedział przy stoliku do kart albo stał przed rozgniewanym tłumem, albo pokraśniały z zadowolenia kłaniał się w blasku świateł rampy. Wytrzymałam jego spojrzenie. Krew kapała mu z rąk na ziemię, ale żadne z nas nie odwróciło wzroku.

- Cóż, moja droga - powiedział. - Nie wierzę, żebyś to zrobiła.

- Przekonaj się.

Zrobił krok w moją stronę i zachwiał się; odruchowo złapałam go, kiedy upadał.

- Masz rację, Julietto - przyznał. - Powinienem być ci powiedzieć.

Tym mnie rozbroił i dobrze wiedział, że tak się stanie. Chwilę potem zemdlął.

Sama mu opatrzyłam ręce i owinęłam czystym płótnem. Później znalazłam butelkę koniaku i stałam nad LeMerle'em, kiedy pił. W myślach tyle razy odtwarzałam wydarzenia ostatniej nocy, aż w końcu zaczęło mi się wydawać, że to on poświęcił się dla nas, a nie na odwrót. Rzeczywiście sam najwięcej ryzykował. Nie licząc tego, co zainkasował za przedstawienie -

publiczne i prywatne - LeMerle bezwstydnie ograł w karty naiwnych kawalerów, a Bouffon i Le Borgne obeszli wszystkie komnaty w poszukiwaniu kosztowności i opuścili dom bogatsi o całe pięćset liwrów.

Kiedy młodzi kawalerowie w końcu zrozumieli, że padli ofiarą oszustwa, było już za późno. Wyjechaliśmy z miasta, chociaż opowieści o perfidnym podstępie LeMerle'a towarzyszyły nam do La Rochelle, a nawet jeszcze dalej. To był początek długiego ciągu oszustw. Przez następnych sześć miesięcy podróżowaliśmy pod różnymi barwami, pod różnymi nazwami. Zła sława towarzyszyła nam dłużej, niż się spodziewaliśmy, ale chociaż prowadziliśmy ryzykowną grę i próbowano nas ująć, niezbyt się przejmowaliśmy niebezpieczeństwem. LeMerle urósł w naszych oczach, stał się niemal istotą nadprzyrodzoną. Wydawał się niezniszczalny - a razem z nim i my. Gdyby go złapano, niewątpliwie czekałaby go szubienica, i prawdopodobnie nas wszystkich też. Ale w tych stronach było dużo trup wędrownych komediantów, a wtedy staliśmy się już Theatre de la Poule au Pot, grupką zonglerów z Akwitanii. Po Theatre du Grand Carnaval wszelki ślad zagaął. I w ten sposób wszystko uszło nam na sucho, a ja wybaczyłam LeMerle'owi, ponieważ byłam młoda i ponieważ wtedy naiwnie wierzyłam jeszcze, że każdy człowiek jest dobry i że pewnego dnia i on to udowodni.

Minęło ponad pięć lat, odkąd widziałam go po raz ostatni. Z całą pewnością zbyt długo, żeby te wspomnienia budziły we mnie aż taki niepokój. Może już nie żyje - po tym, co się wydarzyło w Epinal, miałam dość powodów, żeby w to wierzyć. A jednak nie wierzę. Przez te wszystkie lata wspomnienie LeMerle'a i krzywd, jakie mi wyrządził, nie opuszczało mnie ani na chwilę, ciążyło mi jak kamień i wiedziałabym, gdybym się od niego uwolniła.

Dziś musimy pochować naszą matkę przełożoną. Nie można tego dłużej odkładać. Nie zanoszą się na zmianę pogody, żar leje się z nieba. Nikt nie chce wziąć na siebie takiej odpowiedzialności, ale zwłoki w kaplicy już się rozkładają

i nic nie powstrzyma tego procesu. Nikt nie chce pochować ksieni przed przyjazdem jej następczyni. Ale ktoś musi podjąć decyzję.

Nie śpię już drugą noc. Nie pomagają żadne zioła: ani waleriana, ani melisa nie przynoszą mi wytchnienia, a lawenda nie koi nerwów. Może zobaczyłabym coś wartego oglądania po wypiciu mocnego naparu z wilczej jagody, ale na razie i bez tego mam dosyć wizji. Potrzebny mi odpoczynek. Przez wysokie okno widzę na niebie pierwszą smugę brzasku. Fleur śpi obok mnie, z lalką pod pachą, z palcem w buzi, ale chociaż jestem taka zmęczona, nie mogę usnąć. Wyciągam rękę, żeby ją pogłaskać. Często to robię, zarówno dla siebie, jak i dla niej. Fleur zwija się w kłębek obok mnie i niewyraźnie wzdycha przez sen. Pachnie biszkoptami i ciepłym ciastem chlebowym. Wtulam twarz w jej miękkie włoski na karku. Jest moją słodyczą i radością, a teraz jeszcze swego rodzaju katuszami, jakbym przeczuwała jakąś niewyobrażalną stratę.

Obejmuję swoją córeczkę i znów zamykam oczy. Ale spokój mnie opuścił. Pięć lat spokoju uleciało w jednej chwili jak dym - i dlaczego? Z powodu ptaka, wspomnień, czegoś, co ujrzałam kącikiem oka? A jednak matka przełożona umarła. I co z tego? Była stara. Jej życie się skończyło. Nie ma powodu przypuszczać, że *on* ma z tym jakiś związek. Ale przecież Giordano mnie uczył, że wszystko, co żyje, jest ze sobą powiązane, że wszystkie ziemskie istoty są zbudowane z tej samej substancji: mężczyzna, kobieta, kamień, woda, drzewo, ptak. To była herezja. Lecz Giordano w to wierzył. Powiedział, że kiedyś odkryje tę substancję. Odnajdzie kamień filozoficzny i udowodni, że jego teoria była słuszna, pozna receptę na całą materię, eliksir dziewięciu światów. Wszystko jest połączone: Ziemia kręci się wokół Słońca, wszystko powraca, i każdy czyn, nawet najmniejszy, powoduje całą lawinę następstw. Czuję to teraz, widzę kręgi rozchodzące się na jeziorze po wrzuceniu kamienia do wody.

A LeMerle? My też jesteśmy powiązani, on i ja; nie potrzeba żadnej filozofii, żeby o tym wiedziała. Cóż, niech się pojawi. Jeśli ma jakąś rolę do

odegrania, nieprędko ją odegra, ponieważ jeśli kiedykolwiek zobaczę tego człowieka, zabiję go, o czym dobrze wie.

7

12 lipca 1610

Pochowałyśmy ją w ogrodzie ziołowym. To była skromna uroczystość - posadziłam na jej grobie lawendę i rozmaryn, każda z nas zmówiła cichą modlitwę. Zaśpiewaliśmy *Kyrie eleison*, ale nie najlepiej nam to wyszło, bo niektóre siostry są zdjęte żalnością. Zdumiewają mnie te objawy żalu - odkąd tu jestem, zmarło kilkanaście zakonnice, niektóre z nich były jeszcze młode, ale żadnej tak szczerze nie opłakiwano. Chociaż, z drugiej strony, nie powinno mnie to dziwić. Straciłyśmy coś więcej niż jedną spośród nas. Nawet zabójstwo króla Henryka, od którego minęły zaledwie dwa miesiące, miało mniejszy wpływ na nasze życie.

Dlatego wydaje się czymś niewłaściwym pochowanie jej bez wielkiej pompy. Powinien być ksiądz, nabożeństwo z prawdziwego zdarzenia. Ale nie mogliśmy dłużej zwlekać; wieści z Rennes nie nadchodzą, a latem zwłoki szybciej się rozkładają, co grozi wybuchem epidemii. Większość mniszek nie ma o tym pojęcia, wołąc wierzyć w siłę modlitwy, ale lata wędrownego życia nauczyły mnie, jak ważne jest zachowanie ostrożności. Niewykluczone, że istnieją złe moce, mawiała moja matka, ale prawdziwymi zabójcami są brudna woda, zepsute mięso i skażone powietrze. Wierzyłam jej i nigdy na tym źle nie wyszłam.

Tak czy inaczej, w końcu przekonałam pozostałe zakonnice, że mam rację. Jak zawsze. Zresztą matka przełożona z pewnością życzyłaby sobie właśnie takiego skromnego pochówku: żadnych kamiennych sklepień krypty,

tylko lniane płótno, już lekko poprzerastane pleśnią, i złożenie w ziemi rodzącej takie dorodne ziemniaki.

Może posadzę je na grobie matki przełożonej. Jej ciało, przemienione w proch, połączy się z solą ziemi, będzie stanowiło pokarm dla korzeni roślin, odrodzi się w bulwach. Pogańska myśl, dziwnie nie na miejscu w takiej smutnej chwili. A jednak moi bogowie nigdy nie byli ich bogami. Panem tego świata z pewnością nie jest ta postać o surowym, kamiennym obliczu, nie ma sensu to całe umartwianie się, to życie bez radości, ta wieczna obsesja na punkcie grzechu... Lepiej stanowić pokarm dla ziemniaków, niż trafić do nieba pełnego bezcielesnych istot, żyć w wiecznym strachu przed mękami piekielnymi. Wciąż nie ma żadnej wiadomości.

Siedem dni. Stworzenie świata trwało krócej. Pozostajemy w stanie zawieszenia, pogrążyliśmy się w całkowitej apatii, przypominamy różę pod szkłem. A jednak świat idzie do przodu, nie zważając na nas; przyływy, odpływy, rozwój, rozkład, życie, śmierć - wszystko toczy się zwykłym rytmem, jakby Pan Bóg miał swój własny porządek dzienny. Przez okno wpadł zapach morza, już zabarwiony odcieniami jesieni; liście poszarzały pod wpływem słońca, trawa pojaśniała, spalona jego promieniami. Ziemia jest kowadłem, płaskim i błyszczącym, wystawionym na uderzenia lata.

Przynajmniej znalazłam sobie coś do roboty na słonych mokradłach. Drewnianym *etelle* zgarniam skorupę soli na kopczyk obok siebie. To proste zajęcie, niewymagające myślenia. Mogę obserwować Fleur i Perette bawiące się w pobliżu, taplające się w ciepłej brązowej wodzie. Godziny spędzone na pracy w polu - dla innych stanowiącej taki ciężar -sprawiają mi prawdziwą przyjemność, chociaż staram się tego nie okazywać. Lubię czuć promienie słońca na plecach, mieć swoją córeczkę przy boku. Tutaj znów mogę być sobą, albo przynajmniej do takiego stopnia sobą, do jakiego chcę. Czuję zapach morza i słonych mokradeł, ostry wiatr, wiejący z zachodu, słyszę ptaki. Nie jestem jedną z tych delikatnych siostrzyczek, kryjących się po kątach ze strachu przed

światem. Nie jestem też taka egzaltowana, jak siostra Alfonsyna, dręcząca swoje biedne ciało wiecznym umartwianiem. Nie, praca sprawia mi przyjemność. Długie mięśnie moich ud napinają się i rozciągają, naprężone bicepsy przypominają węzły związane na linie. Ramiona mam gołe; spódnicę podkasałam do pasa, barbet rzuciłam na ziemię.

Poza Fleur moją jedyną ekstrawagancją są włosy. Po przybyciu do opactwa obciąłam je, ale odrosły, lśniące i gęste, rude jak lisia kita. To moja jedyna ozdoba. Jestem za wysoka, za silna, w ciągu lat stałych rozjazdów słońce spaliło mi skórę na brąz. Gdyby Lazarillo zobaczył moje włosy, wtedy mógłby sobie mnie przypomnieć. Ale jedna kobieta w habicie jest bardzo podobna do drugiej. Tutaj mogę zdjąć kornet. Nikt nie zobaczy moich rozpuszczonych włosów ani moich silnych, gołych ramion. Mogę być sobą; i chociaż wiem, że pewnie już nigdy nie będę l'Ailee, przez krótki czas mogę być przynajmniej Juliettą.

Jeszcze przez sześć lat miałam pozostać z zespołem komediantów, który przybrał nazwę Theatre des Cieux. Po tym, co się wydarzyło w Vitre, wyniosłam się z wozu LeMerle'a. Nadal go kochałam - to nie ulegało wątpliwości - ale duma nie pozwoliła mi z nim zostać. Do tego czasu dorobiłam się już własnego wozu. Kiedy LeMerle przychodził do mnie - wiedziałam, że tak będzie - kazałam mu czekać, nim go wpuściłam do środka. Musiałam się na nim zemścić chociaż w taki sposób. Zmieniło to stosunki między nami i przez jakiś czas wystarczała mi taka forma odwetu za moje upokorzenie.

Jeździliśmy wzdłuż wybrzeża, z jarmarku na jarmark, z festynu na festyn, bo tam można było liczyć na jakiś zarobek. Kiedy interes źle szedł, sprzedawaliśmy leki na różne choroby i talizmany chroniące przed urokiem. Czasami LeMerle ogrywał naiwnych chłopów w karty lub kości. Ale najczęściej występowaliśmy; wystawialiśmy fragmenty baletów, maskarad lub karnawałów, a z upływem czasu stopniowo coraz częściej sztuki. Przygotowałam taniec na linie - nic wielkiego, ale mój popis cieszył się popularnością wśród wiejskiej

widowni - i nauczyłam towarzyszących mi karłów niektórych prostszych kroków. Numer stawał się coraz bardziej ambitny, w miarę jak go dopracowywaliśmy, ale to był mój pomysł, żeby wykonywać go wysoko nad ziemią. Od tego zaczął się nasz sukces.

Początkowo na wszelki wypadek karły trzymały rozciągnięte nad ziemią płótno. Jednak kiedy nabraliśmy śmiałości, zrezygnowaliśmy z tego zabezpieczenia i zaczęliśmy wykonywać różne sztuczki w powietrzu, nie zadowolając się samym chodzeniem po linie, ale tańcząc, fikając koziołki i w końcu *przefruając* z jednej liny na drugą, do czego wykorzystywaliśmy połączone ze sobą obręcze. Tak narodziła się l'Ailee.

Nigdy nie cierpiałam na lęk wysokości. Prawdę mówiąc, lubiłam się wspinać na drzewa, na dachy domów. Z góry wszyscy wyglądają tak samo - mężczyźni, kobiety, łotry, królowie - jakby pozycja i majątek były jedynie czymś zależnym od punktu widzenia, a nie ustanowionym przez Boga. Na linie byłam kimś więcej niż zwykłą kobietą; na kolejne przedstawienia przychodzili coraz liczniej ludzie chcący mnie oglądać. Miałam srebrno-zielony kostium, pelerynę z kolorowych piór, a na głowie rozetę z długich piór, przez co wydawałam się jeszcze wyższa niż naprawdę. Zawsze byłam wysoka jak na kobietę - przewyższałam wzrostem wszystkich w Theatre des Cieux z wyjątkiem LeMerle'a - ale w kostiumie tancerki mierzyłam ponad metr osiemdziesiąt i kiedy na początku swojego występu opuszczałam połączoną klatkę, dzieciaki krzyczały i pokazywały mnie palcami, a ich rodzice zastanawiali się na głos, jak taka istota może w ogóle wspiąć się na słup, nie mówiąc już o szybowaniu w powietrzu.

Linę rozciągaliśmy dziewięć metrów nad ich głowami; niżej był bruk, ziemia, trawa. Każdy mój błąd mógł się zakończyć połamaniem kości albo śmiercią. Ale l'Ailee nie popełniała błędów. Do nogi w kostce miałam umocowany cienki połączony łańcuszek - jakbym bez niego mogła rozpostrzeć skrzydła i odfrunąć. Rico i Bazuel trzymali drugi jego koniec, pilnując się, żeby

stać jak najdalej ode mnie. Czasami wydawałam groźne pomruki i udawałam, że chcę się rzucić na ludzi, czym wywoływałam okrzyki przerażenia u dzieciaków. Potem karły puszczały łańcuch i byłam wolna.

Wykonywałam swój numer bez wysiłku. Oczywiście wcale tak nie było; każdy ruch wymaga tysięcy godzin ćwiczeń. Ale w tamtej chwili przestawałam być sobą. Tańczyłam na jedwabnych linach tak cienkich, że ledwo je było widać z dołu, chwytając się połączonych ze sobą obręczy, przenosiłam się z jednej liny na drugą, tak jak mnie tego nauczył Gabriel bardzo dawno temu, kiedy jeszcze mieszkałam w pomarańczowym wozie z wymalowanym tygrysem i owieczkami. Czasami śpiewałam albo wydawałam dzikie odgłosy. Ludzie patrzyli na mnie z nabożnym lękiem i szeptali, że rzeczywiście muszę należeć do innego gatunku istot, że może gdzieś za morzami takie harpie o włosach jak lisia kita szybują w bezkresnych błękitnych przestworzach. Nie muszę mówić, że LeMerle nie robił nic, żeby położyć kres owemu ludzkiemu gadaniu. Ani ja.

Z upływem miesięcy i lat nasz numer zyskał taką popularność, aż zaczęto zabiegać o nasze występy w Paryżu i w całym kraju. To sprawiło, że nabrałam większej śmiałości; nie było rzeczy, której nie odważyłabym się zrobić. Wymyślałam coraz bardziej szalone skoki, bardziej zapierające dech w piersiach ewolucje między słupami, zostawiając innych daleko w dole. Wzbogaciłam numer o nowe rekwizyty: huśtawki, trapez, zawieszoną platformę. Wykonywałam swój numer na drzewach i nad wodą. Nigdy nie spadłam.

Publiczność mnie kochała. Wiele osób uwierzyło w bajkę LeMerle'a, że należę do innego gatunku ludzi. Zdarzały się plotki o czarach, kilka razy musieliśmy w pośpiechu opuszczać miasto. Ale takie przypadki należały do rzadkości; byliśmy coraz sławniejsi i na polecenie LeMerle'a znów podążyliśmy na północ, w kierunku Paryża.

Minęło dwa i pół roku od naszej ucieczki ze stolicy. Dość czasu, oświadczył LeMerle, żeby zapomniano o naszych drobnych *contremps*. Zresztą wcale nie zamierzaliśmy występować na dworze; król się żenił i nie my jedni

ciągnęliśmy do Paryża. Każda trupa teatralna w kraju robiła to samo: aktorzy, żonglerzy, muzycy, tancerze. Można będzie zarobić, powiedział LeMerle, a przy odrobinie pomysłowości, odrobinie inicjatywy możemy zbić majątek.

Ale do tego czasu za dobrze go poznałam, żeby wierzyć w proste wyjaśnienia. W jego oczach znów widziałam to zadowolenie niepoprawnego ryzykanta, jak zawsze, kiedy planował jakieś szalone przedsięwzięcie - i od początku miałam się na baczności.

- Poluje z zaostrzonym kijem na tygrysa - miał w zwyczaju mówić Le Borgne. - Nietrudno zwierza znaleźć, ale niech Bóg ma nas wszystkich w swojej opiece, kiedy on go już wytropi.

LeMerle, naturalnie, zaprzeczał, że ma takie zamiary.

- Żadnego podstępu, obiecuję ci, moja Harpio - zapewnił, ale mu nie uwierzyłam. - Cóż to, boisz się?

- Naturalnie, że nie.

- To dobrze. Nie pora teraz na to.

8

13 lipca 1610

To był szczytowy okres kariery l'Ailee. Mieliśmy pieniądze, sławę, tłumy wielbicieli i wracaliśmy do stolicy. Zbliżała się data ślubu króla, w Paryżu bez ustanku świętowano; wszyscy byli w dobrych humorach, pili na potęgę, szastali pieniędzmi, wszędzie widziało się nadzieję, a za nią czał się strach. Ślub, podobnie jak koronacja, to okres niepewności. Przestają obowiązywać dotychczasowe zasady. Zawierane są nowe sojusze, zrywane stare. Na ogół ma to dla nas niewielkie znaczenie. Obserwujemy wielkich aktorów na scenie Francji, żywiąc nadzieję, że nic nam się nie stanie. A wystarczy kaprys; wystarczy, żeby król skinął palcem, by zgnieść całą armię. Nawet biskup, jeśli

jest wystarczająco sprytny, może zniszczyć człowieka. Ale my w Theatre des Cieux nie zastanawialiśmy się nad tym. Gdybyśmy tylko chcieli, mogliśmy dostrzec zapowiedzi nadciągającej katastrofy, lecz upajaliśmy się sukcesem; LeMerle polował na swoje tygrysy, a ja doskonaliłam swój coraz bardziej niebezpieczny numer. Nawet Le Borgne był dziwnie rozradowany i kiedy po przybyciu do Paryża doszła nas wieść, że Jego Królewska Mość wyraził zainteresowanie obejrzeniem naszego występu, wpadliśmy w prawdziwą euforię.

Nie pamiętam wyraźnie dni, które nastąpiły później. Widziałam koronacje i pogrzeby kolejnych władców, ale zawsze miałam słabość do króla Henryka. Może dlatego, że tak entuzjastycznie nas oklaskiwał tamtego dnia, kiedy przed nim występowaliśmy; może dlatego, że miał takie łaskawe oblicze. Ten nowy Ludwik, ten mały chłopczyk, jest inny. Można kupić jego portret na każdym targu; ma głowę otoczoną słoneczną aureolą, wokół niego klęczą święci, ale jego blada twarzyczka i usteczka w kształcie serca wywołują we mnie niepokój. Czy taki mały chłopiec może się znać na czymkolwiek? Jak może rządzić Francją? Ale wszystko to dopiero miało nadejść; kiedy l'Ailee występowała w Palais Royal, czuliśmy się zupełnie bezpieczni, rozpierała nas duma. Uważaliśmy to małżeństwo - ten sojusz z Medyce-uszami - za widomy znak, że nasz los się odmieni.

I rzeczywiście się odmienił - ale wcale nie na lepsze. Wieczór naszego występu uczciliśmy winem i sutym posiłkiem. Potem Rico i Bazuel poszli obejrzeć pokaz tresury dzikich zwierząt nieopodal Palais Royal. Pozostali dalej pili, a LeMerle samotnie udał się nad rzekę. Późną nocą usłyszałam, jak wrócił, a kiedy mijałam jego wóz, zobaczyłam krew na stopniach. Ogarnął mnie lęk.

Zapukałam do drzwi, a kiedy nikt się nie odezwał, weszłam do środka. LeMerle siedział na podłodze plecami do mnie, koszula przykleiła mu się do lewego boku. Podbiegłam do niego z okrzykiem przerażenia; cały był zakrwawiony. Ku swej uldze stwierdziłam, że nie odniósł zbyt poważnych obra-

żeń. Ktoś pchnął go nożem, ale ostrze osunęło się w dół żeber, zostawiając płytką ranę ciętą długości około dwudziestu centymetrów. Początkowo pomyślałam, że napadli na niego i go okradli - nocą człowiek w Paryżu potrzebuje czegoś więcej niż łąta szczęścia, by móc się czuć bezpiecznie - ale wciąż miał swoją sakiewkę, a poza tym tylko wyjątkowo niezręczny łotrzyk zadałby mu taki słaby cios. Ponieważ LeMerle nie chciał mi powiedzieć, co się stało, doszłam do wniosku, że widocznie sam ściągnął sobie na głowę kłopoty, i potraktowałam to jako odosobniony, pechowy wypadek.

Ale to był dopiero początek całej serii nieszczęść. Następnego nocy, kiedy spaliśmy, podpalono jeden z naszych wozów i tylko cudem się uratowaliśmy. Na szczęście Cateau się obudził i poczuł swąd. Straciliśmy dwa konie, sporą część naszych kostiumów i oczywiście sam wóz. W płomieniach zginął też mały Rico, który wieczorem spił się do nieprzytomności i nie obudziły go nasze krzyki. Próbował go ratować Bazuel, jego przyjaciel, chociaż od samego początku widzieliśmy, że sprawa jest beznadziejna. Jeszcze zanim zbliżył się do wozu, zaczął się dusić od dymu.

Kosztowało go to utratę głosu. Kiedy wydobrzył, mógł mówić tylko szeptem. Myślę, że śmierć Rica złamała mu serce. Pił jak szewc, rwał się do bitki ze wszystkimi i tak kiepsko wykonywał swój numer, że w końcu musieliśmy w ogóle zrezygnować z jego występów. Kiedy kilka miesięcy później postanowił się od nas odłączyć, nikt go nie zatrzymywał. Zresztą, jak powiedział Le Borgne, przecież nie straciliśmy tancerki na linie. Jednego karła zawsze można zastąpić innym karłem.

Opuściliśmy Paryż ukradkiem i w wisielczych humorach. Uroczystościom było jeszcze daleko do końca, ale teraz LeMerle'owi bardzo zależało na szybkim wyjeździe z miasta. Mocniej przeżył śmierć Rica, niżbym się tego spodziewała; mało jadł, jeszcze mniej spał, warczał na każdego, kto śmiał się do niego odezwać. Po raz pierwszy widziałam go w takim podłym nastroju. Wkrótce zrozumiałam, że powodem tego nie był Rico ani nawet stracony dobytek, tylko

upokorzenie, jakiego doznał, zniszczenie naszego triumfu. Przegrał, a LeMerle bardziej niż czegokolwiek nienawidził przegrywać.

Tamtej nocy, kiedy wybuchł pożar, nikt niczego nie zauważył. Jednak LeMerle coś podejrzewał, chociaż z nikim o tym nie rozmawiał. Zamiast tego stał się niebezpiecznie milczący i nawet wiadomość, że kilka dni wcześniej jakieś rzezimieszki napadły na jego dawnego wroga, biskupa Evreux, nie poprawiła mu humoru.

Z Paryża wyruszyliśmy na południe. Bazuel rozstał się z nami w Anjou, ale niebawem zyskaliśmy dwoje nowych ludzi: Becquota, jednonogiego skrzypka, i jego dziesięcioletniego syna Philberta. Chłopak miał wrodzony talent do akrobacji, ale był zbyt lekkomyślny; jeszcze tego samego roku niefortunnie spadł i przez całe miesiące nie było z niego żadnego pożytku. Jednak LeMerle pozwolił mu zostać z nami przez następną zimę i chociaż chłopak już nigdy nie nadawał się do udziału w moim numerze, LeMerle karmił go i wynajdywał Philbertowi różne zajęcia. Becquot był mu wdzięczny, a ja nie kryłam zdumienia, bo nie najlepiej nam się powodziło i zaczynało brakować pieniędzy. Ale Le Borgne tylko wzruszył ramionami i wymamrotał coś pod nosem o tygrysach. Chłopak pozostał z nami przez kolejnych osiem miesięcy, kiedy to LeMerle zostawił go z grupką franciszkanów będących w drodze do Paryża. Powiedział nam, że się nim zaopiekują.

A my powędrowaliśmy dalej. Występowaliśmy na jarmarkach i festynach w całym Anjou i w Gaskonii, czasami pomagaliśmy przy żniwach, tak jak to robiliśmy kiedyś. Zimę spędziliśmy w jednym miejscu. Następnej zimy umarła Demiselle i zostały nam tylko dwie tancerki - trzydziestoletnia Hermina była za stara, żeby tańczyć na linie, i przykro było na nią patrzeć. Ghislaine starała się, jak mogła, ale nigdy nie opanowała skoków. I znów l'Ailee samotnie szybowiała w powietrzu.

LeMerle, niezrażony, wrócił do pisania sztuk. Jego farsy zawsze cieszyły się popularnością, ale stopniowo te nowe utwory stawały się coraz ostrzejszymi

satyrami. Najbardziej zawział się na Kościół i kilka razy byliśmy zmuszeni pakować się w pośpiechu, kiedy jakiś duchowny poczuł się dotknięty.

Publiczności na ogół podobały się nasze spektakle. Przekupni biskupi, rozpustni zakonnicy i pobożni hipokryci zawsze przyciągali wspaniałą publiczność, a kiedy jeszcze do tego dochodziły występy karłów i Uskrzydłonej Kobiety, nie mogliśmy narzekać na brak pieniędzy.

Role duchownych grał sam LeMerle - w jakiś sposób zdobył różne habitę i sutanny oraz ciężki, srebrny krzyż. Z pewnością cenny, ale on nigdy nie chciał go sprzedać, nawet w ciężkich czasach. To prezent od starego przyjaciela z Paryża, powiedział, kiedy go zapytałam. Ale kiedy to mówił, patrzył na mnie twardo i wyszczerzył wszystkie zęby w uśmiechu. Nie drażyłam dłużej tematu; LeMerle potrafił odnosić się z sentymentem do najdziwniejszych przedmiotów, a jeśli chciał coś utrzymać w tajemnicy, wtedy na nic nie zdałoby się żadne dopytywanie. Trochę mnie to jednak zastanawiało - zwłaszcza kiedy byłam głodna i brakowało nam pieniędzy na jedzenie. Ale po jakimś czasie zapomniałam o tym.

Teraz zaczął się okres naszej tułaczki. Zimą udawaliśmy się na południe, a latem na północ, tak planując trasę naszych wędrówek, żeby nie ominąć żadnego jarmarku i festynu. W okolicach, gdzie ludność patrzyła na nas niechętnym okiem, zmienialiśmy nazwę zespołu, ale na ogół występowaliśmy pod szyldem Theatre des Cieux, l'Ailee tańczyła na linie, ludzie bili brawo i rzucali kwiaty. Ale i tak czułam, że moje najlepsze lata powoli zbliżają się ku końcowi - jednego roku zerwane ścięgno przez kilka miesięcy sprawiało mi nieznośny ból. Wiedzieliśmy jednak, że zawsze możemy polegać na sztukach LeMerle'a. Z całą pewnością ich wystawianie wiązało się z większym ryzykiem niż mój numer na linie; ale przynosiły nam niezły grosz, szczególnie w kraju hugenotów.

Jeszcze pięć razy podążyliśmy na południe. Nauczyłam się rozpoznawać drogi, wiedziałam, które okolice są dobre, a które niebezpieczne. Brałam sobie kochanków, gdzie chciałam i kiedy chciałam, ale LeMerle nie robił mi awantur

z tego powodu. Nadal dzielił ze mną łóżko, gdy tego chciałam; dojrzałam trochę i moje niewolnicze uwielbienie dla niego zastąpiło inne uczucie. Już go poznałam. Wiedziałam, co go złości, a co cieszy. Znałam go i akceptowałam takiego, jakim był.

Wiedziałam też, że mam powody, żeby go nienawidzić i mu nie ufać. Wiedziałam o dwóch jego morderstwach - raz zabił jakiegoś pijaka, który zbyt zaciekle walczył o odzyskanie skradzionej sakiewki, raz chłopca, który obrzucił nas kamieniami w pobliżu Rouen. Oba morderstwa popełniono skrycie, pod osłoną nocy, a wyszły na jaw długo po naszym wyjeździe.

Spytałam kiedyś LeMerle'a, czy nie gnębią go wyrzuty sumienia, że dopuścił się takich czynów.

- Wyrzuty sumienia? - Uniósł brew. - Masz na myśli Boga, Sąd Ostateczny i tak dalej?

Wzruszyłam ramionami. Wiedział, że niezupełnie o to mi chodzi, ale nie przepuścił żadnej okazji, żeby zakpić sobie z moich heretyckich przekonań.

LeMerle się uśmiechnął.

- Droga Julietto - powiedział. - Jeśli tam w górze naprawdę jest Bóg, a gdyby wierzyć twojemu Kopernikowi, musi to być bardzo, bardzo daleko, to nie sądzę, by mnie widział. Dla niego jestem pyłkiem. Tu, na dole, sprawy wyglądają zupełnie inaczej.

Nie zrozumiałam i powiedziałam mu to.

- Chodzi mi o to, że wolę być czymś więcej niż sztonem w grze, w której stawka nie ma górnej granicy.

- Jednak mimo to zabić człowieka...

- Ludzie wciąż się nawzajem zabijają. Przynajmniej jestem uczciwy. Nie robię tego w imieniu Boga.

Znając go zarówno z dobrej, jak i złej strony - albo tak przynajmniej myślałam - nadal go kochałam; wierzyłam, że mimo swych grzechów w głębi serca jest dobrym człowiekiem, wiernym samemu sobie ten mój ptaszek-

złodziejaszek, uśmiechający się kpiąco... Ale właśnie na tym polegał jego sekret. Potrafił sprawić, żeby ludzie widzieli to, co chcieli widzieć. Ja widziałam w nim samą siebie - głupią dziewczynę z prowincji. Miałam dwadzieścia dwa lata i nawet w połowie nie byłam tak dojrzała, jak mi się wydawało. Aż do Epinal.

9

14 lipca 1610

To urocze miasto nad Mozellą, w Lotaryngii. Zawitaliśmy w tamte strony pierwszy raz, bo wcześniej objeżdżaliśmy głównie regiony nadmorskie. Przybyliśmy do małej wioski Bruyere, leżącej parę kilometrów od miasta. Okolice były sielankowe: kilka gospodarstw, kościół, sady jabłoni i gruszy, porośniętych jemiolą. Jeśli zauważyłam wtedy coś niezwykłego, to teraz nie mogę sobie tego przypomnieć; może niechętnie spojrzenie kobiety stojącej na poboczu, ukradkowe skrzyżowanie palców przez dziecko bawiące się na rozstaju dróg. Postawiłam tarota, jak to robiłam na każdym postoju, ale wyciągnęłam tylko nieszkodliwego głupca, szóstkę pałek i dwójkę pucharów. Jeśli zawierały jakąś przestrożę, nie dostrzegłam jej.

Był sierpień; skwarne lato przechodziło we wczesną tamtego roku jesień, w wilgotnym powietrzu czuć było słodki zapach zgnilizny. Miesiąc wcześniej gwałtowne burze gradowe zniszczyły pola już dojrzałego jęczmienia, zboże wyległo, a potem ziarno zaczęło fermentować. Po gradobicjach przyszła fala obezwładniających upałów, ludzie byli ospali, gapili się otępiełym wzrokiem na nasze wozy. Ale udało nam się uzyskać zgodę na rozbitcie obozu. Jeszcze tego samego wieczoru odegraliśmy krótką burleskę przy świetle ogniska oraz akompaniamencie świerszczy i żab.

Przyszła jednak tylko garstka widzów. Nawet sztuczki karłów nie wywołały uśmiechów na smutnych twarzach, czerwonych w blasku ogniska, niewiele osób miało ochotę zostać dłużej. W okolicznych gospodach mówiono, że jedyną rozrywką w tych stronach jest oglądanie egzekucji publicznych; kilka dni wcześniej powieszono maciorę za jedzenie własnych prosiąt, dwie mniszki z pobliskiego klasztoru podpaliły się, naśladując świętą Krystynę, zawsze przynajmniej jedna osoba była zakuta w dyby, więc pojawienie się trupy komediantów nie wywołało większego zainteresowania mieszkańców Bruyere, przyzwyczajonych do mocnych wrażeń.

LeMerle skwitował to tylko wzruszeniem ramion. Są dobre dni i złe dni, powiedział filozoficznie, a mieszkańcy tych małych wiosek nie wiedzą, co to prawdziwa sztuka. W Epinal będzie lepiej.

Przybyliśmy tam rankiem w dniu Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i stwierdziliśmy, że w mieście panuje świąteczny nastrój. Tego się spodziewaliśmy; po procesji i mszy mieszkańcy udadzą się do karczm i wylegną na ulice, na których już rozpoczęły się uroczystości. Nie była to odpowiednia pora na wystawienie którejś z satyr LeMerle'a - ludność Epinal słynie ze swojej pobożności - ale być może dobrze zostaną przyjęci tancerka na linie i grupa żonglerów. Przed wejściem do kościoła już widziałam muzyków grających na bębunku i flecie, błazna w masce i w czapce z dzwoneczkami, wymachującego swoją różdżką, i - co dziwnie nie pasowało do tego miejsca - Dottore w długiej czarnej todze i czarnej masce z długim nosem. Ale - poza niewyraźnym wrażeniem pewnego dysonansu - wszystko wydawało się w porządku. Może w mieście bawi jeszcze jedna trupa komediantów, pomyślałam sobie, z którą będziemy się musieli podzielić zarobkiem. Wiem, że więcej nie zaprzętałam sobie nimi głowy. A przecież powinnam była się zorientować. Ubrany na czarno Dottore. Oznaki podniecenia - niemal strachu - kiedy jechaliśmy drogą. Wyraz oczu kobiety, kiedy uśmiechnęłam się do niej ze swojego wozu, krzyżowanie palców...

LeMerle od samego początku wyczuwał niebezpieczeństwo. Powinnam była o tym wiedzieć - ten jego zuchwały błysk w oku, kiedy przyglądał się tłumom, ten szeroki uśmiech. Coś powinno mnie tknąć. Mieliśmy w zwyczaju przy takiej okazji wysyłać karłów między ludzi, rozdawać cukierki i zaproszenia na przedstawienie, ale tamtego dnia LeMerle dał znak karłom, żeby się nie oddalali. Idący za moim wozem Le Borgne tylko od czasu do czasu wypuszczał płomień ognia z ust, Cateau wykrzykiwał swoim piskliwym głosem: „Artyści! Zapraszamy na występy artystów! Obejrzyjcie Uskrzydloną Kobietę!”.

Dopiero dziś widzę, że uwagę tłumów pochłaniało coś innego. Za chwilę miała się rozpocząć procesja i przed kościołem zebrało się już sporo ludzi. Stali po obu stronach ulicy, niektórzy trzymali święte obrazki i kwiaty, wota albo chorągwie. Nie brakowało też kramarzy sprzedających paszteciki i gotowane mięso, piwo i owoce. Powietrze było ciężkie od dymu świec i zapachu spoconych ciał, piekącego się mięsiva i płonących kadzideł, skóry i cebuli, odpadków i końskiego łajna. Zgiełk był niemal nie do zniesienia. Kaleki i dzieci stały z przodu, ale już panował taki ścisk, że tłum napierał na nasze wozy; niektórzy z zaciekawieniem spoglądali na wymalowane na nich napisy i barwne chorągiewki, inni krzyczeli, że im zasłaniamy widok.

Kręciło mi się w głowie; krzyki sprzedawców, palące promienie słońca, mieszanina zapachów - tego było dla mnie za dużo. Próbowałam skręcić w jakąś spokojniejszą uliczkę, ale za późno wpadłam na ten pomysł. Popychani przez cizbę wiernych, znaleźliśmy się przed stopniami kościoła niemal w tej samej chwili, kiedy miała się rozpocząć uroczysta procesja. Nie mogąc ani się wycofać, ani pojechać do przodu, patrzyłam z zaciekawieniem, jak w głównych drzwiach kościoła pojawia się wielka platforma, na której stoi posąg Matki Boskiej.

Od spodu platformę musiało podtrzymywać z pięćdziesiąt osób. Kolejnych pięćdziesiąt stało po bokach, ramiona im się ugiwały pod ciężarem długich drągów, na których spoczywała platforma. Była ciężka i zachwiała się,

kiedy ją wynoszono z kościoła na ulicę; Zakapturzeni mężczyźni wydawali westchnienie przy każdym kroku, który robili, jakby ciężar był niemal nie do udźwignięcia. Matka Boska stała na szczycie konstrukcji na stercie niebieskich i białych kwiatów, jej haftowana suknia połyskiwała w słońcu, dłonie miała natarte oliwą i miodem. Z przodu szedł ksiądz z kadzielnicą, z tyłu kroczyło kilkunastu mnichów z lichtarzami, śpiewając *Ave* przy wtórze zawodzenia *hautbois*.

Miałam jednak mało czasu, by przysłuchiwać się ich pieśni. Jak tylko pojawił się orszak, z ust zgromadzonych wyrwał się jęk i tłum gwałtownie naparł do przodu, aż zachwiały się nasze wozy. *Misericorde!* - rozległ się okrzyk z tysięcy gardeł, a woń oliwy i spoconych ciał stała się nie do zniesienia. Mieszała się z dymem ze srebrnej kadzielnicy, zapachem czosnku i kurzu. „Żałujemy! Żałujemy za nasze grzechy!”.

Stałam na kole swojego wozu i patrzyłam nad głowami tłumu. Zrobiło mi się trochę nieswojo, bo chociaż już wcześniej byłam świadkiem religijnych uniesień, to wydało mi się niezwykle gwałtowne, żarliwość tych ludzi zdawała się graniczyć z obłędem. Niemal odruchowo położyłam dłonie na brzuchu, który od niedawna stał się dziwnie zaokrąglony, i pomyślałam - nie po raz pierwszy - czy nie pora, by porzucić dotychczasowe życie. Miałam dwadzieścia trzy lata, nie byłam już młoda.

Dottore zamiatał swoją długą czarną togą brukowaną ulicę. Zauważyłam, że między nim a tłumem utrzymuje się wolna przestrzeń, a po jego przejściu okrzyki ludzi stają się głośniejsze, niektórzy padli na kolana.

- *Misericorde!* Żałujemy za nasze grzechy!

Byliśmy za blisko uroczystego orszaku, by móc się wycofać. Z całych sił trzymałam za uzdę swojego konia, tańczył nerwowo w miejscu, a napór tłumu groził przewróceniem wozu. Matka Boska wolno sunęła nad głowami ludzi, kołysząc się niczym obładowana barka na falach. Zobaczyłam, że wielu mężczyzn, niosących platformę, idzie boso, jak pokutnicy, chociaż było to

czymś niespotykanym podczas procesji organizowanych w taki dzień. Mnisi byli Zakapturzeni, jak żałobnicy, ale zauważyłam, że jeden z nich nieco zsunał kaptur. Twarz miał czerwoną i spoconą od nadmiaru wypitego piwa albo ze zmęczenia.

Staliśmy, ze wszystkich stron otoczeni przez tłum. Platforma zakołysała się, kiedy nas mijała, i przez chwilę znalazłam się oko w oko z Najświętszą Panią. Byłam wystarczająco blisko, żeby zobaczyć gromadzący się latami kurz, który osiadł w załomkach misternej złotej korony, łuszczącą się farbę na różowym policzku Madonny. W kącie jednego niebieskiego oka dostrzegłam pajaka. Akurat kiedy patrzyłam, zaczął wolno spuszczać się w dół jej twarzy. Nikt poza mną tego nie widział. Po chwili posąg mnie minął.

Podniecenie tłumy jeszcze wzrosło, ludzie padali na kolana mimo panującego ścisłu, pociągając za sobą tych, którzy stali w pobliżu. Inni zajmowali ich miejsce, szeregi zamykały się nad głowami klęczących, okrzyki ginęły w ogólnym gwarze.

- *Misericorde!* Żałujemy za nasze grzechy!

Kobieta na lewo ode mnie odchyliła się do tyłu, oczy wywróciła, aż ukazały się białka. Przez chwilę unosiła się bezwładnie jak kukła, podtrzymywana przez wyciągnięte ręce tych, którzy stali wokół niej, a potem osunęła się na ziemię.

- Ej! - krzyknęłam. - Tam ktoś jest!

Ludzie zwrócili twarze w moją stronę, spoglądając na mnie nieprzytomnym wzrokiem. Zachowywali się, jakby nie słyszeli moich słów. Strzeliłam z bata nad ich głowami i mój koń szarpnął się, błysnąwszy białkami oczu.

- Tam jest kobieta! Na litość boską, cofnijcie się! Cofnijcie się!

Ale koń się spłoszył i szarpnął wóz do przodu. Zemdlna kobieta została za nami, a ludzie rzucili się na puste miejsce, gdzie przed chwilą stał mój wóz. Nagle tłum nieco się uciszył, okrzyki przemieniły się w ciche zawodzenie,

pośród którego przez moment słycać było *Ave*, i wydawało mi się, że na zwróconych ku niebu twarzach dostrzegam jakąś nadzieję, ulgę. A potem nastąpiła katastrofa.

Gdyby nie był to uczestnik procesji, nikt by nie zauważył jego upadku. Później się dowiedziałam, że podczas uroczystości stratowano cztery osoby, zginęły pod nogami zarówno pielgrzymów, jak i gapiów. Ale orszak był czymś świętym, sunął wolno, a ludzie robili dla niego miejsce, powodowani czcią. Nie widziałam, jak zakonnik upadał. Ale usłyszałam krzyk, najpierw pojedynczy, a potem rozległ się chór głosów. Jeszcze nigdy nie słyszałam czegoś podobnego. Znów wskoczyłam na koło wozu, żeby zobaczyć, co się stało. Ale nawet wtedy nie dotarło do mnie znaczenie tego wydarzenia.

Słaniający się na nogach mnich, zamykający pochód, zemdlał. Pomyślałam sobie, że z gorąca albo przez dym kadzideł. Leżącego mężczyznę obstała grupka ludzi; kiedy rozchylili mu habit, zobaczyłam jego białą skórę. Wstrzymali oddechy, a potem rozległ się jęk i ludzie cofnęli się gwałtownie, pragnąc znaleźć się jak najdalej od tego miejsca.

W ciągu kilku sekund tłum, który do tej pory chciał się dostać możliwie blisko orszaku, w popłochu zaczął zawracać, wozy chwiały się i trzeszczały. Niektórzy próbowali nawet wspinać się na nie, byleby jak najszybciej stąd uciec. Procesja przestała być czymś świętym; na moich oczach orszak drgnął i załamał się w kilku miejscach, posąg Matki Boskiej przechylił się w jedną stronę, gdy w przyływie paniki uciekli niektórzy mężczyźni, niosący platformę.

Potem usłyszałam krzyk: piskliwe zawodzenie pełne żałości lub przerażenia, pojedynczy głos wznoszący się nad nami niczym trąbka.

- *La peste! La peste!*

Starałam się rozróżnić poszczególne słowa w obcym mi dialekcie. Cokolwiek znaczyły, ogarnęły tłum jak letni pożar. Między uciekającymi dochodziło do bójk; niektórzy zaczęli się wspinać po ścianach domów stojących wzdłuż ulicy, byli nawet tacy, co skakali z mostu, tak bardzo pragnęli

się stąd wydostać. Tłum rozdzielił mój wóz z innymi wozami. W pewnej odległości przed sobą widziałam LeMerle'a, okładającego batem swoją klacz, by zmusić ją do biegu. Ale tłum otaczał go ze wszystkich stron, napierał na boki wozu, aż koła uniosły się nad ziemią. Ludzie przyglądali mi się uważnie. Jakaś młoda dziewczyna utkwiała we mnie wzrok i aż mnie zdumiała nienawiść malująca się na jej okrągłej, czerwonej twarzy.

- Czarownica! - krzyknęła w moim kierunku. - Trucicielka!

Jej wrogość udzieliła się innym. Okrzyk, odbijający się jak kamień od tafli jeziora, nabierał rozpędu, szukał czegoś, w co mógłby uderzyć. Wybuch nienawiści przemienił się w falę; teraz fala ta spadła na mnie, grożąc porwaniem wozu.

Mocowałam się ze swoim koniem; właściwie było to spokojne zwierzę, ale dziewczyna z całej siły uderzyła je w zad i stanęło dęba, przebierając w powietrzu podkutymi kopytami. Dziewczyna krzyknęła; ściągnęłam uprząż, żeby koń nie stratował ludzi tłoczących się przede mną. Pochłonęło to całą moją uwagę i wszystkie siły, ale zwierzę i tak wpadło w panikę i musiałam szepnąć mu na ucho zaklęcie, by je uspokoić. W tym czasie dziewczyna zniknęła w tłumie i straszliwa fala nienawiści popłynęła dalej.

Ale LeMerle wyraźnie miał kłopoty. Widziałam, że coś krzyczy, lecz jego głos ginął w panującym zgiełku, a byłam za daleko, żeby zrozumieć, o co mu chodzi. Jego narowista klacz była przerażona; słyszałam okrzyki: „Czarownik!” i „Truciciel!”, wzbijające się nad jej rzenie. LeMerle próbował nad nią zapanować, ale przekraczało to jego możliwości; był sam, odcięty od reszty z nas. Strzelał z bata nad głowami ludzi, próbując ich odpędzić. Napór tłumu okazał się zbyt wielki. Pękła oś, wóz się przechylił i las rąk uniósł się w górę, starając się dosięgnąć wozu, nie zważając na uderzenia bata LeMerle'a. Dopadli go; nie miał dokąd uciec. Ktoś cisnął grudką ziemi; trafiła go w twarz i stracił równowagę; wyciągnęły się ręce, by ściągnąć go z kozła. Ktoś inny próbował

interweniować - może jakiś urzędnik magistracki. Wydawało mi się, że słyszę słabe okrzyki: *Spokój! Spokój!*

Przez cały ten czas darłam się jak opętana, próbując odwrócić uwagę od LeMerle'a; teraz poganiałam konia, nie zważając na ludzi przede mną. Zobaczył, że śpieszę mu na pomoc, i uśmiechnął się, ale zanim do niego dotarłam, obstał go tłum. Posypały się na niego razy. Straciłam LeMerle'a z oczu.

Pobiegłabym za nim, chociaż już był daleko, gdyby Le Borgne, który skrył się w wozie, kiedy jechałam przez tłum, nie złapał mnie za ramię.

- Nie bądź głupia, Julietto! - wychrypiał mi prosto do ucha. - Nie rozumiesz, co się tutaj dzieje? Ogluchłaś?

Spojrzałam na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- LeMerle...

- LeMerle sam sobie da radę. - Zaciśnął dłoń na moim ramieniu. Chociaż był karłem, jego uścisk był tak mocny, że aż poczułam ból. - Posłuchaj.

Wyteżyłam słuch. Wciąż rozlegały się okrzyki, teraz stały się miarowe, towarzyszył im tupot wielu nóg, jakby tłum przyzywał na scenę ulubioną aktorkę.

- *La peste! La peste!*

Dopiero wtedy zrozumiałam. Wybuch przerażenia; zemdlony mnich; oskarżenia o czary. Le Borgne zobaczył moją minę i skinął głową. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Okrzyki wokół nas przybrały na sile.

- *La peste! Zaraza.*

16 lipca 1610

W końcu tłum zaczął się rozchodzić, zostawiając mnie mocującą się ze spłoszonym koniem. Bouffon skierował swój wóz w moją stronę i po chwili znaleźliśmy się obok siebie; wóz Herminy się przewrócił, kiedy próbowała przejechać przez most. Stała teraz bezradnie, spoglądając na to, co zostało z roztrzaskanego koła. Nie spotkaliśmy innych członków naszej trupy. Może ich uwięziono, jak LeMerle'a; a może uciekli.

Nie wzięłam sobie do serca ostrzeżenia Le Borgne'a. Zeskoczyłam na ziemię i podbiegłam do uczestników procesji. Połowa osób niosących posąg Matki Boskiej już uciekła; pozostałe próbowały oprzeć platformę z figurą Najświętszej Panienki o wielką marmurową fontannę, znajdującą się pośrodku placu, starając się nie dopuścić do przewrócenia się posągu Madonny. Zobaczyłam na ulicy ciała kilkorga ludzi, przygniecionych do ścian budynków albo stratowanych przez tłum. Wóz LeMerle'a leżał przewrócony na bok. Nie było ani śladu jego właściciela, żywego czy martwego.

- *Mon pere* - zwróciłam się do księdza najspokojniej, jak tylko mogłam. - Czy widział ojciec, co się stało? W tym wozie był mój przyjaciel.

Ksiądz spojrział na mnie, ale nie odezwał się ani słowem. Jego twarz była żółta od kurzu.

- Proszę mi powiedzieć! - Zorientowałam się, że zaczynam podnosić głos. - Nie chciał nikomu zrobić krzywdy. Próbował się bronić!

Kobieta w czerni - jedna z osób niosących posąg - spojrziała na mnie z pogardą.

- Bądź spokojna, dostanie to, na co sobie zasłużył.

- Słucham?

- On i reszta jego zgrai. - Ledwo mogłam zrozumieć, co mówi, bo używała jakiejś gwary. - Widzieliśmy, jak zatruwaliście studnie. Widzieliśmy znaki.

Z bocznej uliczki wyłonił się Dottore w długiej todze. Kobieta w czerni zauważyła go i zobaczyłam, jak ukradkiem skrzyżowała palce.

- Proszę posłuchać. Chcę tylko odszukać mojego przyjaciela. Dokąd go zabrali?

Kobieta roześmiała się nieprzyjemnie.

- A jak myślisz? Do gmachu sądu. Stamtąd już nie ucieknie. Ani żadne z was, roznosiciele zarazy.

- Co to ma znaczyć? - Musiałam zrobić groźną minę, bo kobieta cofnęła się, drżącymi palcami robiąc znak krzyża.

- *Misericorde!* Boże, miej mnie w swej opiece! Zrobiłam krok do przodu.

- Może się przekonamy, czy ci pomoże, co?

Ale Dottore położył mi dłoń na ramieniu i usłyszałam jego głos, trochę niewyraźny z powodu maski, która przesłaniała mu twarz.

- Uspokój się, dziewczyno. Posłuchaj mnie. Próbowałam mu się wyrwać, ale jego uścisk był nadszpedziewanie mocny.

- Tutaj nie jest bezpiecznie - syknął mi Dottore prosto do ucha. - W zeszłym miesiącu na tym placu spłonęły cztery czarownice z wyroku sędziego Remy'ego. Na bruku wciąż jeszcze widać plamy tłuszczu.

Oschły głos wydał mi się dziwnie znajomy.

- Czy ja pana znam?

- Ciii... - Odwrócił się, jego poblądłe usta ledwo się poruszały.

- Jestem pewna, że pana znam. - Było coś znajomego w tych cienkich, wykrzywionych ustach, jakby ktoś kiedyś przejechał mu po nich nożem. I ten zapach, specyficzny zapach jego szat... - Prawda?

Spod maski Dottore rozległ się zirytowany syk.

- Och, dziewczyno, na litość boską! - Znów ten znajomy głos, staranny, wyraźny akcent człowieka znającego wiele języków. Spojrzał na mnie i zobaczyłam jego oczy, stare i smutne, jak u małpy trzymanej w klatce. - Szukają kogoś, na kogo mogliby zrzucić winę - szepnął ochryple. - Wyjedź stąd jeszcze dzisiaj.

Oczywiście miał rację. Komedianci, włóczędzy i Cyganie zawsze zostawali kozłami ofiarnymi. Obwiniano ich o wszelkie nieszczęścia: nieurodzaj, głód, złą pogodę czy zarazę. Przekonałam się o tym we Flandrii, kiedy miałam czternaście lat, i w Paryżu trzy lata później. Le Borgne wiedział o tym - Rico dowiedział się o tym za późno. Od czasu do czasu trafialiśmy w okolice, gdzie szalała zaraza, ale wtedy najgorsze ogniska epidemii we Francji już wygasły. Teraz jej ofiarami padali głównie ludzie starzy i słabi, lecz w Epinal było to ostatnie z całej serii nieszczęść. Pomór bydła, nieurodzaj, brunatna zgnilizna drzew owocowych, wścieklizna wśród psów, anomalie pogodowe - i na koniec to. Ktoś musiał odpowiedzieć za te wszystkie plagi. Nie miało znaczenia, że oskarżenie nas pozbawione było sensu; potrzeba ponad tygodnia, żeby wybuchła zaraza, a my byliśmy tu ledwo od godziny. Poza tym jej przyczyną nie jest woda.

Ale już wiedziałam, że nikt tu nie będzie słuchał głosu rozsądku. Wierzyli w rzucanie uroków: w rzucanie uroków i zatrutowanie wody. Przecież można o tym przeczytać w Piśmie Świętym. Po co szukać dalej?

Wróciłam do swojego wozu i stwierdziłam, że Le Borgne zniknął. Bouffon i Hermina też, zabierając ze sobą tyle dobytku, ile zdołali udźwignąć. Nie miałam do nich pretensji - Dottore dobrze radził - ale nie mogłam zostawić LeMerle'a samego na pastwę tłumu. Można to nazwać głupotą albo zaślepieniem, ale zostawiłam wóz tam, gdzie stał, zaprowadziłam konia do fontanny i podążyłam w ślad za ciżbą w kierunku gmachu sądu.

Kiedy tam dotarłam, sala już była przepełniona. Ludzie wlewali się drzwiami i schodzili po stopniach, przepychając się jeden przez drugiego, tak

pragnęli wszystko zobaczyć, usłyszeć. Na podwyższeniu stał urzędnik magistracki, próbując przekrzywić gwar. Po obu jego stronach stali uzbrojeni żołnierze, a między nimi blady, ale jak zawsze pewny siebie LeMerle.

Poczułam ulgę, widząc, że wciąż żyje. Twarz miał podrapaną, ręce związane z przodu, ale jakiś przedstawiciel władz musiał zainterweniować, zanim rozjuszony tłum zdołał mu wyrządzić większą krzywdę. To był dobry znak; znak, że ktoś panuje nad sytuacją, ktoś, kto potrafi wysłuchać rozsądnego wyjaśnienia. Przynajmniej miałam taką nadzieję.

- Dobrzy ludzie! - Rajca uniósł swoją laskę, próbując w ten sposób uciszyć obecnych. - W imię Boga, pozwólcie mi przemówić! - Był niskim, korpulentnym mężczyzną o bujnym wąsie i marsowym spojrzeniu. Według mnie, wyglądał jak zwykły właściciel winnicy czy handlarz zbożem, jakich wielu widziałam tamtego lata. Nawet patrząc przez całą długość sali sądowej, nad głowami tłumu i lasem uniesionych rąk, widziałam, że drży.

Gwar ucichł, ale niezupełnie. Tu i tam rozległy się okrzyki: „Powiesić truciela!” i „Spalić czarownika!”. Rajca nerwowo zatarł ręce.

- Dobrzy ludzie Epinal, uciszcie się! - krzyknął. - Nie mam większego prawa od was do sądenia tego człowieka!

- *Sądenia!* - rozległ się ostry głos gdzieś z tyłu za mną. - Kto mówi o sądeniu? Potrzebny nam tylko kawałek sznura i mocna gałąź!

Te słowa spotkały się z powszechną aprobatą. Rajca dał znak ręką, prosząc o ciszę.

- Nie można ot tak sobie wieszać ludzi. Nawet nie wiecie, czy jest winny. Tylko sędzia może...

Przerwał mu czyjś ostry głos.

- A znaki?

- A zaraza?

Rajca znów zaapelował o spokój.

- Ja nie mogę podjąć takiej decyzji! - Głos mu drżał, podobnie jak ręce. -
Może to zrobić tylko sędzia Remy!

Nazwisko sędziego odniosło pożądany skutek i gwar przemienił się w szmer. Ludzie wkoło mnie zegnali się, inni krzyżowali palce. Uniosłam wzrok i nasze spojrzenia - moje i LeMerle'a - spotkały się. Byłam o głowę wyższa niż większość ludzi na sali. Zobaczyłam, że się uśmiecha. Dobrze znałam tę minę; widziałam ją więcej razy, niż potrafię zliczyć. Była to mina hazardzisty, który postawił ostatnią monetę, aktora, który za chwilę ma odegrać rolę swojego życia.

- Sędzia Remy. - Jego głos dotarł do każdego zakątka sali. - Już słyszałem to nazwisko. Ufam, że to człowiek wiary.

- Dwa tysiące czarownic w dziewięciu okręgach! - dobiegł ostry głos z głębi sali, aż wszyscy zwrócili głowy w tamtą stronę.

LeMerle nie stracił nic ze swojego opanowania.

- W takim razie szkoda, że go tu nie ma.

- Wkrótce przybędzie!

- Im szybciej, tym lepiej.

Mieszkańcy miasta zaintrygowani słuchali tej wymiany zdań. Teraz, kiedy LeMerle skupił na sobie ich uwagę, trudno im było ignorować jego obecność.

- Czasy są niebezpieczne - powiedział. - Macie prawo być podejrzliwi.
Gdzie jest sędzia Remy?

- Jakbyś nie wiedział! - ryknął nieznajomy, ale już nie tak nieustępliwie, i kilka osób na sali zaproponowało:

- Cicho! Posłuchajmy, co ma do powiedzenia!

- Cóż szkodzi posłuchać?

Rajca wyjaśnił, że sędzia wyjechał w interesach, ale powinien wrócić lada dzień. Kiedy krzykacz znów coś wrzasnął, ludzie gniewnie odwrócili głowy, ale nikomu nie udało się go wypatrzeć.

LeMerle się uśmiechnął.

- Dobrzy ludzie Epinal - zaczął, nie podnosząc głosu. -Z największą przyjemnością odpowiem na wasze zarzuty. Gotów wam jestem wybaczyć nawet to, że potraktowaliście mnie tak obcesowo - tu dotknął swojej podrapanej twarzy - bo czyż nasz Pan nie mówił nam, byśmy nadstawiali drugi policzek?

- Diabeł potrafi zgrabnie mówić, jeśli zechce! - odezwał się krzykacz, stojąc teraz bliżej podwyższenia, ale nadal anonimowy wśród tłumu obecnych. - Przekonajmy się, czy od świętych słów nie dostaniesz pypci na języku!

- Bardzo proszę - natychmiast zgodził się LeMerle i osoby, które dopiero co domagały się jego surowego ukarania, teraz stanęły w jego obronie. - Jestem tylko zwykłym człowiekiem, ale pozwólcie, że wam przypomnę, przed kim muszą zdać sprawę ci, którzy mnie będą sądzili. Nie przed sędzią Remym, ale przed kimś znacznie od niego większym. Zanim zaczniemy, zmówmy wszyscy razem modlitwę do naszego Pana, by nas prowadził i ochraniał w tych trudnych czasach. - Po tych słowach LeMerle wyjął srebrny krzyż z kieszeni koszuli i uniósł go w związanych rękach.

Ukryłam uśmiech. Trudno było nie podziwiać tego człowieka. Wszyscy odruchowo pochylili głowy i bladymi ustami zaczęli szeptać *Pater noster*. LeMerle zjednał sobie zgromadzonych i kiedy znów się rozległ teraz już znajomy głos krzykacza, odpowiedziały mu gniewne pomruki, więc tożsamość mówiącego pozostała nieujawniona. W głębi sali doszło do szarpaniny między kilkoma grupkami co bardziej krewkich mieszkańców miasta, oskarżających się nawzajem o wywołanie całego tego zamieszania. Rajca na próżno próbował ich uspokoić i znów LeMerle musiał przywołać obecnych do porządku.

- Żądam szacunku dla tego miejsca! - warknął. - Czyż nie tak postępuje Szatan? Sieje niezgodę, żeby uczciwi ludzie zwracali się przeciwko sobie i ośmieszali sprawiedliwość. - Winowajcy umilkli, speszeni. - Czy nie to wydarzyło się zaledwie kilka minut temu na rynku? Czyż nie jesteście lepsi od zwierząt?

W ciszy, która zapanowała, nawet krzykacz nie odważył się odezwać.

- Szatan jest w każdym z was - oświadczył LeMerle, zniżając głos do scenicznego szeptu. - Widzę go. W tobie. - Wskazał potężnego mężczyznę o czerwonej, zagniewanej twarzy. - Obudził w tobie żądzę władzy. Widzę ją, jest jak zwinięty robak, kryjący się na dnie oka. I w tobie. - Zwrócił się do kobiety o ostrych rysach, stojącej z przodu, jednej z najbardziej zacieklej jego oskarżycielek, nim zjednał sobie zgromadzonych. - Widzę w tobie pożądanie i niezadowolenie. I w tobie, i w tobie. - Uniósł teraz głos i wskazywał wszystkich po kolei. - Widzę chciwość. Gniew. Zachłanność. Dumę. *Ty okłamałeś swoją żonę. Ty oszukałeś swojego męża. Ty zaszkodziłeś swojemu sąsiadowi. Ty zwątpiłaś w zbawienie.*

Miał teraz tych ludzi w swojej władzy; widziałam to w ich oczach. Ale i tak wystarczy jeden fałszywy krok, a znów bezlitośnie go zaatakują. On też o tym wiedział; oczy błyszczały mu z zadowolenia.

- I w tobie! - Teraz wskazał na środek sali związanymi rękami. - Tak, w tobie, który kryjesz się w cieniu! W tobie, Ananiaszu, fałszywy proroku! W tobie widzę go najwyraźniej!

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, kiedy patrzyliśmy na miejsce, wskazywane przez LeMerle'a. Potem dostrzegliśmy krzykacza, który do tej pory pozostawał niewidoczny: groteskowa postać, przycupnięta w cieniu. Miał wielką głowę, ramiona jak u goryla, jedno oko. Ludzie stojący najbliżej niego cofnęli się i wtedy człowiek ten rzucił się w kierunku okna i wskoczył na wysoki parapet, sycząc z wściekłości.

- Tym razem mnie przechytryłeś! - krzyknął swoim rehotliwym głosem.
- Ale jeszcze z tobą nie skończyłem, Frater Colombin!

- Boże, zlituj się nad nami! - W całej sali sądowej ludzie ze zdumieniem i obrzydzeniem odwracali twarze, kiedy w końcu ujrzeli tego, kto głośno odważył się wypowiedzieć ich zarzuty przeciwko LeMerle'owi.

- Potwór!

- Wysłannik Szatana!

Jednooki mężczyzna wykrzywił swoją odrażającą twarz.

- To jeszcze nie koniec, Colombin! - wrzasnął. - Może wygrałeś tę bitwę, ale wojna nadal trwa!

Po czym zniknął, wyskakując przez okno na dziedziniec. W ciszy, która zapanowała, oniemiały rajca zwrócił się do swego więźnia:

- Dobry Boże, widziałem go! Na własne oczy! Wysłannika Szatana!

LeMerle wzruszył ramionami.

- Ale on cię znał - powiedział rajca. - Mówił, jakby cię już kiedyś spotkał.

- O tak, i to nieraz - potwierdził LeMerle. Rajca gapił się na niego.

- Proszę się nam przedstawić - rzekł w końcu.

- Z największą przyjemnością - zgodził się LeMerle, rozciągając usta w uśmiechu. - Ale najpierw byłbym wdzięczny, gdyby ktoś podał mi krzesło. Krzesło i szklaneczkę wina. Jestem zmęczony, a mam za sobą długą drogę.

Powiedział im, że jest wędrowcem, który przybył do Epinal, kiedy usłyszał o ich surowym sędzi. Jego bezkompromisowość, powiedział LeMerle, znana jest jak kraj długi i szeroki. On sam opuścił zacisze klasztoru cystersów, by odszukać tego człowieka i zaproponować mu swoje usługi. Mówił o wizjach i znakach, o cudach i bluźnierstwach, z jakimi się zetknął podczas swoich wędrówek. Opowiadał, do jakich okropieństw dochodzi podczas szabasu, o Żydach i bałwochwalcach, mordowanych dzieciach, zatrutych studniach, sprowadzaniu nieurodzajów, kościołach, w które uderzył piorun, martwych niemowlątach, przychodzących na świat, dzieciach duszonych w kołyskach. Twierdził, że wszystko to zna z autopsji. Czy ktoś z tu obecnych zarzuci mu kłamstwo?

Nikt tego nie zrobił. Na własne oczy widzieli wysłannika Diabła. Na własne uszy słyszeli, jak im się przedstawił. LeMerle opowiedział im historię brata Colombina, człowieka, któremu Bóg powierzył misję niszczenia dzieci Szatana wszędzie, gdzie je spotka. Podróżując samotnie z miasta do miasta,

gdzie tylko zawitał, odkrywał machinacje Diabła. Jego jedynym celem w życiu było zniszczyć Szatana. Nie dziwi się, że wzięto go za Cygana, kiedy przybył tu z grupką wędrownych komedianów, chwilowych towarzyszy podróży. Widząc, co się dzieje w Epinal, wysłannik Szatana próbował oszukać mieszkańców miasta, ale - dzięki Bogu - nie udało mu się to, jego podstęp wyszedł na jaw.

Oczywiście poznałam Le Borgne'a. Do jednej z licznych umiejętności karła należało zabieranie głosu z sali, korzystał z niej z powodzeniem przy wielu okazjach. Musiał zakraść się na salę sądową przede mną - jak wiele karłów potrafił nie rzucić się w oczy, kiedy chciał - stając się potajemnym sprzymierzeńcem LeMerle'a. Kuglarze i magicy, występujący w wesołych miasteczkach, często się uciekają do tej sztuczki; sami z niej korzystaliśmy podczas naszych przedstawień. Le Borgne był dobrym aktorem; szkoda, że z uwagi na swoje kalectwo mógł występować jedynie w burleskach i robić fikołki. Obiecałam sobie, że w przyszłości będę dla niego miłsza. Był lojalny mimo swego gburowatego zachowania, w tym wypadku zaś jego odwaga i bystrość umysłu prawdopodobnie uratowały życie LeMerle'owi.

A tymczasem wyglądało na to, że LeMerle'a znów mogą obstać tłumy, bo wszyscy chcieli go dotknąć. Jednak teraz dalecy byli od domagania się jego krwi, tylko pragnęli, by im wybaczył. Ze wszystkich stron unosiły się ręce, ludzie szarpali go za ubranie, starali się otrzeć o niego - zobaczyłam, jak ktoś ściska mu dłoń, i nagle wszyscy na sali chcieli uścisnąć dłoń tego, który znał świątobliwego męża. Naturalnie LeMerle doskonale się bawił.

- Bądźcie błogosławieni, bracia i siostry. Zauważyłam, że stopniowo, niemal niedostrzegalnie zmienił ton głosu. Zuchwałe ogniki tańczyły mu w oczach. Niech ich Bóg ma w swojej opiece, może wzięli to za pobożność. A potem, albo dla zabawy, a może dlatego, że nigdy nie potrafił się oprzeć wyzwaniu, LeMerle posunął się dalej.

- Macie szczęście, że przyjechałam do Epinal - rzekł chytrze. - Powietrze tu jest aż gęste od złych duchów, niebo ciężkie od grzechów. Jeśli wasze miasto

pustoszy zaraza, zapytajcie siebie o przyczynę. Musicie wiedzieć, że tym, którzy mają czyste serca, Szatan nic nie może zrobić.

Wśród ludzi przeszedł szmer.

- Zapytajcie siebie, jak *mnie* udaje się podróżować bez lęku - ciągnął. - Zapytajcie siebie, jak zwykły mnich przez tyle lat może się opierać diabelskim zakusom. - Jego głos, chociaż donośny, był łagodny. - Przed laty świątobliwy mąż, mój nauczyciel, wynalazł napój przeciwko wszelkim diabelskim sztuczkom: złym wizjom, sukubom i inkubom, chorobom i zatruciu umysłu. Destylat dwudziestu czterech różnych ziół, sól i woda święcona, całość pobłogosławiona przez dwunastu biskupów i stosowana w mikroskopijnych dawkach... - Urwał, by ocenić wrażenie, jakie jego słowa wywarły na obecnych. - Przez ostatnich dziesięć lat ten eliksir chronił mnie przed złem - ciągnął. - I nie znam miejsca, gdzie jest bardziej potrzebny niż w Epinal.

Powinnam wiedzieć, że LeMerle na tym nie poprzestanie. Dlaczego on to robi? - zadawałam sobie pytanie. Czy z zemsty, pogardy dla ich naiwności? A może z chęci zysku?

Albo po prostu chodzi mu o kolejną wygraną? Spojrzałam na niego ze swojego miejsca w głębi sali sądowej i zmarszczyłam brwi, ale już się rozochocił i nie było sposobu, by go powstrzymać. Zauważył jednak moje ostrzegawcze spojrzenie i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Jest jednak pewna trudność, powiedział obecnym. Chociaż z chęcią bezpłatnie dałby im napój, ma przy sobie tylko jedną jego buteleczkę. Może przyrządzić więcej, ale zioła są rzadkie i trudno je zdobyć, a zresztą nie dałby rady w tak krótkim czasie przygotować napoju. Dlatego też, chociaż sprawia mu to przykrość, będzie zmuszony pobierać od nich skromną opłatę. Niech każdy z dobrych mieszkańców miasta przyniesie buteleczkę zwykłej wody albo wina, a on, posługując się zakraplaczem do oczu, spróbuje w cudowny sposób rozmnożyć miksturę...

Chętnych nie brakowało. Stali w ogonku na ulicy jeszcze po zachodzie słońca z buteleczkami i flakonikami, a LeMerle najpierw poważnie każdemu się kłaniał, a potem, posługując się szklaną pipetką, odmierzał krople przezroczystego płynu. Płacili pieniędzmi i w naturze. Tłusta kaczką, butelka wina, garść monet. Niektórzy od razu wypijali miksturę z obawy przed zarazą. Wielu wracało po więcej, zauważywszy natychmiastową, cudowną poprawę stanu zdrowia. LeMerle kazał im czekać, aż wszyscy mieszkańcy miasta otrzymają swoją porcję, nim drugi raz skapnął kropelkę.

Nie mogłam dłużej na to patrzeć. Odszukałam resztę członków naszej trupy i pomogłam im rozbić obóz. Rozgniewało mnie, kiedy się okazało, że w biały dzień złupiono nasze wozy, kostiumy rozwleczono po całym placu targowym, ale powiedziałam sobie, że mogło być znacznie gorzej. Zresztą i tak miałam niewiele cennych przedmiotów, najpoważniejszą stratą było dla mnie zaginięcie szkatułki z ziołami i lekami; jedyne, co naprawdę sobie ceniłam - karty do tarota, wykonane przez Giordana, i kilka książek, które mi zostawił, nim rozstaliśmy się we Flandrii - znalazłam w stanie nienaruszonym w jakimś zaułku, gdzie porzucili je złodzieje, nie mając pojęcia, do czego mogłyby się im przydać. Zresztą, powiedziałam sobie, czym jest kilka podartych kostiumów w porównaniu z tym, co zarobiliśmy tamtego popołudnia? LeMerle musiał zgromadzić dziesięć razy tyle dóbr, ile wart był nasz dobytek. Może tym razem, pomyślałam tęsknie, mój udział wystarczy na kupno kawałka ziemi, na którym zbudowałabym domek...

Wydawało mi się, że lekko zaokrąglony brzuch ma niewielki wpływ na bieg moich myśli, ale wiedziałam, że za sześć miesięcy l'Ailee nie będzie już w stanie szybować w powietrzu. Coś mi mówiło, że teraz, kiedy jeszcze mogę, powinnam zawrzeć układ z LeMerle'em. Podziwiałam go - wciąż go kochałam - ale mu nie ufałam. Nie znał mojej tajemnicy, a gdyby ją znał, nie zawahałby się wykorzystać tej wiedzy.

A jednak trudno mi było myśleć o rozstaniu z nim. Wielokrotnie się nad tym zastanawiałam - raz czy dwa razy nawet spakowałam swoje torby - ale w ostatniej chwili zawsze coś mnie przed tym powstrzymywało. Może żądza przygód. Ciągłe nowych przygód. Byłam szczęśliwa podczas tych lat, spędzonych z LeMerle'em; byłam szczęśliwa jako l'Ailee; byłam szczęśliwa, biorąc udział w sztukach, satyrach i szalonych przedsięwzięciach. Ale teraz wyraźniej niż kiedykolwiek czułam, że niebawem będę musiała zrezygnować z tego wszystkiego. Wiedziałam, że takie życie nie jest odpowiednie dla dziecka, które noszę pod sercem. LeMerle nigdy nie przestanie polować na swoje tygrysy i pewnego dnia przez jego zuchwałość wplączemy się w jakąś awanturę, która nas zniszczy. Mało brakowało, żeby się tak nie zakończyła nasza przygoda w Epinal; tym razem mieliśmy szczęście. Jak długo jeszcze będzie mu sprzyjało szczęście?

Było już późno, kiedy LeMerle w końcu spakował swoje rzeczy, by opuścić miasto. Nie skorzystał z propozycji noclegu w karczmie, utrzymując, że nie nawykł do takich luksusów. Rozbiliśmy obóz na polance tuż za miastem i wyczerpani szykowaliśmy się do nocnego spoczynku. Po raz ostatni tego dnia położyłam rękę na swoim zaokrąglonym brzuchu i zwinęłam się w kłębek na materacu z końskiego włosia. *Jutro*, przyrzekłam sobie w duchu. Rozstanę się z nim jutro.

Nikt nie słyszał, jak odjeżdżał. Może podkowy koni owinał szmatami, a koła wozu - pasami materiału. Może poranna mgła stłumiła wszelkie odgłosy. Może zwyczajnie byłam zbyt zmęczona, zbyt pochłonięta sobą i swoim nienarodzonym dzieckiem, by tym razem przejąć się tym, czy został, czy uciekł. Aż do tamtej nocy istniała między nami jakaś więź, silniejsza niż zauroczenie, silniejsza niż wspólnie spędzone noce. Myślałam, że go znam. Znałam jego kaprysy i jego gierki, i jego bezwzględność. Nic, co mógłby zrobić, nie zdziwiłoby mnie ani nie wstrząsnęłoby mną.

Kiedy uświadomiłam sobie swój błąd, było już za późno. Ptaszek wyfrunął, nasz podstęp odkryto, Le Borgne leżał pod swoim wozem z poderżniętym gardłem, a żołnierze nowej inkwizycji czekali na nas o świcie z łukami i mieczami, łańcuchami i sznurem. Wydarzyło się coś, czego nie uwzględniliśmy, jedna drobna rzecz, która przekreśliła wszystkie nasze poprzednie zwycięstwa.

Tamtej nocy wrócił do domu sędzia Remy.

11

17 lipca 1610

Niewiele pamiętam z wydarzeń tamtego dnia. Ale i tak to, co pamiętam, to aż nadto. Czasem widzę przed oczami nieruchome obrazy, jakby rzucane przez latarnię magiczną. Ręce strażników wyciągających nas z posłań. Martwy LeBorgne z zakrwawioną twarzą. Opadające na ziemię ubrania, które na nas rozcinano. Ale przede wszystkim pamiętam dźwięki: rzenie koni, szcęk metalowych uprzęży, nasze okrzyki pełne konsternacji, rozkazy, które wyrwały nas ze snu.

Zbyt dużo czasu potrzebowałam, żeby zrozumieć, co się stało. Gdybym była czujniejsza, udałoby mi się uciec pod osłoną ciemności i w ogólnym zamieszaniu - Bouffon walczył jak lew i część strażników musiała się zająć wyłącznie nim - ale wciąż byłam oszołomiona, spodziewając się w każdej chwili, że pojawi się LeMerle z jakimś planem naszego uwolnienia. Potem było już za późno na ucieczkę.

Zostawił nas. Uratował własną skórę, być może przeczuwając nadciągające niebezpieczeństwo i wiedząc, że gdybyśmy uciekali wszyscy razem, łatwiej by go schwytano. Le Borgne mógłby ujawnić ich podstęp, więc pozostawienie go przy życiu byłoby zbyt ryzykowne. Znaleźli go pod wozem,

miał poderżnięte gardło, pokiereszowaną twarz. Pozostałych - kobiety, Cyganów, karły, na których miejsce z łatwością można było znaleźć kogoś nowego - rzucił swoim prześladowcom jak garść monet. A oznaczało to, powiedziałam sobie, że LeMerle nas sprzedał. Znowu.

Ale nim w pełni sobie uświadomiłam, że zostaliśmy zdradzeni, było za późno na ucieczkę. Skuto nas łańcuchami, na przeguby rąk nałożono kajdany, pilnowali nas strażnicy na koniach. Hermina głośno płakała, włosy opadły jej na twarz. Ja szłam za nią z wysoko podniesioną głową. Bouffon podążał z tyłu, kulejąc. Strażnik jadący obok mnie - grubas o złośliwych oczkach i różowych ustach - rzucił sprośną uwagę i wyciągnął rękę, by dotknąć mojej twarzy. Spojrzałam na niego pogardliwie. Oczy mnie piekły.

- Tylko mnie tknij - wycedziłam cicho przez zaciśnięte usta - a ja już się postaram, żeby odpadło ci przyrodzenie. Wiem, jak tego dokonać. Wystarczy jedno krótkie zaklęcie...

Mężczyzna wyszczerzył zęby.

- Jeszcze dostaniesz za swoje, suko - wymamrotał. - Mogę poczekać.

- Jestem tego pewna, ty łajdaku. Ale pamiętaj o zaklęciu.

Wiedziałam, że głupotą jest straszenie go. Ale mało nie pękłam ze złości. Musiałam coś powiedzieć, żeby sobie ulżyć.

Jedna myśl, uparta i głupia, w kółko kołatała się po mojej głowie. Jak mógł mi to zrobić? *Właśnie mnie?* Rozumiem - Herminie, Bouffonowi i Becquotowi, karłom. Ale mnie? Dlaczego nie wziął mnie ze sobą?

I to odkrycie, którego wtedy dokonałam - świadomość, że gdyby poprosił, bym z nim poszła, mogłabym się zgodzić - sprawiło, że wezbrała we mnie głucha nienawiść. Przypuszczałam, że jestem ponadto, że jestem lepsza od innych, mających swoje słabości i dopuszczających się drobnych oszustw. Ale LeMerle przystawił lustro do mojej duszy. Teraz ja też byłam zdolna do zdrady. Tchórzostwa. Morderstwa. Zobaczyłam to w moim sercu, kiedy pielęgnowałam

swoją wściekłość i marzyłam o tym, żeby dostać LeMerle'a w swoje ręce. Kołysała mnie do snu. W dzień stanowiła mój przyodziewek.

Cele w areszcie były pełne, więc zamknęli nas w piwnicach w gmachu sądu. Było w nich zimno, zamiast podłogi miały klepisko, mury pokrywały solne wykwity. Wiedziałam, że gdyby zmieszać ten biały osad z odrobiną siarki i węgla drzewnego, można by spowodować wybuch - ale w tej sytuacji na nic by się to nie zdało. Pomieszczenie nie miało okien, tylko zamknięte na klucz drzwi. Usiadłam na wilgotnej ziemi i zastanowiłam się nad swoim położeniem.

Byliśmy winni. Nikt w to nie wątpił. Sędzia Remy mógł nas oskarżyć o wszystko, o co tylko by zechciał - Bóg świadkiem, że dzięki LeMerle'owi miał w czym wybierać. Kradzież, trucicielstwo, podawanie się za kogoś innego, herezja, włóczęgostwo, czary, morderstwo - każdy z tych czynów zgodnie z prawem karano śmiercią. Osoba wierząca mogłaby znaleźć pocieszenie w modlitwie, ale ja nie potrafiłam się modlić. Tacy jak my nie mają Boga, mawiał Le Borgne, bo nie zostaliśmy stworzeni na jego podobieństwo. Jesteśmy pośmiewiskiem dla wszystkich, ludźmi niedorobionymi, przypominamy gliniane naczynia, które pękły podczas wypalania w piecu. Jak mogliśmy się modlić? A nawet jeśli byśmy mogli, co byśmy Mu powiedzieli?

Więc oparłam się plecami o kamienną ścianę, a nogi wyciągnęłam przed siebie. Tak zastał mnie świt. Obiema rękami obejmowałam nowe życie, które rozwijało się w moim łonie, i słuchałam odgłosów łkania, dobiegających zza ściany.

Nagle coś mnie wyrwało z drzemki. Było zupełnie ciemno, ale z całą pewnością usłyszałam szcęk odsuwanej zasuwki i ukradkowe kroki na schodach. Zerwałam się na równe nogi i stanęłam tyłem do ściany.

- Kto tam? - szepnęłam.

Teraz usłyszałam, jak ktoś wolno nabiera powietrza w płuca, zmierzając w moją stronę, szelest materiału, ocierającego się o mur. W panujących

ciemnościach uniosłam rękę zaciśniętą w pięść. Dygotałam na całym ciele, ale dłoń mi ani drgnęła. Czekałam, aż ten ktoś znajdzie się w zasięgu moich rąk.

- Julietto? Znieruchomiałam.

- Kim jesteś? Skąd znasz moje imię?

- Julietto, proszę. Nie mamy czasu.

Wolno opuściłam rękę. Wiedziałam, kto do mnie przyszedł. Był to Dottore, który już wcześniej próbował mnie ostrzec, którego głos wydawał mi się tak znajomy. Znałam też ten zapach, charakterystyczny zapach osoby parającej się alchemią. Oczy zrobiły mi się okrągłe ze zdumienia.

- *Giordano?*

W mroku rozległ się niecierpliwy syk.

- Powiedziałem, że nie ma czasu, dziewczyno. Weź to.

Rzucił mi coś miękkiego. Była to jakaś opończa, pachniała stęchlizną, ale mogłam nią okryć swoją nagość. Zaintrygowana, włożyłam płaszcz.

- Dobrze. A teraz chodź ze mną, szybko. Nie masz dużo czasu.

Kłapa na górze schodów była otwarta. Pierwszy przeszedł przez nią Dottore, a potem pomógł wydostać się przez nią mnie. Światło w korytarzu wydawało się oślepiające dla kogoś, kto tak długo przebywał w kompletnych ciemnościach, chociaż pochodziło z jednej pochodni. Wciąż oszołomiona, odwróciłam się w stronę mojego starego przyjaciela, ale zobaczyłam jedynie maskę o długim nosie i czarną togę.

- Giordano? - powiedziałam znowu, wyciągając rękę, by dotknąć maski z papier-mache.

Dottore pokręcił głową.

- Czy zawsze musisz zadawać pytania? Wsypałem strażnikowi do zupy środek przeczyszczający. Biega do latryny co dziesięć minut. I tym razem zostawił klucz. - Zrobił taki gest, jakby chciał mnie popchnąć w kierunku drzwi prowadzących na ulicę.

- A co z moimi przyjaciółmi?

- Nie ma czasu. Jeśli sama uciekniesz, obydwójce mamy szansę się uratować. No więc jak? Idziesz?

Zawahałam się. W tamtej chwili wydawało mi się, że słyszę głos LeMerle'a zza czarnej maski i swój własny szept, swoje podłe, głupie słowa. *Zabierz mnie. Zostaw resztę, ale mnie zabierz.*

Nigdy więcej, powiedziałam sobie zdecydowanie. Gdyby LeMerle mnie poprosił, może bym z nim uciekła. Ale trudno budować przyszłość na słowie *gdyby*. Poczułam, jak moje nienarodzone dziecko porusza się we mnie, i wiedziałam, że jeśli teraz stchórzę, LeMerle nie odstąpi mnie ani na krok, że zatruje mi całą radość mojego macierzyństwa.

- Bez moich przyjaciół nigdzie nie pójde - powiedziałam.

Starzec spojrział na mnie.

- Uparta jak zwykle - syknął, próbując otworzyć kluczem zamek. - Uparta latawica. Może mają rację i naprawdę jesteś czarownicą. Z pewnością jakiś dybuk zawładnął twoją duszą. Zgubisz nas obydwójce.

Świt pachniał wolnością. Upajaliśmy się nią po kryjomu, uciekając każde w innym kierunku. Zostałabym z nimi, ale Giordano tak kategorycznie mi zakazał, że go usłuchałam. Biegliśmy ulicami Epinal, chowając się w mroku, wybierając boczne zaułki, brodząc po kolana w nieczystościach. Miałam wrażenie, że śnię. Wszystkie moje zmysły były niewiarygodnie wyostrzone, więc nasza ucieczka wydawała się czymś nierzeczywistym. Zostały mi fragmentaryczne wspomnienia: twarze w gospodzie, otwarte usta, bezgłośnie śpiewające jakąś pieśń w świetle czerwonej latarni, księżyc płynący nad chmurami, poniżej czarna linia lasu; buty, zawiniątko z jedzeniem, płaszcz ukryty w zaroślach, muł przywiązany nieopodal.

- Weź go. Należy do mnie. Nikt nie zgłosi jego kradzieży. Wciąż nosił czarną maskę, ale poznałam go po głosie.

Nagle zalała mnie fala czułości.

- Giordano! Minęło tyle lat. Myślałam, że nie żyjesz.

Z jego gardła wydobył się suchy dźwięk, który mógł być śmiechem.

- Nie tak łatwo mnie pokonać - odparł. - A teraz pojedziesz już sobie?

- Jeszcze nie - powiedziałam. Cała dygotałam, trochę ze strachu, trochę z przejęcia. - Tak długo ciebie szukałam, Giordano. Co się stało z naszą trupą? Z Żanetą i Gabrielem, z...

- Nie ma czasu. Mógłbym całą noc opowiadać, a i tak jeszcze zadawałabyś mi pytania.

- W takim razie tylko jedno pytanie - poprosiłam, ściskając go za ramię. - Tylko jedno i odjadę.

Ciężko skinął głową. W swojej masce wyglądał jak wielki, smutny gołąb pocztowy.

- Wiem - powiedział w końcu. - O Izabelę. Natychmiast zrozumiałam, że moja matka nie żyje.

Przez te wszystkie lata przechowywałam jej nietknięty obraz niczym medalion na sercu: jej dumną postać, jej uśmiech, jej piosenki i zaklęcia. Okazało się, że zmarła we Flandrii, bezsensownie, podczas zarazy; teraz jedyne, co mi po niej pozostało, to sny.

- Byłeś przy tym? - spytałam łamiącym się głosem.

- A jak myślisz? - odparł Giordano.

Kochaj nie często, ale na zawsze - zupełnie jakbym usłyszała moją matkę, cichutko wypowiadającą te słowa pomiędzy jego chrapliwymi oddechami. Wiedziałam teraz, dlaczego za mną podążał, dlaczego dla mnie ryzykował życie, dlaczego teraz nie mógł spojrzeć mi w twarz, a swoją ukrył za maską Dottore.

- Zdejmij maskę - poprosiłam. - Chcę cię zobaczyć, zanim się rozstaniemy.

Wyglądał staro w świetle księżyca, oczy tak głęboko mu się zapadły, że jego twarz też zdawała się maską z pustymi oczodołami, która przybrała jeszcze tragiczniejszy wyraz, kiedy spróbował się uśmiechnąć. Z oczu spływały mu łzy

do głębokich bruzd po obu stronach ust. Próbowałam go objąć, ale gwałtownie się cofnął. Nigdy nie lubił czułości.

- Do widzenia, Julietto. Jedź najszybciej, jak będziesz mogła. - To był głos dawnego Giordana, rzeczowy, cierpki i mądry. - Dla własnego bezpieczeństwa i dla bezpieczeństwa pozostałych członków twojej trupy nie próbuj ich odnaleźć. W razie konieczności sprzedaj muła. Podróżuj nocą.

Mimo wszystko go objęłam, chociaż stał sztywno, nie odpowiadając na mój uścisk, i pocałowałam go w pobrużdżone czoło. Poczułam znajomy zapach korzeni i siarki, zapach jego doświadczeń alchemicznych, i ogarnął mnie smutek.

Trzymając go w ramionach, poczułam, jak całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Ale to nie był szloch, to pochodziło gdzieś z głębi duszy. Po chwili oswobodził się z mojego uścisku, lekko zagniewany.

- Każda stracona chwila to zmarnowana szansa - upomniał mnie lekko drżącym głosem. - Już cię tu nie ma, Julietto. - W jego ustach moje imię brzmiało jak pieszczota.

- A co ty zrobisz? - usiłowałam zaprotestować. - Co będzie z tobą?

Uśmiechnął się lekko i pokiwał głową, tak jak to robił zawsze, kiedy powiedziałam coś, co uważał za szczególnie niemądre.

- Dziewczyno, wystarczająco się już dla ciebie sprzeniewierzyłem swoim zasadom - rzekł. - Na wypadek gdybyś zapomniała, przypominam ci, że nie podróżuję w szabas.

Potem posadził mnie na muła i klepnął zwierzę w zad. Rzuciło się przed siebie leśną ścieżką, stukając kopytami w wyschniętą ziemię. Wciąż pamiętam twarz Giordana w blasku księżyca, słyszę wypowiedziane przez niego szeptem pożegnanie, kiedy muł truchtem podążał ścieżką, czuję zapach ziemi i popiołu. Jego głos ścigał mnie swoim *szalom* i mieszał się z moim głosem niczym wyrzuty sumienia.

Nigdy więcej go nie spotkałam. Z Epinal udałam się przez Lotaryngię w stronę Paryża, a potem, kiedy urósł mi brzuch, skierowałam się nad morze. Gdy skończył mi się prowiant, jaki dostałam od Giordana, szukałam jedzenia i - zgodnie z radą mojego starego przyjaciela - sprzedałam muła. W sakwach znalazłam rzeczy, które uratował z mojego wozu - trochę pieniędzy, kilka książek, biżuterię porzucaną wśród kostiumów, strasy nie do odróżnienia od prawdziwych brylantów. Przebarbowałam włosy, żeby mnie nie rozpoznano. Pilnie nasłuchiwałam wieści z Lotaryngii. Ale nie doszły mnie żadne wiadomości, żadne nazwiska, żadne pogłoski o paleniu na stosie. A jednak część mnie nadal czeka, po pięciu latach, jakby od tamtej pory czas się zatrzymał, jakby to była tylko przerwa między dwoma aktami sztuki, nierozstrzygnięty konflikt, który musi pewnego dnia zakończyć się tragicznie.

W swoich snach wciąż widzę jego twarz. Jego oczy. Nasza sztuka trwa, scena jest pusta, ale czeka na aktorów, by na nowo podjęli swoje role, otwieram usta, by wypowiedzieć kwestie, o których myślałam, że już ich dawno zapomniałam.

Jeszcze jeden taniec, mówi mi, kiedy kręcę się na swoim wąskim posłaniu. *Nigdy nie lubiłem nikogo tak, jak ciebie.*

Obudziłam się zrana potem, pewna, że tym razem Fleur nie żyje. Nawet kiedy sprawdziłam kilkanaście razy, że Wszystko w porządku, nie odważyłam się odwrócić, ale nasłuchiwałam cichego szmeru jej oddechu. Dormitorium zdaje się wypełnione niespokojnymi odgłosami. Czuję, że szczęki są imadłem, zaciśniętym na strachu. Jeśli je zwolnię, mój krzyk nie będzie miał końca.

18 lipca 1610

Pierwsza zobaczyła ich Alfonsyna. Było prawie południe i musieli zaczekać na odpływ. Klasztor nie leży na prawdziwej wyspie; podczas odpływu szeroka brukowana grobla łączy ją z lądem stałym. Można nią bezpiecznie przejechać przez tereny, które zalewa morze. Przynajmniej robi wrażenie bezpiecznej, bo podczas przyprływu powstają tu wystarczająco silne wiry, by wyrwać bruk, chociaż zatopiono go w ponadmetrowej grubości zaprawie. Po obu stronach rozciągają się ruchome piaski. W czasie przyprływu woda z niesłychaną szybkością zalewa nizinę i groblę, porywając wszystko, co znajdzie się na jej drodze. Poruszali się wolno, z godnością, ich postacie odbijały się w płytkich zastoinach wody, zniekształcone przez gorące powietrze, unoszące się nad drogą.

Natychmiast się domyśliła, kto to może być. Powóz z trudem toczył się po nierównej grobli, podkowy koni ślizgały się na omszałych kamieniach. Z przodu jechało konno dwóch mężczyzn w liberiach. A za powozem szedł jakiś człowiek.

Spędziłam rano samotnie na drugim końcu wyspy. Obudziłam się wcześniej, wcale niewypoczęta, i wybrałam się z Fleur na długi spacer. Wzięłam koszyk, by nazrywać małych goździków wydmowych, z których po zaparzeniu i odcedzeniu powstaje napój sprowadzający spokojny sen. Przypomniałam sobie miejsce, gdzie rosło ich tysiące, lecz byłam tak podenerwowana, że zerwałam tylko garść. Zresztą kwiaty stanowiły jedynie kolejny pretekst, by na kilka godzin wyrwać się z klasztoru.

Ale straciłyśmy rachubę czasu. Za wydmami jest mała piaszczysta plaża, na której Fleur lubi się bawić. Na wydmie zostały szerokie białe szramy, tam

gdzie zniszczyliśmy trawę, wielokrotnie wspinając się i zbiegając. Woda w tym miejscu jest czysta i płytka, dno pokrywają drobne kamyczki.

- Mogę dziś popływać? Mogę?

- Naturalnie!

Pływa jak piesek, krzycząc i rozchlapując wodę. Sprawia jej to prawdziwą frajdę. Mouche, jej lalka, obserwowała nas ze skraju wydmy, kiedy zrzuciłam habit i dołączyłam do pluskającej się Fleur. Potem wytarłam nas obie spódnicą mojego habitu i zerwałam kilka małych, twardych jabłek z drzewa rosnącego przy drodze, bo spostrzegłam, że słońce stoi już wysoko i przegapiłyśmy porę obiadu. Później na prośbę Fleur wykopałyśmy głęboki dół, do którego wrzucaliśmy kawałki wodorostów, jeszcze później Fleur pospała pół godzinki w cieniu, z Mouche pod pachą, a ja przyglądałam się jej i nasłuchiwałam szumu fal.

Zapowiada się suche lato, pomyślałam. Bez deszczów zbiory będą słabe. Jeżyny już były spalone na krzakach. Winorośle też ucierpiały w wyniku suszy, winogrona stały się twarde jak groch. Zrobiło mi się żal tych, którzy - jak trupa Lazarilla - przemierzali kraj w takie skwarne lato.

Wiejskie trakty. Ujrzałam je oczami duszy pozłoczone słońcem, obsypane okruchami mojej przeszłości. Czy naprawdę było tak źle? Czy aż tyle wycierpiałam podczas tych lat włóczęgi? Wiedziałam, że tak. Dokuczały nam zimno i głód, zdrady i prześladowania. Starłam się o tym pamiętać, ale i tak droga przede mną lśniła niczym ścieżka przez ruchome piaski. Przypomniałam sobie, co mi raz powiedział LeMerle, kiedy jeszcze byliśmy przyjaciółmi.

- Ty i ja jesteśmy do siebie podobni - oświadczył. - Jak w przypadku powietrza i ognia, naszą naturą jest płonąć. Nie można zmienić elementu, który rządzi danym człowiekiem. I dlatego nigdy nie przestaniemy wędrować, moja l'Ailee, tak jak ogień nie może przestać płonąć, a ptak - szybować w przestworzach.

Ale mnie się to udało. Przestałam szybować w przestworzach i przez wiele lat ledwo wznosiłam oczy ku niebu. Jednak niczego nie zapomniałam. I wiejskie trakty cierpliwie czekały na mój powrót. Jak bardzo tego pragnęłam! Ile bym dała, żeby być wolna, żeby znów nosić swoje dawne imię, żyć pełnią życia? Każdej nocy oglądać gwiazdy z innego miejsca, jeść mięso przyrządzone na ognisku, tańczyć - może nawet latać? Nie musiałam odpowiadać na niewypowiedziane na głos pytania. Na samą myśl ogarnęła mnie radość i przez chwilę znów byłam dawną Juliettą, tą, która zdążyła do Paryża.

Ale to śmieszne. Porzucić obecne życie, wygodny klasztor przyjaciółki, które udzieliły mi schronienia? Opactwo nie było domem, za jakim tęskniłam, lecz zaspokajało podstawowe potrzeby. Nie chodziłam głodna, miałam dach nad głową, zajęcie dla beczynnych rąk. Zostawić to wszystko? W imię czego? Dla kilku marzeń? Dla talii kart?

Nogi zapadały mi się w miękkim piasku. Wy tłumaczenie jest proste, powiedziałam sobie. Proste i dość oczywiste. Upały, nieprzespane noce, sny o LeMerle'u... Potrzebowałam mężczyzny i tyle. L'Ailee miała każdej nocy innego kochanka, wybierała ich sobie według własnego uznania - gładyszów i nieokrzeszańców, ciemnowłosych i blondynów - a jej sny były przesycone zapachem i dotykiem ich ciał. Julietta też była kobietą namiętą: Giordano beształ ją za kąpiele nago w rzece, za tarzanie się rankiem w trawie i za godziny spędzane potajemnie z łacińskimi poetami, ślęczenie nad zdaniem o skomplikowanej składni, by czasem dostrzec mignięcie gołego pośladka... Każdy z tych poetów wiedziałby, jak zaradzić tej chorobie. Ale mnie - siostrze Auguście - cóż pozostawało? Od narodzin Fleur nie byłam z mężczyzną. Mogłam szukać pocieszenia w ramionach kobiet, jak to robiły Żermena i Klementyna, ale nigdy mnie nie pociągały takie rzeczy.

Żermena nienawidzi wszystkich mężczyzn. Ma na twarzy piętnaście blizn od kuchennego noża - tyle, ile liczyła sobie lat, kiedy mąż ją przyłapał z dziewczyną. Widziałam, jak mi się przygląda. Wiem, że uważa mnie za pięk-

ność. Wprawdzie daleko mi do Klementyny o twarzy Madonny i robaczywych myślach, ale jestem wystarczająco ładna, żeby jej się podobać. Czasem obserwuje mnie podczas pracy w ogrodzie, ale nigdy się nie odzywa ani słówkiem. Jasne włosy ma obcięte tuż przy skórze. Domyślam się, że niezgrabny brązowy habit kryje szczupłą, wdzięczną figurę. Kiedyś z Żermeny byłaby wspaniała tancerka. Ale nie tylko jej twarz została oszpecona. Chociaż od tamtego wydarzenia minęło sześć lat, wygląda starzej ode mnie, ma blade, wąskie usta, oczy niemal pozbawione koloru, jak woda morska. Mówi mi, że wstąpiła do klasztoru, by już nigdy nie musieć oglądać mężczyzn. Ale jest jak kwaśne jabłko i wysuszone grona - pragnie rozkwitnąć, lecz brak jej deszczu.

Prześliczna, mściwa Klementyna widzi to i specjalnie ze mną flirtuje, żeby sprawić jej ból. W kaplicy czasami szepcze mi na ucho miłe słówka i robi niedwuznaczne propozycje, a stojąca za nią Żermena patrzy na to bezradnie, nie dając po sobie poznać, jak cierpi; jej pokryta szramami twarz pozostaje obojętna.

Żermena w nic nie wierzy, nie interesuje się żadną religią. Rozmawiałam z nią kiedyś o moim żeńskim bóstwie - pomyślałam, że może to do niej przemówi, skoro tak nienawidzi mężczyzn - ale zdawała się równie obojętna, jak zawsze.

- Jeśli kiedykolwiek tak było - powiedziała cierpko - to najwidoczniej mężczyźni to zmienili. W przeciwnym razie dlaczego chcą nas trzymać w zamknięciu i wywoływać w nas uczucie wstydu? Czego tak się obawiają z naszej strony?

Powiedziałam, że mężczyźni nie mają powodu, żeby się nas bać, a ona znów roześmiała się nieprzyjemnie.

- Nie? - Dotknęła palcem swojej twarzy. - W takim razie co to jest?

Może ma rację. A jednak nie czuję nienawiści do mężczyzn. Tylko do jednego, chociaż... Ostatniej nocy znów mi się przyśnił. Tak wyraźnie czułam zapach jego potu, gładkość jego skóry... Nawet gdyby jego twarz pozostawała w

cieniu, i tak wszędzie bym go poznała, również wtedy, kiedy kwiat na jego ramieniu nie srebrzyłby się w blasku księżyca.

Obudził mnie śpiew ptaków. Przez chwilę miałam wrażenie, że czas się cofnął, mieliśmy jeszcze przed sobą Epinal i Vitre, na dworze pogwizdywały kosy, mój kochanek przyglądał mi się z lekko kpiącą miną...

Ale trwało to tylko moment. Kiedy spałam, do mojego serca zakradł się podstępny inkub. LeMerle jest tylko duchem z przeszłości. Powiedziałam sobie, że żadna cząstka mojego ciała nie może go nadal pragnąć.

Żadna, nawet najmniejsza.

Kiedy wróciłyśmy do opactwa, było już późne popołudnie. Zdjęłam kornet, ale i tak moje włosy były wilgotne od potu, a ubranie lepilo się do ciała. Fleur dreptała obok mnie, trzymając w jednej ręczce Mouche. Nigdzie nie widziałam żywej duszy. Biorąc pod uwagę panujący upał, nie było to nic nadzwyczajnego. Gdy zabrakło matki przełożonej, wiele sióstr o tej porze uciinało sobie drzemkę, odkładając te podstawowe obowiązki, które nadal wykonywały, na wieczór, po nonie. Ale kiedy zobaczyłam świeży koński nawóz przed bramą do klasztoru i ślady kół powozu na piasku, nagle nabrałam pewności, że w końcu nastąpiło to, na co czekałyśmy od trzynastu dni.

- Czy to komedianci wrócili? - spytała z nadzieją Fleur.

- Nie sędzę, kochanie.

- Och, szkoda.

Uśmiechnęłam się, widząc jej zawiedzioną minkę, i pocałowałam ją.

- Pobaw się tutaj trochę - powiedziałam. - Muszę cię na razie zostawić samą.

Spoglądałam za nią, jak biegnie ścieżką, a potem odwróciłam się w stronę opactwa, czując się tak, jakby zdjęto ze mnie wielki ciężar. A więc w końcu dobiegł kresu ten czas, wypełniony niepokojem i charakteryzujący się pewnym rozprężeniem. Mamy nową księżkę, która będzie drogowskazem dla nas, pozbawionych celu i zdjętych lękiem. Już ją sobie wyobraziłam. Będzie

opaną i silną kobietą, chociaż już nie pierwszej młodości, o poważnym i spokojnym uśmiechu, ale nie bez odrobiny poczucia humoru, niezbędnego, by poprowadzić przez życie tyle ciężko doświadczonych kobiet. Będzie dobra, uczciwa i skromna, nie będzie się bała ciężkiej pracy, jej brązowe dłonie, chociaż pokryte odciskami, okażą się sprawne i delikatne. Będzie lubiła muzykę i pracę w ogrodzie. Będzie realistką; będzie wystarczająco doświadczona, by pomagać nam radzić sobie, a zarazem nie zanadto ambitna mimo swojej wiedzy ani zgorzkniała z powodu tego, co już widziała w życiu. Potrafi stawić czoło światu i cieszyć się z prostych rzeczy.

Z pewnym zdumieniem uświadomiłam sobie, że ten wyobrażony wizerunek ksieni bardzo przypomina moją matkę, Izabelę. Wiem, że jej twarz, jaką zapamiętałam, niewiele się zmieniła, odkąd widziałam ją ostatni raz. Tylko ktoś kochający mógł ją wspominać tak jak ja, taką słodką i taką silną, moja miłość do niej sprawiła, że stała się znacznie ładniejsza od Klementyny i samej Matki Boskiej, chociaż niezbyt wyraźnie pamiętam kolor jej oczu, rysy jej ogorzałej twarzy. Dałam twarz mojej matki naszej nowej ksieni, jeszcze zanim ją ujrzałam, i poczułam taką ulgę, jak dziecko zbyt długo pozostawione samo. Jak dziecko, któremu powierzono obowiązki za poważne jak na jego wiek, kiedy w końcu widzi matkę wracającą do domu. Zaczęłam biec w stronę dziwnie cichego budynku, włosy miałam rozwiane, spódnicę uniosłam obiema rękami.

W klasztorze panował mrok i chłód. Zawołałam, wchodząc, ale nikt mi nie odpowiedział. Przy wejściu nie dyżurowała furtianka; opactwo sprawiało wrażenie opuszczonego. Pobiełam szerokim, słonecznym krużgankiem między dormitoriami, ale nikogo nie zobaczyłam. Minęłam refektarz, kuchnię, pusty kapitułarz, kierując się do kościoła. Seksta już dawno się skończyła, powiedziałam sobie. Może nowa ksieni zwołała zebranie.

Kiedy zbliżałam się do kaplicy, usłyszałam głosy i śpiewy. Pchnęłam drzwi, nagle dziwnie nieufna. W środku były wszystkie siostry. Zobaczyłam

Perette i Alfonsynę, która splotła swoje chude ręce; grubą Antoninę o okrągłej, przejętej twarzy i powściągliwą Żermenę z Klementyną u boku. Kiedy weszłam, zaległa cisza. Zamrugałam powiekami, zaskoczona panującym mrokiem, zapachem kadzideł i minami kobiet widocznych w świetle wielu świec.

Pierwsza zareagowała Alfonsyna.

- Siostra Augusta! - wykrzyknęła. - Dzięki Bogu, siostro

Augusto. Mamy nową... - Głos jej się załamał, może z przejęcia.

Już spoglądałam poza nią, gorączkowo wypatrując mądrej, radosnej pani ze swoich wyobrażeń. Ale obok ołtarza ujrzałam jedynie młodą dziewczynę, jedenasto-, może dwunastoletnią. Jej drobniutka, blada twarzyczka była beznamiętna, dziewczynka miała na sobie schludny, biały barbet, rękę wyciągnęła w geście błogosławieństwa.

- Siostro Augusto. - Głos był równie słaby i zimny, jak jego właścicielka.

Nagle w pełni uświadomiłam sobie, jak muszę wyglądać z rozwianymi włosami, błyszczącymi policzkami.

- Matka Izabela. - Głos Alfonsyny drżał z przejęcia. - Matka Izabela, nasza nowa ksieni.

Przez sekundę byłam tak zdumiona, że mało brakowało, a roześmiałabym się w głos. Nie mogła mówić o tym dziecku. Sama myśl była absurdalna - to dziecko, noszące imię mojej matki, musi być jakąś nowicjuską, jakąś protegowaną nowej ksieni, która teraz z pewnością uśmiecha się dobrotliwie, widząc moją pomyłkę... Potem nasze spojrzenia się spotkały. Jej oczy były bardzo jasne, ale pozbawione blasku, jakby spoglądała w głąb siebie. Patrząc na mizerną, dziecinną buzię, nie dostrzegłam na niej ani śladu wesołości, zadowolenia, radości.

- Przecież jest taka *młoda!* - Nie powinnam tego mówić. Natychmiast się zorientowałam i pożałowałam, że nie ugryzłam się w język, ale byłam tak zaskoczona, że na głos powiedziałam to, co pomyślałam. Zobaczyłam, jak dziewczynka zeszywniała i lekko rozchyliła usta, pokazując małe, idealnie

równe zęby. - Przepraszam, *ma mere*. - Ale nie można cofnąć tego, co się wyrzekło. Uklękałam, żeby pocałować jasną, wyciągniętą dłoń. - Powiedziałam to bez zastanowienia.

Kiedy dotknęłam ustami zimnych palców, wiedziałam, że nie przyjęła moich przeprosin. Przez chwilę ujrzałam siebie jej oczami: spocona kobieta o czerwonej twarzy, która wniosła do środka zakazane zapachy lata.

- Gdzie twój kornet? - Jej chłód był zaraźliwy i aż się wzdrygnęłam.

- Zgu... zgubiłam go - wyjąkałam. - Byłam w polu. Jest tak gorąco...

Ale jej uwagę przykuło już coś innego. Wolno, obojętnie przesunęła swoimi bladymi oczami po zwróconych ku sobie twarzach, napiętych w oczekiwaniu. Alfonsyna przyglądała się jej z urzeczoną miną. Panująca cisza aż mroziła krew w żyłach.

- Przyszłam na świat jako Angelika Saint-Herve Desiree Arnault - poinformowała płaskim, pozbawionym wyrazu głosem, który jednak przeniknął mnie do szpiku kości. - Możecie uważać mnie za młodą do roli, jaką powierzył mi Bóg. Ale jestem tutaj Jego rzeczniką i On da mi siłę, jakiej potrzebuję.

Na chwilę zrobiło mi się jej żal. Była taka młoda i bezbronna, tak usilnie starała się zachowywać godnie. Próbowałam sobie wyobrazić, jak musiało wyglądać jej życie, spędzane w przytłaczającej atmosferze dworu, wśród intryg i romansów. Była chudziwą: bankiety i podwieczorki, perliczki szpikowane słoniną, pasztety, *pieces montees*, półmiski z pawimi sercami, pieczonymi *foies gras* i językami skowronków w galarecie musiały jeszcze potęgować jej wstręt do dworskiej rozwiązłości. Chorowite biedactwo, po którym się nie spodziewano, że dożyje wieku kilkunastu lat, dziecko, które Kościół zauroczył swoim ceremoniałem, swoim mrocznym fatalizmem, swoją nietolerancją. Próbowałam sobie wyobrazić, co musi czuć zamknięta w klasztorze w wieku dwunastu lat, mechanicznie powtarzając słowa swych duchowych nauczycieli, zatraskując drzwi przed światem, zanim jeszcze zrozumiała, co ma jej do zaoferowania.

- Trzeba skończyć z tym brakiem dyscypliny. - Znów przemówiła, starając się, żeby każda z nas dobrze ją słyszała. - Widziałam sprawozdania. Widziałam, ile nieprawidłowości tolerowała moja poprzedniczka. - Rzuciła mi krótkie spojrzenie. - Od dzisiaj wszystko się zmieni.

Rozległ się cichy szmer, kiedy do sióstr w pełni dotarło znaczenie jej słów. Zobaczyłam zaskoczenie malujące się na twarzy Antoniny.

- Po pierwsze - ciągnęła dziewczyna - sprawa ubioru. -Rzuciła mi kolejne surowe spojrzenie. - Już zauważyłam pewną... niefrasobliwość u niektórych z was. Według mnie, nie przystoi ona członkiniom naszego zgromadzenia. Wiem, że poprzednia ksieni tolerowała noszenie *quichenotte*. To się skończy.

Stara Rozamunda, stojąca po prawej stronie, zwróciła ku mnie rozbawioną twarz. Na jej biały czepek padało przez okno światło dnia.

- Kim jest to dziecko? - spytała cienkim, płaczkliwym głosem. - Co ona mówi? Gdzie jest matka Maria?

Gwałtownie pokręciłam głowę, nakazując jej milczenie. Przez chwilę wyglądała, jakby zamierzała dalej mówić, ale potem jej pomarszczona twarz skurczyła się, oczy zwilgotniały. Słyszałam, jak mamrocze coś pod nosem, kiedy nowa ksieni kontynuowała swoją przemowę.

- Chociaż jestem tutaj tak krótko, już zauważyłam pewne nieprawidłowości w postępowaniu. - Mówiła nosowym głosem, jakby czytała tekst z podręcznika kościelnego. - Na przykład msza. Trudno mi uwierzyć, że od lat w opactwie *w ogóle nie odprawiano mszy*.

Zapanowało pełne skrępowania milczenie.

- Odmawiałyśmy modlitwy - powiedziała Antonina.

- Samo odmawianie modlitw to za mało, *ma filie* - odparła dziewczyna. - Wasze modlitwy nic nie znaczą, kiedy odmawiane są bez obecności księdza.

Czułam, jak po każdym jej słowie ogarnia mnie pusty śmiech. Absurdalność tej sytuacji sprawiła, że przestałam odczuwać skrępowanie. To, że blade, chorowite dziecko prawi nam morały, marszcząc czoło i sznurując usta

jak jakaś stara dewotka, i nazywa nas swoimi córkami, z całą pewnością musi być jakimś żartem, takim jak te, kiedy służący przebierają się w stroje swoich panów w prima aprilis. Chrystus w świątyni, nawołujący do skruchy, był z pewnością podobnego rodzaju karykaturą, bo powinien biegać po polu albo kąpać się nago w morzu. Matka-dziecko znów przemówiła:

- Od tej pory msze odprawiane będą co dzień. Przywrócimy też zwyczaj ośmiu codziennych nabożeństw. Wszyscy będą pościć w piątki i w dni świąteczne. Nie pozwolę, żeby ktoś mówił o moim opactwie, że to miejsce, gdzie się toleruje niewłaściwe zachowanie i gdzie brak skromności.

W końcu trafiła na właściwy ton. Piskliwy sopran przybrał rozkazujące brzmienie i uświadomiłam sobie, że za jej niewyraźnym zadufaniem w sobie kryje się jakaś żarliwość, niemal pasja. W tym, co wzięłam za nieśmiałość, teraz rozpoznałam najwyższą pogardę, z jaką się nie zetknęłam od czasu, kiedy byłam na dworze. *Moje opactwo*. Doprowadziła mnie tym do irytacji. Czyżby opactwo było zabawką tej dziewczynki, a my miałybyśmy zostać jej lalkami?

Mój głos zabrzmiał ostrzej, niż zamierzałam.

- Nie ma tutaj księdza - powiedziałam. - Jak możemy codziennie odprawiać msze? I kto za to zapłaci, jeśli się na to zdecydujemy?

Znów na mnie spojrzała i pożałowałam, że się odezwałam. Jeśli jeszcze nie zrobiłam sobie z niej wroga, pomyślałam, ta pogardliwa uwaga z pewnością musiała przeważać szalę. Na jej twarzy malowała się dezaprobata.

- Sprowadziłam ze sobą swojego osobistego spowiednika - oświadczyła. - Spowiednika mojej dobrej matki, który błagał, by mógł mi towarzyszyć i pomóc w spełnianiu obowiązków. - Mogłabym przysiąc, że kiedy to mówiła, lekko się zaczerwieniła, jej twarz trochę się zmieniła, a w monotonnym głosie można było dosłyszeć pewne ożywienie. -Pozwólcie, że wam przedstawię ojca Colombina de Saint-Amanda - powiedziała, wskazując na postać, która dopiero teraz wyłoniła się z cienia. - Mój przyjaciel, nauczyciel i przewodnik duchowy. Mam

nadzieję, że wkrótce stanie się równie drogi wam wszystkim, jak jest drogi mnie.

Stałam jak sparaliżowana. Ujrzałam go zupełnie wyraźnie, kiedy różnobarwne światło padło na jego twarz i ręce. Włosy miał dłuższe niż dawniej, związał je na karku wstążką, ale poza tym był taki, jakim zapamiętało go moje serce: to obrócenie głowy do światła, te równe, czarne brwi, te ciemne oczy. Do twarzy mu w czarnym; świadom dramatycznego efektu, jaki wywołuje sutanna księdza, nieozdobiona niczym poza błyszczącym srebrnym krzyżem, utkwiał we mnie wzrok i uśmiechnął się bezczelnie.

RS

CZĘŚĆ DRUGA

LEMERLE

1

18 lipca 1610

To się nazywa efektowne wejście, co? Wiesz, że urodziłem się, by trafić na scenę - albo na szubienicę, jak twierdzą niektórzy, chociaż właściwie między jednym i drugim nie ma zbyt wielu różnic. Kwiaty i zapadnia, na końcu kurtyna, a w środku krótki, gorączkowy taniec. Można się w tym nawet dopatrzeć nieco poezji. Ale nie jestem jeszcze gotów, by wstąpić na to podium. Kiedy nadejdzie ten moment, bądź pewna, że pierwsza się o tym dowiesz.

Nie wyglądałaś na zadowoloną na mój widok. Po tylu latach! Moja Ailee, moja jedyna. Jak ty kiedyś szybowałaś! Do końca niepokonana, nigdy nie spadałaś, nigdy się nie zawahałaś. Niemal gotów byłem uwierzyć, że twoje skrzydła są prawdziwe, że trzymasz je złożone pod suknią, by rozpostarłszy je, pofrunąć prosto do nieba. Moja zachwycająca Harpia. A teraz znów cię ujrzałem, ale z podciętymi skrzydłami! Muszę przyznać, że nic a nic się nie zmieniłaś. Poznałem cię, gdy tylko zobaczyłem te twoje rude włosy - a propos, musisz z nich zrezygnować. Ty też mnie rozpoznałaś, prawda, najdroższa? O tak, widziałem, jak zbladłaś i wytrzeszczyłaś oczy. Dobrze mieć widownię, która potrafi docenić kunszt aktorski - widownię, przed którą mogę naprawdę zaprezentować swój niepospolity talent. To będzie występ mojego życia.

Jesteś bardzo milcząca. Podejrzewam, że nic nie można na to poradzić. Z całą pewnością w twoim wypadku lepsza rozważa niż odwaga. Ale te twoje oczy! Cudowne! Aksamit roziskrzony czarnymi cekinami. Mów do mnie, moja Harpio. Mów do mnie swoimi oczami.

Wiem, o co ci chodzi. O tamto, o tamte małe *fracas* -gdzie to było? W Epinal? Wstydź się. Mieć mi to za złe po tylu latach! Nie zaprzeczaj, osądziłaś mnie, uznałaś, że jestem winny, wydałaś na mnie wyrok i chciałabyś, żeby na tychmiast mnie powieszono. Nie chcesz wysłuchać, co ja mam do powiedzenia? No dobrze, dobrze. Zresztą byłem pewien, że się uratujesz. Żadne mury nie przeszkodzą mojej Ailee. Swoimi skrzydłami otwierasz niebo. Niszczysz więziennicze kraty dotknięciem swojego języka.

Wiem, wiem. Myślisz, że było mi łatwo? Czuję się taki samotny. Ścigali mnie. Gdybym się dostał w ich ręce, czekały mnie tortury i śmierć. Myślisz, że nie chciałem cię zabrać ze sobą? Nie zrobiłem tego przez wzgląd na ciebie, Julietto. Wiedziałem, że bez mnie będziesz miała większe szanse. Zamierzałem wrócić. Przysięgam. Pewnego dnia.

Chodzi o Le Borgne'a? Czy to ci nie daje spokoju? Przyszedł do mnie, kiedy się szykowałem do odjazdu. Błagał, żebym go wziął ze sobą. Zaproponował w zamian życie was wszystkich. Obiecał, że poderżnie wam gardła, bylebym tylko zabrał go ze sobą. Kiedy odmówiłem, wyciągnął nóż.

Zaskoczył mnie. Byłem wyczerpany całodziennymi trudami, posiniaczony i obolały w wyniku tego, jak mnie potraktował ten motłoch. Nie miałem przy sobie broni. Celował w moje serce, ale zrobiłem unik i trafił mnie w ramię, aż straciłem czucie w całym ręku. Stoczyliśmy zacieklą walkę, prawie zemdlałem z bólu. Próbując się ratować, wykręciłem rękę, w której trzymał nóż, i przeciągnąłem mu nim po gardle, po czym uciekłem.

Ostrze musiało być zatrute. Pół godziny później osłabłem do tego stopnia, że nie dałem rady dalej jechać konno, tak mi się kręciło w głowie, że nie

zdołałem powozić. Zrobiłem jedyne, co mogłem - ukryłem się. Jak zdychające zwierzę, doczołgałem się do rowu i czekałem, co będzie dalej.

Może to mnie uratowało. Znaleźli wóz siedem kilometrów od Epinal, złupiony przez złodziei; stracili czas na szukanie i przesłuchiwanie rabusiów. Osłabiony, ukrywałem się, żywiąc się roślinami i owocami rosnącymi przy drodze. Sama mi kiedyś pokazywałaś, które są jadalne. Odzyskawszy siły, skierowałem się do pobliskiego lasu. Rozpaliłem ogień i przygotowałem napary, tak jak mnie tego uczyłaś: z piołunu na gorączkę, z naparstnicy na ból. Twoje nauki uratowały mi życie, moja droga czarownico. Mam nadzieję, że docenisz ironię.

Nie? Jaka szkoda. Twoje oczy są jak sztylety. W porządku. Może skłamałem, jeśli chodzi o Le Borgne'a, ale tylko trochę. Obydwaj mieliśmy noże. On pierwszy mnie zranił. Czy kiedykolwiek udawałem przed tobą świętego? Człowiek nie może zmienić elementu, który rządzi jego życiem. Kiedyś byś to zrozumiała, mój ognisty ptaku. Miejmy nadzieję, przez wzgląd na nas oboje, że nadal potrafisz zrozumieć.

Zdemaskować mnie? Moja droga, naprawdę myślisz, że mogłabyś to zrobić? Może nieźle bym się bawił, przyglądając się twoim próbom, ale zanim się na to zdecydujesz, za-daj sobie jedno pytanie. Kto ma więcej do stracenia? I kto jest bardziej przekonujący? Przyznaj, że raz udało mi się przekonać nawet ciebie. Wiesz, że moje papiery są w porządku. Ich poprzedni właściciel, ksiądz szczęśliwym zrządzeniem losu podróżujący przez Lotaryngię, nagle się rozchorował (o ile sobie dobrze przypominam, coś mu zaszkodziło na żołądek), kiedy wjechał do lasu o zmroku. Pan Bóg się nad nim ulitował i zesłał mu szybką śmierć. Sam zamknąłem temu człowiekowi oczy.

Och, Julietto! Wciąż taka podejrzliwa? Musisz wiedzieć, że bardzo lubię naszą małą Angelikę. Myślisz, że jest za młoda na ksienię? Uwierz mi, Kościół tak nie uważa. Zaakceptował ją - i jej posag - ze skwapliwością, która była niemal żenująca. Zresztą Kościół, jak zwykle, zyskał najwięcej. Jeszcze więcej

pieniędzy, by napelniać nimi swoje wiecznie niezapełnione skrzynie, jeszcze więcej ziemi oprócz tej, którą już posiada, a wszystko to w zamian za malutkie ustępstwo: opactwo gdzieś na końcu świata, do połowy zasypane piaskiem. Tolerowano w nim pewną swobodę obyczajów tylko przez wzgląd na niedoścignione umiejętności poprzedniej ksieni, jeśli chodzi o uprawę ziemniaków.

Ale zapominam o swoich obowiązkach. Moje panie - a może powinienem powiedzieć siostry, a nawet córki, przybierając ojcowski ton? Nie, chyba nie. *Moje dzieci*. Tak lepiej. Ich oczy błyszczą w wypełnionym dymem powietrzu jak oczy sześćdziesięciu pięciu czarnych kotów. Moja nowa trzódka. Zabawne, ale wcale nie pachną jak kobiety. Myślałem, że znam ten zapach, jego wszelkie niuanse, to połączenie woni ryby i kwiatów. Tutaj nie ma niczego poza wonią kadzidła. Mój Boże, czyżby się nawet nie pocily? Zmienię to, poczekaj, sama się przekonasz.

- Moje dzieci. Przybyłem do was przepelniony żalem i wielką radością. Żalem z powodu naszej siostry, która od nas odeszła... - Jak jej było na imię? - ...naszej siostry Marii, ale radością na myśl o wielkim dziele, które tu dziś zapoczątkujemy.

Proste słowa, wiem, lecz skuteczne. Ależ one mają ogromne oczy. Skąd mi się wzięło skojarzenie z kotami? Są nietoperzami: te pomarszczone twarze, te wielkie, nic niewidzące oczy, czarne skrzydła przyciśnięte do zgarbionych ramion, ręce złożone na płaskich piersiach, może z obawy, bym niechcący nie ujrzał zakazanych krągłości.

- Mówię o wielkiej reformie, o której moja córka Izabela wspomniała, reformie, która przybierze takie rozmiary, że już wkrótce cała Francja zwróci swoje oczy na opactwo Sainte Marie-de-la-mer, nie mogąc wyjść z podziwu i ukryć zawstydzienia.

Myślę, że pora na cytat. Może coś z Seneki? *Droga do gwiazd nie jest łatwa z ziemi?* Nie, chyba to towarzystwo jeszcze nie dojrzało do Seneki. W

takim razie coś z Księgi Powtórzonego Prawa. *Wywołasz grozę, wejdiesz do przysłowia i w pośmiewisko u wszystkich narodów.* Pismo Święte jest wprost niezastąpione. Są tam cytaty na usprawiedliwienie wszystkiego, nawet lubieżności, kazirodztwa i zabijania niewinnych.

- Moje dzieci, zbczyłyście z właściwej drogi. Stałyście się złe i zapomniłyście o świętym przymierzu, jakie zawarłyście z naszym Panem.

Ten głos jest stworzony do wielkich tragedii; dziesięć lat temu moja sztuka „Les Amours de l'Hermite” wyprzedzała swoje czasy. Oczy zrobiły im się jeszcze większe, ale oprócz lęku zaczynam w nich dostrzegać coś więcej, jakby podniecenie.

- Jak mieszkańcy Sodomy, odwróciłyście od Niego twarze. Uganiałyście się za przyjemnościami, dopuszczając do tego, by zgasł święty ogień, który powierzono waszej opiece. Hołubiłyście swoje grzeszne myśli, wierząc, że nikt ich nie pozna, i folgowałyście swoim słabościom. Ale Pan was przejrzał.

Pauza. Lekki szmer przebiega wśród zgromadzonych, kiedy każda z nich w skrytości ducha robi rachunek sumienia.

- *Ja* was przejrzałem.

Twarze im pobladyły. Podnoszę głos, aż odbija się echem od murów, niemal roztrzaskując szyby.

- Wszystko widzę, chociaż teraz, zawstydzone, ukrywacie twarze. Wasza próżność jest nieskończona. Oświecła to miejsce płomieniami waszej niegodziwości.

Dobra kwestia. Muszę ją zapamiętać, kiedy wezmę się do pisania nowej tragedii. Niektóre z tych twarzy wyglądają wielce obiecująco. Już to widzę. Na przykład ta gruba kobieta o wilgotnych oczach. Usta jej drżą od ledwo powstrzymanego płaczu. Ty babo, widziałem, jak się wzdrygnęłaś, kiedy to dziecko mówiło o postach.

Albo ta zgorzkniała istota o pokiereszowanej twarzy. Co jest *twoją* słabością? Stoisz bardzo blisko swojej ślicznej sąsiadki, wasze ręce się stykają.

Kiedy mówię, niemal bezwiednie kierujesz ku niej wzrok, tak jak sknera nie może oderwać oczu od swych bogactw.

I ty - tak, ty za kolumną. Wznosisz oczy ku niebu jak nieśmiała klacz. Usta ci drżą od nerwowych tików. Modlisz się w milczeniu razem ze mną, przyciskając palce do płaskich piersi. Każde wypowiedziane przeze mnie słowo sprawia, że wzdrygasz się ze strachu i rozkoszy. Znam twoje pragnienia: znajdujesz przyjemność w umartwianiu się, wyrzuty sumienia wprawiają cię w uniesienie.

A ty? Zaczerwieniłaś się i ciężko oddychasz, oczy ci błyszczą od czegoś więcej niż tylko żarliwość religijna. Moja pierwsza uczennica zwróciła do mnie twarz, wyciągnęła ręce. Jeden dotyk, błaga, jedno spojrzenie, a będę twoją niewolnicą. Ale nie ulegnę tak szybko, moja droga. Jeszcze będziesz musiała trochę poczekać. Ściągnięcie brwi, ściszenie głosu podczas wygłaszania wielkiego monologu.

- Ale wspaniałomyślność Pana, tak samo jak jego gniew, nie ma granic. Zbłąkana owieczka jest bez porównania cenniejsza, kiedy wróci do trzody, niż jej bardziej cnotliwe siostry. - Dobrze sobie! Zgodnie z moim doświadczeniem, bardziej prawdopodobne, że zbłąkana owieczka w najbliższą niedzielę trafi na stos. - „Wróćcie, synowie wiarołomni - czytamy w Księdze Jeremiasza - bo jestem Panem waszym i was zaprowadzę na Syjon”. - Pozwalam, by przez moment moje spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem mojej uczennicy. Zaczęła szybciej oddychać. Wygląda, jakby za chwilę miała zemdleć.

Już wygłosiłem swoją mowę. Sypałem komunałami jak manną, a teraz zaczekam, aż zacznie fermentować. Pokazałem, jaki potrafię być silny i jaki łagodny; chwiejny krok i oczy przesłonięte dłonią, dyskretna aluzja do mojego zmęczenia i niewygód długiej wędrówki świadczą, że jestem tylko zwykłym śmiertelnikiem. Przejęta siostra - Alfonsyna, prawda? - szybko podaje mi ramię, bym mógł się na nim wesprzeć, patrząc na mnie z uwielbieniem. Delikatnie się odsuwam. Żadnych poufałości, proszę.

Przynajmniej jeszcze nie teraz.

2

18 lipca 1610

LeMerle! Natychmiast rozpoznałam jego styl, podniecającą mieszankę tego, co można usłyszeć ze sceny, ambony i na wiejskim jarmarku. Kostium też był bardzo w jego stylu. Od czasu do czasu nasze spojrzenia się spotykały, dostrzegłam w nich tamten blask, jakby LeMerle pragnął dzielić ze mną swój triumf. Przez chwilę się zastanawiałam, dlaczego postanowił mnie nie zdemaskować.

Potem zrozumiałam. Miałam być jego widownią, zachwyconym krytykiem. Nie ma sensu silić się na taki występ, jeśli się nie ma kogoś, z kim można dzielić swoją tajemnicę, kogoś, kto może w pełni docenić zuchwałość mistyfikacji... Jednak tym razem odmówiłam udziału w jego grze. Tamtego popołudnia nie mogłam się wykręcić od pracy w polu, ale postanowiłam sobie, że gdy tylko będę mogła odejść bez wzbudzania podejrzeń, zabiorę Fleur i ucieknę. Prowiant na drogę mogę wziąć z kuchni. Wprawdzie nie miała mi być myśl okradania zakonnic, ale dostęp do skrzyni, w której przechowywano pieniądze należące do opactwa, był łatwy. Stała w małym magazynku w głębi piwnicy, zamek w drzwiach od dawna był wyłamany, lecz nie wstawiono nowego. Nasza poprzednia ksieni była prostą kobietą, wierzyła, że zaufanie to najlepsza obrona przed kradzieżą. I rzeczywiście, w ciągu całego swojego pobytu w opactwie nie zetknęłam się z nikim, kto zabrałby choć jedną monetę. Na co nam były pieniądze? Miałyśmy wszystko, czego potrzebowałyśmy.

Wstrząsnął nami wszystkimi do głębi, jak niewątpliwie zamierzał. Rozeszłyśmy się do swoich obowiązków. Idąc, rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie, jakby mnie zapraszał do pójścia za nim, ale udałam, że tego nie

widzę, i z radością stwierdziłam, że się nie upiera. Nowa ksieni postanowiła dokonać obchodu swojego małego królestwa, Klementyna pobiegła, żeby oporządzić konie, Alfonsyna zakrzętnęła się, by nowy spowiednik poczuł się jak u siebie w domku obok furty, Antonina wróciła do kuchni, by przystąpić do szykowania wieczornego posiłku, a ja udałam się na poszukiwanie mojej córeczki.

Znalazłam ją w stodole, bawiła się z jednym z kotów z kuchni. Ostrzegłam ją w kilku słowach: przez resztę dnia ma się nikomu nie pokazywać na oczy, zaczekać na mnie w dormitorium, do mojego powrotu z nikim nie rozmawiać.

- Ale dlaczego? - Przywiązała sosnową szyszkę do kawałka sznurka i machała nią w powietrzu, a kot skakał, próbując ją złapać.

- Później ci wytłumaczę. Pamiętaj, co powiedziałam.

- Ale mogę rozmawiać z kotkiem, prawda?

- Jeśli chcesz.

- A z Perette? Mogę z nią rozmawiać? Przytknęłam palec do ust.

- Ciii... To zabawa w chowanego. Potrafisz zachowywać się bardzo cicho, póki nie przyjdę po ciebie wieczorem?

Zmarszczyła czoło, wciąż patrząc na kota.

- A co z moją kolacją?

- Przyniosę ci ją później.

- A kotkowi?

- Też.

Postanowiono, że LeMerle może być obecny podczas naszych kapituł, ale nie powinien jeść razem z nami w refektarzu. Nie zdziwiło mnie to - mało prawdopodobne, by nasza nowa polityka wstrzeźliwości znalazła przychylność w jego oczach. Nie uszło też mojej uwagi, że domek LeMerle'a, znajdujący się tuż przy bramie opactwa, jest idealnym punktem obserwacyjnym. Wszyscy, którzy wchodzili do opactwa i z niego wychodzili, musieli minąć

domek. To mnie zaniepokoiło; świadczyło, że LeMerle wszystko dokładnie przemyślał i z góry sobie zaplanował. Bez względu na to, jaki spowiednik miał po temu powód, zamierzał tu pozostać dłużej.

Ale i tak, powiedziałam sobie, w tej chwili plany LeMerle'a mnie nie interesują. Jego nieobecność na wieczornym posiłku była mi na rękę - będę mogła przygotować się do ucieczki. Powiem, że mnie boli brzuch, wezmę swoje rzeczy, udam się do kuchni i spiżarni po prowiant na drogę i ukryję swoje zawiniątko z cennymi przedmiotami gdzieś w obrębie zewnętrznych murów opactwa, Razem z Fleur jak zwykle położę się do łóżka, a kiedy wszyscy usną, wysliznę się, zabiorę swoje rzeczy i skieruję się ku grobli, by dostać się nią na stały ląd w porze rannego odpływu, z LeMerle'em się rozprawię, kiedy będziemy bezpieczne. Wystarczy krótki liścik do kogo trzeba, żeby go zdemaskować, W końcu zawiśnie na szubienicy i może wtedy moje serce znajdzie ukojenie.

Ale kiedy pół godziny przed wieczornym posiłkiem udałam się do dormitorium, nie zastałam tam Fleur. Nie było jej też w ogrodzie, w krużgankach ani kurniku. Fleur była żywym dzieckiem i często gdzieś się chowała przed pójściem spać. Przeszukałam wszystkie jej kryjówki po kolei, ale na próżno.

W końcu poszłam do kuchni. Pomyślałam, że może Fleur zgłodniała, a siostra Antonina, kucharka, lubiła dzieci, często dawała im ciastka i herbatniki albo jabłka strącone na ziemię przez jesienne wiatry. Jednak dziś robiła wrażenie zajętej, oczy miała dziwnie zaczerwienione, a twarz zwiotczała, jakby ktoś wypuścił powietrze z jej policzków. Na dźwięk imienia Fleur jęknęła żałośnie, jakby przypomniała sobie coś, o czym nie miała czasu myśleć w nawale pracy, i załamała rękę.

- Biedactwo! Zamierzałam ci powiedzieć, ale... - Urwała, jakby walcząc z pokusą powiedzenia kilku rzeczy naraz. - Tyle zmian! Przyszła do kuchni,

siostrzo Augusto... Akurat robiłam zapasy na zimę, szykowałam słoiki z gęsim sadłem i leśnymi grzybami. Spojrzała na mnie z taką pogardą...

- Kto? Fleur?

- Nie, nie! - Antonina pokręciła głową. - Matka Izabela. Co za okropna dziewczyna.

Zrobiłam gest zniecierpliwienia.

- Powiesz mi później. Szukam swojej córeczki.

- Właśnie *próbuję* ci wyjaśnić. Powiedziała, że to dla niej niestosowne miejsce. Że będzie cię odrywała od twoich obowiązków. Odesłała ją.

Gapiałam się na nią z niedowierzaniem.

- Odesłała ją? Dokąd?

Antonina spojrzała na mnie pokornie.

- To nie moja wina.

Ale coś w tonie jej głosu zdradziło mi, że czuje się winna.

- Powiedziałaś im? - Złapałam ją za rękaw. - Antonino, powiedziałaś im, że Fleur jest moim dzieckiem?

- Nic nie mogłam na to poradzić - zaskomlała gruba kobieta. - Wcześniej czy później i tak by się dowiedzieli. Jak nie ode mnie, to od kogoś innego.

Tak mocno zacisnęłam rękę na jej ramieniu, że aż krzyknęła z bólu.

- Przestań! *Aii!* Przestań, Augusto, to boli! To nie moja wina, że ją odesłali! Przede wszystkim nigdy nie powinnaś była zatrzymywać jej przy sobie!

- Antonino, spójrz na mnie. Rozcierała ramię, unikając mojego wzroku.

- Gdzie ją odesłali? Czy umieścili ją u kogoś we wsi? Bezradnie pokręciła głową, a ja z trudem się powstrzymałam, żeby jej nie uderzyć.

- Proszę, Antonino. Martwię się o nią. Nikomu nie zdradzę, że mi powiedziałaś.

- Powinnaś się do mnie zwracać *ma soeur*. - Antonina się odeła, wyraźnie naburmuszona. - Wiesz, że to grzech się gniewać. A te twoje włosy... Powinnaś

je obciąć. - Spojrzała na mnie niezwykle zuchwale. - Teraz, kiedy idzie nowe, tak czy inaczej będziesz musiała je obciąć.

- Proszę, Antonino. Dam ci ostatnią butelkę mojego syropu lawendowego.

Oczy jej się zaświeciły.

- I płatki róży w cukrze?

- Jeśli chcesz. Gdzie jest Fleur? Antonina zniżyła głos.

- Podśluchałam, jak matka Izabela rozmawiała z nowym spowiednikiem.

Wspominali o żonie rybaka gdzieś na stałym lądzie. I jeszcze jej za to zapłacą - dodała, jakby ten dodatkowy wydatek to była moja wina.

- Na stałym lądzie! Gdzie? Antonina wzruszyła ramionami.

- Nic więcej nie wiem.

Stałam oszołomiona. Powoli docierało do mnie, co się stało. Teraz już za późno. LeMerle okazał się szybszy ode mnie. Zanim jeszcze odważyłam się zabrać głos przeciwko niemu, uderzył pierwszy. Przechytrzył mnie. Musiał wiedzieć, że nie zaryzykuję utraty swojej córeczki. Bez niej zmuszona byłam zostać w opactwie.

Przez chwilę i tak rozważałam podjęcie próby ucieczki. Od wywiezienia Fleur z wyspy minęło zaledwie kilka godzin. Ale już zaczął się przypływ i będę musiała poczekać do jutra, żeby dostać się na stały ląd. Wszyscy na wyspie znali Fleur; ktoś musiał widzieć, dokąd ją zabrano. Lecz w głębi serca wiedziałam, że moje nadzieje są płonne. LeMerle z pewnością przewidział i to.

Żołądek mi się ścisnął. Wyobraziłam sobie Fleur, oszołomioną, nieszczęśliwą, wołającą mnie. Na pewno czuła się opuszczona. Nawet nie pozwolili mi się z nią pożegnać ani jej pobłogosławić. Nawet nie wypowiedziałam magicznej formuły, która chroniłaby ją przed „złym okiem”. Kto, jak nie ja, mógł najlepiej strzec mojej córki, żeby nie stała jej się żadna krzywda? Kto oprócz mnie ją znał, wiedział, że w ciemne zimowe noce musi płonąć świeczka w pobliżu jej łóżeczka, pamiętał, by odkroić brązową część jabłka przed pokrojeniem go na ćwiartki?

- Nawet się z nią nie pożegnałam. - Powiedziałam to do siebie, ale Antonina spojrzała na mnie ponuro.

- To nie moja wina - powtórzyła. - Żadna z nas nie zatrzymała swoich dzieci przy sobie. Dlaczego ty miałabyś być wyjątkiem?

Nie odpowiedziałam. Już wiedziałam, czyja to była wina. Czego on ode mnie chciał? Cóż takiego miałam, czego nadal mógłby pragnąć?

Kiedy wróciłam do dormitorium, zobaczyłam, że już zabrano łóżeczko. Moich rzeczy nie tknięto, książki i wszystkie moje skarby leżały w tajnej skrytce w ścianie za obluzowanym kamieniem. Na swoim posłaniu znalazłam Mouche, lalkę Fleur, częściowo przykrytą kocem. Perette zrobiła ją z gałganków, kiedy Fleur była jeszcze malutka. To jej ulubiona zabawka. Setki razy przyszywałam Mouche na nowo ręce i nogi, włosy miała zrobione z różnokolorowej włóczki, a jej okrągła buzia z oczami z guzików i różowymi policzkami dziwnie przypominała twarz Perette. Mouche, tak jak jej twórczyni, też jest niemową; tam gdzie powinny być usta, nie ma nic.

Przez chwilę stałam, trzymając lalkę, zbyt otepiała, żeby móc logicznie myśleć. W pierwszym odruchu chciałam odszukać nowego spowiednika, zmusić go do zdradzenia mi -jeśli trzeba, przykładając mu nóż do gardła - dokąd wywiózł moją córeczkę. Ale znałam LeMerle'a. To było jego wyzwanie, jego pierwszy ruch w grze. Jeszcze nie wiedziałam, co jest w niej stawką. Jeśli pójdę teraz do niego, wpadnę w jego łapy. Jeśli zaczekam, może jeszcze uda mi się go zmusić do pokazania kart.

Przez całą noc kręciłam się i rzucałam w rozgrzanej pościeli. Moje łóżko stoi w samym rogu dormitorium. Ale chociaż mam najdalej, gdy muszę się udać w nocy do sekretnego miejsca, przynajmniej obok śpi tylko jedna sąsiadka. Nad moim łóżkiem jest też okno wychodzące na wschód i mam nieco więcej miejsca od innych zakonnic. W nocy było duszno, zanosilo się na burzę. Nie mogąc usnąć, prawie do samego rana wyglądałam przez okno. Niebo zasnuły purpurowo-czarne chmury, daleko nad morzem szalał sztorm, co jakiś czas

pojawiały się wielkie zygzaki błyskawic, którym nie towarzyszyły grzmoty. Ale nie spadł deszcz. Ciekawa byłam, czy Fleur też widzi burzę, czy też wyczerpana śpi, trzymając paluszek w buzi, w domu obcych ludzi.

- Ciii, Fleurette. - Pod nieobecność swojej córeczki przemówiłam do Mouche, gładząc wełnistą główkę lalki, jakby to były włoski Fleur. - Jestem tutaj. Wszystko w porządku.

Narysowałam palcem gwiazdę na czole Mouche i wypowiedziałam zaklęcie, którego używała moja matka. *Stella bella, bona stella*. Przypominało to dziecięcą wyliczankę, ale tych kilka słów trochę podniosło mnie na duchu. Chociaż serce wciąż ścisnęło mi się z bólu, poczułam, że już się tak bardzo nie boję. LeMerle z całą pewnością wie, że nic ode mnie nie wytarguje, jeśli Fleur stanie się jakaś krzywda. Więc leżałam, ściskając Mouche pod pachą. Wokół mnie spały mniszki, a niebo przecinały jedna błyskawica po drugiej.

19 lipca 1610

Dziś wprowadzono niewiele zmian. Nowa ksieni spędziła większość dnia w swojej prywatnej kaplicy z LeMerle'em, zostawiając nas z naszymi domysłami. Wakacyjna atmosfera już zdążyła się ulotnić, pozostawiając niewygodną pustkę. Wszystkie mówiłyśmy przyciszonymi głosami, jakby ktoś był chory. Wróciłyśmy do wykonywania swoich obowiązków, ale na ogół - z wyjątkiem Małgorzaty i Alfonsyny - nie przykładałyśmy się do nich. Nawet Antonina sprawiała wrażenie, jakby źle się czuła w kuchni, zwarzyły jej humor wczorajsze oskarżenia o dogadzanie swoim zachciankom. Kilku robotników przyszło obejrzeć kaplicę, przy jej zachodniej ścianie wzniesiono rusztowania, prawdopodobnie, żeby mogli sprawdzić stan dachu.

Dziś rano w pierwszym odruchu znów chciałam odnaleźć LeMerle'a i spytać go o moją córeczkę. Kilka razy już wyruszałam na jego poszukiwania, powstrzymując się w ostatniej chwili. Nie wątpię, że właśnie tego sobie życzył.

Ranek spędziłam przy pracy na nizinie zalewowej, ale gdzieś zniknęła moja zwykła dokładność. Stwierdziłam, że z wściekłością uderzam motyką w słone sople, przemieniając białe kopczyki w szarobure piramidy.

Nieobecność Fleur sprawia mi niewysłowiony ból. Rodzi się on gdzieś głęboko w dołku i wwierca się w trzewia jak rak. Nie opuszcza mnie ani na chwilę, przypomina stale towarzyszący człowiekowi cień w słoneczną pogodę. Jest silniejszy ode mnie. Wiem jednak, że jedyna moja broń to milczenie. Niech on pierwszy odkryje karty. Niech on przyjdzie do mnie.

Po powrocie dowiedziałam się, że LeMerle i nowa ksieni wcześniej wrócili do siebie - ona do celi opróżnionej przez poprzedniczkę, on do domku tuż przy murze opactwa - pozostawiając siostry w stanie niezwykłego poruszenia. Pod ich nieobecność dużo szeptano na temat natury zamierzonych zmian, niektóre zakonnice trochę się buntowały. Rodziło się też sporo plotek, będących wynikiem niedoinformowania i lekkomyślności.

Wiele z nich dotyczyło LeMerle'a. Wcale mnie nie zdziwiło, kiedy niechętnie usłyszałam kilka pochlebnych o nim opinii. Chociaż niektóre z nas niechętnie wyrażały się o smarkuli zamierzającej wywrócić nasze życie do góry nogami, tylko nieliczne nie były pod wrażeniem nowego spowiednika. Alfonsyna, oczywiście, z wielkim przejęciem wymieniała zalety rzekomego ojca Colombina, jej zapał przywodził na myśl żarliwość nowo nawróconych.

- Wiedziałam o tym, siostro Augusto. Wiedziałam, jak tylko zobaczyłam jego spojrzenie. Takie *przeszywające!* Jakby potrafił przejrzeć człowieka na wylot. Dotrzeć do samej duszy. - Wzdrygnęła się, oczy miała półprzymknięte, usta rozchylone. - Myślę, że to wyjątkowy człowiek, siostro Augusto. Ma taki świątobliwy wygląd. Czuję, że jest niezwykłym mężem.

Lecz Alfonsyna, prawdę mówiąc, miała skłonności do egzaltacji - raz wpadła w zachwyty z okazji wizyty miejscowego proboszcza, po której przez dwa tygodnie nie mogła przyjść do siebie - i miałam nadzieję, że z czasem jej minie ten żarliwy podziw dla LeMerle'a. Na razie rozpromieniała się na sam dźwięk jego imienia, mamrocząc pod nosem *Colombin de Saint-Amand* niczym litanie, kiedy szorowała podłogi.

Małgorzata też była pod głębokim wrażeniem. Podobnie jak Alfonsynę, ogarnęła ją mania porządków, w kółko odkurzała i polerowała wszystko, co się tylko dało; wzdragła się, słysząc niespodziewany hałas, a kiedy LeMerle był w pobliżu, jąkała się i czerwieniła jak szesnastolatka, chociaż była zasuszoną czterdziestoletnią kobietą, która nigdy nie obcowała z mężczyzną. Klementyna to spostrzegła i bezlitośnie z niej drwiła, ale reszta z nas powstrzymała się przed dokuczaniem biednej Małgorzacie. Nie wiedziałyśmy dlaczego, ale jej reakcja na nowego spowiednika wcale nas nie śmieszyła, lecz raczej wkraczała w mroczne rejony, w które nieliczne z nas miały ochotę się zapuszczać.

Małgorzata i Alfonsyna - choć zawsze były zaciekłymi rywalkami - stały się chwilowymi sojuszniczkami w obliczu tego zauroczenia, którego obiektem był nowy spowiednik. Razem zgłosiły się na ochotnika do uprzątnięcia domku furtiana, w którym miał zamieszkać LeMerle. Pozostawał pusty od czasów, kiedy w opactwie przebywali dominikanie, i znajdował się w opłakanym stanie. Rano zebrały meble, które - według nich - spodobałyby się nowemu spowiednikowi, i zaniósły je do domku. Nim skończył się dzień, domek był czystutki, klepisko przykryte świeżymi matami, we wszystkich trzech pomieszczeniach stały kwiaty w wazonach. Ojciec Colombin z należytą pokorą okazał im swoją wdzięczność i od tej pory obie siostry były jego niewolnicami.

Wieczorny posiłek był skromny, podano jedynie kartoflanę, którą zjadłyśmy w milczeniu, chociaż nowi przybysze byli nieobecni. Ale później, kiedy po nieszporach szykowałam się do snu, byłam pewna, że widziałam Antoninę idącą przez wirydarz w stronę domku. Niosła coś na dużym półmisku

z pokrywką. Przynajmniej nowy spowiednik dobrze sobie podje dziś wieczorem. Kiedy na nią patrzyłam, Antonina uniosła głowę do okna. Chociaż jej twarz była niewyraźna w ciemnościach nocy, dostrzegłam, jak przerażona otworzyła usta. Potem odwróciła się gwałtownie, bar-betem zasłoniła twarz i zniknęła w mroku.

Dziś znów postawiłam tarota, ukradkiem wyciągnąwszy karty ze swojej skrytki w ścianie. Pustelnik. Dwójka pucharów. Głupiec. Gwiazda, jej okrągła twarz, tak przypominająca buzię Fleur, z wielkimi oczami i koroną kręconych włosów. I wieża na tle czerwono-czarnego nieba, poprzecinanego zygzakami błyskawic.

Dziś w nocy? Wątpię. Ale mam nadzieję, że już wkrótce. Już wkrótce. I nawet jeśli będę musiała ją rozebrać własnoręcznie, kamień po kamieniu, zrobię to, możecie być pewni. Zrobię to.



19 lipca 1610

Coś okropnego, prawda? Stawiać kabałę; wystarczająco bliskie czarom, by skazać za to na przypalanie ogniem. *Mael-leus malleficarum* nazywa to „oczywistą obrzydliwością”, upierając się, że wróżby się nie sprawdzają. A jednak jest coś dziwnie fascynującego w tych jej kartach, pełnych detali. Weźmy na przykład wieżę. Tak podobna do tutejszego opactwa, wzniesiona na planie kwadratu, zwieńczona drewnianą iglicą. Księżyc, w który jest wpisany profil kobiety, dziwnie znajomy. I zakapturzony pustelnik, widać mu tylko oczy, cały jest owinięty w czarny płaszcz, w jednym ręku trzyma kij, w drugim - latarnię.

Nie nabierzesz mnie, Julietto. Wiedziałem, że masz jakąś kryjówkę. Nawet dziecko by ją znalazło: za obłuzowanym kamieniem w ścianie

dormitorium. Nigdy nie potrafiłaś dobrze się maskować. Nie, nie oskarżę cię - przynajmniej jeszcze nie teraz. Człowiek potrzebuje sojusznika - nawet taki człowiek, jak ja.

Pierwszy dzień poświęciłem na obserwacje. Mój domek tuż obok bramy jest wystarczająco blisko, bym widział wszystko bez narażania na szwank wrażliwości zakonnicy.

Nawet święty może mieć słabostki, powtarzam Izabeli. Prawdę mówiąc, bez nich czym byłaby świątobliwość czy wstrzemięźliwość? Nie zamieszkać na terenie klasztoru. Zbyt sobie cenię prywatność.

Na tyłach domku są drzwi, które wychodzą na nagi fragment muru. Zdaje się, że dominikanie przywiązywali większą wagę do okazałości architektury niż do bezpieczeństwa, bo za okazałą fasadą domku furtiana, między opactwem a mokradłami jest tylko stos zwalonych kamieni. Łatwo można będzie tędy uciec, jeśli kiedykolwiek zajdzie taka potrzeba. Ale nie zajdzie. Tym razem nie będę się śpieszył i odejdę wtedy, kiedy mi będzie odpowiadało.

Jak mówiłem, dziś przyglądałem się Julietcie z daleka. Próbuje to ukrywać przede mną, ale widzę jej ból, napięcie mięśni karku i ramion, kiedy stara się wyglądać na odprężoną. Gdy razem podróżowaliśmy, nigdy, ani razu nie odwołała występu, nawet cierpiąca z powodu wypadku, jakie się zdarzają i w najlepszych trupach. Skręcenie nogi w kostce, nadwreżenie więzadeł, nawet złamanie palca u ręki - nigdy nie dawała po sobie poznać, że cierpi. Zawsze zachowywała na twarzy ten sam zawodowy uśmiech, nawet kiedy ból był nie do zniesienia. Domyślałem się, że to rodzaj buntu, chociaż nigdy nie udało mi się dowiedzieć, przeciwko komu. Może przeciwko mnie. Widzę to teraz w jej zachowaniu, w jej odwróconym wzroku, w udawanej pokorze jej ruchów. Cierpi, ale duma każe jej się z tym kryć. Kocha swoje dziecko. Zrobi wszystko, by je chronić.

Dziwne, że nigdy sobie nie wyobrażałem mojej Ailee jako matki; myślałem, że jest zbyt niezależna, by się pogodzić z tego rodzaju tyranią.

Śliczna dziewczuszka z tej jej córeczki, bardzo podobna do swej matki, w tych nieporadnych ruchach małego dziecka już można dostrzec zapowiedź przyszłej gracji. I zachowuje się jak matka; ugryzła mnie, kiedy ją posadziłem na koniu, zostawiając mi na ręku ślady dziecięcych ząbków. Kim jest jej ojciec? Może to jakiś przygodny towarzysz podróży, może jakiś przypadkiem spotkany chłop, kupiec, aktor, ksiądz?

Może nawet ja? Mam nadzieję, że nie, chociażby przez wzgląd na nią; w moim rodzie nie brak gwałtowników, a ja nie byłbym dobrym ojcem. Jednak cieszę się, że dziecko jest bezpieczne. Mała kopnęła mnie w zębra, kiedy ją oddawałem jej nowym opiekunom, i jeszcze raz by mnie ugryzła, gdyby jej nie powstrzymał Guizau.

- Przestań - powiedziałem.

- Chcę do mamy!

- Zobaczysz ją.

- Kiedy? Westchnąłem.

- Chyba nie powinnaś zadawać tyle pytań. A teraz bądź grzeczną dziewczynką i idź z panem Guizau, który ci kupi słodką bułeczkę.

Dziecko rzuciło mi gniewne spojrzenie. Po buzi płynęły małej łzy, ale były to łzy wściekłości, nie strachu.

- A kysz! - krzyknęła, rozczapierzywszy dwa krótkie, grube paluszki. - A kysz, a kysz, zgiń, przepadnij!

Tylko tego mi potrzeba, pomyślałem, odjeżdżając, żeby rzuciła na mnie urok pięcioletnia dziewczynka. Nie pojmuję, dlaczego ludzie w ogóle chcą mieć dzieci; z karłami o wiele łatwiej się dogadać i są bez porównania zabawniejsze. Ale dzielny z niej skrab bez względu na to, kto jest jej ojcem; chyba rozumiem, dlaczego moja Julietta tak się o nią troszczy.

Skąd w takim razie to nagłe ukłucie rozczarowania? Jej miłość do mnie, chociaż to słabość, znacznie ułatwia mi zadanie. Myśli, że mnie zwiedzie, moja Harpia o podciętych skrzydłach, jak bekas odciągający wroga od gniazda. Udaje

głupią, unika mnie, chyba że jest w tłumie albo pracuje samotnie na nadmorskiej nizinie, wiedząc, że na tym pustkowiu nie mogę niezauważenie do niej podejść. Dwadzieścia cztery godziny. Spodziewałem się, że już do mnie przyjdzie. Jej upór jest typowy dla niej. Gniewa mnie to, a zarazem sprawia mi przyjemność. Może jestem dziwny, ale lubię jej buntowniczą naturę i chyba nawet byłbym rozczarowany, gdyby nie była taka uparta.

Zresztą mam już sojuszniczki. Siostra Pieta, która nie śmie spojrzeć mi w oczy; siostra Alfonsyna, mniszka suchotniczka, która chodzi za mną jak pies; siostra Żermena, która mną gardzi; siostra Benedykta, plotkarka. Na początek może się nadać każda z nich. Nawet ta gruba zakonnica, siostra Antonina, wężąca na progu kuchni jak nieśmiała owieczka. Obserwowałem ją i zdaje mi się, że dostrzegłem duże możliwości. Nowa ksieni skierowała ją do pracy w ogrodzie. Widziałem, jak kopała ziemię, policzki poczerwieniały jej od wysiłku, do którego nie nawykła. Na jej miejsce mianowano inną kucharkę: chudą, nerwową zakonnice o jasnych oczach jak u rannej łani. Koniec pasztecików i ciasteczek. Koniec samotnych wypraw na targ albo ukradkowego kosztowania starego wina. Siostra Antonina ma pulchne ręce i niezwykle drobne stopy jak na kobietę jej tuszy. Jest coś macierzyńskiego w jej bujnych kształtach, jakaś hojność, której popuszczano cugli między kielbasami i pieczywym. Gdzie się teraz podzieje? Po jednym dniu jej policzki już straciły odrobinę swojej dawnej krągłości. Jej skóra przybrała chorobliwy, żółtawy odcień. Siostra Antonina jeszcze ze mną nie rozmawiała, ale ma ochotę. Widzę to w jej oczach.

Wczoraj wieczorem, kiedy przyniosła mi kolację, spytałem niewinnie, co jadły. Kartoflanę, powiedziała, nie patrząc na mnie. Ale dla *mon pere* coś bardziej pożywnego. Wspaniały pasztecik z gołębi, jeśli wielebny ojciec sobie życzy, i szklanka czerwonego wina. Brzoskwinie z własnego ogrodu, szkoda, że z powodu suszy tak ich mało. Spojrzała na mnie błagalnie. Ha, mam cię! Nie myśl, że cię nie rozszyfrowałem. Kartoflanka, akurat. Usta aż ci się zrobiły wilgotne, kiedy mówiłaś o brzoskwiniach i winie. Z tej Antoniny prawdziwa

kobieta pełna namiętności; i gdzie się teraz one podzieją, kiedy nie mają dla siebie ujścia?

Wystarczył jeden dzień postu, by przestała być taka promienna i dobrodusznna. Wygląda na oszołomioną, ale dostrzegam też u niej pewną zawziętość, która może się przerodzić w złośliwość. Moja Antonina prawie dojrzała. Jeszcze jeden dzień, powiedziałem sobie. Jeszcze jeden dzień, żeby w pełni zrozumiała, co straciła. Wolałbym ostrzejsze narzędzie, by zapoczątkować swoje dzieło, ale może i to się nada.

Ostatecznie muszę od czegoś zacząć.

5

20 lipca 1610

Przywrócono zwyczaj odprawiania ośmiu godzin kanonicznych w ciągu dnia. Dziś o drugiej nad ranem obudził nas głos starego dzwonu i przez chwilę byłam pewna, że stało się jakieś straszne nieszczęście: zatonął statek, spadł grad, ktoś umarł. Potem zobaczyłam Mouche leżącą na poduszce i mój ból stał się nagle nie do zniesienia. Wtuliłam twarz w materac, żeby nikt mnie nie słyszał, i łkałam bezsilnie, z oczu popłynęło mi kilka łez. Wydawało mi się, że są jak okruchy prochu strzelniczego; wystarczy lada iskra, żeby zapłonęły.

Właśnie w takim stanie zastała mnie Perette. Zakradła się do mojego łóżka tak cicho, że przez chwilę nie zdawałam sobie sprawy z jej obecności. Gdyby to była jakaś inna zakonnica, nie ta mała dzikuska, naskoczyłabym na nią jak zwierzę miotające się w klatce. Ale w niewyraźnym świetle lampy zobaczyłam, że na drobnej twarzyczce Perette maluje się tak zboląła mina, że nie mogłam wyładować swojej złości na biednej dziewczynie.

Wiem, że przez kilka ostatnich dni zaniedbywałam przyjaciółkę. Pochłaniały mnie pilniejsze sprawy, sprawy, których mała dzikuska i tak by nie

zrozumiała. Chociaż czasami się zastanawiam, czy przypadkiem nie krzywdzę Perette. Nie rozumiem jej szczebiotu, ale ma mądre oczy, patrzy na mnie ze ślepym, bezgranicznym oddaniem. Spróbowała się uśmiechnąć, wskazując wymownie swoje oczy. Otarłam twarz wierzchem dłoni.

- W porządku, Perette. Idź na czuwanie.

Ale Perette już usiadła na materacu obok mnie i podwinęła pod siebie bose nogi, bo nadal odmawia noszenia butów. Wsunęła mi w dłoń swoją drobną rączkę. Przez chwilę przypominała smutnego psiaka, oferującego pocieszenie w pełnej pokory i miłości ciszy. Zawstydziłam się, że potraktowałam ją z taką wyniosłością.

Uśmiechnęłam się, chociaż nie przyszło mi to łatwo.

- Nie martw się, Perette. Jestem zmęczona i tyle.

Była to prawda; minęło wiele godzin, nim usnęłam. Perette uniosła głowę i wskazała puste miejsce obok mojej pryczy, gdzie kiedyś stało łóżeczko Fleur. Kiedy nie odpowiedziałam, delikatnie uszczypnęła mnie w ramię i znów wskazała puste miejsce.

- Wiem. - Nie chciałam o tym rozmawiać. Ale Perette wyglądała na taką zgnębną i zmartwioną, że nie miałam serca, by jej odmówić. - To nie potrwa długo. Obiecuję.

Mała dzikuska spojrzała na mnie. Głowę przechyliła na bok i bardziej niż kiedykolwiek przypominała ptaka. Potem przytknęła obie ręce do twarzy i zrobiła taką minę, że przypominała nową księżniczkę. Zrobiła to tak udatnie, że w innych okolicznościach wybuchnąłabym śmiechem.

Uśmiechnęłam się słabo.

- Zgadza się. Odesłała ją matka Izabela. Ale sprowadzimy Fleur z powrotem, zobaczysz. I to już niebawem.

Zastanawiałam się, czy mówię do siebie, czy też do Perette dociera znaczenie moich słów. Jeszcze zanim skończyłam mówić, jej uwagę już pochłonęło coś innego. Zaczęła się bawić medalikiem, który miała na szyi.

Medalik wykonany z pomarańczowej, czerwonej, niebieskiej i białej emalii przedstawiał świętą Krystynę. Prawdopodobnie Perette go nosiła, bo podobały jej się te kolory. Święta unosiła się nad płomieniami, które nie czyniły jej żadnej krzywdy, a Perette trzymała jej wizerunek przed oczami, nucąc coś sobie radośnie. Nie przestała podśpiewywać, nawet kiedy w końcu pojawiłyśmy się w kaplicy i zajęłyśmy swoje miejsce wśród innych sióstr.

Czuwanie trwało dłużej, niż się spodziewałam. Nowa ksieni ograniczyła oświetlenie do minimum. Od czasu do czasu przechadzała się z lichtarzem, żeby się upewnić, czy aby żadna z nas nie usnęła. Dwa razy ostro zganiła zakonnice, które się zdrzemnęły - jedną była chyba siostra Antonina, a drugą siostra Piete. Nasz śpiew był cichy, niemal kojący, a po osiemnastu godzinach upału nie ochłodziło się jeszcze na tyle, by zimno było dokuczliwe. Minęły prawie dwie godziny, kiedy dzwon znów się rozległ, tym razem na jutrznię, i dotarło do mnie, że pominięto zwyczajowy okres przerwy między dwoma nabożeństwami. Dygotałam, chociaż miałam na sobie wełniane pończochy. Przez szpary w dachu widziałam pierwsze promienie świtu. Dzwon znów zabił dwa razy na laudę i rozległ się szmer, kiedy w kaplicy pojawił się LeMerle.

W jednej chwili zniknęła gdzieś cała senność. Wokół siebie czułam niemal niezauważalne poruszenie, kiedy siostry zwracały twarze w jego stronę. Chyba byłam jedyną, która nie uniosła wzroku. Z oczami utkwionymi w złożonych dłoniach, słyszałam, jak się zbliża, słyszałam ciche, znajome odgłosy jego kroków na marmurowej posadzce, wyczułam, jak staje za pulpitem, nieruchomy w swojej ciemnej sutannie, jedną ręką ujmując srebrny krzyż, z którym się nigdy nie rozstawał.

- Moje dzieci. *Iam lucis orto sidere*. Wstała gwiazda zaranna. Wzniescie wasze głosy, by ją powitać.

Odśpiewałam hymn z pochyloną głową, słowa odbijały się w mojej czaszce dziwnym echem. *Iam lucis orto sidere...*

Lucyfer też był gwiazdą zaranną, zanim został strącony do piekieł. Świecił najjaśniej wśród wszystkich aniołów, pomyślałam, i nie mogłam się powstrzymać, by nie rzucić LeMerle'owi jednego spojrzenia.

Za szybko odwróciłam wzrok. *Iam lucis orto sidere...* Patrzył prosto na mnie i uśmiechał się, jakbym zdradziła swoje myśli. Żałowałam, że na niego spojrzałam.

Hymn się skończył. Zaczęło się nabożeństwo. Niewyraźnie słyszałam jakieś aluzje do postu, do pokuty, ale nic do mnie nie docierało, byłam pogrążona w swoim własnym nieszczęściu. Słowa bzycały mimo moich uszu jak pszczoły - *żał za grzechy - próżność - pokora - pokuta* - ale nic dla mnie nie znaczyły. Mogłam jedynie myśleć o Fleur, zupełnie samej, nawet bez Mouche na pocieszenie, i o tym, że nie pozwolili mi nawet wytrzeć jej noska albo zawiązać kokardy we włosach, zanim ją zabrali.

A kysz, a kysz! Skrzyżowałam palce. Dość tych myśli, bo jeszcze sprowadzą jakieś nieszczęście. Bez względu na to, jakie miał zamiary, LeMerle nie planował pozostania w opactwie na zawsze. Z chwilą kiedy wyjedzie, znajdę swoją córeczkę. A na razie wezmę udział w jego grze. Wykorzystam każde zaklęcie, jakie znam, by uchronić Fleur przed złem, a jeśli przez niego coś jej się stanie, zabiję go. Wiedział, że to zrobię, więc zadba o bezpieczeństwo dziecka. Przynajmniej na razie.

Z zamyślenia wyrwało mnie jakieś poruszenie; uniosłam wzrok. Stałam bliżej wejścia do kaplicy; przez chwilę myślałam, że mam przyjąć sakrament. W tym celu po kolei podchodziłyśmy z pochylonymi głowami do ołtarza. Jakaś zakonnica już klęczała z pochyloną głową, ściskając kornet w dłoni. Za nią czekał szereg siostr. Podchodząc, zdejmowały kornety. Poszłam za nimi, bo wydawało mi się, że tego się ode mnie oczekuje. Kiedy znalazłam się bliżej, minęłam siostry, które wracały od ołtarza. Trzęsąc się jak owieczki, poruszały się niczym we śnie, nie patrząc mi w oczy, ze zmarszczonymi twarzami. Potem

zobaczyłam nożyce w ręku LeMerle'a i wszystko rozumiałam. Zaczęły się zmiany.

Zobaczyłam, jak Alfonsyna zajmuje miejsce przed pulpitem i z pełną pokory uległością poddaje się postrzyżynom. Potem przyszła kolej na Antoninę. Nigdy przedtem nie widziałam jej bez kornetu i jak urzeczona wpatrywałam się w gęste czarne włosy. Wydała mi się w tej chwili nieziemsko piękna. Kiedy obcięto jej włosy, znów przypominała dawną Antoninę. Stała blada, bezwiednie poruszając ustami, a LeMerle wygłaszał słowa błogosławieństwa:

- Niniejszym wyrzekam się wszelkich kobiecych próżności, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Biedna Antonina. Jakież to próżności poznała w swoim smutnym, pełnym obaw życiu poza rozkoszami stołu? Stała teraz zalękniona, nierówno ucięte włosy sterczały jej na wszystkie strony, patrzyła rozbieganym wzrokiem i zacierała ręce, jakby rozczyniała nimi ciasto w dzieży.

Potem była Klementyna, jej lniane włosy połyskiwały w świetle, kiedy pochyliła głowę. Dziwne, że akurat z ust Żerminy wyrwał się okrzyk, gdy nożyce wykonywały swoją pracę. Klementyna tylko zwróciła twarz ku LeMerle'owi, wyglądając jeszcze młodziej niż przed postrzyżynami; wszetecznicą o twarzy niewiniątka.

Okazało się jednak, że włosy nie są jedyną próżnością, z której miałyśmy zrezygnować. Zobaczyłam, jak stara Rozamunda, z gołą, niemal łysą głową, niechętnie oddaje złoty krzyżyk, który nosiła na szyi. Poruszała ustami, ale nie słyszałam wypowiedzianych przez nią słów. Dołączyła do mnie kilka chwil później, swoimi słabymi oczami wodziła po kaplicy, jakby szukała kogoś, kto jest nieobecny. Potem Perette, której nie trzeba było robić postrzyżyn, bo już miała króciutkie włosy, z ponurą miną wyciągnęła z kieszeni habitu swoje skarby. Wielkie mi „skarby"! Równie dobrze mogły należeć do sroki: kawałek wstążki, błyszczący kamień, jakiś gałganek - drobne i niewinne cudeńka, posia-

dające wielką wartość tylko dla dziecka. Najtrudniej było jej się rozstać z emaliowanym medalikiem. Prawie by się jej udało ukryć go w dłoni, gdyby nie siostra Małgorzata. Pokazała go palcem i medalik trafił tam, gdzie pozostałe przedmioty. Perette gniewnie spojrzała na Małgorzatę, ukazując ostre, drobne ząbki, ale tamta obłudnie odwróciła wzrok. Kątem oka zobaczyłam, jak LeMerle z trudem powstrzymuje się od śmiechu.

Potem przyszła moja kolej. Obojętnie stałam ze wzrokiem wbitym w marmurową posadzkę, na którą opadały kolejne pukle moich włosów. Spodziewałam się, że coś poczuje - może złość albo wstyd - ale nie czułam nic, tylko pieczenie skóry karku od dotyku jego palców, kiedy ujmował kolejne pasma włosów, by je obciąć z wprawą i precyzją. Żadna z sióstr nie zauważyła jego bardziej pieścizliwych gestów - przyciśnięcia kciuka do płatka ucha, lekkiego muśnięcia ręką w miejscu, gdzie kończy się szyja.

Przemawiając do mnie, używał dwóch różnych tonów głosu: uroczystego, przeznaczonego dla uszu wszystkich, którym zaintonował *Benedictus*, i cichego, urywanego, przy którym ledwo poruszał ustami.

- Dominus vobiscum. *Unikasz mnie, Julietto. Agnus Dei, bardzo nierozsądnie, qui tollis peccata mundi, musimy porozmawiać, miserere nobis. Mogę ci pomóc.*

Obrzuciłam go spojrzeniem pełnym pogardy.

- O felix culpa, *cudownie wyglądasz, kiedy się złościsz. Quae talem ac tantum, spotkaj się ze mną w konfesjonale, meruit habere Redemptorem, jutro po nieszpiorach.*

Po chwili było po wszystkim, wróciłam na swoje miejsce. W głowie mi się kręciło, serce waliło, wciąż czułam na szyi łaskotanie od dotyku jego palców, jakby od muśnięcia skrzydeł ciem.

Pod koniec nabożeństwa wszystkich sześćdziesiąt pięć sióstr wróciło na swoje miejsca, świeżo ostrzyżonych i pozbawionych wszelkich ozdób. Twarz wciąż miałam zaczerwienioną i serce waliło mi jak oszalałe, ale ukryłam to naj-

lepiej, jak umiałam, i spuściłam wzrok. Nowa ksieni zmusiła Rozamundę i kilka starszych mniszek do zrezygnowania z noszenia tradycyjnych *quichenotte* i zastąpienia ich sztywnymi barbetami. W panującym półmroku przypominały stado mew. Odebrano nam każde tanie świecidełko, pierścionek, naszyjnik, każdy nieszkodliwy kawałek wstążki czy tasiemki, na co przymykała oko nasza poprzednia matka przełożona. Próżność, powiedział LeMerle swoim grobowym głosem, to złoty klejnot w ryju świni. Uległyśmy jej urokowi. Wyhaftowany na naszych habitach krzyż powinien być dla nas wystarczającą ozdobą, dodał, a przez cały czas światło odbijało się od jego srebrnego krucyfiksu, jakby kpiąc sobie z nas.

Potem, po zbiorowym błogosławieństwie i akcie żalu za grzechy, który wypowiedziałam razem z innymi siostrami, wstała nasza nowa ksieni i zabrała głos.

- To pierwsza z wielu zmian, jakie zamierzam wprowadzić - zaczęła. - Dziś będzie dzień postu i modlitw jako przygotowanie do zadania, czekającego nas jutro. - Zrobiła przerwę, może żeby delektować się tym, że tyle par oczu jest w niej utkwionych. - Pochowania mojej poprzedniczki - ciągnęła - tam gdzie przystoi, to znaczy w krypcie kościelnej.

- Ale my... - wyrwało mi się, nim zdołałam się powstrzymać.

- Siostro Augusto? - Spojrzała na mnie z naganą. - Czy chciała siostra coś powiedzieć?

- Przepraszam, *ma mere*. Nie powinnam się odzywać. Ale wielebna matka była... prostą kobietą, która nie lubiła... kościelnej pompy i ceremoniału.

Pochowałyśmy ją tam, gdzie, według nas, chciałyby spocząć. Z pewnością lepiej jej teraz nie zakłócać wiecznego odpoczynku.

Matka Izabela zacisnęła małe dłonie.

- Mówi mi siostra, że byłoby *lepiej* zostawić doczesne szczątki tej kobiety w jakimś zapomnianym zakątku? - spytała. - O ile mi wiadomo, to właściwie warzywnik albo coś w tym rodzaju! Co wami owładnęło?

Zrozumiałam, że ta dyskusja do niczego nie doprowadzi.

- Zrobiłyśmy to, co wtedy uznałyśmy za rzecz słuszną -powiedziałam z pokorą. - Widzę teraz, że popełniłyśmy błąd.

Jeszcze przez sekundę matka Izabela przyglądała mi się podejrzliwie, nim się odwróciła.

- Zapomniałam - rzekła - że w takim odległym zakątku kraju nadal utrzymują się dawne zwyczaje i przesady. Takie nieporozumienie *niekoniecznie* oznacza grzech.

Piękne słowa. Ale jej głos pozostał podejrzliwy i wiedziałam, że mi nie przebaczyła. Z każdą mijającą minutą mój pobyt w opactwie stawał się coraz mniej bezpieczny. Już dwa razy zwróciłam na siebie uwagę nowej ksieni. Odebrano mi córeczkę. A teraz LeMerle miał mnie w swojej mocy; może wiedział, że jeszcze jedno oskarżenie - napomknienie o wygłaszanych przeze mnie herezjach, mimochodem rzucone słowa, dotyczące spraw, które uważałam za zapomniane - spowoduje, że będę musiała znieść ciężar dochodzenia prowadzonego przez Świętą Inkwizycję. Nie mogę zbyt długo zwlekać. Muszę wkrótce stąd wyjechać. Ale nie bez Fleur.

Dlatego się wstrzymywałam. Na razie udałyśmy się do kalefaktorium. Potem odprawiłyśmy prymę i tercję. Podczas niemających końca śpiewów, modlitw i hymnów LeMerle cały czas mnie obserwował z tą udawaną życzliwością na twarzy. Następnie przeszłyśmy do kapitułarza. Kolejną godzinę zajęło przydzielanie obowiązków, ustalenie godzin modlitw i dni postu. Z wojskową precyzją przypomniano nam reguły dotyczące zachowania, stroju i poruszania się. Rozpoczęły się wielkie zmiany.

Oznajmiono nam, że kaplica zostanie wyremontowana. Zatrudni się robotników do prac na dachu, ale wnętrza odnowimy same. Nowa ksieni postanowiła zrezygnować z pomocy osób świeckich, które do tej pory wykonywały większość prac fizycznych; nie przystoi, żebyśmy miały służących wykonujących nasze obowiązki, a same ten czas spędzały beczynn timer. Teraz

naszym najważniejszym zadaniem będzie przebudowa kaplicy i oczekuje się, że każda z nas podejmie się dodatkowych obowiązków, póki prace nie zostaną ukończone.

Z przerażeniem stwierdziłam, że nasz wolny czas ograniczać się będzie do pół godziny dziennie, przeznaczonej na modlitwy i przemyślenia. Ksieni zabroniła nam też chodzić do miasta i na przystań. Miałam również zaprzestać udzielania lekcji łaciny nowicjuszkom. Matka Izabela uznała, że znajomość łaciny jest im zbędna. Oświadczyła, że wystarczy postępować zgodnie z Pismem Świętym; wszelka inna wiedza jest niepotrzebna i niebezpieczna. Ustalono nowy plan obowiązków. Wywracał on do góry nogami nasz dotychczasowy rozkład zajęć, do którego się przyzwyczaiłyśmy. Nie zdziwiłam się, że Antonina przestanie rządzić w kuchni i spiżarniach i że od tej pory moim ogródkiem ziołowym będą się zajmowały inne osoby, ale przyjąłam to obojętnie, wiedząc, że mój pobyt w klasztorze i tak zbliża się ku końcowi.

Potem przyszła kolej na zbiorową spowiedź. Za czasów matki Marii nigdy nie trwała ona dłużej niż kilka minut; tym razem zajęła ponad godzinę, a ton nadała Alfonsyna.

- Miałam niegodziwe myśli o nowej matce przełożonej -wymamrotała, patrząc ukradkiem na LeMerle'a. - Odezwałam się nie w porę, kiedy siostra Augusta weszła do kaplicy. - Jakie to dla niej typowe, pomyślałam, zwracać uwagę na moje spóźnienie.

- Jakie myśli? - spytał LeMerle z błyskiem w oku. Alfonsyna zaczęła się wiercić, czując na sobie jego spojrzenie.

- Myślałam to, co powiedziała siostra Augusta. Że jest za młoda. Że to jeszcze dziecko. Że nie będzie wiedziała, co robić.

- Zdaje się, że siostra Augusta nie krępuje się głosić swoich opinii - zauważył LeMerle.

Utkwiłam wzrok w ziemi i nie podniosłam głowy.

- Nie powinnam była jej słuchać - kajała się Alfonsyna. LeMerle nic nie powiedział, ale wiedziałam, że się uśmiechnął.

Pozostałe siostry wkrótce poszły za przykładem Alfonsyny, początkowe wahanie ustąpiło miejsca swego rodzaju skwapliwości. Owszem, wyznawałyśmy nasze grzechy, i grzech był czymś nagannym; ale po raz pierwszy słuchano nas z taką uwagą. Sprawiało to dziwną ulgę, jakby się dra-pało swędzącą wysypkę, i okazało się zaraźliwe.

- Usnęłam podczas czuwania - wyznała siostra Piete, bezbarwna zakonnica, która rzadko odzywała się do kogokolwiek. - Powiedziałam brzydkie słowo, kiedy ugryzłam się w język.

Siostra Klementyna:

- Przyglądałam się sobie, kiedy się myłam. Przyglądałam się sobie i miałam nieprzystojne myśli.

- Ukradłam p-pasztecik ze spiżarni - wyjąkała siostra Antonina, czerwona na twarzy. - W-wieprzowy z cebulką, w k-kruchym cieście. Zjadłam go po kryjomu za domkiem furtiana i rozbolał mnie b-brzuch.

Następna była Żermena. Zaczęła swoją litanię - *obżarstwo, pożądanie, zazdrość* - najwyraźniej bez ładu i składu. Przynajmniej na niej LeMerle nie robił żadnego wrażenia - na jej twarzy malowała się ostrożność, za którą dostrzegłam pogardę. Potem przyszła kolej na siostrę Benedyktę i łzawą opowieść o uchylaniu się od obowiązków, i siostrę Pierre, która ukradła pomarańczę. Przy każdej kolejnej spowiedzi rozlegał się coraz głośniejszy szmer, jakby obecne chciały zachęcać spowiadające się do coraz to odważniejszych wyznań. Siostra Tomasina zalała się łzami, przyznając się do lubieżnych myśli. Kilka innych zakonnice popłakało się ze współczucia, a siostra Alfonsyna spojrzała na LeMerle'a. Matka Izabela natomiast siedziała z ponurą miną, coraz bardziej znudzona. Najwyraźniej spodziewała się po nas czegoś więcej. Posłusznie spełniłyśmy jej życzenie.

W miarę jak mijał czas, wyznania stawały się coraz bardziej rozbudowane, coraz bardziej szczegółowe. Wyciągano wszystkie drobne sprawy: resztki dawnych przewinień, skradzione paszteciki, erotyczne sny. Zakonnice, które pierwsze się spowiadały, uznały, że te, które zabrały głos po nich, przyćmiły ich wynurzenia; wymieniano spojrzenia pełne pretensji; szmer przemienił się w cichy gwar.

Teraz przyszła kolej, by wystąpiła przed szereg siostra Małgorzata. Mijając Alfonsynę, wymieniła z nią spojrzenie, i wiedziałam, że będą kłopoty. Ukradkiem skrzyżowałam palce, żeby ustrzec się przed złym; atmosfera wokół mnie zrobiła się tak gęsta, że ledwo mogłam oddychać. Małgorzata bojaźliwie spojrzała w twarz LeMerle'owi, dygocząc jak królik złapany w sidła.

- A więc? - spytała zniecierpliwiona Izabela.

Małgorzata otworzyła usta i zamknęła je, nie powiedziawszy ani słowa. Alfonsyna przyglądała jej się z ledwo ukrywaną wrogością. W końcu Małgorzata niepewnie, nie odrywając wzroku od LeMerle'a, zaczęła mówić.

- Śniły mi się demony - powiedziała cichym głosem. - Moje sny aż się od nich roją. Mówią do mnie, kiedy leżę w łóżku. Dotykają mnie swoimi gorącymi palcami. Siostra Augusta daje mi leki na sen, ale demony wciąż mnie prześladują!

- Leki? - Nastąpiła pauza, podczas której poczułam, jak Izabela przenosi wzrok na mnie.

- To mikstura na sen - powiedziałam, kiedy inne siostry zwróciły się w moją stronę. - Lawenda i waleriana na ukojenie nerwów. Tylko tyle. - Ku swemu zaskoczeniu, poczułam, że jestem zdenerwowana.

Matka Izabela przytknęła dłoń do czoła Małgorzaty i uśmiechnęła się lodowato.

- Cóż, myślę, że nie będziesz już potrzebowała mikstur siostry Augusty. Po to jestem tutaj ja i ojciec Colombin, żeby się tym zająć. Pokutą i pokorą wypędzimy wszelkie zło, które was gnębi.

Potem zwróciła się do mnie:

- A więc, siostrzo Augusto, zdaje się, że ma siostra coś do powiedzenia niemal na każdy temat. Nie chce siostra nam tutaj nic wyznać?

Dostrzegałam niebezpieczeństwo, ale nie wiedziałam, jak go uniknąć.

- Chyba nie, *ma mere*.

- Co? Nic a nic? Żadnego grzechu, żadnej słabości, nieżyczliwego czynu, niegodziwej myśli? Nawet snu?

Chyba powinnam coś wymyślić, jak pozostałe. Ale LeMerle wciąż mi się przyglądał i poczułam, jak w odruchu buntu robię się czerwona na twarzy.

- Proszę mi wybaczyć, *ma mere*. Nie pamiętam. Nie... nie jestem przyzwyczajona do publicznych spowiedzi.

Matka Izabela uśmiechnęła się wyjątkowo nieprzyjemnie.

- Rozumiem - powiedziała. - Siostra Augusta uzurpuje sobie prawo do prywatności. Publiczna spowiedź to coś poniżej jej godności. Wyznaje swoje grzechy bezpośrednio Wszechmogącemu. Siostra Augusta rozmawia tylko z Panem Bogiem.

Alfonsyna zachichotała. Klementyna i Żermena uśmiechnęły się do siebie. Małgorzata nabożnie wzniosła oczy do góry. Nawet Antonina, która była czerwona jak burak, kiedy sama się spowiadała, uśmiechała się z wyższością. W tej chwili zrozumiałam, że każda zakonnica w kaplicy czuła tę samą grzeszną przyjemność na widok upokorzenia, jakiego doznawała jedna z ich grona. A siedzący za matką Izabelą LeMerle uśmiechał się niewinnie, jakby to wszystko nie miało z nim nic wspólnego.

21 lipca 1610

Za moje przewinienia wyznaczono mi jako pokutę milczenie. Przez dwa dni nie wolno mi było z nikim rozmawiać. Wszystkie siostry poinstruowano, żeby natychmiast donosiły o złamaniu przeze mnie tego nakazu. Dla mnie nie była to żadna kara. Prawdę mówiąc, przyjąłem ją nawet z wdzięcznością. Okazało się też, że moje przypuszczenia są słuszne. Wkrótce mogę stąd wyjechać z Fleur. *Przyjdź do mnie do konfesjonału jutro po niesporach*, powiedział LeMerle. *Mogę ci pomóc*.

Z pewnością zamierzał mi zwrócić Fleur. Bo cóż innego mógł mieć na myśli? Z jakiego innego powodu ryzykowałby spotkanie ze mną? Uchwyciłem się tej myśli, zapomniałem o wszelkich środkach ostrożności. Do diabła ze strategią. Chciałem odzyskać swoją córkę. Żadna pokuta, nawet najcięższa, nie mogła się równać z bólem spowodowanym jej nieobecnością. Cokolwiek LeMerle ode mnie chce, dostanie to.

Alfonsyna, największa plotkarka, której zadano taką samą pokutę, jak mnie, przeżywała znacznie większe udręki, sądząc po wielce skruszonej minie, której - ku jej rozczarowaniu - nikt zdawał się nie zauważać. Ostatnio kaszel bardziej ją męczył, wczoraj odmówiła jedzenia. Rozpoznałem oznaki nadchodzącego ataku i miałam nadzieję, że ta jej ostatnio nasilona żarliwość nie zakończy się jednym z nich. Małgorzacie przez miesiąc kazano pilnować godzin modlitw. To powinno ją uwolnić od nocnych odwiedzin demonów; od tej pory miała dzwonić na czuwanie, sypiając samotnie na pryczy zawieszanej na linach w dzwonnicy, i budzić się co godzinę, by uderzać w dzwon. Wątpiłem, czy jej to pomoże, ale Małgorzata zdawała się zachwycona swoją karą - chociaż jej tiki się nasiliły i zeszywniała lewa połowa ciała, przez co chodząc, kulą.

Nigdy nie zadawano nam tyłu pokut. Wydawało się, że połowa sióstr, a może i więcej, ma nałożoną jakąś karę: od Antoniny, która musiała pościć - już samo to było dla niej wystarczającą pokutą - i pracować w piekarni, do Żerminy, której kazano wykopać nową latrynę.

Stworzyło to dziwny rozłam między cnotliwymi i penitentkami. Przyłapałam siostrę Tomasinę, jak patrzyła na mnie z pogardą, kiedy mijałam ją w krużganku, a Klementyna starała się, jak mogła, nakłonić mnie do rozmowy, co jej się nie udawało.

Dzisiejszy dzień straszliwie się włókl. Między nabożeństwami spędziłam dwie godziny w refektarzu, bieląc ściany i szorując podłogę, aż śliską od tłuszczu. Potem pomagałam przy remoncie kaplicy, w milczeniu podając wiadra zaprawy wesołym, obnażonym do pasa robotnikom pracującym na dachu. Później były modlitwy nad zagonem ziemniaków, LeMerle zaintonował z powagą słowa ostatniego namaszczenia, którego biedna matka przełożona nigdy nie otrzymała, podczas gdy mnie, Żerminie, Tomasinie i Bercie przypadł nieprzyjemny obowiązek rozkopania świeżego grobu.

Jeszcze nie nadeszło południe, ale słońce już mocno przygrzewało, powietrze aż skwierczało, kiedy uzbrojone w łopaty i szpadle przystąpiłyśmy do rozkopywania mogiły. Wkrótce pot się z nas lał. Ziemia tutaj jest sucha i piaszczysta, na wierzchu biaława, a głębiej czerwona. Lekko wilgotny piasek przywarł do całunu i oblepił nasze habity. Rozkopywanie grobu jest dość prostym zajęciem, jeśli ktoś ma stalowe nerwy; ziemia nie zdążyła jeszcze osiaść i stosunkowo łatwo dawało się ją wydobywać łopatą. Zwłoki matki przełożonej zaszyłyśmy w prześcieradło, teraz poczerniałe w miejscach, gdzie stykało się z ciałem, więc na kremowym płótnie wyraźnie widać było odcisk głowy, żeber, łokci i stóp. Siostra Tomasina zasłabła na ten widok, ale ja widziałam w swoim życiu już tyle trupów, że nie zrobiło to na mnie większego wrażenia. Ostrożnie i z jak największym uszanowaniem uniosłam zwłoki. Matka Maria była cięższa po śmierci niż za życia z uwagi na ziemię, która oblepiła

całun, więc kosztowało mnie sporo wysiłku wydobyć jej zwłok z grobu. Sprawiała wrażenie dziwnie kruchej, przywodziła mi na myśl kawałek drewna wyrzucony na brzeg i do połowy zasypany piaskiem. Od spodu całun był mocno poplamiony, wyraźnie widać było zarys kręgosłupa i żeber. Kiedy ją wyciągnęłam z niepoświęconej ziemi, zobaczyłam mnóstwo brązowych żuków, które zniknęły w piasku niczym krople roztopionego ołowiu, gdy tylko padły na nie promienie słońca. Na ich widok Berta krzyknęła głośno i niemal upuściła nieboszczkę. Kilka żuków przebiegło po rękawie jej habitu. Zobaczyłam, że Alfonsyna przygląda się temu z przerażeniem i fascynacją. Tylko Żermena wydawała się nieporuszona. Kiedy mi pomagała wydobywać ciało z grobu, jej pokryta bliznami twarz pozostała obojętna. W powietrzu rozszedł się lekki, suchy zapach ziemi i popiołu, początkowo nawet nie taki odrażający. Ale kiedy położyłyśmy naszą zmarłą matkę przełożoną na brzuchu, uderzył nas okropny fetor, przypominający zapach zepsutego mięsa i ekskrementów.

Wstrzymałam oddech i próbowałam się powstrzymać od wymiotów, ale na próżno. Oczy zaszyły mi łzami; cała byłam zlane potem. Żermena ujęła skraj barbetu, by zasłonić nim usta, ale na niewiele się to zdało. Widziałam cierpienie na jej twarzy, kiedy podniosła zwłoki na wysokość ramion.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że z pewnej odległości przygląda się nam matka Izabela, przyciskając do nosa cienką białą chusteczkę. Nie mogę powiedzieć na pewno, czy się uśmiechała, ale jej oczy były niezwykle jasne, a twarz zaróżowiona nie tylko od upału.

Myślę, że była to satysfakcja.

Pochowałyśmy matkę przełożoną w urnie w głębi krypty, w jednym z licznych wąskich sarkofagów, pozostawionych przez dominikanów. Trochę przypominają kamienne pieczone chlebowe, każdy nakryty jest płytą, tu i ówdzie wyryto liczby, nazwiska, łacińskie inskrypcje. Zauważyłam, że niektóre płyty były odsunięte, i tym sarkofagom starałam się nie przyglądać zbyt uważnie. Wszędzie leżał kurz i piach, w powietrzu czuć było stęchliznę. Wiedziałam, że

matce Marii wcale by się tutaj nie podobało, ale to już nie było moje zmartwienie.

Po krótkiej uroczystości siostry udały się na górę do kaplicy, a ja zostałam, żeby zamurować niszę. Jedyne źródłem światła była świeca stojąca na ziemi; tuż pod ręką miałam wiadro z zaprawą murarską i kielnię. Z góry dobiegał mnie hymn śpiewany przez zakonnice. Zaczęło mi się trochę kręcić w głowie; bezsenne noce, południowy skwar, smród, chłód krypty w połączeniu z całodziennym postem sprawiły, że ogarnęło mnie jakieś otepienie. Sięgnęłam po kielnię, ale wypadła mi z ręki i uświadomiłam sobie, że jestem bliska omdlenia. Oparłam się głową o mur, żeby nie upaść, i w nos uderzył mnie zapach saletry i porowatego kamienia. Przez chwilę wydawało mi się, że znów jestem w Epinal, i oblał mnie zimny pot.

Właśnie wtedy przeciąg zgasił świecę i w krypcie zapanowały ciemności. Wpadłam w panikę. Musiałam się stąd wydostać. Czułam, jak ciemności popychają mnie z tyłu, martwa mniszka szczyrzy do mnie zęby z trumny, pokryte kurzem kościotrupy dominikanów wyciągają do mnie powykęcane palce... Musiałam się stąd wydostać!

Chociaż nogi się pode mną uginały, zrobiłam jeden krok i potraściłam wiadro z zaprawą murarską. Nagle krypta zrobiła się przestronna, nie mogłam dosięgnąć jej ścian. Ogarnęła mnie szalona chęć, by wybuchnąć śmiechem, by krzyknąć. Musiałam się stąd wydostać! Przewróciłam się, robiąc dużo hałasu, i uderzyłam głową o krawędź płyty. Leżałam na pół ogłuszona, przed oczami latały mi czerwone plamy. Litania na górze ucichła.

Pierwsza dotarła do mnie ze świecą w ręce Alfonsyna. Już minęła mi panika i siedziałam, wciąż ogłuszona, trzymając się za bolącą skroń. W świetle zobaczyłam, jak mała jest krypta, niewiele większa od kredensu ze swymi porządnymi niszami i niskim sklepieniem. Alfonsyna patrzyła na mnie wielkimi oczami.

- Sostro Augusto? - odezwała się surowo. - Sostro Augusto, nic ci nie jest? - Z przejęcia zapomniała o naszej pokucie, nakazującej milczenie.

Widocznie jeszcze nie doszłam zupełnie do siebie. Przez chwilę imię, którym się do mnie zwróciła, nic dla mnie nie znaczyło. Nawet nie poznałam jej twarzy, w niewyraźnym świetle świecy Alfonsyna wydała mi się kimś nieznanym.

- Kim jesteś? - spytałam.

- Nie poznaje mnie! - Jej głos był nieprzyjemnie przenikliwy. - Sostro Augusto, nie ruszaj się. Za chwilę nadejdzie pomoc.

- W porządku, Alfonsyno - powiedziałam. Przypomniałam sobie jej imię równie szybko, jak szybko przed chwilą mi wyleciało z głowy, a razem z nim wróciła nabyta przez lata nieufność. - Musiałam się potknąć o pękniętą płytę. Zgasła świeca. Na chwilę straciłam przytomność.

Ale już było za późno. Wydarzenia kilku ostatnich dni, ciemności w krypcie, ekshumacja, uroczystości pogrzebowe, a teraz jeszcze to - Alfonsyna zawsze była bardziej podatna na takie rzeczy niż reszta z nas. A poza tym siostra Małgorzata przyćmiła ją poprzedniego dnia swoimi opowieściami o demonach...

- *Czulaś to?* - syknęła Alfonsyna.

- To znaczy co?

- *Ciii...* - Ściszyła głos do szeptu. - Jak zimny wiatr.

- Niczego nie czułam. - Z trudem wstałam. - Proszę, podaj mi ramię.

Wzdrygnęła się, kiedy jej dotknęłam.

- Byłaś tam na dole bardzo długo. Co się stało?

- Nic, powiedziałam ci już. Zrobiło mi się słabo.

- Nie czułaś... *jego obecności?*

- Nie. - Zobaczyłam kilka sióstr, zagląających do krypty, ich twarze były rozmazane w nikłym świetle. Czułam w swojej zimnej dłoni zimne palce Alfonsyny. Wzrok utkwiała w jakimś punkcie tuż za mną. Z zamierającym

sercem rozpoznałam objawy kolejnego ataku. - Słuchaj, Alfonsyno... - zaczęłam.

- Czułam go. - Zaczęła dygotać. - Przeszedł przeze mnie. I był zimny.

Lodowaty!

- W porządku. - Zgodziłam się tylko dlatego, żeby zmusić ją do wyjścia. - Może coś tu było. Nieważne. Chodź już!

Zlekceważyłam jej stan najwyższego przejęcia. Rzuciła mi spojrzenie pełne urazy i nagle zachciało mi się śmiać. Biedna Alfonsyna. Było okrucieństwem potraktowanie jej w owej chwili z taką obojętnością. Przez ostatnich pięć lat ani razu nie widziałam tej siostry tak ożywionej, jak w ciągu tych kilku ostatnich dni. To *teatralność* tego, co się dzieje, rozpała jej wyobraźnię: wrywanie włosów z głowy, pokuty, publiczne spowiedzi. Ale za każdy występ trzeba zapłacić wysoką cenę. Kaszle więcej niż kiedykolwiek, oczy jej błyszczą, jakby miała gorączkę, sypia prawie równie źle, jak ja. Słyszę nocami: rytmicznie szepcze modlitwy lub przekleństwa, czasami pochlupuje i płacze, ale najczęściej mamrocze w kółko to samo, niby litanie tak często powtarzaną, że jej słowa niemal utraciły swój sens.

Mon pere... Mon pere...

Musiałam ją niemal wynieść z krypty.

Nagle zeszywniała.

- Matko Przenajświętsza! Co ja zrobiłam! *Pokuta!* Gorączkowo próbowałam ją uciszyć. Ale było za późno.

Już obstały nas inne siostry, niepewne, czy wolno im się do nas odezwać. LeMerle znajdował się w pewnej odległości. To przedstawienie było specjalnie dla niego i wiedział o tym. Matka Izabela stała obok niego, obserwując nas z lekko rozchyłonymi ustami. No tak, pomyślałam ze złością. Właśnie tego się spodziewała.

- *Ma mere!* - ryknęła Alfonsyna, padając na kolana. - *Ma mere*, przepraszam. Wyznacz mi drugą pokutę, sto pokut, jeśli musisz, ale proszę, wybacz mi!

- Co się stało? - warknęła Izabela. - Co powiedziała siostra Augusta, że zламаłaś swoje śluby milczenia?

- Matko Boska! - Alfonsyna grała na zwłokę, uświadomiwszy sobie, że w końcu ma audytorium - słyszałam to w tonie jej głosu. - Poczułam to w krypcie, *ma mere!* Obie to czułyśmy! Czułyśmy jego lodowaty oddech!

Jej skóra też była lodowata. Niemal zrobiło mi się jej żal.

- *Co czułyście?*

- To nic takiego. - Ostatnią rzeczą, jakiej chciałam, było niepotrzebnie zwrócić na siebie uwagę, ale nie mogłam tak tego zostawić. - W krypcie są przeciągi i tyle. Alfonsyna ma słabe nerwy. Zawsze...

- Zamilcz! - rzuciła Izabela. Znów zwróciła się do Alfonsyny i szepnęła: - Co czułaś?

- Demona, *ma mere*. Czułam jego obecność. Przybrał postać zimnego wiatru. - Alfonsyna spojrzała na mnie i wydawało mi się, że dostrzegłam satysfakcję na jej twarzy. - Zimnego wiatru.

Izabela znów odwróciła się do mnie, a ja wzruszyłam ramionami.

- Zwykły przeciąg i tyle - powtórzyłam. - Zgasił świecę.

- Wiem, co czułam! - Alfonsyna znów zaczęła dygotać. -

I ty też to czułaś, Augusto! Sama mi to powiedziałaś! - Twarz jej się wykrzywiła i zakasłała dwa razy. - Owionęło mnie zimno, mówię wam, demon wszedł prosto we mnie i... - Zaczęła się dławić i złapała się ręką za gardło. - Wciąż tu jest! - usłyszałam jej krzyk. - *Wciąż tu jest!* - Po czym upadła na posadzkę, wijąc się w konwulsjach.

- Przytrzymajcie ją! - krzyknęła matka Izabela, tracąc zwykłe opanowanie.

Ale Alfonsyna nie pozwoliła się złapać. Gryzła, pluła, wrzeszczała, wierzgała nogami, jej atak potęgował się za każdym razem, kiedy się do niej zbliżyłam. Dopiero trzem zakonnicom - Żermenie, Małgorzacie i głuchej siostrze Klotyldzie - udało się ją przytrzymać, siłą otworzyć usta, żeby nie połknęła języka, ale nawet wtedy nie przestała krzyczeć, aż w końcu ojciec Colombin we własnej osobie podszedł, żeby ją pobłogosławić, i dopiero wtedy się uspokoiła.

Izabela zwróciła się do mnie.

- Co to miało znaczyć „wciąż tu jest”?

- Nie wiem - powiedziałam.

- Co się stało w krypcie?

- Zgasła świeczka. Potknęłam się i upadłam.

- A co z siostrą Alfonsyną?

- Nie wiem.

- Mówi, że wiesz.

- Nic na to nie poradzę - odparłam. - Wymyśla różne rzeczy. Lubi zwracać na siebie uwagę. Proszę spytać którąkolwiek z nas.

Ale Izabela nie była usatysfakcjonowana.

- Próbowала mi coś powiedzieć - upierała się. - Ty ją powstrzymałaś. A więc co chciała...

- Na litość boską, czy to nie może poczekać?

Prawie zapomniałam o LeMerle'u. Stał tak, żeby padał na niego snop światła słonecznego, i trzymał w ramionach siostrę Alfonsynę, chwytając powietrze jak ryba wyciągnięta z wody.

- Na razie musimy zanieść tę biedaczkę do infirmerii. Przypuszczam, że mam prawo zawiesić jej pokutę?

Matka Izabela się zawahała, wciąż patrząc na mnie.

- A może wolałabyś omówić tę sprawę w dogodniejszym dla siebie czasie?

Izabela lekko się zapłoniła.

- Trzeba to zbadać jak najszybciej - powiedziała.

- Naturalnie. Jak tylko siostra Alfonsyna będzie w stanie mówić.

- A siostra Augusta?

- Wstrzymajmy się do jutra.

- Ależ *mon pere*...

- Jutro w porze kapituły będziemy wiedzieli więcej. Jestem pewien, że zgodzisz się ze mną, iż nie należy postępować pochopnie.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

- Dobrze. W takim razie wstrzymamy się do jutrzejszej kapituły.

Wtedy spojrzałam na niego i zobaczyłam, że znów mi się przygląda, oczami jasnymi i zapowiadającymi kłopoty. Przez krótką chwilę nawet pomyślałam, czy przypadkiem nie wiedział, co się wydarzy w krypcie, czy nie zaaranżował tego w jakiś sposób, żeby zdobyć nade mną większą władzę... wtedy gotowa byłam uwierzyć niemal we wszystko. Miewał różne szalone pomysły. I za dobrze mnie znał.

Cóż, czy sobie to zaplanował, czy nie, udowodnił mi to, co chciał udowodnić. Pokazał, że bez niego jestem bezbronna, moje bezpieczeństwo jest tak kruche, jak postrzępiona lina. Czy mi się to podoba, czy nie, potrzebuję jego pomocy. A LeMerle, o czym wiedziałam z dawnych czasów, nigdy tanio nie sprzedawał swoich przysług.

21 lipca 1610

- Pobłogosław mi, ojczy, bo zgrzeszyłam.

W końcu. Spowiedź. Jakie to miłe uczucie trzymać ją tak wbrew jej woli, moją dzikuskę, moją harpię. Czuję na sobie jej spojrzenie przez kratkę konfesjonału i na chwilę to ja znajduję się w klatce. Niezwykle wrażenie. Słyszę jej przyspieszony oddech, domyślam się, jakiego niezwykle wysiłku woli wymaga od niej zachowanie spokoju, kiedy wymawia zwyczajowe słowa. Przez okno w górze wpada do konfesjonału światło, malując jej twarz w różowe i czarne romby, jak na płaszczu Arlekina.

- Proszę, proszę, przecież to moja Ailee, która zrezygnowała ze swoich kolorowych skrzydeł dla białych, obiecanych w niebie.

Nie jestem przyzwyczajony do tego rodzaju poufałości, do jakich dochodzi w konfesjonale. Staję się niecierpliwy - moje myśli zaczynają schodzić na manowce, zapuszczać się w rejony, o których najlepiej zapomnieć. Może o tym wie; milczy jak spowiednik, a nie grzesznica. Czuję to, lekkomyślnie wypowiadając słowa, których nie zamierzałem wyrzec.

- Przypuszczam, że nadal masz do mnie pretensje o tamto. - Milczenie. - O to, co się wydarzyło w Epinal.

Cofnęła twarz od kraty konfesjonału i ciemności mówią za nią. Czuję na sobie jej wzrok, pali mnie nim niczym rozpalonym żelazem. Przez trzydzieści sekund. Potem się poddaje, zgodnie z moimi przypuszczeniami.

- Chcę odzyskać moją córeczkę.

Bardzo dobrze. To jej słaby punkt; ma szczęście, że nie gramy na pieniądze.

- Okazało się, że muszę tu pozostać jakiś czas - mówię jej. - Nie mogę zaryzykować, że odjedziesz.

- Dlaczego nie? -W tonie jej głosu słyszeć teraz wściekłość, rozkoszując się nią. Potrafię sobie poradzić z jej gniewem. Potrafię go wykorzystać.

Delikatnie podsycam płomień.

- Będziesz musiała mi zaufać. Przecież cię nie zdradziłem, prawda?

Milczenie. Wiem, że myśli o Epinal.

- Chcę odzyskać Fleur - powtarza uparcie.

- A więc tak jej na imię? Mogłabyś ją codziennie widywać. Chciałabyś tego? - A potem dodaje chytrze: - Musi tęsknić za swoją matką. Biedactwo.

Wtedy wzdraga się - i wiem, że wygrałem tę partię.

- Czego chcesz, LeMerle?

- Twojego milczenia. Twojej lojalności.

To, co wydobyło się z jej gardła, jest zbyt chrapliwe, by mogło być śmiechem.

- Oszalałeś? Muszę stąd wyjechać. Już się o to postarałeś.

- Wykluczone. Nie mogę pozwolić, żebyś wszystko zepsuła.

- Co zepsuła? - Za szybko, LeMerle. Za szybko. - Nie znajdziesz tu wielkich pieniędzy. Cóż ty za grę prowadzisz?

Och, Julietto. Gdybym mógł ci powiedzieć. Jestem pewien, że byś to doceniła. Ty jedna byłabyś do tego zdolna.

- Później, ptaszyno. Później. Przyjdź do mojego domku dziś wieczorem, po komplecie. Czy możesz niepostrzeżenie wyjść z dormitorium?

- Tak.

- To dobrze. A więc do zobaczenia, Julietto.

- A co z Fleur?

- Do zobaczenia.

Przyszła tuż po północy. Siedziałem za swoim biurkiem z egzemplarzem „Polityki” Arystotelesa, kiedy usłyszałem, jak z cichym szcęknięciem otwierają się drzwi. Blask jednej świecy oświetlił jej luźną suknię, krótko obcięte włosy nabrały miedzianego połysku.

- Julietta.

Zostawiła swój habit i barbet najpewniej w dormitorium, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Z krótkimi włosami wyglądała jak urodziwy chłopak. Następnym razem, kiedy będziemy wystawiać balet klasyczny, powierzę jej partię Ganimeda albo Hiacynta. Nie odezwała się ani nie uśmiechnęła, zimny przeciąg powiał od otwartych drzwi.

- Wejdz.

Odłożyłem książkę i przysunąłem jej krzesło, ale nie raczyła na nim usiąść.

- Prędzej pomyślałabym, że czytasz jakieś budujące dzieła - powiedziała.

- Może Machiavellego albo Rebelais'go. Czyż twoim mottem nie jest teraz *Czyń, co ci się podoba?*

- Na głowę bije *Bądź wola Twoja* - odparłem, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Ale, ale, odkąd to masz prawo wygłaszać kazania na temat moralności? Jesteś w równym stopniu oszustką, co ja.

- Nie zaprzeczam - powiedziała. - Ale bez względu na to, co zrobiłam, zawsze pozostałam wierna sobie. I nigdy nie zdradziłam przyjaciela.

Z trudem powstrzymałem się, żeby jej nie odpowiedzieć. Dotknęła mnie do żywego. Zawsze miała do tego wyjątkowy talent.

- Proszę, Julietto - odezwałem się pojednawczo - czy musimy być wrogami? Proszę. - Wskazałem butelkę z rżniętego szkła, stojącą na półce biblioteczki. - Może kieliszek madery?

Pokręciła głową.

- W takim razie proponuję coś do jedzenia. Mam tu ciasto z miodem i owocami.

Milczenie. Wiedziałem, że przez cały dzień pościła, ale wydawała się niewzruszona. Twarz Julietty przypominała maskę, tylko oczy błyszczały. Wyciągnąłem rękę, by dotknąć jej policzka. Nigdy nie potrafiłem się oprzeć, by nie igrać z ogniem. Nawet kiedy byłem dzieckiem, pociągały mnie

niebezpieczne zabawy: chodzenie po linie z pętlą na szyi, podpalanie gniazd os, żonglowanie nożami, pływanie przez bystrza. Le Borgne nazywał to polowaniem na tygrysy i beształ mnie za to. Ale jeśli nie mamy się czego obawiać ze strony tego, za czym gonimy, jaka przyjemność z pościgu?

- Nie zmieniłaś się - powiedziałem z uśmiechem. - Jeden mój fałszywy ruch, a wydrapiesz mi oczy. Przyznaj to.

- Do rzeczy, LeMerle.

Jaką gładką miała skórę. Jej obcięte włosy roztaczały niewyraźną woń lawendy. Musnąłem dłonią jej gołe ramię.

- Czy o to ci chodzi? - spytała pogardliwie. - Czy tego chciałeś?

Gniewnie cofnąłem rękę.

- Wciąż taka podejrzliwa, Julietto? Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co ryzykuję? To nie zwykła gra. Mój plan jest tak śmiały i ambitny, że nawet ja...

Westchnęła, powstrzymując ziewnięcie. Urwałem, dotknięty do żywego.

- Widzę, że nudzą cię moje wyjaśnienia.

- Wcale nie. - Ton jej głosu świadczył o czymś wprost przeciwnym. - Ale jest późno. I chcę odzyskać moją córkę.

- Dawna Julietta by mnie zrozumiała.

- Dawna Julietta umarła w Epinal.

To zabolalo, chociaż się tego spodziewałem.

- Nie masz pojęcia o tym, co się stało w Epinal. Z tego, co wiesz, mogłem być całkowicie niewinny.

- Jak sobie chcesz.

- Cóż, myślałaś, że jestem święty? - Nie potrafiłem ukryć napięcia w swoim głosie. - Wiedziałem, że uda ci się z tego wyplatać. W przeciwnym razie coś bym wymyślił. Ułożyłbym jakiś plan. - Czekala grzecznie, odwróciwszy wzrok, jedną stopę postawiła palcami na zewnątrz, jak tancerka. - Do diabła, deptali mi po piętach. Już raz udało mi się ich oszukać, ale w końcu mnie dopadli. Czulem, że opuściło mnie szczęście. Bałem się. I karzeł o tym wiedział.

To Le Borgne nasłał ich na mnie, Julietto. Tylko on mógł to zrobić. Tak czy inaczej, był gotów sprzedać was za swoje bezpieczeństwo, łotr. Rzucił się na mnie i ugodził nożem o zatrutym ostrzu. Myślisz, że cię opuściłem? Wróciłbym po ciebie, gdybym mógł. Ale leżałem w rowie, chory, jeszcze przez wiele dni po tym, jak uciekłaś. Może czułaś się trochę dotknięta. Trochę zła. Ale nie mów, że byłem ci potrzebny. Nigdy mnie nie potrzebowałaś.

Musiało to zabrzmieć przekonująco - prawdę mówiąc, niemal sam w to uwierzyłem. Ale wciąż udając niewzruszoną, powtórzyła:

- Chcę odzyskać Fleur.

Znowu pohamowałem gniew. Miał metaliczny smak, jak fałszywa moneta.

- Proszę, Julietto. Przecież już ci mówiłem. Jutro mogę ci umożliwić spotkanie z Fleur. Nie pozwolę jej jednak wrócić do opactwa, przynajmniej jeszcze nie teraz. Może za jakiś czas wykorzystam swoje wpływy, żebyście znów byli razem. Jedyne, o co proszę w zamian, to rozejm. I przysługa. Drobną przysługą.

Wtedy podeszła do mnie i położyła mi dłonie na ramionach. Znowu poczułem zapach lawendy.

- Nie, nie chodzi mi o to.

- W takim razie o co?

- Niewinny żart. Psikus. Spodoba ci się. Zawahała się.

- Dlaczego? - spytała w końcu. - Co ty tu robisz? Cóż takiego możemy tutaj mieć, by cię to interesowało?

Roześmiałem się.

- Jeszcze przed chwilą cię to nie obchodziło.

- I nadal mnie nie obchodzi. Chcę odzyskać swoją córkę.

- Cóż, w takim razie czemu pytasz? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

Nie oszukasz mnie, Julietto. Zależy ci na tych biednych pingwinach, kryjących się w mroku. Są teraz twoją rodziną, jak kiedyś my, członkowie trupy Theatre des Cieux. Muszę powiedzieć, że to kiepska namiastka, ale dla każdego to, co lubi najbardziej.

- Nazwij to grą, jeśli chcesz - powiedziałem. - Zawsze chciałem wystąpić w roli księdza. Weź to. - Wręczyłem jej tabletki barwnika. - Tylko nie poplam sobie dłoni.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

- Co mam z tym zrobić? Powiedziałem jej.

- A potem zobaczę się z Fleur?

- Wyjedziemy z opactwa z samego rana. - Nagle zapragnąłem, żeby wyszła. Byłem zmęczony i zaczęła mnie boleć głowa.

- Jesteś pewien, że to niegroźne? Nikt przez to nie ucierpi?

- Ależ naturalnie. - No, niezupełnie.

Znów spojrzała na tabletki trzymane w dłoni.

- I chodzi tylko o tę... o tę drobną rzecz? Skinąłem głową.

- Chcę, żebyś to powiedział, LeMerle.

Wiedziałem, że chciała mi uwierzyć. Już taką ma naturę, jak moją naturą jest Oszukiwać. Mniej pretensję do Boga, że takim mnie stworzył. Postarałem się przemówić łagodnie, położywszy jej dłoń na ramieniu. Tym razem się nie wzdrygnęła.

- Zaufaj mi, Julietto - mruknąłem. Do jutra.

22 lipca 1610

Pośpiesznie wróciłam do klasztoru. Noc była widna; na bezchmurnym niebie srebrzył się sierp księżycy, a gwiazdy świeciły wystarczająco jasno, by na drodze za domkiem furtiana kładły się cienie. W oddali, tuż nad niewyraźną linią morza, dostrzegłam chmury ciemniejsze od nieba. Może spadnie deszcz. Kiedy weszłam do dormitorium, wyteżyłam słuch, by wyłować jakieś podejrzane odgłosy, ale niczego nie usłyszałam.

W ciągu pięciu lat dobrze poznałam oddechy moich śpiących sąsiadek. Poznałam ich nocne zwyczaje, westchnienia i pojękiwania przez sen. Minęłam siostrę Tomasinę śpiącą tuż obok drzwi, cienko pogwizdującą przez sen. Obok niej spała siostra Benedykta, jak zwykle na brzuchu, z szeroko rozłożonymi rękoma. Dalej Piete, równie skromna, kiedy spała, jak kiedy czuwała; potem kolejno Żermena, Klementyna i Małgorzata. Przechodząc obok niej, musiałam wykorzystać całą swoją zwinność tancerki, żeby jej nie obudzić; ale i tak się poruszyła, kiedy ją mijałam, jedną rękę wyrzuciła w błagalnym geście. Potem było puste poślanie Alfonsyny, a naprzeciwko niego leżała Antonina z rękami skromnie złożonymi na piersiach. Oddychała lekko, bez wysiłku. Czyżby nie spała? Niczym się nie zdradziła. A jednak wydawało mi się, że leży zbyt nieruchomo, zbyt spokojnie, ręce miała ułożone z większą gracją i wdziękiem, niż się to zwykle obserwuje u śpiących.

Cóż, trudno. Jeśli nie spała, mogłam tylko mieć nadzieję, że niczego nie podejrzewa. Wślizgnęłam się pod koc, szelest pościeli ocierającej się o moją skórę wydał mi się bardzo głośny na tle szmeru oddechów. Kiedy odwróciłam się do ściany, żeby usnąć, usłyszałam, jak Antonina zachrapała głośno i moje obawy częściowo się rozwiały, chociaż jednocześnie pomyślałam sobie, że w tym chrapnięciu było coś fałszywego, było to zbyt wystudiowane,

zastanawiające, że wydarzyło się akurat w tym momencie. Z determinacją zamknęłam oczy. Nieważne. Nic się nie liczyło poza Fleur. Ani Antonina, ani Alfonsyna - nawet LeMerle, teraz sam w swoim malutkim pokoju, wśród książek. A jednak to LeMerle, a nie moja córeczka, przyśnił mi się tamtej nocy. Nic mnie nie obchodzi jego gry, powiedziałam sobie, kiedy zasypiałam. Ale i tak przyśnił mi się, stał na drugim brzegu wezbranej rzeki, wyciągał ręce i krzychał coś do mnie, lecz jego słowa zagłuszał ryk wody.

Kiedy się obudziłam, policzki miałam mokre od łez. Dzwonił dzwon na czuwanie, siostra Małgorzata stała w nogach mojego łóżka, trzymając lampę w uniesionej ręce. Wymamrotałam zwyczajowe „Niech będzie pochwalony” i wstałam pośpiesznie, po omacku szukając pod materacem tabletek barwnika, które dał mi LeMerle. Były owinięte w kawałek szmatki, żebym nie poplamiała sobie palców. Wiedziałam, że nie sprawi mi większych trudności pozbycie się tabletek zgodnie z instrukcją. Kiedy to zrobię, zobaczę swoją córeczkę.

A jednak się zawahałam. Uniosłam malutką paczuszkę do nosa i powąchałam ją. Poczułam żywiczną, słodkawą woń; tak pachniała guma arabska i szkarłatny pigment, który Giordano nazywał krwią smoka. Poczułam jeszcze coś: zapach korzeni - imbiru albo anyżku. LeMerle powiedział, że to nieszkodliwe.

Naszego nowego spowiednika nie było na czuwaniu, ani na jutrzni, ani na prymie. W końcu pojawił się podczas kapituły, ale powiedział, że ma coś do załatwienia w Barbatre, i wybrał dwie siostry - wydawało się, że na chybił trafił - by mu towarzyszyły. Jedną byłam ja. Drugą Antonina.

Kiedy ojciec Colombin przemawiał w kapitulacji, a Antonina sypała ziarno kurom i kaczkom, ja przygotowałam konia LeMerle'a do podróży. Oczywiście Antonina i ja pójdziemy pieszo, ale nowy spowiednik będzie jechał konno, jak przystało osobie zajmującej taką pozycję. Przeciągnęłam zgrzeblem po zadzie jabłkowitego wierzchowca i umocowałam siodło, a w tym czasie Antonina nakarmiła naszą trzódkę - muła, dwa kucyki i kilka krów - sianem

przechowywanym w głębi stodoły. Minęła przeszło godzina, nim LeMerle dołączył do nas. Zobaczyłam, że zrezygnował z sutanny na rzecz obcisłych spodni i wysokich butów, stroju znacznie wygodniejszego do konnej jazdy. Na głowie miał kapelusz z szerokim rondem, chroniącym oczy przed słońcem. Tak przypominał siebie z dawnych czasów, że aż ścisnęło mi się serce.

Był dzień targowy i kiedy ruszyliśmy w drogę, LeMerle powiedział, że chce, byśmy kupiły mu coś do jedzenia. Antoninie oczy się zaświeciły na wzmiankę o zakupach, ale ja na wszelki wypadek szłam z wzrokiem wbitym w ziemię. Ciekawa byłam, jaką przysługę wyświadczyła mu Antonina - albo miała wyświadczyć - w zamian za tę wyprawę do miasta, czy też naprawdę wybrał ją na chybił trafił. Może zwyczajnie bawił go widok grubej zakonnicy, spoconej i zasapanej, drepczącej zakurzoną drogą za jego koniem. Nie miało to żadnego znaczenia. Wkrótce zobaczę Fleur.

Szliśmy wolniej, niż tego pragnęło moje szybko bijące serce, a i tak Antoninie upał mocno się dawał we znaki. Byłam od niej bardziej przyzwyczajona do chodzenia i chociaż niosłam na plecach wielki wór ziemniaków, które miałyśmy sprzedać na targu, nie czułam zmęczenia. Kiedy dotarliśmy do Barbatre, słońce stało już wysoko na niebie. Zarówno na przystani, jak i na placu targowym panował ożywiony ruch. Handlarze ciągnęli tu z całej wyspy, czasem nawet z lądu stałego, jeśli była otwarta grobla; tak się zdarzyło akurat dziś; woda osiągnęła najniższy poziom i wszędzie kłębili się ludzie.

Gdy tylko znaleźliśmy się na głównej ulicy, przywiązaliśmy konia obok wodopoju, Antonina poszła z koszykiem po zakupy, a ja podążyłam za LeMerle'em, tam gdzie był największy tłum.

Targ trwał już od kilku godzin. Dobiegał mnie zapach pieczonego mięsa i pasztetu, siana, ryb, wyrobów skórzanych i ostra woń świeżego nawozu. Jeden wóz niemal zablokował przejście, dwaj mężczyźni stawiali na ziemi skrzynki z kurczakami. Rybacy wyladowywali ze swoich kutrów więcierze pełne homarów

i skrzynki z rybami. Kilka kobiet zajętych było przy sieciach rybackich, czyściły je z wodorostów i naprawiały. Dzieciaki obsiadły mur wokół dziedzińca przed kościołem i gapiły się na ludzi. Powietrze było ciężkie od smrodu i gęste od much. Panował rejwach wprost nie do zniesienia. Po pięciu latach właściwie pustelniczego życia odzwyczaiłam się od takich tłumów, krzyków, zapachów. Za dużo tu było ludzi; zbyt wielu handlarzy, plotkarzy i pamflecistów. Jednonogi mężczyzna, stojący za straganem pełnym pomidorów, cebul i błyszczących bakłażanów, mrugnął do mnie i rzucił sprośną uwagę, kiedy go mijalam. Kupujący zatykali nosy, stojąc w kolejce przed straganem rzeźnika, mięso było fioletowe od much i czarne od zaschniętej krwi. Na podartym kocu siedział żebrak bez nóg i tylko z jedną ręką; naprzeciwko niego jakiś chłopak grał na fujarce, a mała dziewczynka w dziurawej sukieneczce sprzedawała paczuszki solonych ziół, przytroczonych do grzbietu małej brązowej kozy. Kilka starych kobiet z niezwykłą wprawą robiło koronki, ich siwe głowy niemal się stykały nad robótką, w powykręcanych palcach śmigały szydelka. Cóż by byli z nich za kieszonkowcy! Zgubiłam się w tłumie. Przystanęłam obok handlarza rycin, sprzedającego rysunki przedstawiające egzekucję Francois Ravaillaca, zabójcy Henryka. Jakaś gruba, niesympatyczna kobieta z tacą pasztecików próbowała się przepchnąć obok mnie. Jeden z pasztecików spadł na ziemię i pękł, ukazując czerwone owoce. Kobieta skrzyczała mnie opryskliwym tonem. Uciekłam, twarz mnie piekła.

Właśnie wtedy zobaczyłam Fleur. Dziwne, że nie zauważyłam jej wcześniej. Stała niespełna dziesięć kroków ode mnie, za straganem z rybami, główkę miała lekko odwróconą, brudna czapeczka zasłaniała jej loki, w pasie przewiązana była fartuszkim, o wiele na nią za dużym. Na jej buzi malował się wyraz dziecięcego obrzydzenia, rączki umazane miała rybimi odpadkami. W pierwszym odruchu chciałam ją zawołać i porwać na ręce, ale powstrzymałam się. Zamiast tego spojrzałam na LeMerle'a, który pojawił się u mojego boku i przyglądał mi się badawczo.

- Co to ma znaczyć? - spytałam. Wzruszył ramionami.

- Chciałaś ją zobaczyć, prawda?

Obok Fleur stała kobieta o ponurej twarzy. Ona też miała na sobie fartuch i zarekawki, żeby chronić ręce przed cuchnącym towarem, leżącym na straganie. Kiedy na nią patrzyłam, jakaś klientka pokazała rybę, którą chciała kupić, i kobieta o ponurej twarzy wręczyła ją Fleur do wypatroszenia. Fleur skrzywiła buzię, wbijając krótki nóż w brzuch ryby, ale zdumiała mnie wprawa, z jaką to zrobiła. Rączkę miała przewiazaną bandażem, teraz poplamionym rybimi wnętrznościami. Widocznie nie od razu nabrała takiej wprawy.

- Na litość boską, ona ma pięć lat! Dlaczego zmuszają ją do takiej pracy?
LeMerle pokręcił głową.

- Nie bądź niemądra. Dziecko musi zarobić na swoje utrzymanie. Trafiała do wielodzietnej rodziny. Dodatkowa gęba do wyżywienia to dla rybaka duży kłopot.

Dla rybaka! A więc Antonina miała rację. Spojrzałam na kobietę, starając się sobie przypomnieć, czy już ją kiedyś widziałam. Może być z Noirs Moustiers, pomyślałam; wygląda na kobietę stamtąd. Ale równie dobrze mogła przyjechać z Pornic albo Fromentine; lub nawet z Le Devin bądź jednej z mniejszych wysepek.

LeMerle zauważył, że się jej przyglądam.

- Nie martw się - powiedział cierpko. - Twoja córka jest pod dobrą opieką.

- Gdzie?

- Zaufaj mi.

Nie odpowiedziałam. Już wpatrywałam się w swoją córeczkę, notując każdą zmianę, jaka w niej zaszła, a wszystkie sprawiły mi ból. Patrzyłam na jej mizerną buzię, z której zniknęły zdrowe rumieńce. Na jej sukienkę, nie tę, którą nosiła w opactwie, ale po jakimś innym dziecku, z gryzącej brązowej wełny. I na jej oczy: oczy dziecka pozbawionego matki.

Odwrociłam się do LeMerle'a.

- Czego chcesz?
- Powiedziałem ci. Twojego milczenia. Twojej lojalności.
- Masz to. Obiecuję. - Podniosłam głos, nie mogąc się opanować. -

Obiecałam ci to ostatniej nocy.

- Ostatniej nocy nie traktowałaś swojej obietnicy poważnie - powiedział. - Teraz tak.

- Chcę z nią porozmawiać. Chcę ją zabrać z powrotem!

- Niestety, nie mogę na to pozwolić. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Nie, póki się nie upewnię, że nie zabierzesz dziecka i nie znikniesz. - Musiał wtedy dostrzec, że gotowa jestem go zabić, bo się uśmiechnął. - A na wypadek gdyby ci coś przyszło do głowy, wydano dokładne polecenia, co zrobić w razie, gdyby przytrafiło mi się jakieś nieszczęście - ostrzegł. - Bardzo *dokładne* polecenia.

Z trudem się opanowałam.

- W takim razie pozwól mi z nią porozmawiać. Tylko przez chwilę. Proszę, Guy.

Okazało się to trudniejsze, niż przypuszczałam. LeMerle powiedział mi, że jeśli wzbudzę najmniejsze podejrzenia albo spowoduję jakieś kłopoty, nie będę miała więcej okazji zobaczyć Fleur. Ale musiałam zaryzykować. Ruszyłam wolno przez tłum w kierunku straganu z rybami, powściągając swoje zniecierpliwienie. Stałam między dwiema kobietami, jedna poprosiła o pięćdziesiąt barwen, druga wymieniała się przepisami z żoną rybaka. Za mną tłoczyli się inni klienci. Fleur spojrzała na mnie i przez chwilę myślałam, że mnie nie poznaje. Potem buzia jej się rozpromieniła.

- Ciii... - szepnęłam. - Nic nie mów.

Fleur zrobiła zaskoczoną minę, ale ku mej wielkiej uldze skinęła główką.

- Posłuchaj mnie - powiedziałam cicho. - Nie mam dużo czasu.

Jakby na potwierdzenie mych słów żona rybaka obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem, nim zajęła się odliczaniem barwen. Zmówiłam w

duchu modlitwę dziękczynną za kobietę, która zapragnęła kupić tak dużą liczbę ryb.

- Przyniosłaś Mouche? - spytała Fleur cieniutkim głosikiem. - Przyszłaś, żeby zabrać mnie do domu?

- Jeszcze nie. - Jej malutka buzia poszarzała z żalości i znów zwalczyłam pragnienie porwania jej w ramiona. - Słuchaj, Fleur. Gdzie mieszkasz? W chacie? W wozie? Na wsi?

Fleur spojrzała na żonę rybaka.

- W chacie. Z dziećmi i psami.

- Czy przejeżdżałaś groblę?

- *Przepraszam.* - Jakaś postawna kobieta wepchnęła się między nas, wyciągając ręce po paczkę ryb. Cofnęłam się do kolejki kupujących; ktoś zawołał zniecierpliwiony:

- Pośpiesz się, siostrzyczko! Mamy rodziny do wykarmienia!

- Fleur, posłuchaj. Czy mieszkasz na wyspie? Czy jechałaś groblą?

Fleur skinęła główką, a po chwili pokręciła nią, czym doprowadziła mnie do szału. Ktoś stanął między nami i znów straciłam swoją córeczkę z oczu.

- Fleur! - O mało się nie rozplakałam, czując się zupełnie bezsilna.

Postawna kobieta wcisnęła się obok mnie, tłum napierał na mnie z tyłu, a klientka, która już poprzednio zwróciła mi uwagę, zaczęła wygłaszać mowę na temat ludzi, którzy stoją i plotkują w kolejkach. - Kochanie, czy jechałaś groblą?

Przez sekundę wydawało mi się, że Fleur mi odpowie. Zaskoczona, wyglądała, jakby próbowała coś powiedzieć albo sobie przypomnieć, dać mi jakąś wskazówkę, która pozwoliłaby mi się zorientować, gdzie jest przetrzymywana. Czy nie rozumiała słowa „grobla”? Czy wywieziono ją z wyspy łodzią?

Potem kobieta z barwenami odwróciła się w moją stronę i wiedziałam już, że straciłam okazję dowiedzenia się prawdy. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła

się, wyciągając w moją stronę kosz z rybami, który trzymała w grubych czerwonych rękach.

- Jak myślisz? - spytała. - Czy starczy na dzisiejszą kolację?

To była Antonina.

Droga powrotna do domu była męcząca. Teraz dźwigałam na plecach ryby, w panującym upale ich odór stawał się coraz silniejszy mimo dużej ilości wodorostów, które miały utrzymać je w chłodzie. Poza tym wiklinowy kosz był bardzo ciężki, woda kapła mi na ramiona i włosy, cały habit miałam mokry od słonej wody. Antonina była w wesołym nastroju, bez przerwy mówiła o tym, co załatwiła na targu, powtarzała zasłyszane plotki, opowiadała, co widziała, czego się dowiedziała. Handlarz z głębi kraju przyniósł wiadomość o grupowej ofierze w intencji świętej Krystyny, w Angers powieszono kobietę za to, że przebrała się za mężczyznę, krążyły plotki, że rybak z Le Devin złapał rybę o dwu głowach - niechybny znak, że nadejdzie nieszczęście. Nie wspomniała o Fleur i przynajmniej za to byłam jej wdzięczna. Jednak wiedziałam, że ją widziała. Mogłam tylko mieć nadzieję, że będzie trzymała język za zębami.

Wracaliśmy do opactwa ścieżką nad brzegiem morza. Była to dłuższa droga, ale LeMerle nalegał, żeby wrócić tą trasą - ostatecznie jechał konno i kilometr czy dwa więcej nie miały dla niego żadnego znaczenia. Ja też lubiłam wtedy spacerować, za groblą, wzdłuż wydm, ale teraz, dźwigając kosz ryb, zapadając się w miękkim piasku, nie byłam zbyt zadowolona. LeMerle'owi natomiast sprawiało wielką przyjemność obserwowanie morza, zadał kilka pytań o przyływy i o jakiej porze można się wydostać z wyspy. Udałam, że nie słyszę, ale Antonina z radością mu odpowiedziała.

Do opactwa dotarliśmy po południu. Byłam wyczerpana, prawie nic nie widziałam, przez całą drogę mrużąc oczy przed słońcem, zapach ryb przyprawiał mnie o mdłości. Z ulgą zostawiłam kosz ze śmierdzącą zawartością w kuchni. W głowie mi się kręciło, a z upału zupełnie zaschło w gardle, więc skierowałam się przez zewnętrzny dziedziniec w stronę studni. Już miałam

opuścić wiadro, by zaczerpnąć wody, kiedy usłyszałam za sobą krzyk. Odwróciłam się i zobaczyłam Alfonsynę.

Wyglądała, jakby w pełni doszła do siebie po wczorajszym ataku; oczy miała błyszczące, policzki zaczerwienione. Biegła w moją stronę, najwyraźniej bardzo przejęta.

- Na litość boską, nie tykaj wody! - wysapała. - Nie wiesz, co się stało?

Zamrugałam powiekami. Kompletnie zapomniałam o tabletkach barwnika, które dostałam od LeMerle'a, i jego instrukcjach, co z nimi zrobić. Gdziekolwiek spojrzałam, widziałam buzię swojej córeczki, jak wtedy, kiedy za długo patrzy się na słońce.

- Studnia, niech Bóg nas ma w swojej opiece, studnia! - krzyknęła Alfonsyna ze zniecierpliwieniem. - Siostra Tomasina chciała nabrać wody do gotowania, ale się okazało, że *woda przemieniła się w krew!* Matka Izabela zabroniła komukolwiek jej używać.

- W krew? - powtórzyłam.

- To omen - wyjaśniła Alfonsyna. - To kara dla nas za pochowanie biednej matki Marii na zagonie kartoflanym.

Mimo zmęczenia udało mi się powstrzymać uśmiech.

- Może woda zrobiła się czerwona od żyły tlenku żelaza w piasku - bąknęłam. - Albo warstwy czerwonej gliny.

Alfonsyna pokręciła głową.

- Powinnam była wiedzieć, że powiesz coś takiego - zauważyła wyniośle.

- Można by pomyśleć, że nie *wierzysz* w Diabła, tak zawsze próbujesz znaleźć logiczne wytłumaczenie wszystkiego.

Nie, była pewna, że to sprawka Szatana. Matka Izabela też była tego pewna, i to do tego stopnia, że postanowiła poprosić ojca Colombina, by pobłogosławił studnię i cały teren opactwa. Wtedy Alfonsyna oświadczyła, że też czuje się nieczysta i nie będzie mogła spać spokojnie, póki ojciec Colombin nie zbada jej dokładnie, by się upewnić, że nie został w niej żaden ślad po

spotkaniu z Diabłem. Kiedy siostra Małgorzata to usłyszała, złapał ją skurcz w lewej nodze, czym nowy spowiednik też obiecał się zająć. Powiedziałam sobie, że jak tak dalej pójdzie, opactwo wkrótce zacznie przypominać raczej dom wariatów.

- A co z wodą? - spytałam. - Co bez niej zrobimy? Jej twarz się rozpromieniła.

- Stał się cud! Koło południa przyjechał woźnica z dwudziestoma pięcioma beczkami piwa. Powiedział, że to dar dla ksieni. Podczas kopania nowej studni nikt nie będzie chodził spragniony.

Tamtego wieczoru dostałyśmy na kolację chleb, piwo i barweny. Jedzenie było smaczne, ale nie miałam apetytu. Coś mi nie grało - to rozstawienie stołów, to milczenie obecnych, ten wygląd potraw na talerzach. Wszystko to wzbudziło mój niepokój. Kiedy tańczyliśmy dla króla Henryka w Palais Royal i prowadzono nas przez Salę Lustrzaną, miałam takie samo wrażenie: jakby wszystko było odwrócone, stanowiło jedynie zniekształcone odbicie rzeczywistości. Chociaż może tylko mi się wydawało.

Matka Izabela zmówiła modlitwę i w milczeniu przystąpiłyśmy do jedzenia. Właściwie panowała kompletna cisza, jeśli nie liczyć głośnego mlaskania bezzębnej Rozamundy, nerwowego tupania lewą nogą przez Małgorzatę i brzęku sztućców. Dałam znak siostrze Antoninie, żeby wzięła z mojego talerza to, czego nie zjadłam, co uczyniła z radosną skwapliwością, jej małe, słabe oczka zaświeciły się pożądliwie. Jedząc, spojrzała na mnie kilka razy, i zastanawiałam się, czy przyjęła dodatkową porcję jako zapłatę za milczenie na temat Fleur. Zostawiłam jej też większość piwa, sama posilając się wyłącznie chlebem. Zapach ryby, nawet gotowanej, przyprawiał mnie o mdłości.

Może właśnie to albo niepokój o Fleur sprawiły, że tamtego wieczoru tak wolno do mnie wszystko docierało, bo minęło dziesięć minut albo więcej, nim uświadomiłam sobie, co jest źródłem mojego niepokoju. Perette nie siedziała na

swoim zwykłym miejscu wśród nowicjuszek. LeMerle też był nieobecny, chociaż nie spodziewałam się go ujrzeć. Zastanawiałam się, gdzie może być Perette. Przypomniałam sobie, że ostatni raz widziałam ją wczoraj na pogrzebie; od tamtej pory nigdzie - ani w krużgankach, ani kiedy pracowałam w piekarni, ani później podczas seksty w kaplicy, ani w kapitularku, ani teraz na kolacji - nigdzie nie widziałam choćby przelotnie swojej przyjaciółki.

Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, że okazałam się taka nielojalna. Od zniknięcia Fleur mało uwagi poświęcałam Perette - prawdę mówiąc, ledwo ją zauważałam. Mogła być chora - właściwie nawet miałam taką nadzieję. To tłumaczyłoby jej nieobecność. Ale serce mi mówiło, że nie jest chora. Nie domyślałam się, jakie zamiary może żywić LeMerle względem niej; uznałam, że jest chyba za młoda jak na jego gust i zbyt dziecinna, by mógł mieć z niej jakiś pożytek, ale mimo to nie wątpiłam ani przez chwilę - Perette była z LeMerle'em.

23 lipca 1610

A więc zaczęło się. Akt pierwszy, jeśli wolicie, tragikomedii w pięciu aktach. Główne role zostały już przydzielone - szlachetny bohater, piękna heroina, zaczątek intrygi i chór dziewic w stylu tragedii starogreckiej, wszyscy wykonawcy na swoich miejscach - z wyjątkiem czarnego charakteru, który niewątpliwie pojawi się w stosownej chwili.

Krew w studni stanowiła zaczyn. Teraz mniszki szukają znaków i cudów - ptaków lecących na północ, jaj z podwójnymi żółtkami, niecodziennych zapachów, niespodziewanej suszy - a wszystko to jest wodą na mój młyn. Na dobrą sprawę nie muszę nic robić, żeby to się działo; siostry, tak długo pozostające w zamknięciu bez niczego, co mogłoby rozproszyć nudę, zobaczą dokładnie to, co chcę, żeby zobaczyły. Wystarczy je tylko trochę naprowadzić.

Siostra Antonina okazała się wprost nieoceniona. Łatwo ją kupić - jabłkiem, pasztecikiem, a nawet dobrym słowem -by się od niej dowiedzieć plotek, krążących w opactwie, poznać wszystkie jego małe sekrety. To Antonina, działając zgodnie z moim poleceniem, złapała sześć czarnych kotów i wypuściła je na terenie klasztoru. Spowodowały spustoszenia w mleczarni i przyniosły pecha co najmniej czterdziestu dwóm zakonnicom, którym niechcący przebiegły drogę. Również ona znalazła ziemniak w kształcie diabelskich rogów i podała go matce Izabeli na kolację; i tak wystraszyła siostrę Małgorzatę, ukrywając żaby w pojemniku na jedzenie, że ta dostała spazmów. Jej własną małą tajemnicę - o dziecku i jego przedwczesnej śmierci - poznałem dzięki siostrze Klementynie, która z pogardą odnosi się do grubej zakonnicy i pragnie się wkupić w moje łaski. Naturalnie nie uda jej się to, ale ona też jest spragniona pochlebstw i, prawdę mówiąc, wolę ją od Alfonsyny, płaskiej jak deska, czy Małgorzaty, suchej jak szczapa i wiecznie gnębionej przez nerwowe tiki.

Siostra Anna nie jest taka skora do współpracy, a szkoda. Korzyści z posiadania współniczki, która nie mówi, są nie do przecenienia. Jeśli dobrze się znam na ludziach, to ta mała dzikuska jest bystrzejsza, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Tak czy inaczej, równie łatwo ją wytresować, jak mądrego psa, a może nawet małpkę. Moja Julietta naturalnie jest do niej bardzo przywiązana - dodatkowa korzyść na wypadek, gdybym w jakiś sposób stracił nad nią kontrolę, posługując się jej córeczką.

Ach, Juliettą. Uskrzydłonej wciąż nie bawią moje psoty, chociaż w głębi duszy jest zirytowana zamieszaniem, które wywołują. Jakie to do niej podobne: chociaż przez całe życie odczynia uroki i wypowiada różne magiczne zaklęcia, pozostała osobą niezwykle trzeźwą i praktyczną. Wiedziałem, że nie da się zwieść sztuczkami i waporami, ale teraz w równym stopniu odpowiada za powstałe zamieszanie, jak ja, więc mnie nie wyda. Kusi mnie, i to bardzo, żeby jej zaufać. Ale już i tak dosyć zaryzykowałem. Poza tym ma godną pożałowania skłonność do lojalnego postępowania i gdyby wiedziała, co planuję,

prawdopodobnie próbowałyby mnie powstrzymać. Nie, moja droga; ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję podczas tego przedsięwzięcia, są wyrzuty sumienia.

Dziś pojechałem do Barbatre i spędziłem większą część popołudnia na grobli, obserwując przyływy i odpływy morza. Ten widok zawsze wpływa na mnie uspokajająco, a poza tym stanowi tak pożądane wytchnienie od opactwa i coraz większych żądań dobrych siostrzyczek. Jak one mogą to znosić?

Pozostawać zamkniętym w klatce jak kurczaki, w kółko grzebiąc na tym samym, niewielkim podwórku? Jeśli o mnie chodzi, nigdy nie umiałem znieść jakichkolwiek ograniczeń. Potrzebuję powietrza, nieba, dróg biegnących w różne strony świata. Poza tym mam do wysłania listy, co najlepiej zrobić bez wiedzy mojej Izabeli; powinien wystarczyć tydzień, zapłata po otrzymaniu odpowiedzi. Przyływy są co jedenaście godzin - niewielu mieszkańców wyspy o tym wie, chociaż to bardzo użyteczna wiedza, i grobla jest otwierana na niespełna trzy godziny. Gdzieś czytałem, że to wahanie poziomu wody w morzach ma jakiś związek z księżycem. Słyszy się i takie herezje, że Słońce przyciąga Ziemię; z całą pewnością przyływ jest większy podczas pełni, a mniejszy podczas nowiu. W latach chłopięcych wielokrotnie byłem karany za okazywanie zainteresowania takimi sprawami - nazywano to *niezdrową ciekawością*, prawdopodobnie by odróżnić ją od całkowitej obojętności moich pobożnych nauczycieli - ale nigdy na dobre mnie nie wyleczono z tych grzesznych skłonności. Możecie to nazwać przewrotnością, ale właśnie *Bóg sprawił*, że owo wytłumaczenie nigdy nie wydawało mi się dostatecznie satysfakcjonujące.

24 lipca 1610

Dwa ostatnie dni upłynęły nam na wytężonej pracy. Oficjalnie zawieszono zostały zwykłe nabożeństwa, odprawiane w kaplicy, ponieważ LeMerle zajęty jest czym innym. Bierzymy udział jedynie w laudzie i czuwaniu. Mnie i siostrze Żermenie zlecono wykopanie nowej studni, w związku z czym zwolniono nas prawie ze wszystkich innych obowiązków. Perette wciąż jest nieobecna, ale nikt nie mówi o jej zniknięciu, a coś mnie powstrzymuje przed zadawaniem zbyt wielu pytań; naturalnie nie mam odwagi rozmawiać o tym z LeMerle'em. Jeśli chodzi o pozostałe zakonnice, dyskutują wyłącznie o diabłach i klątwach. Zajrzano do każdej księgi w skryptorium, przypomniano sobie wszystkie dziwne historie. Piete opowiedziała o jakimś mężczyźnie z jej wioski, który wiele lat temu wykrwawił się na śmierć w wyniku rzucenia na niego uroku. Małgorzata mówi o morzu krwi w Apokalipsie świętego Jana i przysięga, że dzień Sądu Ostatecznego jest już bliski. Alfonsyna przypomniała sobie, że kiedyś odmówiła jałmużny jakiemuś żebrakowi, i boi się, że mógł pod nosem wymamrotać jakąś magiczną formułę, więc może ciąży na niej klątwa. Tomasi-na proponuje przeciwko urokom talizman z jarzębiny i szkarłatną wstążkę. Można by to uznać za zabawne, gdyby zarazem nie było trochę przerażające; chociaż nowa ksieni i jej spowiednik nie uznali oficjalnie naszej świętej z wyspy, do południa z pięćdziesiąt świeczek zapłonęło pod posągami Marie-de-la-mer, u jej stóp wyrósł stos darów -głównie kwiatów, ziół i owoców, a powietrze jest aż niebieskie od dymu kadzidła.

Matka Izabela nie kryje wściekłości.

- Nie macie prawa brać spraw w swoje ręce! - warknęła, kiedy Benedykta powiedziała, że tylko próbujemy pomóc. -W takiej sytuacji reguła zabrania zwracania się o wstawiennictwo do świętej - jeśli w ogóle nią jest. Co się zaś ty-

czy tego - wskazała na dary - jest to równoznaczne z praktykami pogańskimi i każe to wszystko usunąć.

Tymczasem LeMerle'a wszędzie pełno. Przez cały ranek słyszałam jego głos, rozlegający się na dziedzińcu: wołał, grzmiał, wydawał polecenia: robotnikom - zatrudnił trzech, by obejrzelni uszkodzenia dachu kaplicy i oszacowali koszt naprawy; woźnicy, który dostarczył zapasy - worki mąki i kasz, kapusty białej i włoskiej, skrzynkę pulard do hodowania. Siostra Małgorzata zajmuje się teraz zarówno zaopatrzeniem, jak i gotowaniem. Wyraźnie triumfuje, widząc pełną zazdrości minę Antoniny. Zauważyłam, że triumfuje też nad LeMerle'em, często pytając go, jak najlepiej przechowywać kasze, jak suszyć zioła, czy w poście dozwolone jest spożywanie ryb.

Następnie odprawił egzorcyzmy przy studni, zmówił modlitwy, po czym na głucho zabito otwór wiekiem i wszystko zamurowano. Potem znów wrócił do kaplicy i rozmów o dachu, kominach i podporach. Później z powrotem udał się do domku furtiana, a Izabela podążała za nim wszędzie jak mała, posępna zjawa.

W panującym skwarze praca przy kopaniu studni posuwała się wolno i była niezwykle znojna. Nim nastąpiło południe, cały habit miałam uwalany żółtą gliną, która grubą warstwą zalega pod piaskiem. Ta glina zapobiega wypływowi wody z warstwy wodonośnej w głębi ziemi. Wystarczy ją przebić, by trysnęła woda. Początkowo jest słonawa, ale w miarę jak studnia się wypełnia, staje się coraz czystsza i słodsza. Wiem, że to woda morska, przefiltrowana przez drobny piasek. Nasza praca jest na półmetku, wydobytą glinę ostrożnie gromadzimy dla siostry Benedykty, naszego garncarza, która zrobi z niej miski i kubki, używane w refektarzu.

Minęło południe. Ponieważ Żermena i ja wykonujemy pracę fizyczną, dostałyśmy na obiad mięso i piwo - chociaż zgodnie z nowymi porządkami, wprowadzonymi przez matkę Izabelę, główny posiłek spożywany jest teraz po sekście, a w południe dostajemy jedynie kawałek czarnego chleba, posypanego

solą. Ale i tak jestem wyczerpana, skóra na rękach pomarszczyła mi się od słonej wody, oczy mam zaczerwienione. Na nogach porobiły mi się bolesne otarcia, w stopy wbijają się kamienie, kiedy po omacku pracuję w głębokim dole. Wody jest coraz więcej, żółta glina ustępuje miejsca czarnemu mułowi, w którym połyskują kawałeczki miki. Siostra Żermena wyciąga muł kubłami na górę. Wykorzystamy go do uprawy warzyw, bo chociaż cuchnie, prawie wcale nie jest słony, za to bardzo żyzny.

Kiedy nadszedł chłodny wieczór i zaczął zapadać mrok, siostra Żermena pomogła mi się wygramolić ze studni. Ona też była zabłocona, ale ja byłam wprost cała umazana, moje włosy zeszywniały od błota, chociaż głowę obwiązałam chustką, twarz miałam brudną jak u jakiejś dzikuski.

- Woda tutaj jest dobra - orzekłam. - Już jej spróbowałam.

Żermena skinęła głową. Nigdy nie była zbyt rozmowna, a od przybycia nowej ksieni prawie w ogóle przestała się odzywać. Uderzyło mnie, że od jakiegoś czasu u jej boku nie widzę Klementyny. Może się pokłóciły, pomyślałam sobie, bo w dawnych czasach były nierozłączne. Jakie to smutne, że zaledwie trzy tygodnie po śmierci matki przełożonej określam moje wcześniejsze życie tutaj mianem „dawnych czasów”.

- Będziemy musiały zabezpieczyć ściany dołu - powiedziałam Żermenie. - Glina się osuwa i zanieczyszcza wodę. Można temu zapobiec, tylko okładając ściany wykopu deskami, a potem wzmacniając je kamieniami zalanyymi zaprawą murarską.

Zrobiła kwaśną minę i przypomniał mi się Le Borgne.

- Znasz się na tym, co? - odparła. - Cóż, jeśli myślisz, że w ten sposób zaskarbisz sobie łaski nowej ksieni, to czeka cię przykre rozczarowanie. Lepiej, jak dostaniesz w kościele napadu hysterii albo doniesiesz na kogoś podczas spowiedzi, a jeszcze lepiej, jeśli poinformujesz o ziemniaku monstrum albo trzynastu srokach w polu.

Spojrzałam na nią zdumiona.

- Cóż, przecież wszyscy tego chcą, nieprawdaż? - wyjaśniła Żermena. -
Całej tej gadaniny, tych bzdur o diabłach i klątwach. Pragnie o tym słuchać,
więc spełniają jej życzenie.

- Czyje życzenie?

- Dziewczynki. - Słowa Żermeny dziwnie przypominały te, które
wypowiedziała Antonina tamtego dnia, kiedy zabrali Fleur. - Tej okropnej małej
pannicy. - Przez chwilę milczała, na jej cienkich ustach błąkał się dziwny
uśmiech. - Szczęście to taka krucha rzecz, prawda, siostrzo Augusto? Jednego
dnia się je ma, następnego znika i człowiek nawet nie wie, jak to się stało.

Była to wyjątkowo długa wypowiedź jak na Żermenę i nie wiedziałam, w
jaki sposób zareagować, ani nawet czy chcę jej coś odpowiedzieć. Musiała to
wyczytać z mojej twarzy, ponieważ roześmiała się ostro, szczekliwie, odwróciła
się na pięcie i zostawiła mnie stojącą obok studni w zapadającym mroku. Nagle
zapraǳnęłam zawołać ją, ale nie mogłam wymyślić nic, co mogłabym jej
powiedzieć.

Kolację spożyliśmy w ciszy i skupieniu. Małgorzata, która zajęła miejsce
Antoniny w kuchni, nie miała jej umiejętności kucharskich, więc w rezultacie
dostałyśmy przesoloną zupę z rozwodnionym piwem i czarny, twardy chleb.
Chociaż prawie nie zwróciłam uwagi na mało apetyczną strawę, inne siostry
były niezadowolone z braku mięsa w dzień powszedni, chociaż żadna otwarcie
tego nie powiedziała. W dawnych czasach podczas kapituły odbyłaby się
ożywiona dyskusja na ten temat, ale teraz, chociaż cisza była ciężka od
niezadowolenia, nikt nie pisnął ani słówkiem. Siostra Antonina, siedząca po
mojej prawej ręce, jadła, łapczywie odgryzając kolejne kęsy chleba,
ściągnąwszy czarne brwi. Zmieniła się - skóra na jej przedtem okrągłej twarzy
zrobiła się obwisła i pomarszczona, zakonnica zawsze chodziła z ponurą miną.
Praca w piekarni była ciężka; na dłoniach Antoniny widniały ślady oparzeń od
kamiennych piekarników.

W następnym rzędzie siostra Rozamunda jadła swoją zupę w błogiej nieświadomości, jaką tym wywołuje dezaprobatę ksieni. Rozpacz starej zakonnicy, spowodowana zmianami w opactwie, była krótkotrwała; Rozamunda znajdowała się teraz w stanie łagodnego zdumienia, wykonując swoje obowiązki chętnie, ale chaotycznie, wzywana na nabożeństwa przez nowicjuszkę, której przydzielono zadanie pilnowania staruszki, żeby zanadto się nie oddalała. Rozamunda żyła zawieszona między przeszłością a teraźniejszością, myląc imiona, twarze, daty. Często mówiła o ludziach dawno zmarłych, tak jakby nadal żyli, płątały jej się imiona siostr, wkładała nie swoje ubrania, chodziła po zapasy do stodoły, którą dwadzieścia lat temu zniszczyły zimowe sztormy. Ale poza tym wydawała się osobą całkiem zdrową. Już wcześniej wiele razy zetknęłam się z takimi objawami u bardzo starych ludzi.

Jednak jej zachowanie irytowało ksienię. Rozamunda, jedząc, głośno mlaskała. Czasami zapominała o przestrzeganiu milczenia albo myliła słowa modlitw. Ubierała się niestarannie, często pojawiała się w kościele bez jakiegś niezbędnej części garderoby. W końcu jednej z nowicjusek zlecono pilnowanie jej.

Kornet był szczególnym brzemieniem dla staruszki, która przez sześćdziesiąt lat nosiła *quichenotte* i nie rozumiała, dlaczego nagle jej tego zabroniono. Jeszcze bardziej irytowało nową ksienię to, że staruszka nie uznała jej władzy i płaczliwie nawoływała matkę Marię. Po prawdzie, Angelika Saint-Herve Desiree Arnault nie miała do tej pory wiele do czynienia z otępieniem starczym. Swoje krótkie życie spędziła w pokoju dzieciennym, w którym mechaniczne zabawki zastępowały towarzystwo rówieśników, a służący rodzinę. Do tej pory jeszcze nie miała okazji poznać świata, jedyne, co widziała, to księży i doktorów. Biedaków ukrywano przed jej wzrokiem. Starzy, chorzy, niedołążni nie stanowili części świata matki Izabeli.

Siostra Tomasina zmówiła modlitwę. Jadłyśmy w milczeniu, od czasu do czasu zakłócanym przez siorbanie Rozamundy. Matka Izabela raz uniosła

głowę, a potem znów utkwiała gniewny wzrok w talerzu. Widziałam, jak mocno zacisnęła usta, aż stały się niemal niewidoczne. Jadła wolno, wsuwając do ust tylko czubek łyżki.

Wyjątkowo głośne siorbnięcie sprawiło, że w grupce nowicjuszek rozległ się szmer niebezpiecznie przypominający śmiech. Ksieni zrobiła taką minę, jakby chciała coś powiedzieć, ale po chwili znów zacisnęła usta i nie odezwała się słowem.

Wtedy to Rozamunda ostatni raz jadła posiłek razem z nami.

Tamtego wieczoru znów poszłam do domku LeMerle'a. Nie jestem pewna, dlaczego to zrobiłam. Nie mogłam spać i moje pragnienie uwierało mnie niczym kolec w sercu. Trudno powiedzieć, czego właściwie pragnęłam. Zapukałam, ale nie usłyszałam odpowiedzi. Zajrzałam przez okno i w słabym blasku, bijącym od ognia, gasnącego na kominku, zobaczyłam na dywaniku czyjąś postać - nie, dwie postacie.

Mężczyzną był LeMerle. Zobaczyłam, że ramię ma przewiązane czarną chustką, ukrywał pod nią stare znamię. Dziewczyna była młoda, smukła jak chłopak, twarz miała odwróconą, krótko ostrzyżone włosy koloru surowego jedwabiu.

Klementyna.

Wróciłam do dormitorium i położyłam się na swoim łóżku. Wszyscy zdawali się pogrążeni we śnie. Ale i tak ścigał mnie cichy śmiech, kiedy biegłam, płonąc ze wstydu, do dormitorium. Mijając posłanie Klementyny, nagle znieruchomiałam. Na łóżku przyjaciółki siedziała sztywno wyprostowana i zupełnie nieruchoma Żermena. Zabłąkany promień światła księżycowego padał na jej pokrytą szramami twarz, widziałam jej błyszczące oczy. Nie zauważyła mnie. Minęłam ją bez słowa.

25 lipca 1610

Dziś rano, jak gdyby nigdy nic, wróciła Perette. Niepokojące było to, że pod nowymi rządami nikt nie wspomniał ani słówkiem o jej nieobecności, nawet podczas kapituły. Gdyby chodziło o kogoś innego, wtedy może któraś z nas coś by powiedziała. Ale mała dzikuska nie była prawdziwą zakonnica - ani nawet nowicjuską - klasztoru Sainte Marie-de-la-mer. Było w niej coś dziwnego, jakaś wyniosłość, której jeszcze nikomu nie udało się zgłębić. Nawet ja okazałam się zbyt pochłonięta własnymi sprawami, by naprawdę się przejąć zniknięciem przyjaciółki. Zupełnie jakby Perette nigdy tutaj nie było, została wymazana ze zbiorowej pamięci, usunięto ją z każdej dziedziny naszego codziennego życia. Jednak tego ranka wróciła: milcząca jak marmurowy posąg świętej, zajęła swoje zwykle miejsce, nie patrząc na nikogo.

Ale dostrzegłam w jej zachowaniu coś, co mnie zaniepokoiło. Wydawała się zbyt cicha, jej twarz była tak pozbawiona wyrazu, jak tylko to możliwe u Perette, jej złoto oprawione oczy tak beznamiętne i jasne, jak złocenia naszego ołtarza. Chciałam do niej przemówić, dowiedzieć się, gdzie się podziewała przez ostatnie trzy dni - ale siostra Małgorzata już zadzwoniła na czuwanie i nie było czasu na pytania, nawet gdyby Perette miała ochotę na nie odpowiedzieć.

LeMerle pojawił się dopiero podczas prymy. Nigdy nie był rannym ptaszkiem, nawet dawniej wolał wylegiwać się w łóżku do ósmej lub dziewiątej, a wieczorami czytać do północy przy świecach - woskowych, nie łożowych - podczas gdy reszta z nas przymierała głodem. Zawsze tak się zachowywał i wszyscy się na to godzili, jakby miał do tego prawo, jakby on był panem, a my - jego sługami. Najgorsze było, że lubiliśmy to; służyliśmy mu chętnie i na ogół nie mieliśmy do niego pretensji; kłamaliśmy dla niego, kradliśmy dla niego, staraliśmy się usprawiedliwiać jego najbardziej szalone czyny.

- Taki już jest - powiedział mi kiedyś Le Borgne, gdy LeMerle tak mnie czymś zirytował, że nie potrafiłam ukryć oburzenia. - Po prostu jedni ludzie mają to coś, a inni nie, i tyle.

- Co mają?

Karzeł uśmiechnął się krzywo.

- Wdzięk, moja droga, albo to, co za niego uchodzi w naszych czasach. Tę pozłotę, z jaką niektórzy z nas się rodzą. Ten urok osobisty, odróżniający takich jak on od takich jak ja.

Nie zrozumiałam go i powiedziałam mu o tym.

- Och, doskonale rozumiesz - odparł Le Borgne z niezwykłą jak na niego cierpliwością. - Wiesz, że to człowiek nic niewart, wiesz, że mu na tobie nie zależy i że któregoś dnia cię zdradzi. Ale i tak chcesz w niego wierzyć. Jest jak te posągi, które się widzi w kościołach: z wierzchu całe złote i błyszczące, ale wykonane z gipsu. Wiemy, z czego naprawdę są zrobione, lecz udajemy, że tego nie wiemy, ponieważ lepiej wierzyć w fałszywego boga niż w żadnego.

- A jednak podążasz za nim - powiedziałam. - Prawda? Spojrzał na mnie swoim jednym okiem.

- Tak - potwierdził - ale ostatecznie ja jestem głupcem. W każdej trupie cyrkowej musi być jeden głupiec.

Cóż, LeMerle, pomyślałam, kiedy wszystkie zakonnice zwróciły oczy na niego, z całą pewnością dziś rano możesz do woli wybierać wśród głupców. Zauważyłam, że zarywanie nocy i trudne warunki życia nie odbiły się na jego formie; wyglądał na wypoczętego i wspaniale się prezentował w swoich uroczystych szatach, włosy miał starannie związane z tyłu wstążką. Na czarną sutannę zarzucił haftowany ornat, świadczący o jego godności, a na szyi jak zwykle miał srebrny krucyfiks. Trzymał teraz na nim swoje jasne dłonie. I jakby przypadkiem stanął akurat pod jedynym oknem z witrażem, przez które wpadały pierwsze, różowo-złote promienie poranka. Natychmiast domyśliłam się, że coś się szykuje.

Razem z nim była Alfonsyna. Od jej ostatniego ataku choroby krążyły liczne plotki, chociaż większość z nas znała zakonnicę wystarczająco dobrze, by nie dawać wiary tym najbardziej szalonym. Jednak i tak jej obecność u boku LeMerle'a wywołała nie lada poruszenie. Alfonsyna grała swoją rolę najlepiej, jak umiała, spoglądając wkoło udręczonym wzrokiem, krocząc niepewnie i co chwila pokaszując. Zachowywała się tak, jakby jej napad hysterii w krypcie raczej ją uwznioślił, niż ściągnął na nią wstyd, i ani na chwilę nie odrywała pełnego uwielbienia wzroku od LeMerle'a.

Inne zakonnice też obserwowały go z mieszaniną nadziei, lęku i podziwu; zobaczyłam, jak wpatrują się w niego Antonina, i Klementyna, i Małgorzata, i Piete. Jednak nie wszystkie spojrzenia były pełne uwielbienia. Na twarzy Żermeny malowała się martwa obojętność, ale wyczytałam z jej oczu, co naprawdę czuje. Znałam to spojrzenie i LeMerle był głupcem, jeśli nie dostrzegł w nim groźby. Gdyby Żermena miała okazję, rozprawiłaby się z nim. Potem zapadła cisza i LeMerle zaczął mówić.

- Moje dzieci - zwrócił się do nas. - Tych kilka ostatnich dni stanowiło dla nas czas próby. Zatrucie studni przez nieznaną siłę, zakłócenie porządku naszych nabożeństw, niepewność towarzysząca wszystkim zmianom.

Przez tłum przebiegł szmer potakiwań. Siostra Alfonsyna wyglądała, jakby była bliska omdlenia.

- Ale czas próby dobiegł końca - ciągnął LeMerle, zmierzając od pulpitu w kierunku ołtarza. - Wytrwaliśmy i wyszliśmy z niej silniejsi. A na dowód naszej siły, naszej nadziei, naszej wiary... - Urwał i poczułam w powietrzu oczekiwanie na coś niezwykłego. - ...przyjmiemy teraz komunię, sakrament, którego zbyt długo tutaj nie udzielano. *Quam oblationem, tu Deus, in omnibus quaesumus, benedictam...*

Na te słowa siostra Piete, która sprawowała pieczę nad zakrystią, podeszła wolno do malutkiej szafki, w której trzymaliśmy kilka naszych skarbów, i wyjęła z niej kielich i naczynia do komunii. Rzadko ich używałyśmy. Ja sama

przyjęłam sakrament tylko raz, odkąd tu przyjechałam, a nasza poprzednia matka przełożona, onieśmielona kunsztownej roboty naczyniami, pozostawionymi przez dominikanów, poleciła, żeby trzymać te cuda pod kluczem, i rzadko pozwalała je oglądać. LeMerle złamał ową zasadę, jak wszystkie pozostałe. W głębi zakrystii jest piec do wyrobu opłatków, ale o ile mi wiadomo, ostatni raz korzystano z niego dwadzieścia lat temu. Mogłam się tylko domyślać, skąd LeMerle wziął opłatki; może sam je zrobił, a może matka Izabela kazała je upiec jednej z sióstr. Opuściwszy głowę, siostra Alfonsyna podała hostię LeMerle'owi, podczas gdy on nalewał wino do matowosrebrnego kielicha, wysadzanego drogimi kamieniami.

Matka Izabela pierwsza podeszła do ołtarza i uklękła, żeby przyjąć sakrament. LeMerle położył dłoń na jej czole i wziął opłatek ze srebrnej patery.

- *Hoc est enim corpus meum.*

Słyszając te słowa, poczułam, jak jeżą mi się włosy, i zrobiłam ukradkiem znak, który miał mnie uchronić przed wszelkim złem. Za chwilę coś się wydarzy. Czuję to. Coś wisiało w powietrzu, jak obietnica błyskawicy podczas burzy.

- *Hoc est enim calyx sanguinis mei...*

W jej drobnych dłoniach kielich wydawał się wprost ogromny. Jego brzeg był poczerniały, matowe, nieoszlifowane kamienie przypominały otoczaki. Nagle zapragnęłam zerwać się ze swojego miejsca i ostrzec to dziecko, powieździec Izabeli, żeby nie piła wina, żeby nie ufała LeMerle'owi, żeby odmówiła przyjęcia nieprawdziwego sakramentu. Ale to byłoby szaleństwem z mojej strony; już popadłam w niełaskę, już zadano mi pokutę; znów zrobiłam znak chroniący przed urokiem i nie mogłam patrzeć, jak Izabela, rozchyliwszy usta, przybliżyła do nich kielich i...

- *Amen.*

Kielich przeszedł w kolejne ręce. Teraz Małgorzata zajęła miejsce Izabeli przed ołtarzem. Wyraźnie nie mogła opanować drżenia nóg. Po niej

Klementyna. Potem Piete, Rozamunda i Antonina. Czyżbym była w błędzie? Czyżby przecucie mnie myliło?

- Siostró Anno. - Perette, stojąca obok mnie, drgnęła, słysząc imię, do którego nie mogła się przyzwyczaić, wypowiedziane niesympatycznym tonem. Głos ksieni brzmiał ostro, rozkazująco. Wszelka słodycz, jaką mogła w niej wywołać komunia, była zamknięta w niej jak miód w pszczelim plastrze. Perette cofnęła się o krok, zapominając o zakonnicach stojących za nią. Usłyszałam czyjeś gderanie, kiedy bosą stopą nadepnęła którejś na nogę.

- Siostró Anno, proszę podejść i przyjąć sakrament - powiedział LeMerle.

Perette spojrzała na mnie błagalnie i pokręciła głową.

- Perette, wszystko w porządku. Podejdz do ołtarza. - Mój szept zginął w przestronnej kaplicy. Ale mała dzikuska zwlekała, w jej złoto obrzeżonych oczach dostrzegłam błaganie. - Idź! - syknęłam, popychając ją do przodu. - Zaufaj mi.

Perette uklękła przed LeMerle'em w swoim habicie nowicjuszek, skrzydełka nosa dziewczyny drgały nerwowo. Zakwiliła cicho, kiedy LeMerle położył jej opłatek na języku. Potem podał jej kielich. Ujęła go w obie dłonie i zobaczyłam, jak rzuca mi spojrzenie, jakby szukając wsparcia. Potem napiła się wina.

Przez chwilę myślałam, że się mylę. Jego *Amen* rozległo się wyraźnie w krystalicznym powietrzu. Wyciągnął rękę, żeby pomóc Perette wstać.

Dziewczyna zakasłała.

Nagle przypomniał mi się mnich z procesji w Epinal. Tłum cofnął się wtedy z takim samym cichym westchnieniem przerażenia, mnich upadł na ziemię, kielich wypadł mu z rąk.

Perette znów zakasłała, pochyliła się do przodu, a potem niespodziewanie i ku zaskoczeniu wszystkich obecnych z wymiotowała. Zaległa cisza.

Dziewczyna uniosła wzrok, jakby szukała wsparcia, a potem zawładnął nią

nowy paroksyzm torsji, za późno próbowała zasłonić usta. Trysnęło z nich coś czerwonego, plamiąc jej białą suknię.

- Krew! - jęknęła Alfonsyna.

Perette przycisnęła ręce do ust. Miała przerażoną minę - wyglądała, jakby chciała się rzucić do ucieczki. Staralam się do niej dotrzeć, ale drogę zastąpiła mi Alfonsyna, krzycząc:

- Zbecześciła sakrament! Sakrament!

Potem też zgięła się wpół i zaczęła kaszleć, a ja znów znalazłam się w Epinal, patrząc, jak tłum cofa się przed chorym bratem, słysząc, jak ludzka fala się odwraca, miażdżąc wszystko, co napotyka na swej drodze. Przez chwilę ledwo mogłam oddychać, kiedy zakonnice stojące przede mną przyparły mnie do ściany transeptu.

Potem LeMerle wystąpił do przodu i w kaplicy zapadło pełne skrepowania milczenie. Alfonsyna wciąż kasłała, na jej chude policzki wystąpiły nieregularne czerwone plamy. Potem też się pochyliła i zwymiotowała, na marmurowej posadzce u jej stóp pojawiła się okropna, czerwona kałuża.

To przekreśliło wszelkie nadzieje na racjonalne wytłumaczenie tego, co się stało. Na próżno próbowałam przypomnieć zakonnicom, że siostra Alfonsyna pluła krwią już wcześniej, że taka jest natura jej choroby - tłum odwrócił się, tak jak w Epinal, i wybuchła panika.

- Zaraza! - krzyknęła Małgorzata.

- Klątwa! - rzuciła Piete.

Walczyłam z tym, ale podniecenie udzieliło się również mnie. Zakłęcie mojej matki - *zgiń, przepadnij, siło nieczysta* - trochę mnie uspokoiło, chociaż wiedziałam, że wszystko to jest sprawką człowieka, a nie żadnej siły nieczystej. Wszędzie wokół widziałam blade twarze, wywrócone oczy. Małgorzata ugryzła się w język i na jej ustach też była krew. Klementyna wymachiwała bezładnie rękami i uderzyła Antoninę w twarz. Gruba zakonnica zaklęła, łapiąc się za

rozkwaszony nos. Widziałam kiedyś obraz namalowany przez niejakiego Boscha, na którym dusze potępione wpijały się w siebie nawzajem właśnie w takim przystępie szaleństwa i rozpacz. Zatytułowany był „Pandemonium”.

Ale teraz LeMerle podniósł głos, który przetoczył się przez kościół niczym klątwa Boga.

- Na litość boską, uszanujmy to miejsce! - Zapanowała cisza, wypełniona zduszonym zawodem. - Jeśli to znak i śmiało tutaj wtargnąć Antychryst... - Znowu rozległy się pojękiwania, ale uciszył je gestem ręki. - Powtarzam, jeśli Zły miał czelność zaatakować nas teraz, w tym świętym miejscu, jakim jest kościół, by zbezczęścić najświętszy sakrament, to jestem z tego kontent. - Urwał. - I wy wszystkie też powinnyście się z tego cieszyć! Bo jeśli wilk zagraża trzódce, obowiązkiem pasterza jest przegnać wilka! A jeśli zapędzony w róg wilk będzie próbował kąsać, co wtedy robi pasterz?

Patrzyłyśmy na niego wielkimi oczami.

- Czy pasterz się odwraca i ucieka?

- Nie - rozległ się czyjś słaby, piskliwy głosik.

- Czy pasterz płacze i rwie włosy z głowy?

- Nie! - Okrzyk był teraz głośniejszy, LeMerle'owi odpowiedziała ponad połowa sióstr.

- Nie! Pasterz sięga po taką broń, jaką ma pod ręką - kij, dzidę, widły, zwołuje swoich przyjaciół i sąsiadów, swoich braci i dobrych, silnych synów, i wyrusza na polowanie na wilka. Dopada go i zabija. Jeśli uczynił sobie tutaj dom Szatan, to powiadam, że pora, by na niego zapolować i sprawić, by wrócił do piekła z podkulonym ogonem!

Znowu miał je w swojej mocy, jęczały z ulgą i podziwem. LeMerle przez chwilę rozkoszował się wrażeniem, jakie na nich zrobił - tyle czasu minęło, odkąd stał, tak jak teraz, przed pełną widownią. Potem nasze spojrzenia się spotkały i uśmiechnął się do mnie.

- Ale najpierw zajrzyjcie w głąb siebie - ciągnął cicho. - Jeśli Szatan pokonał wasze linie obrony, zapytajcie same siebie, jak stało się to możliwe. Jakimi grzechami, z których się nie wyświadczyliście, jakimi skrywanymi występkami karmiłyście go, w jakich karygodnych praktykach znajdował pociechę podczas tych minionych lat?

I znów rozległ się szmer głosów, tym razem zabrzmiał w nim nowy ton. *Powiedz nam, mamrotały zakonnice. Poprowadź nas.*

- Antychryst może być wszędzie. - Zniżył głos do szeptu. - Nawet w najświętszych sakramentach naszego kościoła. W powietrzu. W kamieniach. Spójrzcie na siebie! -

Sześćdziesiąt pięć par oczu odwróciło się ukradkiem. -Przyjrzyjcie się sobie nawzajem.

Powiedziawszy to, LeMerle odwrócił się od pulpitu i wiedziałam, że przedstawienie skończone. To było w jego stylu - wstęp, rozwinięcie, monolog, wielki finał. Słyszałam to - w różnych wersjach - już wiele razy.

Jego głos, przedtem taki zniewalający i sugestywny, zmienił się, stał się energicznym, bezosobowym głosem urzędnika wydającego polecenia.

- Opuśćcie teraz wszystkie to miejsce. Nie będzie tu więcej nabożeństw, póki nie zostanie ono oczyszczone. Siostra Anna - zwrócił się do Perette - zostanie ze mną. Siostra Alfonsyna wróci do infirmerii. Reszta z was może udać się do swoich obowiązków i modlitw. Bądźcie pochwalone!

Nie mogłam nie czuć dla niego odrobiny podziwu. Od początku miał zakonnice w garści, sprytnie prowadził je od jednego skrajnego uczucia do drugiego - ale w jakim celu? Napomknął coś wprawdzie o sprawie większej od zwykłego rabunku czy oszustwa, chociaż nie miałam pojęcia, jaką korzyść może odnieść, uciekając się do swoich sztuczek w małym opactwie, leżącym na uboczu. Wzdrygnęłam się. Co mogłam zrobić? Miał moją córeczkę. Przed wszystkim musiałam się zająć jej odzyskaniem. Resztą niech się zajmie Kościół.

26 lipca 1610

Tamten ranek poświęciliśmy na zwykłe obowiązki, modlitwy i spekulacje. Podczas kapituły odbyła się spowiedź publiczna i okazało się, że jeszcze pięć zakonnice po przyjęciu komunii czuło w ustach krew. Matka Izabela wini za to wzburzenie zmysłów spożywanie mięsa i nadmiar picia. Zarządziła, żeby od tej pory z naszego jadłospisu wykluczyć wszystko, co czerwone - mięso, pomidory, wino, jabłka czy owoce jagodowe; nasze posiłki powinny być jak najprostsze. Teraz, kiedy nowa studnia jest prawie gotowa, piwo też trafi na listę rzeczy zakazanych, ku niezadowoleniu siostry Małgorzaty, która mimo swych dolegliwości pod jego leczniczym wpływem stała się niemal wylewna. Siostra Alfonsyna i Perette są w infirmerii. Obserwuje je siostra Wirginia, która otrzymała polecenie, by o wszystkich niezwykłych objawach natychmiast informować matkę Izabelę. Trudno mi uwierzyć, by którakolwiek z zakonnice mogła naprawdę podejrzewać, że jedna z nas jest opętana. Jednak pogłosek nie brakuje. Kolejne zęby smoka, zasiane przez LeMerle'a.

Dziś po kolacji miałyśmy pół godziny dla siebie przed modlitwą, spowiedzią i wieczornymi obowiązkami. Poszłam do mojego ogródka ziołowego - który już nie jest mój - i w gęstniejącym mroku przesuwałam palcami po krzaczkach rozmarynu i szaławii, uwalniając ich niewyraźną słodycz. Pszczoły brzęczały nad fioletowymi kłosami lawendy i małymi, wonnymi kwiatkami tymianku. Biały motyl zawisnął na moment nad kępką chabrów. Nagle bardzo boleśnie odczułam nieobecność Fleur, tak wyraźnie ujrzałam jej zapłakaną buzię, jakbym odkryła złą kartę. Poczułam, jak zalewa mnie fala smutku, który starałam się trzymać na wodzy. Kilka skradzionych chwil w tamten dzień targowy, jedno spojrzenie. To za mało. I drogo za to zapłaciłam. Minęły cztery dni. A nadal od LeMerle'a nie było żadnego znaku, żadnego

napomknienia o kolejnych odwiedzinach. Przebiegł mnie dreszcz, gdy pomyślałam, że teraz, kiedy sobie wziął Klementynę, skończą się spotkania z Fleur. Byłam za stara, za dobrze mnie znał. LeMerle miał ochotę na młodszą. Byłam zbyt zimna, zbyt pewna siebie, zbyt uparta. Zaprzepaściłam swoją szansę.

Przykleknęłam na ścieżce. Zapach lawendy i rozmarynu uderzał do głowy i wywoływał nostalgię. Nie po raz pierwszy, ale czując coraz większy niepokój, zaczęłam się zastanawiać, co zamierza LeMerle. Gdybym znała jego plany, wtedy być może zyskałabym nad nim pewną przewagę. Czy w opactwie było złoto, które postanowił zagarnąć, nienasycony w swej chciwości? Czy w jakiś sposób dowiedział się o ukrytym skarbie i miał nadzieję, że na niego natrafię, kopiąc studnię? Oczywiście wszystkie słyszałyśmy opowieści o skarbach zakopanych pod kryptami, zamurowanych w prastarych murach. Ale znów dałam się ponieść mojej wybujałej wyobraźni. Giordano bardzo nad tym ubolewał, sam przedkładając poezję matematyki nad romantykę przygód. *Źle skończysz, dziewczyno*, mawiał swoim oschłym głosem. *Masz duszę korsarza. A potem, z błyskiem w oku, kiedy zdawałam się zadowolona z porównania: Duszę korsarza i rozum osła. No, wracajmy do tego wzoru...*

Wiedziałam, co Giordano by mi powiedział. W murach opactwa nie ma złota, a jeśli cokolwiek zakopano w tych ruchomych piaskach, już dawno wszelki ślad po tym zaginał. Takie rzeczy zdarzają się tylko w baśniach. Jednak LeMerle jest bardziej podobny do mnie niż do mojego dawnego nauczyciela; bardziej do korsarza niż do logika. Wiem, co nim kieruje. Żądza władzy. Intryganctwo. Chęć zdobycia poklasku. Czysta przyjemność, czerpana z czynienia zła, grania na nosie tym, którzy pokrzyżowali mu szyki, przewracania ołtarzy, bezczeszczenia grobów. Wiem o tym, ponieważ jesteśmy do siebie podobni, on i ja, każde z nas to małe okienko na duszę drugiej osoby. Ten dziwny człowiek ma wiele pasji, a chęć wzbogacenia się jest tylko jedną z nich, i to wcale nie największą. Nie, to nie kwestia pieniędzy.

W takim razie władzy? Świadomości, że tyle kobiet ma na każde skinienie, że może je wykorzystywać i manipulować nimi? To było bardziej podobne do LeMerle'a, którego znałam, i pasowałoby do jego potajemnych schadzek z Klementyną. Ale LeMerle zawsze mógł przebierać wśród ślicznotek; nigdy nie cierpiał na brak powodzenia u kobiet, ani na prowincji, ani w salonach Paryża. Lecz dawniej nie cenił sobie miłosnych podbojów, nigdy zanadto się nie wysiłał, by zdobyć jakąś kobietę. W takim razie co? - zachodziłam w głowę. Co powoduje takim człowiekiem?

Zza muru biegnącego nieopodal ogródka ziołowego dobiegł niespodziewanie jakiś okrzyk, więc zerwałam się na równe nogi.

- *Misericorde!*

Głos kobiety był tak przenikliwy, że w pierwszej chwili nie poznałam, która to krzyknęła. Podbiegłam do muru ogrodu i wspięłam się na palce, żeby ponad nim wyrzeć.

Sad i ogródek ziołowy znajdują się po zachodniej stronie kaplicy, żeby zimną rośliny i drzewa były chronione przed podmuchami chłodnych wiatrów. Kiedy spoglądałam zza muru, zaledwie piętnaście metrów dalej widziałam zachodnie wejście i biedną starą Rozamundę, żałośnie zawodzącą, z rękami przyciśniętymi do twarzy.

- *Aiii!* - piszcziała. - *Mężczyźni!*

Z trudem wgramoliłam się na mur i usiadłam na nim okrakiem. Obok zachodniego wejścia kręciło się sześciu mężczyzn. W otwartych drzwiach zostawiono jakieś urządzenie, składające się z lin i krążków, a obok niego leżała sterta belek, jakby szykowano się do wciągania czegoś ciężkiego.

- W porządku, *ma soeur!* - zawołałam uspokajająco. - To tylko robotnicy. Przyszli naprawić dach.

- Jaki dach? - Rozamunda, zmieszana, odwróciła się, żeby spojrzeć na mnie.

- W porządku - powtórzyłam, przerzucając nogi przez mur. - To robotnicy. Dach przecieka i przyszli go naprawić. - Skinęłam do niej przyjaźnie głową i lekko zeskoczyłam na ziemię, porośniętą w tym miejscu wysoką trawą.

Rozamunda ze zdumieniem potrząsnęła głową, a potem spytała:

- Kim jesteś, młoda kobieto?

- Jestem siostra Augusta - powiedziałam. - Pamiętasz mnie?

- Nie mam siostry - odparła Rozamunda. - Nigdy nie miałam. Jesteś moją córką? - Spojrzała na mnie swoimi oczami krótkowidza. - Wiem, że powinnam cię znać, moja droga - dodała. - Ale nie mogę sobie przypomnieć...

Delikatnie objęłam ją za ramiona. Widziałam, jak grupka sióstr przygląda się nam od strony wejścia do kaplicy.

- Nie szkodzi - uspokoiłam ją. - Może pójdziemy do kapitułarza i...

Ale kiedy ją odwróciłam przodem do kaplicy, Rozamunda znów wrzasnęła.

- Patrz! Święta Maria!

Albo stara Rozamunda nie miała takiego słabego wzroku, jak mi się wydawało, albo była w kaplicy, kiedy rozpoczęto prace, bo w pierwszej chwili nie dostrzegłam nic niezwykłego, kiedy obserwowałam grupkę robotników przy zachodnim wejściu. Ale kiedy przyjrzałam się im uważniej, zorientowałam się, że sprzęt pozostawiony w wejściu nie służy do naprawy dachu. Prawdę mówiąc, nie wzniesiono żadnych rusztowań, nawet nie oparto drabiny o mur. Jeden z mężczyzn obsługiwał kołowrót. Dwaj inni opuszczali posąg świętej Marii. Jeszcze dwóch podtrzymywało figurę naszej świętej z tyłu, żeby nie spadła, a brygadzysta kierował pracą. I tak, skrepowana linami jak dzikie zwierzę, Marie-de-la-mer zjeżdżała powolutku na drewnianych rolkach.

Kilka zakonnic przyglądało się temu w milczeniu. Wśród nich były Aldegonda i Małgorzata. Rozamunda spojrzała na mnie skonsternowana.

- Dlaczego zabierają naszą świętą? - spytała mnie. - Co chcą z nią zrobić?

Pokręciłam głową.

- Może zostanie umieszczona w bardziej godnym jej miejscu - odparłam bez przekonania. Jakie miejsce mogło być bardziej odpowiednie od naszej kaplicy, od niszy nad wejściem, z której była widoczna zewsząd, wzruszała wszystkich wchodzących do środka?

Rozamunda najszybciej, jak mogła, skierowała się w stronę grupki robotników.

- Nie możecie jej zabrać! - krzyknęła zachrypniętym głosem. - Nie możecie nam jej ukraść!

Pośpieszyłam za nią.

- Ostrożnie, *ma soeur*, bo jeszcze coś sobie zrobisz.

Ale Rozamunda mnie nie słuchała. Pokuśtykała do drzwi, gdzie mężczyźni dokładali starań, by nie uszkodzić posągami marmurowych stopni.

- Co wy robicie? - spytała Rozamunda.

- Uważaj, siostrzyczko - powiedział jeden z mężczyzn. - Proszę nie wchodzić nam w drogę! - Uśmiechnął się i zobaczyłam jego krzywe, poczerwiałe zęby.

- Przecież to święta! Święta! - Oczy Rozamundy błyszczały oburzeniem.

W pewnym sensie ją rozumiałam. Wielka święta - jeśli była świętą - od lat stanowiła część opactwa. Swymi wykutymi w kamieniu oczami przyglądała się, jak żyjemy i umieramy. Niezliczone modlitwy zmówiono pod jej milczącym, nieruchomym obliczem. Jej okrągły brzuch, potężne ramiona, czarna postać, obojętna obecność stanowiła dla nas pociechę i drogowskaz podczas kolejnych zmian i pór roku. Usunięcie świętej teraz, w tym okresie kryzysu, było równoznaczne z uczynieniem z nas sierot w chwili, kiedy najbardziej jej potrzebowałyśmy.

- Kto kazał to zrobić? - spytałam.

- Nowy spowiednik, siostrzyczko. - Mężczyzna ledwo na mnie spojrzał. - Uwaga, leci!

Odciągnęłam Rozamundę od schodów, akurat kiedy posąg podtrzymywany z obu stron przez robotników, a od dołu przez rolki, runął ze schodów na ścieżkę, wzbijając tuman kurzu. Mężczyzna z zepsutymi zębami przytrzymał świętą, a jego pomocnik, młody mężczyzna o rudych włosach i wesołym uśmiechu, tak ustawił wóz, żeby można ją było załadować.

- Dlaczego? - nie ustępowałam. - Dlaczego w ogóle ją zabieracie?

Rudowłosy mężczyzna wzruszył ramionami.

- Wykonujemy polecenie - poinformował. - Może dostaniecie nowy posąg. Ten jest stary jak świat.

- A co z nim zrobicie?

- Wrzucimy go do morza - wyjaśnił rudowłosy mężczyzna. - Tak nam kazano.

Rozamunda wczepiła się we mnie palcami.

- Nie mogą tego zrobić! - gorączkowała się. - Matka przełożona nigdy by im na to nie pozwoliła! Gdzie ona jest? Wielebna matko!

- Jestem tutaj, *ma filie* - rozległ się cichy i pozbawiony wyrazu głos, niemal tak bezbarwny, jak jego właścicielka.

Rozamunda przestała walczyć i gapiła się, na jej biednej, zdumionej twarzy walczyły ze sobą nadzieja i lęk.

Matka Izabela stała w drzwiach kościoła, ręce miała złożone.

- Pora, żeby się pozbyć tej fałszywej świętej - oświadczyła. - Już i tak za długo tu stała, a mieszkańcy wyspy są przesądni. Nazywają ją syreną. Modlą się do niej. Na litość boską, ona ma ogon!

Odezwałam się wbrew samej sobie:

- Ależ *ma mere*...

- To nie jest posąg Matki Boskiej - oznajmiła Izabela. - I nie ma takiej świętej, jak Marie-de-la-mer. Nigdy nie było. - Podniosła nieco głos. - Jak możecie ją tutaj tolerować? Coś takiego w naszej kaplicy! Pielgrzymi, którzy

przychodzą, żeby jej dotknąć! Kobiety - ciężarne kobiety - zdrapujące kurz z posągu, by przyrządzić czarodziejskie wywary!

Zaczynałam rozumieć. Nie chodziło o samą świętą, ale o to, w jaki sposób ją wykorzystywano; bogini płodności w aseksualnym domu bożym.

Izabela zaczerpnęła powietrza. Teraz, kiedy zaczęła mówić, wydawało się, że nie może przestać.

- Wiedziałam o tym, z chwilą kiedy się tu pojawiłam. Pochówki w niepoświęconej ziemi. Potajemne ekscesy. Klątwa krwi. - To była niemal histeria, ale mimo wszystko zachowała opanowanie. Angelika Saint-Herve Desiree Arnault miała swoje niezachwiane przekonania i będzie się ich trzymała, żeby nie wiem co. - A teraz - ciągnęła - miała czelność zaatakować mnie. Mnie! Skalała mnie krwią! Mój spowiednik zlokalizował źródło i oczyścił je. Ale zło pozostało. Zło pozostało.

Przez minutę stała w milczeniu, kontemplując zło. A potem, z szorstkim *Bądźcie pochwalone*, odwróciła się i odeszła.

Wkrótce po tym wydarzeniu rozległ się dzwon wzywający nas na modlitwę i nie było dużo czasu na dyskusje. Nie żebym ośmieliła się na głos wypowiedzieć swoje wątpliwości, bo strach przed utratą Fleur powstrzymywał mnie przed zdradzeniem tego, co o tym wszystkim sędzę. Przez cały czas trwania nony myślami wracałam bezwiednie do słów matki Izabeli, wypowiedzianych na stopniach kaplicy, słów, których sama ledwo była świadoma.

Klątwa krwi. Zło pozostało.

Nowa studnia jest prawie gotowa, woda w niej tak słodka i przejrzysta, jak tylko można sobie życzyć. LeMerle egzorcyzmował kaplicę, baptysterium, zakrystię i wszystkie święte naczynia, po czym ogłosił, że złe moce nie mają już nad nimi władzy. To samo powiedział o Perette i Alfonsynie, ku mojej wielkiej uldze, chociaż nie uciszyło to plotek. Alfonsyna zdawała się rozczarowana, że ma otrzymać świadectwo zdrowia duchowego, i jej widoczne rozgorzyczenie

skłoniło Małgorzatę do wypowiedzenia się z przekazem o komediantkach i poszukiwaczkach sensacji.

A jednak *zło pozostało*.

Staralam się nie patrzeć w tamtą stronę, ale co chwila stwierdzałam, że gapię się na puste miejsce, gdzie kiedyś stała Marie-de-la-mer. Małe poświęcenie, powiedziałam sobie, w porównaniu z odzyskaniem mojej córki, bo czymże jest posąg wobec żywego dziecka, przestraszonego dziecka?

Oczywiście za wszystkim tym stał LeMerle. Nie wiedziałam, czego chciał od posagu, ale jego usunięcie - tego jedyne symbolu naszej jedności i naszej wiary - sprawiło, że byliśmy krok bliżej kapitulacji. Uświadomiłam sobie, że teraz on przejmie rolę naszego symbolu; miał zostać naszym jedynym zbawieniem. Podczas mszy mówił o męczennicach, o świętej Perpetui, o świętej Katarzynie i o świętej Krystynie, o tajemnicy śmierci i oczyszczeniu przez ogień, i miał nas wszystkie w swojej mocy.

RS
13

Abbaye de Sainte-Marie la Mere Ile des Noirs Moustiers, 26 lipca 1610
Monseigneur,

Z największą przyjemnością pragnę poinformować Waszą Wielebność, że wszystko przebiega tak, jak to Wasza Wielebność przewidział w swojej niezwyklej mądrości. Moja podopieczna okazuje godną najwyższego uznania gorliwość, wprowadzając wszelkie zmiany, jakie zarządziła, i opactwo niemal odzyskało swoją dawną chwałę. Dach kościoła wymaga jeszcze pewnych prac i z przykrością donoszę, że poważnym uszkodzeniom uległa większa część południowego transeptu. Jednak nie tracimy nadziei, że przed nastaniem zimy prace zostaną ukończone.

Przywrócona została pierwotna nazwa naszego opactwa, jak zapewne zauważył Wasza Wielebność, i usunięto wszelkie ślady dawnej, zwyczajowej. Wasza Wielebność, dołączam swoje najszczerze prośby do prośb Waszej bratanicy, by - o ile wypełniony kalendarz zajęć to umożliwi - Wasza Wielebność zaszczyił nas swoją obecnością w nadchodzących miesiącach. Będziemy wielce radzi i wdzięczni, mogąc gościć Waszą Wielebność w naszych skromnych progach.

Pozostaję najuniżejszym sługą...

I tak dalej, i tak dalej.

Muszę przyznać, że zgrabnie to napisałem. *W swojej niezwyklej mądrości.* Podoba mi się to. Każę wysłać list jeszcze dziś rano specjalnym posłańcem. A może powinienem osobiście pojechać do Pornic i stamtąd wysłać to pismo? Zrobię wszystko, żeby chociaż na kilka godzin wyrwać się z zatęchłej atmosfery tego miejsca. Nie mam pojęcia, jak Julietta to znosi. Ja znoszę to tylko dlatego, że muszę; i ponieważ wiem, że nie zabawię tu długo. Te pozostające w zamknięciu kobiety, te pingwiny, mają szczególny zapach, a ich hipokryzja przyprawia mnie o mdłości. Uwięziony tu, ledwo mogę oddychać, ledwo mogę spać; muszę poprosić Julię, żeby mi przyrządziła jakąś miksturę, kojącą nerwy.

Słodka Julietta. Ta blondyneczka - jak jej na imię? Klementyna! - w zupełności zaspokaja moje potrzeby, a przy tym wzrusza mnie gorliwość, z jaką pragnie mnie zadowolić. Ale widzę w niej wiele wad. Po pierwsze, ma za duże oczy. A ich kolor - bezchmurnego letniego nieba - pozbawiony jest tej wprowadzającej dysonans szarości. Jej jasne niczym len włosy też są beznadziejne. Ma zbyt białą cerę, zbyt gładkie nogi, jej twarzy nie zeszpeciło słońce ani kurz. Możesz mnie nazwać niewdzięcznikiem, jeśli chcesz. Jest słodziutka jak miód, a ja tęsknię za tą upartą tyczką o hardym spojrzeniu. Może wszystkiemu temu dodaje pikanterii jej nienawiść do mnie.

Klementynie brak ognia. Bladość tej dziewczyny mrozi mnie do szpiku kości. Wciąż szepcze mi do ucha romantyczne opowieści, historie pięknej Jolande, Tristana i Izoldy, Abelarda i Heloizy... Tak czy inaczej, nie ma obawy, że się wygada. Ta mała głuptaska się zakochała. Pognębiam ją na różne sposoby, a ona zdaje się upajać każdym upokorzeniem. Jeśli o mnie chodzi, trzymając ją w ramionach, śnię o rudowłosych harpiach.

Nie ma przed nią ucieczki. Wczoraj w nocy przyszła do mnie - ukazała mi się, a może sobie to tylko wyobraziłem. Widziałem ją zaledwie przez chwilę, przycisnęła twarz do szyby w oknie, w jej oczach odbijał się miękki blask ognia, tak że przez moment wydawało mi się, że patrzy na mnie z czułością.

Klementyna poruszyła się, wydając ciche westchnienia, które mają świadczyć o jej uczuciach do mnie. Oczy miała zamknięte, jej włosy w blasku ognia wydały się niemal miedziane. Poczulem nagłą falę radości, jakby kobieta w oknie i ta, którą trzymałem w ramionach, niespodziewanie stały się jedną i tą samą istotą. Ale potem twarz w oknie zniknęła i została tylko Klementyna, chwytająca powietrze jak ryba wyciągnięta z wody. Całą przyjemność - tak czy inaczej, nic wielkiego - zepsuła mi narastająca pewność, że twarz Julietty w oknie to nie było przywidzenie. Widziała nas razem. Nie daje mi spokoju to, co odmalowało się na jej twarzy - wstrząs, obrzydzenie i coś, co mogło być rozczarowaniem, a nawet wściekłością. Przez chwilę byłem właściwie gotów pobiec za nią, chociaż zniweczyłoby to cały mój misterny plan. Zawładnęły mnie jakieś szalone myśli. Wstałem i mimo protestów Klementyny podszedłem nagi do okna. Czy czyjaś niewyraźna postać stała na pół ukryta w cieniu domku furtiana? Nie byłem pewien.

- Colombin, proszę. - Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem Klementynę kucającą przed paleniskiem, jej włosy nadal były zwodniczo miedziane w świetle gasnących węgli. Ogarnęła mnie nagła fala złości i doskoczyłem do niej dwoma susami.

- Nie pozwoliłem ci zwracać się do mnie w ten sposób. -Złapałem ją za włosy i zmusiłem do powstania. Z jej ust wydobył się zduszony krzyk. Potem dwa razy ją uderzyłem, nie tak mocno, jakbym chciał, ale wystarczająco, by na policzkach pojawiły się różowe placki. - Za kogo ty się uważasz, za jakąś paryską kurtyzane, przyjmującą mężczyzn w swoim salonie? Za kogo bierzesz mnie?

Płakała, z jej gardła wydobywało się łkanie. Z jakiegoś powodu jeszcze bardziej mnie to rozzłościło i zawlokłem ją, wciąż skamlącą, na kanapę.

Naprawdę nie zrobiłem jej krzywdy. Czerwony ślad czy dwa od uderzenia ręką na białym ramieniu, białym udzie. Julietta zabiłaby mnie za coś znacznie gorszego. A Klementyna przyglądała mi się z kanapy wzrokiem pełnym nagan, ale w jej spojrzeniu dostrzegłem dziwną satysfakcję, jakby właśnie czegoś takiego się spodziewała.

- Wybacz mi, *mon pere* - wyszeptała.

Jedną małą dłonią objęła pierś nie większą od zielonej moreli i ścisnęła ją, aż brodawka zrobiła się stercząca. Wyobrażała sobie, że jest ponętna. Żołądek mi się wywrócił na samą myśl, że miałbym ją jeszcze tknąć. Ale być może za- nadto się zdradziłem. Zrobiłem krok w jej stronę i wolno przesunąłem palcami po jej czole.

- Już dobrze - powiedziałem. - Tym razem udam, że nic się nie stało.

27 lipca 1610

Posąg świętej Marie-de-la-mer wywieziono na najbardziej na wschód wysunięty punkt wyspy, gdzie brzeg jest stromy i poszarpany. Tam powierzono go morzu. Nie byłam przy tym obecna - widzieli to tylko LeMerle i ksieni - ale dowiedziałyśmy się później, że kiedy to zrobiono, od morza zaczął wiać silny wiatr, w miejscu gdzie wrzucono posąg, woda się zagotowała, a czarne chmury przesłoniły słońce, czyniąc z dnia noc. Ponieważ powiedział nam to LeMerle, nikt głośno o tym nie dyskutował, chociaż podczas jego oracji dostrzegłam cyniczne spojrzenie Żermeny.

Naturalnie ona też kogoś przez niego straciła. Ostatnio jakby jeszcze zeszczuplała, szramy na jej bladej twarzy są wyraźniej widoczne. Śpi równie mało, jak ja; słyszę to w dormitorium: udaje, że śpi, ale jej oddech jest zbyt płytki, leży zbyt nieruchomo; niemożliwe, by była pogrążona we śnie.

Wczoraj wieczorem przed czuwaniem usłyszałam, jak robi wymówki Klementynie przyciszonym, ostrym głosem, chociaż nie mogłam zrozumieć wypowiedzianych słów. Klementyna milczała - domyślałam się, że odwróciła się tyłem. Później, podczas długich godzin między jutrznią i laudą słyszałam, jak Żermena płacze, ale nie śmiałam do niej podejść.

Jeśli chodzi o LeMerle'a... Od naszej wyprawy na targ nie szukał mojego towarzystwa i coraz mocniej jestem przekonana, że Klementyna, która - bądź co bądź - dzieliła z nim łóżę, skradła również jego serce. Nie żebym się tym przejmowała, zrozumcie mnie dobrze. Już dawno przestałam się przejmować, gdzie i z kim LeMerle spędza noce. Ale Klementyna jest złośliwa i nie przepada za Fleur ani za mną. Nawet nie chcę myśleć o władzy, jaką może zdobyć nad nami wszystkimi, jeśli on ulegnie jej wdziękom.

Pracowałam w pralni, kiedy w końcu postanowił mnie odszukać. Wiedziałam, że przyszedł; znałam odgłosy jego kroków, a z brzęku ostróg o kamienie zorientowałam się, że jest w stroju do przejażdżki konnej. Nie odwróciłam się od razu, tylko wrzuciłam narecze brudnej bielizny do jednej z kadzi z wrzątkiem. Stałam tyłem do niego, nie śmiąc przemówić pierwsza. Policzki mnie paliły, ale mogło to być spowodowane parą, której kłęby wypełniały pomieszczenie.

Stał i obserwował mnie przez kilka minut bez słowa, ale nie spojrzałam na niego ani nie odezwałam się pierwsza. W końcu rzekł takim tonem i w taki sposób, jakie - o czym doskonale wiedział - zawsze doprowadzały mnie do wściekłości:

- Przecudna Harpia. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam ci w twoich ablucjach. Czystość, jeśli nie dobroć, moja najdroższa, musi być czymś nieodzownym dla osób czujących takie powołanie, jak ty.

Posłużyłam się pałką, by zanurzyć pranie w wodzie.

- Nie mam dziś czasu na twoje żarty. Za dużo tu pracy.

- Naprawdę? Wielka szkoda. I do tego w dzień targowy.

Znieruchomiałam.

- Cóż, może jednak nie mam powodu, żeby jechać na targ - rzucił LeMerle. - Ostatnim razem smród ryb i pospólstwa był niemal nie do zniesienia.

Wtedy spojrzałam na niego, nie przejmując się tym, że zobaczy cierpienie w moich oczach.

- Czego ty ode mnie chcesz, Guy?

- Niczego, moja Ailee, tylko twojego słodkiego towarzystwa. Czegóż innego mógłbym chcieć?

- Nie wiem. Przypuszczam, że Klementyna mogłaby mi powiedzieć. - Wymknęło mi się to, zanim zdołałam się powstrzymać. Zobaczyłam, jak drgnął, a potem się uśmiechnął.

- Klementyna? Niech pomyślę...

- Znasz ją, LeMerle. To ta dziewczyna, która potajemnie przychodzi nocą do twojego domku. Powinnam była się domyślić, że szybko znajdziesz sobie kogoś, kto będzie cię zabawiał w łóżku.

Wzruszył ramionami, wcale niespeszony.

- Niewinna rozrywka, nic więcej. Nie uwierzysz, jak nużące wydaje mi się życie zakonnika. I wiesz, Julietto, że już zaczęła mnie nudzić?

Tak, to było do niego podobne. Ukryłam mimowolny uśmiech. Ale trudno zachować coś w tajemnicy w takim miejscu i nawet matka Izabela nie była do tego stopnia ślepa, by nie zauważyć, że tuż pod jej bokiem dzieją się takie wszeteczeństwa.

- Wiesz, że wszystko się wyda. Nie możesz ufać Klementynie, że dochowa tajemnicy. W końcu ktoś zacznie mówić.

- Nie ty - powiedział.

Nie odrywał ode mnie wzroku i poczułam skrępowanie pod jego badawczym spojrzeniem. Nalałam więcej wody do kadzi, oczy zaczęły mnie szczytać od pary, która uniosła się nad kotłem. Nalałabym więcej - potrzebowałam jej do krochmalenia - ale LeMerle wziął ode mnie dzban na wodę i bardzo delikatnie postawił go na ziemi.

- Daj mi spokój. - Rzuciłam te słowa ostrym tonem, żeby powstrzymać drżenie głosu. - Wiesz, że pranie nie robi się samo.

- W takim razie niech kto inny dokończy tę pracę za ciebie. Chcę z tobą porozmawiać.

Odwrociłam się przodem do niego.

- O czym? - spytałam. - Cóż możesz chcieć ode mnie, czego jeszcze sobie nie wzięłeś?

LeMerle zrobił urażoną minę.

- Czy zawsze musi to być kwestią tego, co ja chcę? Roześmiałam się.

- Zawsze tak było.

Nie spodobało mu się to, tak jak przypuszczałam. Zacisnął usta, oczy mu błysnęły. Potem westchnął i pokiwał głową.

- Och, Julietto - rzekł - dlaczego odnosisz się do mnie z taką wrogością? Gdybyś tylko wiedziała, jak mi było ciężko przez kilka ostatnich miesięcy. Zupełnie sam, bez nikogo, komu mógłbym się zwierzyć...

- Powiedz to Klementynie - zauważyłam złośliwie.

- Wolę powiedzieć tobie.

- Chcesz mi coś powiedzieć? - Sięgnęłam po pałkę, żeby zanurzyć nią pranie w roztworze ługu. - W takim razie powiedz mi, gdzie ukrywasz Fleur.

Roześmiał się cicho.

- Tego ci nie powiem, najdroższa. Przykro mi.

- Dopiero ci będzie przykro - odparłam.

- Naprawdę mi przykro, Julietto.

Nim się wzięłam do robienia prania, zdjęłam kornet. Teraz poczułam na swoim karku dotyk palców LeMerle'a.

- Chciałbym móc ci zaufać. Niczego nie pragnę bardziej, niż zobaczyć ciebie i Fleur znowu razem. Jak tylko skończę tutaj swoje sprawy...

- Jak tylko skończysz? To znaczy kiedy?

- Mam nadzieję, że już wkrótce. Nie służy mi siedzenie w jednym miejscu, do tego tak ograniczonym.

Wlałam do kadzi kolejny dzban wrzątku i znów w powietrze wzbił się wielki obłok gorącej pary. Potem dobrą chwilę tłukłam pranie pałką, zastanawiając się, jaką grę prowadzi LeMerle.

- Musi to być dla ciebie ważne - powiedziałam w końcu. - Ta sprawa.

- Musi? - Dosłyszałam rozbawienie w jego głosie.

- Cóż, nie sądzę, byś był tutaj tylko dlatego, aby płatać figle kilku zakonnicom.

- Może masz rację - zgodził się LeMerle.

Wzięłam drewniane szczypce, wyłowiałam pranie z kadzi i wrzuciłam je do krochmalu.

- A więc? - Odwróciłam się w jego stronę, wciąż trzymając szczypce w ręku. - Dlaczego tu jesteś? Dlaczego to robisz?

Zrobił krok w moją stronę i ku mojemu zdumieniu złożył na moim gorącym czole leciutki pocałunek.

- Twoja córeczka jest na targu - powiedział łagodnie. - Nie chcesz jej zobaczyć?

- Żadnych sztuczek. - Ręka mi drżała, kiedy odkładałam szczypce.

- Żadnych sztuczek, moja Ailee. Obiecuję.

Fleur czekała na nas koło mola. Chociaż był dzień targowy, nie dostrzegłam śladu straganu z rybami ani kobiety o ponurej twarzy. Tym razem przyprowadził moją córkę siwowłosa mężczyzna, wyglądający jak rolnik w płaskim kapeluszu i samodziałowej kurtce. W pobliżu siedziała dwójka dzieci, chłopców. Ciekawa byłam, co się stało z żoną rybaka; czy Fleur w ogóle u niej mieszkała, czy też był to podstęp, który miał mnie zmylić. Czy ten siwowłosa mężczyzna opiekował się moją córką? Nie odezwał się do mnie, kiedy podeszłam do nich i wzięłam Fleur w ramiona. Patrzył obojętnie mleczonebieskimi oczami; w ustach trzymał kawałek lukrecji, który żuł od czasu do czasu, sok zabarwił kilka zębów, jakie mu pozostały, na brązowo. Poza tym mężczyzna ani drgnął; na dobrą sprawę mógł być głuchoniemy.

Tak jak się tego obawiałam, LeMerle nie zostawił mnie samej z Fleur, tylko siedział kilka metrów dalej, na falochronie, odwróciwszy twarz w stronę morza. Fleur wydawała się trochę skrepowana jego obecnością, ale zobaczyłam, że nie jest już taka bledziutka, miała na sobie czysty czerwony fartuszek i szarą sukieneczkę, a na nogach drewniane saboty. Była to niewielka pociecha; zabrano mi ją niespełna dwa tygodnie temu, a już zaczynała się przystosowywać do nowych warunków, mina sieroty przemieniła się w coś nieskończenie bardziej zatrwającego. Odniosłam wrażenie, że się zmieniła, urosła, chociaż

minęło tak niewiele czasu; w tym tempie za miesiąc zupełnie przestanie przypominać moją córeczkę, stanie się obcym dzieckiem, tylko trochę podobnym do dawnej Fleur.

Nie miałam odwagi otwarcie jej zapytać, gdzie mieszka. Więc tylko trzymałam ją w ramionach i wtuliłam twarz w jej włoski. Pachniały lekko sianem, więc pomyślałam, że może mieszka na farmie, ale pachniały również chlebem, więc mogła mieszkać w piekarni. Spojrzałam ukradkiem na LeMerle'a, który obserwował przyływ, najwyraźniej pogrążony w myślach.

- Nie zamierzasz mnie panu przedstawić? - odezwałam się w końcu, wskazując głową siwowłosego mężczyznę.

Starzec jakby mnie nie usłyszał. Podobnie jak LeMerle.

- I tak chciałabym mu podziękować - ciągnęłam. - Jeśli to on się tobą opiekuje.

Ze swojego punktu obserwacyjnego LeMerle pokręcił głową, nie racząc nawet na mnie spojrzeć.

- Mmm-mm. Chyba tak. Czy wrócę dziś do domu?

- Dzisiaj nie, kochanie. Ale już niedługo. Obiecuję. -Zrobiłam znak chroniący przed urokiem.

- To dobrze. - Fleur też zrobiła znak swoimi tłusciutkimi dzieciennymi paluszkami. - Janick nauczył mnie, jak pluć. Pokazać ci?

- Może kiedy indziej. Kto to jest Janick?

- Znajomy chłopiec. Jest miły. Ma króliki. Przyniosłaś mi Mouche?

Pokręciłam głową.

- Spójrz na tę śliczną łódź, Fleur. Czy tam, gdzie mieszkasz, widzisz łódzie?

Fleur skinęła główką, a LeMerle rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie.

- Czy chciałabyś popłynąć łodzią, Fleur? Gwałtownie pokręciła główką, aż rozsypały się jej jedwabiste włoski.

Dostrzegając szansę, spytałam pośpiesznie:

- Czy przyłynęłaś tu dziś łodzią? Fleur? Czy przyszedł groblą?

- Przestań, Julietto - ostrzegł LeMerle. - Albo dopilnuję, żebyś jej więcej nie zobaczyła.

Fleur rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Chcę wrócić - powiedziała. - Chcę wrócić do opactwa, i do kotka, i do kurek.

- Wrócisz. - Uścisnęłam ją i przez chwilę byłam bliska łez. - Obiecuję ci, Fleurette, że wrócisz.

W drodze powrotnej LeMerle był dla mnie nadszpiewanie miły. Siedziałam za nim na koniu, a on wspominał dawne czasy, l'Ailee i Ballet des Gueux, Paryż, Palais Royal, Grand Carnaval, Theatre des Cieux, dawne triumfy i klęski. Niewiele się odzywałam, ale nie zwracał na to uwagi. Duchy z przeszłości defilowały obok nas, przywrócone do życia jego opowieściami. Raz czy dwa o mało nie zachichotałam, na moich ustach błąkał się dziwny uśmiech. Gdyby nie Fleur, roześmiałabym się na głos. A przecież to mój wróg. Jest jak ten szczurołap z niemieckiej legendy, który uwolnił miasto od szczurów, a kiedy mieszczanie odmówili wypłacenia mu należności, zaprowadził ich dzieci prosto do jaskini, która się za nimi zamknęła. A przecież podążały za nim, tańcząc, a on grał im na fujarce taką czarowną melodię...

27 lipca 1610

Po powrocie stwierdziliśmy, że w opactwie panuje wielkie poruszenie. Matka Izabela, wyraźnie zniecierpliwiona i z miną cierpięcicy; czekała koło domku furtiana. Stało się coś strasznego.

LeMerle się zaniepokoił.

- To znaczy co?

- Ukazał się duch. - Z trudem przełknęła ślinę. - Przeklęty duch! Siostra Małgorzata modliła się w kaplicy za duszę mojej p-poprzedniczki. Za duszę matki Marii!

LeMerle przyglądał jej się w milczeniu, a ona, zacinając się, opowiedziała całą historię. Mówiła krótkimi, urywanymi zdaniami, często się powtarzając, jakby próbowała sama wszystko zrozumieć.

Małgorzata, wciąż bardzo przejęta tym, co się wydarzyło rano, poszła do kaplicy, żeby się pomodlić w samotności.

Podeszła do zamkniętych drzwi, prowadzących do krypty, i uklękła na małym *prie-dieu*, który tam stał. Potem zamknęła oczy. Kilka minut później jej uwagę zwrócił szcęk metalu. Otworzyła oczy i zobaczyła w wejściu do krypty postać w brązowym habicie, jaki noszą bernardynki, z płóciennym szkaplerzem. Twarz zakonnicy była niewidoczna, zasłaniał ją wykrochmalony, biały *quichenotte*.

Zaniepokojona Małgorzata wstała z klęczek i zawołała do nieznajomej zakonnicy, żeby się odwróciła. Ale ze strachu nogi zrobiły jej się jak z waty i osunęła się na ziemię.

- Czego tak się przestraszyła? - spytał LeMerle. - Przecież mogła to być któraś ze starszych zakonnicy. Może siostra Rozamunda albo siostra Maria

Magdalena. Wszystkie czasem noszą *quichenotte*, szczególnie podczas upalnej pogody.

Matka Izabela natarła na niego.

- Żadna z nas ich teraz nie nosi! Żadna!

Ale to jeszcze nie wszystko. Wyłogi białego czepca dziwnej zakonnicy, szkaplerz, nawet ręce zjawy były poplamione krwią. Co gorsza - tutaj matka Izabela zniżyła głos do szeptu - krzyż, wyhaftowany na piersiach habitu każdej bernardynki, był oderwany, na zakrwawionej tkaninie nadal były ledwo widoczne resztki nici.

- To była matka Maria - oświadczyła kategorycznie Izabela. - Matka Maria, która powstała z martwych.

Musiałam się wtrącić.

- To niemożliwe - powiedziałam ostro. - Wszyscy wiedzą, jaka jest Małgorzata. Zawsze coś jej się przywiduje. W zeszłym roku twierdziła, że widzi demony wychodzące przez komin piekarni, a okazało się, że to kawki założyły gniazdo pod okapem. Ludzie nie wstają z martwych.

Izabela mi przerwała.

- Ależ naturalnie, że wstają - odparła z mocą. - Mój stryj, biskup, zetknął się z podobnym przypadkiem w Akwitanii wiele lat temu.

- Z jakim przypadkiem? - Nie mogłam się powstrzymać, w moim głosie zabrzmiała nutka sarkazmu.

Izabela spojrzała na mnie ostro, niewątpliwie obmyślając jakąś pokutę, którą mi zada w późniejszym terminie.

- Z przypadkiem czarów - wyjaśniła. Gapiłam się na nią.

- Nie rozumiem - powiedziałam w końcu. - Matka Maria była najlepszą, najłagodniejszą kobietą, jaką znałam. Jak można wierzyć, że...

- Diabeł potrafi przybrać niewinną postać, jeśli chce - odparła zimno, tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Wszystkie te znaki - klątwa krwi, moje sny, a

teraz ten przeklęty duch... Jak można mieć jakieś wątpliwości? Jak inaczej to wytłumaczyć?

Trzeba było raz na zawsze z tym skończyć.

- Osoba skłonna do wyobrażania sobie różnych rzeczy może zobaczyć coś, co nie istnieje - wyjaśniłam. - Gdyby jeszcze ktoś widział tę... tę postać...

- Tak właśnie było. - Jej głos był triumfujący. - Wszystkie to widziałyśmy. Wszystkie.

Jej zapewnienie nie było do końca prawdziwe. Kiedy Małgorzata zaczęła krzyczeć, może kilka zakonnic znajdowało się na tyle blisko, żeby ją usłyszeć; wśród nich również matka Izabela. Gdy wbiegły z zalanego słońcem wirydarza do ciemnej kaplicy, ich wzrok nie był przyzwyczajony do mroku, niewiele widziały, ale to wystarczyło. Zarys postaci, biały czepiec... Na ich widok zjawa odwróciła się i uciekła do krypty. Do tego czasu nadbiegło więcej zakonnic. Później wszystkie utrzymywały, że widziały tę postać - także te, które pojawiły się na końcu i mogły być jedynie świadkami zamieszania, jakie powstało. Znalazłam nawet naocznych świadków wydarzenia, którzy przez całe popołudnie pracowali w polu. Matka Izabela uzbrojona w krucyfiks i latarnię, w towarzystwie Małgorzaty i Tomasiny, zeszła do krypty, by szukać dowodów, że kryła się za tym ludzka ręka.

Najpierw musiały otworzyć kluczem drzwi, przez które nie mogłby przejść żaden śmiertelnik. Ich poszukiwania nic nie dały. Nie znaleziono żadnego śladu zjawy zakonnic. Ale obok grobu matki Marii, którego pieczęć była złamana, a zaprawa wciąż świeża, znalazły ślady tej samej, słodko pachnącej czerwonej posoki, która zatrula wodę w studni, jej krople najwidoczniej wyciekły z kamiennego sarkofagu, w którym złożono trumnę matki Marii...

LeMerle miał zafrasowaną minę i nalegał na natychmiastowe udanie się na miejsce wydarzenia. Ja wróciłam do swoich obowiązków. Było jasne, że matka Izabela jest zła, iż towarzyszyłam LeMerle'owi do Barbatre - wprawdzie

niechętnie, ale przyjęła jego zapewnienia, że chodziło o to, bym zaniósła tam jedzenie i lekarstwa pewnej biednej rodzinie - i skierowano mnie do pracy w kuchni, do obierania warzyw na wieczorny posiłek. Tam miałam mnóstwo czasu, żeby rozmyślać nad tym, co się wydarzyło.

Uznałam, że chyba za dużo tych zbiegów okoliczności. W zeszłym tygodniu poszłam do Barbatre i Perette zniknęła na trzy dni. W tym tygodniu Małgorzata zobaczyła ducha, znowu pod moją nieobecność. W obu przypadkach byłam z LeMerle'em. Czy specjalnie wszystko tak zaplanował, żeby mnie przy tym nie było? Z pewnością w obu przypadkach próbowałabym znaleźć jakieś logiczne wytłumaczenie tego, co się stało, gdybym była na miejscu. Ale jaki powód mógł mieć LeMerle, by tak postępować? Niewinny żart, zapewnił, kiedy dał mi tabletki barwnika, które miałam wrzucić do studni. Pojawienie się ducha zakonnicy w kapturze mogło być kolejnym tego rodzaju żartem. Potrafiłam wyobrazić sobie Klementynę godzącą się na wzięcie udziału w podobnej maskaradzie. Ale dlaczego miałby urządzać cały cykl takich okrutnych żartów? Z pewnością ostatnią rzeczą, której chce, jest zwracanie uwagi na opactwo albo na siebie. A jednak LeMerle jest przebiegły. Jeśli tak to zaplanował, musi mieć jakiś powód. Lecz nie potrafiłam sobie wyobrazić, czym mógłby się kierować. Gdyby tylko udało mi się w jakiś sposób dowiedzieć, kto zagrał rolę ducha i jak udało mu się potem rozpląnąć w powietrzu... Ale żywe zainteresowanie, jakie już wywołał ten żart, wystarczyło, żeby zamknąć buzie nawet największym plotkarkom. Czy to też zaplanował? I komu jeszcze wyrządził drobne przysługi, o zapłatę za które upomni się później? I które zakonnice są jego współniczkami? Alfonsyna? Klementyna? Antonina? Ja?

29 lipca 1610

Nasza mała społeczność się rozpada, jej ogniwa rozpryskują się na wszystkie strony niczym kawałki wrzuconego do morza posągu naszej patronki. Klementyna robi wrażenie nieobecnej. Przez tydzień będzie kopala latryny - to pokuta za jej lenistwo. Stwierdziłam, że zastanawiam się, czy fetor, nieodłącznie związany z przydzielonym jej zadaniem, sprawił, że LeMerle poczuł do niej obrzydzenie, czy też takie znęcanie się nad innymi wynika po prostu z jego natury. Kosy potrafią zniszczyć wszystkie owoce na drzewie, dziobiąc to jeden, to drugi, napoczynając wiele, ale żadnego nie zjadając do końca. Czy ona go kocha? Jej rozmarzony wzrok, sposób, w jaki na niego patrzy, kiedy LeMerle tego nie widzi, świadczą, że tak. To znaczy, że jest głupia. Żermentę traktuje jak powietrze, chociaż ta zgłosiła się na ochotnika do pomocy przy kopaniu latryn, rozpaczliwie pragnąc być blisko Klementyny.

Dzisiaj z samego rana w końcu porozmawiałam z Perette, ale była niespokojna i rozkojarzona. Nie rozumiem, co się z nią dzieje. Może się obraziła. Jeśli chodzi o Perette, nigdy nic nie wiadomo. Bardzo chciałabym jej powiedzieć o LeMerle'u, o Fleur i o zatrutej studni, ale muszę milczeć, żeby nie narażać na niebezpieczeństwo mojej córki. Nie zostaje mi nic innego, jak wierzyć, że w ten sposób ją chronię, bo inaczej chyba bym zwariowała. Dlatego oszukuję moją przyjaciółkę i staram się nie przejmować tym, że ma do mnie pretensje. Brakuje mi jej, ale o wiele bardziej brakuje mi Fleur. Może w moim sercu jest miejsce tylko dla jednej osoby.

Rozamundy też już nie ma wśród nas. Dwa dni temu przeniesiono ją do infirmerii, gdzie leżą chorzy i umierający. Siostra Wirginia, młoda nowicjuszką, której powierzono opiekę nad staruszką, w końcu złożyła śluby i przyjęła obowiązki infirmerki. O ile sobie przypominam z naszych lekcji łaciny, prosta z niej

dziewczyna, małego ducha i bez wyobraźni. Już zaczyna przypominać niezgrabne, poruszające się bez wdzięku mieszkanki wyspy. Myślę, że matka Izabela coś jej o mnie nagadała. Świadczą o tym niechętnie spojrzenia, które mi rzuca, i wykrętne odpowiedzi, kiedy ją o coś zapytam. Nie ma jeszcze siedemnastu lat. Rozamunda to dla niej istota nie z tego świata. Sama będąc młoda, woli towarzystwo naszej nowej ksieni, którą stara się we wszystkim naśladować.

Widziałam wczoraj Rozamundę przez mur okalający ogród przy infirmerii. Siedziała na malutkiej ławeczce, skulona, jakby w ten sposób mogła uniknąć okrucieństw, do jakich zdolni są ludzie. Robiła wrażenie bardziej zdziwionej niż kiedykolwiek. Spojrzała na mnie, ale mnie nie poznała. Pozbawiona codziennych obowiązków, cienkiej nici, wiążącej ją z rzeczywistością, boi się wszystkiego; odebrano jej cel w życiu. Jedynymi osobami, z którymi się styka, jest siostra, która przynosi staruszce posiłki, i to dziecko o bezbarwnej, poważnej twarzy, wyznaczone na jej opiekunkę.

Wyglądała tak żałośnie, że na tyle mnie to rozgniewało, by dziś rano poruszyć sprawę Rozamundy podczas kapituły. LeMerle zazwyczaj nie przychodzi na nasze codzienne zebrania i miałam nadzieję, że pod jego nieobecność uda mi się wpłynąć na młodą ksienię.

- Siostra Rozamunda nie jest chora, *ma mere* - wyjaśniłam pokornym głosem. - To nieludzkie pozbawiać ją wszystkich tych drobnych przyjemności, jakimi wciąż może się cieszyć: jej obowiązków, jej przyjaciółek...

Ksieni spojrzała na mnie z odległej krainy swych dwunastu lat.

- Siostra Rozamunda ma siedemdziesiąt dwa lata - powiedziała. Z pewnością dla niej to matuzalemowy wiek. - Ledwo kojarzy, jaki mamy dzień. Nikogo nie poznaje.

No tak, pomyślałam. O to chodzi. Staruszka nie uznaje nowej ksieni.

- I jest słaba - ciągnęła Izabela. - Nawet najprostsze obowiązki są teraz ponad jej siły. Z pewnością lepiej pozwolić jej odpoczywać, niż zmuszać ją do

pracy. Jestem pewna, siostrzo Augusto - dodała, a jej oczy błysnęły chytrze - że nie zazdrościsz siostrze Rozamundzie tych chwil wytchnienia, na które dobrze sobie zasłużyła.

- Niczego jej nie zazdrozczę - odparłam dotknięta do żywego. - Ale zamknąć ją w infirmerii tylko dlatego, że jest stara i czasami siorbie przy jedzeniu...

Za dużo powiedziałam. Ksieni uniosła podbródek.

- Zamknąć? - powtórzyła jak echo. - Czyżbyś uważała, że więzimy biedną siostrę Rozamundę?

- Skądże znowu.

- W takim razie... - Na chwilę zawiesiła głos. - Każda z nas może odwiedzać naszą niedomagającą siostrę, kiedy tylko zechce, oczywiście pod warunkiem, że siostra Wirginia uzna, że staruszka ma dość sił, by przyjmować gości. Jej nieobecność przy stole oznacza tylko, że może posilać się bardziej pożywnie i jadać regularniej niż my, w porach bardziej odpowiednich dla osób w jej wieku i stanie zdrowia. - Rzuciła mi przebiegłe spojrzenie. - Siostrzo Augusto, chyba nie chcesz odebrać naszej starej przyjaciółce tych kilku przywilejów? Jeśli dożyjesz jej wieku, jestem pewna, że też będziesz zadowolona, mogąc z nich korzystać.

Sprytna mała kokietka. LeMerle dobrze ją wyszkolił. Cokolwiek bym teraz powiedziała, zabrzmiałoby to, jakbym zazdrościła Rozamundzie.

Uśmiechnęłam się, kapitulując, chociaż wszystko się we mnie gotowało.

- Jestem pewna, że wszystkie będziemy zadowolone, *ma mere* - odparłam i z radością zobaczyłam, jak zacisnęła usta.

Cóż, tak zakończyła się moja próba przyjscia z pomocą Rozamundzie. Prawie przy tym przekroczyłam bezpieczne granice; matka Izabela patrzyła na mnie krzywo do końca kapituły i ledwo uniknęłam kolejnej pokuty. Ale w tym tygodniu przypada moja kolej, by pracować w piekarni - co jest wyjątkowo

uciążliwym i męczącym zajęciem w taką upalną pogodę - i ksieni zdawała się usatysfakcjonowana. Przynajmniej na razie.

Piekarnia mieści się w okrągłym, przysadzistym budynku w głębi wirydarza. Zamiast okien ma pozbawione szyb szpary, głównym źródłem światła są wielkie gliniane piece w samym środku pomieszczenia. Pieczemy tak, jak to robili dominikanie, na płaskich kamieniach, rozgrzanych do czerwoności. Nad piecami jest tak szeroki okap, że widać przez niego niebo, a kiedy pada, krople deszczu wpadają do środka i sycząc, przemieniają się w parę. Kiedy weszłam do piekarni, dwie młode nowicjuszkki przygotowywały się do wyrabiania ciasta: jedna wybierała wołki zbożowe z kamiennego pojemnika z mąką, druga mieszała drożdże w misce. Ogień w piecach był już rozpalony, było od nich ciepło, rozgrzane powietrze drgało, tworząc falującą kurtynę. Za tą kurtyną stała siostra Antonina. Spod wysoko podwiniętych rękawów widać było jej grube czerwone ramiona, włosy miała schowane pod chustką, którą obwiązała głowę.

- *Ma soeur.* - Antonina jakby się zmieniła. Zazwyczaj była dobroduszna i trochę nierozgarnięta. Teraz patrzyła twardo i z determinacją. Wyglądała niemal groźnie w czerwonym świetle paleniska, pod warstwą tłuszczu poruszały się silne mięśnie jej szerokich ramion, kiedy zagniała ciasto.

Od razu wzięłam się do pracy. Wkładałam chleb do wielkich form, które następnie wsuwałam do pieca. Wcale nie jest to takie proste, jak się może wydawać; kamienie muszą być odpowiednio rozgrzane, bo za wysoka temperatura powoduje, że ciasto z wierzchu się pali, a w środku pozostaje surowe, a przy zbyt niskiej wychodzą płaskie, niewyrośnięte bochenki, twarde jak kamień. Przez jakiś czas pracowałyśmy w milczeniu. Opał w piecu strzelał i trzaskał; ktoś dołożył mokrego drewna, więc dym był ostry i gryzący. Dwa razy oparzyłam się w rękę o rozgrzane kamienie i zaklęłam pod nosem. Antonina udawała, że nic nie zauważa, ale jestem pewna, że uśmiechnęła się złośliwie.

Upiekłyśmy pierwszą partię bochenków i zabrałyśmy się do drugiej. Codziennie trzeba przygotować przynajmniej trzy partie pieczywa, każda składa się z dwudziestu pięciu białych albo trzydziestu ciemnych chlebów. A oprócz tego suchary na zimę, kiedy jest mniej opału, i ciastka na specjalne okazje. Chociaż oczy mnie szczypały od dymu, bochenki pachniały smakowicie i poczułam burczenie w brzuchu. Uświadomiłam sobie, że odkąd odebrano mi Fleur, prawie wcale nie jadłam. Pot ściekał mi z włosów, mocząc chustkę, którą obwiązałam głowę. Całą twarz miałam wilgotną. Zaczęłam widzieć podwójnie; wyciągnęłam rękę, żeby się czegoś przytrzymać, i dotknęłam gorącej formy do chleba. Była odstawiona do wystygnięcia, ale okazała się jeszcze tak rozgrzana, że sparzyła mi delikatną skórę między palcami. Głośno krzyknęłam z bólu. Antonina znów na mnie spojrzała. Tym razem nie ulegało wątpliwości, że się uśmiecha.

- Początki są trudne - wyrzekła na tyle cicho, że poza mną nikt jej nie usłyszał. Młode nowicjuszki siedziały w pobliżu otwartych drzwi, za daleko, by dotarły do nich te słowa. - Ale niebawem się przyzwyczaisz. - Miała karminowe usta, zbyt zmysłowe jak na zakonnice, w jej oczach odbijał się blask ognia. - W końcu do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Machałam oparzoną ręką, żeby zmniejszyć ból, i nic nie odpowiedziałam.

- Szkoda byłoby, gdyby ktoś się o tym dowiedział - ciągnęła Antonina. - Wtedy prawdopodobnie na dobre byś tu utknęła. Tak jak ja.

- O czym się dowiedział?

Antonina wykrzywiła usta, a ja się zdziwiłam, że kiedykolwiek mogłam ją uważać za niemądrą. Baczenie mi się przyglądała i w tamtej chwili niemal się jej przestraszyłam.

- O twoich potajemnych spotkaniach z Fleur, naturalnie. A może myślałaś, że nie zauważyłam? - Teraz w jej głosie dosłyszałam również rozgoryczenie. - Wszyscy zakładają, że gruba siostra Antonina niczego nie zauważy. Że gruba siostra Antonina myśli wyłącznie o swoim brzuchu. Kiedyś

miałam dziecko, ale nie pozwolono mi go zatrzymać - powiedziała. - Dlaczego ty miałabyś zatrzymać swoje? Czym się różnisz od reszty z nas? - Zniżyła głos, w jej oczach wciąż odbijały się czerwone płomienie. - Jeśli matka Izabela się o tym dowie, położy temu kres, bez względu na to, co powie ojciec Saint-Amand. Nigdy więcej nie zobaczysz Fleur.

Spojrzałam na nią. Wydawała się kimś zupełnie innym od dawnej grubej, dobrodusznej Antoniny, która płakała, kiedy uszczypnęłam ją w ramię.

- Nie mów o tym nikomu, Antonino - szepnęłam. - Dam ci...

- Syropu? Łakoci? - spytała szorstko i młode nowicjuszki z zaciekawieniem uniosły głowy, żeby zobaczyć, co się dzieje. Antonina ostrym tonem wydała im polecenie i natychmiast spuściły głowy. - Jesteś moją dłużniczką, Augusto - powiedziała cichym głosem. - Pamiętaj o tym. Jesteś moją dłużniczką.

Potem jak gdyby nigdy nic odwróciła się, by sprawdzić, czy bochenki już się upiekły. Do południa oglądałam jedynie jej plecy.

Może nie miałam powodów do niepokoju. Było jasne, że Antonina nie zamierza zdradzić mojej tajemnicy. Ale zaskoczyła mnie swoją pryncypialnością; a jeszcze bardziej zdumiało mnie to, co powiedziała: *Jesteś moją dłużniczką*. Na ogół takie słowa słyszałam z ust LeMerle'a.

Tego wieczoru po komplecie poszłam do studni, by zaczerpnąć wody do mycia. Słońce zaszło, ciemnofioletowe niebo przecinały czerwone smugi. Na dziedzińcu było pusto, ponieważ większość zakonnicy już udała się do kalefaktorium albo do dormitorium. Przez otwarte okna wylewało się ciepłe, żółte światło. Studnia jest jeszcze niegotowa, brakuje kamiennej cembrowiny, kiedy jest ciemno, prawie jej nie widać; wokół otworu w ziemi pośpiesznie wzniesiono prymitywne, drewniane ogrodzenie, żeby nikt przypadkiem nie wpadł do środka. Żuraw, na którym zawieszono wiadro, przypomina chudą postać, stojącą na tle fioletowej ziemi. Dwanaście kroków. Sześć. Cztery. Chuda postać odskoczyła od studni, wyraźnie przestraszona. Zobaczyłam drobną, bladą

buzię, fioletową w skąpym świetle, oczy okrągłe ze zdumienia i - mogłabym przysiąc - z poczucia winy.

- Co ty tu robisz? - spytała podejrzliwie. - Powinnaś być razem z innymi siostrami. Dlaczego mnie śledzisz?

Trzymała coś w dłoniach, jakieś zawiniątko, jakby mokre szmaty. Mój wzrok padł na nie, więc próbowała ukryć zawiniątko w fałdach spódnicy. Wydawało mi się, że dostrzegam jakieś ciemne plamy na materiale, w tym nikłym świetle wyglądały na czarne. Wyciągnęłam dzbanek.

- Potrzebuję trochę wody, *ma mere* - przemówiłam bezbarwnym głosem. - Nie zauważyłam cię.

Teraz zobaczyłam u jej stóp wiadro z wodą, jego zawartość się wylała, tworząc kałużę na wyschniętej ziemi. W wiadrze też były szmaty albo ubranie. Izabela zobaczyła, że się im przyglądam, i złapała je. Płasnęły o jej spódnice, ale nawet nie próbowała ich wyjąć.

- W takim razie nabierz sobie wody - powiedziała cierpko, popychając wiadro nogą. Przewróciło się, na ziemi pojawiła się ciemna plama.

Zrobiłabym to, co mi kazała, ale poczułam, że jest spięta. Jej oczy dziwnie błyszczą, zauważyłam, że twarz też błyszczy, jakby była mokra. Poczułam również słodkawy i mdły zapach. Wiedziałam, co tak pachnie.

Krew.

- Czy coś się stało?

Przez chwilę gapiła się na mnie. Napięła wszystkie mięśnie twarzy, starając się zachować godność. Całym jej ciałem przebiegł dreszcz. Przód sukni zrobił się ciemny od wody, ociekającej ze szmat.

Potem wybuchnęła szlochem. Był to żalospny płacz zdezorientowanego dziecka, które płakało tak rzewnie i tak długo, że już mu obojętne, kto je usłyszy. Na chwilę zapomniałam, kto stoi przede mną. To już nie była matka Izabela z domu Arnault, obecnie ksieni klasztoru Sainte-Marie la Mere. Kiedy podeszłam do niej, przytuliła się do mnie i przez chwilę czułam się tak, jakbym

trzymała w ramionach Fleur albo Perette, rozpaczając z powodu jakiegoś prawdziwego albo urojonego nieszczęścia, jakie spotykają tylko dzieci.

Pogłaskałam ją po włosach.

- Uspokój się, dziecinko. Wszystko już dobrze. Nie bój się.

Zaczęła coś mówić z twarzą wtuloną w mój habit, ale nie mogłam zrozumieć jej słów. Czułam, jak woda z poplamionych szmat, które wciąż ścisnęła w rękę, ścieka mi po plecach.

- Co się stało?

Bił od niej ostry pot osoby gorączkującej. Miała tak rozpalone czoło, że zastanawiałam się, czy naprawdę nie jest chora. Spytałam ją, czy coś jej dolega.

- Dostałam kurczy - powiedziała Izabela z wysiłkiem. - Kurczy żołądka. I ta krew. Krew!

Przez kilka ostatnich dni tak dużo mówiono o krwi, że w pierwszej chwili nie zrozumiałam. Potem doznałam olśnienia. Jej słowa - klątwa krwi - poplamione gałganki, które próbowała ukryć. Kurcze. Ależ oczywiście. Przytuliłam ją mocniej.

- Czy umrę? - spytała drżącym głosem. - Czy pójdę do piekła?

Nikt nigdy jej o tym nie powiedział. Ja miałam szczęście; moja matka nie kierowała się w życiu fałszywym wstydem. Wyjaśniła, że krew nie jest ani grzeszna, ani nieczysta. To dar od Boga. Żaneta powiedziała mi więcej i nauczyła mnie, jak składać podpaski i odpowiednio je mocować; to mądra krew, szeptała z tajemniczą miną. Magiczna krew. W jej dłoniach migały karty, karty do nowej gry - tarota - które Giordano przywiózł ze sobą z Włoch. Miała bielmo na oku, a jednak nikt nie był przenikliwszy od niej. Widzisz tę kartę? To księżyc. Giordano mówi, że przyływy i odpływy morskie zależą od fazy księżyca. Podobnie jest w przypadku kobiety: niska fala podczas nowiu i wysoka przy pełni księżyca. Ból minie. Aby móc się cieszyć darem, czasem trzeba trochę pocierpieć. Ale to cenny klejnot, o którym mówi Le Philosophe. Fontanna życia.

Naturalnie nic z tego nie mogłam powiedzieć Izabeli. Ale starałam się wyjaśnić to ksieni najlepiej, jak umiałam, aż jej łkania ucichły. W pewnej chwili poczułam, że zeszywniała, a potem odsunęła się ode mnie.

- Powinna ci o tym powiedzieć twoja matka - tłumaczyłam cierpliwie. - W przeciwnym razie szok jest nieunikniony. Ale wszystkie dziewczynki mają takie dolegliwości, kiedy przemieniają się w kobiety. To żaden wstyd.

Spojrzała na mnie twardym wzrokiem. Twarz miała wykrzywioną z obrzydzenia i wściekłości.

- Nie ma w tym nic złego. - Przez wzgląd na nią chciałam, żeby to dobrze zrozumiała. - Widzisz, to nie jest żadna diabelska sztuczka. - Spróbowałam się uśmiechnąć, ale patrzyła na mnie oskarżycielsko, z nienawiścią. - Zdarza się to tylko raz w miesiącu i trwa kilka dni. Trzeba tak zrobić podpaszkę... - Pokazałam jej, posługując się skrajem habitu, ale Izabela prawie mnie nie słuchała.

- Och, ty kłamczucho! - Odsunęła się ode mnie i z taką siłą kopnęła mój dzban na wodę, że przeleciał przez sztachetki ogrodzenia i wpadł do studni. - Ty kłamczucho!

Próbowałam protestować, ale Izabela zaczęła jak szalona okładać mnie pięściami.

- To nieprawda! Nieprawda! Nieprawda!

Wtedy się zorientowałam, że popełniłam niewybaczalny błąd. Widziałam ją zupełnie bezbronną. Okazałam jej współczucie. Gorzej, poznałam jej tajemnicę, tajemnicę, którą uważała za tak wstydliwą, że osobiście prała nocą swoje zabrudzone gałganki, żeby nikt się nie dowiedział...

Wyczytałam to wszystko z jej ostatniego spojrzenia, kiedy odwróciła się na chwilę w moją stronę.

- Ty kłamczucho! Ty wredna czarownico! To ty! Ty jesteś nałożnicą Szatana i mogę to udowodnić!

Próbowałam ją uspokoić.

- Nie będę cię słuchała! - Nawet w tamtej chwili było mi jej żal: jej młodości, jej wątpliwości, jej okropnej samotności... - Nie będę! Zawsze mnie nienawidziłaś! Widziałam, jak bezczelnie mi się przyglądałaś! Oceniałaś mnie! - Z jej ust wydobył się gniewny szloch. - Ale nie dam się oszukać! Wiem, co próbujesz zrobić, i nie zgodzę się... nie zgodzę się!

Wyrzuciwszy z siebie te słowa, uciekła.

RS

CZĘŚĆ TRZECIA

IZABELA

1

1 sierpnia 1610

Minęły trzy koszmarne dni. Od spotkania przy studni matka Izabela rzadko się do mnie odzywa i nie wraca do naszej rozmowy, ale czuję, że mi nie ufa i nie darzy mnie sympatią. Nie powtórzyła tego, co mi powiedziała wtedy, nie ponowiła swoich oskarżeń i gróźb ani w cztery oczy, ani publicznie. Prawdę mówiąc, nie traktuje mnie tak wrogo, jak dawniej. Ale źle wygląda: twarz pokrywają jej wypryski, oczy ma podpuchnięte.

LeMerle jeszcze dwa razy zaprosił mnie do swojego domku. Napomyka, że mogłabym mu wyrządzić drobną przysługę, ale boję się, o co mógłby mnie poprosić tym razem. Już w różnych miejscach opactwa widziano ducha, który po raz pierwszy objawił się Małgorzacie; za każdym razem jego opis staje się coraz bardziej szczegółowy, tak że teraz zakonnica-zjawa ma wszystkie cechy bohaterki romansu ludowego - przekrwione oczy i odrażającą twarz.

Wcale mnie nie zdziwiło, że Alfonsyna też ją widziała, i to znacznie wyraźniej od Małgorzaty. Zastanawiam się, do jakiego stopnia zjawa jest wytworem ich wzajemnej rywalizacji. Alfonsyna, która z każdym dniem jest bledsza i coraz bardziej egzaltowana, przysięga, że rozpoznała matkę Marię, ukrywającą za tym osobliwym kornetem twarz, wykrzywioną nienawiścią i złośliwą satysfakcją. Wkrótce Małgorzata doniesie o czymś

jeszcze bardziej przerażającym i znów będzie lepsza od Alfonsyny; a na razie spędza czas na sprzątanii i modlitwie, podczas gdy jej rywalka pości, modli się i coraz bardziej kaszle.

Co się z nami dzieje? Rozmawiamy prawie wyłącznie o krwi i zjawach. Stosunki między nami trudno nazwać normalnymi. Nigdy nie odbywałyśmy tylu pokut co teraz, siostra Maria Magdalena przez dwie noce z rzędu czuwała w kaplicy, dlatego że ośmieliła się zakwestionować słowa jakiejś nowicjuszki. Nasze posiłki składają się obecnie wyłącznie z ciemnego chleba i zupy, bo matka Izabela ogłosiła, że bardziej pożywne jedzenie rozbudza grzeszne żądze. Głosi to z taką zaciekłością, że rubaszne żarty, które wywołałoby takie oświadczenie za czasów matki Marii, więzną nam w gardle.

Namiętnie plotkujemy i szepczemy po kątach. Klementyna dała się poznać jako gorliwa donosicielka. Prawie nic się nie ukryję przed niewinnym spojrzeniem jej wielkich oczu. Ani że siostra Antonina zje chleb przed zmówieniem modlitwy. Ani że Tomasina zamknie oczy podczas czuwania, Pieta okaże złość, gdy się jej przeszkodzi podczas modlitwy, Żermena wyrazi się lekceważąco o zjawie... To jest szczególnie podłe. Słowa wypowiedane w zaufaniu są powtarzane publicznie z błogim samozadowoleniem. Matka Izabela chwali Klementynę za jej poczucie odpowiedzialności. LeMerle zdaje się tego nie zauważać.

Żermena przyjęła nałożoną na nią pokutę z lodowatą obojętnością. Chodzi teraz z kamienną miną, jej oszpecona twarz jest tak szorstka, jak oblicze posągu Marie-de-la-mer, świętej, która nigdy nie istniała. A jednak łatwiej nam wierzyć w naszemu opactwie, smaganym zimnymi, zachodnimi wiatrami, w Boginię Morza, czujną, groźną, o kamiennych, wytrzeszczonych oczach. W każdym razie łatwiej niż w Matkę Boską, tę Dziewicę, która jest ponoć matką nas wszystkich.

Trzy dni temu do naszego opactwa przywieziono śliczny marmurowy posąg Przenajświętszej Panienki. Ma nam zastąpić ten, którego nas pozbawiono.

Matka Izabela powiedziała, że to dar od jej ukochanego stryja. W podzięcie za tę hojność odprawimy czterdzieści mszy w jego intencji. Nowa Maria jest cała biała i bezbarwna jak obrany ziemniak. Umieszczono ją nad wejściem do kaplicy, gdzie kiedyś stała dawna Maria. Usta ma wykrzywione w lekkim, nieznaczającym uśmiechu, jedną rękę wyciągniętą w geście błogosławieństwa.

Zaraz nazajutrz po przywiezieniu nowej Marii ktoś zbezczeszczył posąg, wypisał na nim czarnym ołówkiem plugawe słowa. Żermena, która odbywała pokutę w kaplicy tamtej nocy, kiedy dopuszczono się tego ohydneho czynu, oświadczyła, że nic nie widziała podczas nocnego czuwania, ale mówiąc to, wykrzywiła usta. Może zrobiła to tajemnicza zakonnica w kapturze, zasugerowała bezczelnie, albo małpa z Dalekiego Wschodu, albo Duch Święty. I zaczęła się śmiać, początkowo cicho, a potem coraz głośniej. Przyglądałyśmy się jej zmieszane i zaniepokojone. Na policzki wystąpiły jej fioletowe plamy. Na chwilę odwróciła się do Klementyny, z błagalną miną na swej oszpeconej twarzy. A potem upadła do tyłu, rękami chwytając powietrze.

Po tym wydarzeniu Żermenę zabrano do infirmerii. Siostra Wirginia oświadczyła, że Żermena cierpi na *cameras de sangre*, i głośno zapewniała, że chora wkrótce wyzdrowieje, ale teraz, podczas spotkań w cztery oczy, tylko kiwa głową i szepcze, że mało prawdopodobne, by pacjentka pożyła dłużej niż miesiąc. Siostra Rozamunda też budzi mój niepokój. W ciągu ostatniego tygodnia jej stan wyraźnie się pogorszył; teraz całe dni spędza w infirmerii, prawie wcale się nie rusza i nie chce jeść. To prawda, że jest bardzo stara - ma prawie tyle lat, co biedna matka Maria - ale póki stał posąg naszej świętej, była wesołą staruszką, zdrową na ciele, jeśli nie na umyśle, i cieszyła się drobnymi przyjemnościami, jakie jeszcze były dla niej dostępne, z godną pozazdroszczenia prostotą.

Czuję się dziwnie winna i próbowałabym się za nią wstawić, ale wiem, że w ten sposób niczego nie wskóram. Prawdę mówiąc, w tej chwili uznaję za

bardziej prawdopodobne, że matka Izabela okaże współczucie Rozamundzie, jeśli będę udawała, że obojętny jest mi jej stan.

Oczywiście to część jego planu. Z każdym dniem, który tu spędzam, dół, który sama pod sobą wykopałam, staje się głębszy. LeMerle o tym wie; niewątpliwie tego właśnie chciał. Gardzi moją lojalnością wobec sióstr, ale rozumie, że ich nie opuszczę, kiedy Fleur jest bezpieczna, a one - nie. Stałam się swoim własnym dozorcą więziennym i chociaż coraz wyraźniej czuję wszystkimi zmysłami, że muszę się ratować, boję się, co się może wydarzyć, jeśli mnie tu zabraknie. Każdej nocy radzę się kart, ale pokazują mi to, co już widziałam: więź w płomieniach, z jej szczytu spada kobieta z rozpostartymi ramionami; zakapturzonego pustelnika; okrutną szóstkę mieczy. Nad naszymi głowami wisi jakieś nieszczęście, a ja nic nie mogę zrobić, by temu zapobiec.

1 sierpnia 1610

W końcu przyszła odpowiedź na moje listy. Zdaje się, że Jego Wielebność zbytnio się nie śpieszy i nie widzi powodu, żeby mi podziękować za wszystkie moje trudy. Mam się uważać za zaszczyconego, że dostałem szansę poświęcenia swojego życia szlchetnemu rodowi Arnault. Jednak hojny dar - marmurowy posąg, który dostarczono razem z listem - świadczy o tym, że Monseigneur docenia moje wysiłki. Jego Wielebność nie kryje zadowolenia z wieści o zmianach wprowadzonych przez jego bratanicę. I nic dziwnego - naszkicowałem śliczny obrazek młodej ksieni, promieniejącej niewinnością i nieziemską urodą; wielbiących ją zakonnic; ptaków zlatujących się, by słuchać jej mów. Napomknąłem o cudach: deszczach różanych płatków; cudownych uzdrowieniach. Siostra Alfonsyna z pewnością się ucieszy, że wyzdrowiała po ciężkiej chorobie. A siostra Rozamunda odzyskała władzę w uschniętej ręce.

Nie należy zbyt głośno rozgłaszać opowieści o cudownych uzdrowieniach, ale nie wolno tracić nadziei, i jeśli Bóg zechce...

Przyjęta została zarzucona. Jestem prawie pewien, że ją połknie. Zapropnowałem piętnastego sierpnia jako najlepszy termin. Wydaje się ze wszech miar stosowne, by w dniu Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny uroczysto świętować powrót opactwa na łono Kościoła.

A na razie muszę pracować dzień i noc, by wszystko przygotować na czas. Na szczęście mam pomocnice: Antoninę, silną, powolną i niewymagającą; Alfonsynę, moją wizjonerkę i roznosicielkę plotek; Małgorzatę, mój katalizator. Nie wspominając o Piete, która biega na posyłki, mojej małej siostrze Annie i Klementynie...

Cóż, może trochę się pomyliłem, jeśli o nią chodzi. Mimo swego potulnego wyglądu jest najbardziej wymagającą ze wszystkich moich uczennic i trudno mi nadążać za zmianami jej nastrojów. Jednego dnia mruczy jak kotka, następnego jest zimna i uparta. Zdaje się czerpać przyjemność z prowokowania mnie do użycia siły, by potem okazywać skruchę i zapewniać o swojej miłości. Według niej, powinno mnie to podniecać. I nie wątpię, że wielu mężczyznom coś takiego się podoba. Ale nie mam już siedemnastu lat, by tracić głowę dla jakiejś ładnej buzi i dziewczęcej kokieterii. Zresztą mogę jej poświęcić tak mało czasu. Pracuję równie długo i ciężko, jak zakonnice. Noce pochłaniają mi rozmaite tajne zabiegi; dni wypełnione są udzielaniem błogosławieństw, odprawianiem egzorcyzmów, publicznymi spowiedziami i innymi codziennymi obowiązkami.

Pojawienie się ducha zakonnicy okazało się pierwszym z szeregu wydarzeń, które mogą być diabelskiej natury: nocą znikają krzyże wyhaftowane na habitach zakonnice; na posągu nad wejściem do kaplicy pojawiają się bluźniercze napisy; w chrzcielnicy i na stopniach przed ołtarzem widać ślady krwi. Ojciec Colombin zachowuje jednak stoicki spokój w obliczu tych kolejnych zniewag i codziennie spędza godziny na modlitwach; drzemka od

czasu do czasu ratuje go przed całkowitym wyczerpaniem, a siostra Antonina dba, żeby nie głodował.

A co z tobą, moja Julietto? Co gotowa jesteś dla mnie zrobić i jak długo jeszcze? Spotkanie z Fleur w dzień targowy w Barbatre spełniło swoje zadanie. Ale nie można było tego powtórzyć bez wzbudzania podejrzeń. Izabela obserwuje mnie, jakby była zazdrosna, a jej czujność, wytrwale doskonalona, przypomina igłę kompasu, stale zwróconą w moim kierunku. Ojciec Saint-Amand jest taki prostoduszny mimo całej swej mądrości, łatwo go zwieść kobiecymi sztuczkami. O wiele surowsza wobec przedstawicielek własnej płci niż jakikolwiek mężczyzna, wie o tej mojej największej słabości, traktując to jako widomy znak, że jestem tylko człowiekiem. Jeśli się dowie o romansie z Klementyną, stanie po mojej stronie, z góry zakładając, że to dziewczyna sprowadziła mnie na złą drogę. Ale nie spuszcza oka z Julietty. Instynkt jej podpowiada, kto jest jej prawdziwym wrogiem. Moja Uskrzydłona pracuje w piekarni - powiedziano mi, że to dość ciężka praca, ale na pewno lżejsza niż kopanie studni. Nie szuka ze mną kontaktu, chociaż niewątpliwie jest spragniona wiadomości o swojej córeczce. Z pozoru zachowuje się uległe, a to tak nie pasuje do tego, co o niej wiem! Tylko raz popełniła błąd i zwróciła na siebie uwagę, stając w obronie starej zakonnicy, którą zabrano do infirmerii. Tak, słyszałem o tym. Głupia chwila słabości, i z jakiego powodu? Skąd u kogoś takiego jak ona tyle lojalności wobec tych kobiet? Zawsze miała zbyt miękkie serce. Dla wszystkich. Z wyjątkiem mnie, oczywiście.

Chociaż nie bardzo mogę sobie pozwolić na takie marnotrawienie czasu, dziś rano spędziłem dwie godziny z Izabelą na spowiedzi i modlitwie. Obok sypialni ma własny gabinet, z kapliczką, świecami, swoim portretem, namalowanym przez Toussainta Dubreuila, i srebrną figurką Najświętszej Pani, wcześniej trzymaną pod kluczem w zakrystii. Kiedyś łakomie patrzyłbym na tę figurkę i na pozostałe skarby, przechowywane w opactwie, ale dawno minęły lata drobnych kradzieży. Zamiast tego z poważną, pełną

współczucia miną słuchałem wynurzeń rozpieszczonej pannicy, chociaż w głębi duszy się śmiałem.

Matce Izabeli coś nie daje spokoju. Mówi mi to z nie-uświadamianą arogancją, wynikającą z wysokiego urodzenia, z wyniosłością osoby dorosłej, maskującej dziecięce lęki. Mówi mi, że się boi. O swoją duszę, o swoje zbawienie. Bo widzicie, dręczą ją koszmary senne. Sypia zaledwie trzy, cztery godziny na dobę - czy morze nigdy nie jest tutaj spokojne? - ale te godziny wypoczynku zatruwają sny, jakich nigdy wcześniej nie miała.

- Co ci się śni? - Zmrużyłem oczy, żeby ukryć uśmiech. Może być tylko dzieckiem, ale jej zmysły są wyostrzone i ma niesamowity instynkt. Gdyby warunki były inne, przy odrobinie wysiłku z mojej strony nauczyłaby się grać w karty jak mało kto.

- Krew - powiedziała bardzo cicho. - Śniło mi się, jak krew wypływa z krypty i zalewa kaplicę. Potem przyśnił mi się posąg z czarnego kamienia, kiedyś stojący nad wejściem. Spod niego też wypływała krew. A później ujrzałam w swoim śnie siostrę Augustę... - (Mówiłem wam, że natura obdarzyła ją niezwykłym instynktem) - ...i studnię. Śniło mi się, że ze studni wykopanej przez siostrę Augustę wypłynęła krew i całą mnie zbrukała!

Bardzo dobrze. Nigdy nie posądzałem swojej małej uczennicy o aż taką wyobraźnię. Zauważyłem, że na twarzy wokół ust i na brodzie wyskoczyły jej małe krostki, co świadczy, że nie jest zupełnie zdrowa.

- Nie wolno ci zbyt przesadzać, *ma filie* - rzekłem łagodnie. - Doprowadzanie się do stanu fizycznego wyczerpania przez odmawianie sobie wszystkiego to nie sposób, by wypełnić zadanie, jakie nam tutaj powierzono.

- Sny mówią prawdę - mruknęła z ponurą miną. - Czy woda w studni nie była zatruta? A sakrament?

Poważnie skinąłem głową. Czasami zapominam, że ma dwanaście lat; z tą swoją pomarszczoną, drobną twarzyczką i zaczerwienionymi oczami wygląda na starą, spracowaną kobietę.

- Siostra Alfonsyna coś widziała w krypcie - mruknęła, na poły ponuro, na poły władczo.

- To tylko jakieś zwidy - rzuciłem lekceważąco, dolewając oliwy do ognia.

- Nie! - Odruchowo ściągnęła ramiona; położyła rękę na brzuchu i skrzywiła się.

- Co się stało? - Pozwoliłem sobie dłużej potrzymać rękę na jej karku, aż Izabela się odsunęła.

- Nic. Nic! - powtórzyła, jakbym się jej sprzeciwił. Wyznała mi, że od kilku dni dokuczają jej kurcze. Ale ból minie. Odniosłem wrażenie, jakby chciała mi powiedzieć coś jeszcze, na chwilę z jej twarzy spadła maska starej kobiety i ujrzałem dziecko, jakim mogłaby być. Ale zaraz się opanowała. W tamtym momencie bardzo przypominała swojego stryja. Uderzające podobieństwo; muszę pamiętać, że nie mam do czynienia ze zwykłym dzieckiem, tylko z rozpuszczoną i złośliwą dziewczynką.

- Zostaw mnie teraz - powiedziała wyniośle. - Chcę się pomodlić w samotności.

Skinąłem głową, ukrywając uśmiech. Zmów swoje modlitwy, siostrzyczko. Ród Arnault może ich potrzebować szybciej, niż przypuszczasz.

3

3 sierpnia 1610

Ostatniej nocy Żermena odebrała sobie życie. Znalazłyśmy ją dziś rano, jej zwłoki wisały na belce nad studnią. Pod tym ciężarem drewniana rozpórka, na której się powiesiła, obniżyła się, ale na szczęście się nie wyrwała z ziemi. Jeszcze metr, a woda uległaby gorszemu zatruciu niż wtedy, kiedy wrzuciłam do studni tabletki czerwonego barwnika, które dał mi LeMerle. Samobójstwo

Żermeny było równie tajemnicze, jak ona sama za życia. W pobliżu znalazłyśmy plugawe, ledwo czytelne napisy na murach kaplicy i na kilku posągach; wszystkie były nabazgrane tym samym czarnym ołówkiem, którym się posłużono, by zbezczścić nowy posąg Matki Boskiej. Usunęła też krzyż bernardynów ze swojego habitu, skrupulatnie usuwając resztki nitki, jakby chciała nam oszczędzić wstydu, gdybyśmy go ujrzały na piersiach samobójczyni.

Twarz Żermeny tylko mi mignęła, kiedy odwiązywano zwłoki, ale wydała mi się prawie wcale niezmienną. Nawet po śmierci usta pozostały tak samo zaciśnięte i cyniczne, Żermena miała taką samą minę, jak zawsze, jakby spodziewała się od życia wszystkiego najgorszego i tylko to od niego otrzymywała. Ale wiedziałam, że pod tą maską obojętności ukrywała serce wrażliwsze i bardziej podatne na zranienia, niż którakolwiek z nas się domyślała.

Pochowaliśmy ją przed prymą, na skrzyżowaniu dróg za terenem opactwa. Kiedy kopałam dla niej grób, przypomniałam sobie, jak razem kopałyśmy studnię, i wypowiedziałam kilka cichych, pełnych żalu słów do świętej Marie-de-la-mer. Tomasina chciała przebić serce Żermeny kołkiem, żeby jej duch nie krążył po nocach, strasząc ludzi, ale nie zgodziłam się na to. Pozwólmy Żermenie spoczywać w pokoju, powiedziałam; jesteśmy zakonnicami, a nie jakimiś dzikuskami.

Tomasina mruknęła coś niewyraźnie pod nosem.

- Co mówiłaś?

- Nic.

Poczułam jednak jakiś niepokój. Nie opuszczał mnie przez cały dzień, towarzyszył mi w opactwie, w ogrodzie i w kaplicy; nie odstępował mnie, kiedy pracowałam w piekarni i na polu. Nic nie pomogła zmiana pogody. W nocy powietrze stało się ciężkie i wilgotne, słońce, przesłonięte warstwą chmur, przypominało zaśniedziałą monetę. Biły na nas siódme poty. Żadna nie mówiła nic na głos o samobójstwie Żermeny ani nawet o zjawie zakonnicy, ale i tak z

każdą mijającą godziną narastał w nas bunt i strach. Ostatecznie to już druga śmierć w okresie niespełna miesiąca, a obu towarzyszyły niezwykle okoliczności. Było tylko kwestią czasu, kiedy znów wydarzy się coś strasznego.

Tego wieczoru w końcu nastąpiło to, czego się obawialiśmy. Siostra Wirginia przyszła z infirmerii ze smutną nowiną, że kiedy miałyśmy kapitułę, zmarła siostra Rozamunda. Och, można się było tego spodziewać po kobiecie w jej wieku, ale i tak bardzo to przeżyłyśmy. Wstrząs okazał się na tyle silny, że zaczęły krążyć plotki: Rozamunda zmarła w wyniku szoku wywołanego kolejnym pojawieniem się widma zakonnicy; ten sam duch piekielny, który zabił matkę Marię, opętał teraz staruszkę i spowodował jej śmierć; popełniła samobójstwo; zmarła na cholere, ale próbuje się to zataić; zginęła z powodu nadmiernego puszczenia krwi, zaleconego przez matkę Izabelę.

Najbardziej byłam skłonna uwierzyć w to ostatnie. Wirginia od samego początku nieumiejętnie opiekowała się staruszką, która pozbawiona dotychczasowych przyjaciółek i wykluczona z życia klasztornego, szybko podupadła na zdrowiu. Jednak jej śmierć nastąpiła w złym momencie. Żadne tłumaczenia nie były w stanie przekonać pozostałych sióstr, że nic im nie grozi. Śmierć nie jest zaraźliwa, powtarzałam, tylko choroby. Uległam naleganiom siostry

Piete i zgodziłam się zrobić dla niej woreczek z ziołami chroniącymi przed urokiem, obiecałam mikstury wzmacniające Alfonsynie i Małgorzacie, które pod opieką Wirginii jeszcze bardziej wychudły. Po wieczornym posiłku przyszło do mnie kilka nowicjuszek po radę, jak uniknąć niebezpieczeństwa; powiedziałam im, żeby nie przesadzały z postem, piły wodę tylko ze studni, rano i wieczorem myły się mydłem.

- A w jaki sposób to może pomóc? - spytała siostra Tomasina, kiedy o tym usłyszała.

Wyjaśniłam, że regularne mycie czasem zapobiega chorobie.

Miała sceptyczną minę.

- Nie wiem, jak to możliwe - rzekła z powątpiewaniem. - Potrzebna jest woda święcona, a nie woda i mydło, żeby wypędzić złe moce.

Westchnęłam. Czasami bardzo trudno tak to wytłumaczyć, żeby nie zostać posądzonym o szerzenie herezji.

- Niekiedy złe moce rodzą się w wodzie - wyjaśniłam ostrożnie. - Inne roznosi wiatr. Jeśli woda albo powietrze ulegną skażeniu, wtedy może dojść do rozprzestrzeniania się choroby. - Pokazałam jej balsaminę, którą zrobiłam, żeby się bronić przed niezdrowym powietrzem i owadami latającymi.

Z podejrzliwą miną obracała ją w rękę.

- Zdaje się, że dużo wiesz o tych sprawach - zauważyła w końcu.

- Tylko tyle, co usłyszałam.

Dziś wieczorem podczas nieszpórów przemówił do nas LeMerle.

Wyglądał na zmęczonego po całym dniu postu i modlitw. Wyczerpane i zaleknione siostry trochę się ożywiły na dźwięk jego głosu, ale ojciec Saint-Amand najwyraźniej nie miał ochoty wspominać o tym, co przez cały dzień nie dawało im spokoju, i z wymuszoną radością mówił o próbach, jakim została poddana święta Felicjta, co nie przekonało żadnej z zakonnicek.

Potem zwróciła się do nas matka Izabela. Zauważyłam, że z im większym naciskiem LeMerle zwracał nam uwagę na konieczność zachowania najwyższej ostrożności i przezorności, tym bardziej była zbuntowana, jakby się nie zgadzała ze swoim spowiednikiem. Jeszcze nigdy nie przemawiała tak długo i bezładnie. A chociaż mówiła nam o boskim światelku w ciemnościach, jej słowa mało nas oświeciły.

- Musimy próbować znaleźć światło - oświadczyła głosem lekko drżącym ze zmęczenia. - Ale dziś jestem pewna, że mimo naszych usilnych prób uległyśmy złym mocom. Zostały zaatakowane nasze serca, nawet nasze dusze. Och, chcemy dobrze. Ale nie wystarczą nawet najlepsze intencje, żeby uchronić duszę przed trafieniem do piekła. A grzech czai się wszędzie. Nikt nie jest

bezpieczny. Nawet pustelnik przez pięćdziesiąt lat mieszkający w ciemnej jaskini może nie być wolny od grzechu. Grzech to plaga, i jest zaraźliwy.

Miałyśmy sny - szepnęła i w kaplicy dało się słyszeć pomruk, który uniósł się niby trujący dym. - Miałyśmy sny i widziałyśmy krew. - Znow wywołała pomruki, niczym uzewnętrznienie naszych tęsknot: tak, krew. - A teraz zjawy z piekła krążą między nami, zatruwając nam myśli swoimi bluźnierstwami, budząc w nas grzeszne żądze...

- Tak - rozległ się szept z licznych ust. - Och tak, tak, tak!

LeMerle siedzący obok niej jakby się uśmiechał - a może to tylko złudzenie? Światło lampy stojącej za nim sprawiało, że jego twarz otaczała jakby delikatna aureola.

- Dochodzi do przypadków rozpusty! - krzyknęła matka Izabela. - Bluźnierstw! Skrywanych sprośności! Czy któraś z was może temu zaprzeczyć?

Stojąca przed nią siostra Alfonsyna zaczęła zawodzić, wyciągnąwszy rękę. Klementyna też uniosła rękę, jakby w błagalnym geście. Kilkanaście sióstr, stojących za nimi, przyłączyło się do chóru.

- Wszystkie jesteśmy winne!

Winne, tak. Ogarniało je coraz większe uniesienie.

- Wszystkie jesteśmy zbrukane! Tak, zbrukane!

Zapach świec, kadzidła, strachu i podniecenia. Ciemności pełne cieni. Niespodziewany podmuch wiatru zatrzasnął drzwi i sprawił, że świece zamigotały. Setka owych cieni na ścianach podwoiła się, potroiła, przemieniła się w trzy tysiące, w całą armię z piekła. Jakaś siostra krzyknęła. Monolog matki Izabeli wywołał takie wrażenie, że po chwili odezwało się kilkanaście innych zakonnic.

- Patrzcie! Idzie! Idzie! Jest tutaj!

Wszystkie się odwróciły, żeby zobaczyć, kto to tak krzyczy. Siostra Małgorzata, stojąca nieco z boku, uniosła rękę. Ściągnęła kornet, głowę odrzuciła do tyłu, ukazując twarz zniekształconą tikami i drgawkami. Jej lewa

noga wyraźnie drżała pod grubymi fałdami habitu, każdy mięsień i każdy nerw w jej ciele wibrował.

- Siostro Małgorzato! - przemówił LeMerle wyraźnym, opanowanym głosem. - Siostro Małgorzato, czy coś się stało?

Chuda zakonnica z widocznym wysiłkiem zwróciła oczy w jego stronę. Otworzyła usta, ale nie padło z nich żadne słowo. Drżenie nogi nasiliło się.

- Nie dotykaj mnie! - ostrzegła Małgorzata, kiedy podeszła do niej siostra Wirginia, żeby jej pomóc.

LeMerle miał zatroskaną minę.

- Siostro Małgorzato, proszę tutaj przyjść. Jeśli możesz.

Wyraźnie chciała go usłuchać. Ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Widziałam coś podobnego w Montauban w Gaskonii, gdzie kilka osób zachorowało na taniec świętego Wita. Ale tym razem chodziło o jakąś inną chorobę. Noga Małgorzaty drgała i tańczyła, jakby jakiś szalony kukieł-karz pociągał za sznurki. Jej twarz wykrzywiały grymasy.

- Udaje - oświadczyła Alfonsyna.

Małgorzata zwróciła głowę w jej kierunku. Ale całe ciało zakonnicy pozostało w tej samej, nienaturalnej pozie.

- Pomóż mi - powiedziała.

Do tej pory Izabela przyglądała się temu w milczeniu. Teraz przemówiła.

- Czy możesz jeszcze wątpić? - spytała cichym głosem. - Jest opętana!

LeMerle nic nie powiedział, ale był wyraźnie zadowolony z siebie.

Siostry zaczęły coś szeptać. Słowa - do tej pory niewypowiedane - wypełniły powietrze jak rój ciem.

Tylko Alfonsyna pozostała sceptyczna.

- To śmieszne - powiedziała. - To tylko tik albo porażenie. Wiecie, jaka ona jest.

W głębi duszy zgadzałam się z nią. W ciągu kilku ostatnich tygodni w opactwie wydarzyło się dość, by wywołać atak u kogoś tak egzaltowanego, jak

siostra Małgorzata. Poza tym ostatnio Alfonsyna coraz częściej pluła krwią i trudno było przyćmić jej wyczyny.

Jednak Izabeli się to nie spodobało.

- Były takie przypadki! - warknęła. - Jakim prawem kwestionujesz ten?

Co o tym wiesz?

Alfonsyna, zmieszana tą reprimendą, zaczęła kaszleć. Słyszałam, jak się zmusza, drażniąc sobie gardło. Gdyby miała chociaż odrobinę oleju w głowie, piłaby syrop, który dla niej zrobiłam, i owinęłaby szyję bandażem. Wiedziałam zresztą, że te środki jej nie wyleczą, lecz jedynie opóźnią rozwój choroby. Suchot nie da się wyleczyć syropem.

Tymczasem atak Małgorzaty nie zelżał. Drgawki objęły też prawą nogę i teraz obiema kończynami wykonywała niezborne ruchy. Z przerażeniem wywróciła oczy, podczas gdy jej nogi zdawały się poruszać niezależnie od reszty ciała, wprawiając je w kołysanie. Słowo „opętana” odbijało się od murów, nabierając rozpędu.

Izabela zwróciła się do LeMerle'a. - I cóż? Pokręcił głową.

- Za wcześnie, by coś powiedzieć.

- Jak można w to wątpić? LeMerle spojrzał na nią.

- Mogę w to wątpić, moje dziecko - odparł lekko zirytowany - ponieważ w przeciwieństwie do ciebie wiele widziałem i wiem, jak łatwo można wydać błędną opinię, jeśli postępuje się nierozważnie i zbyt pochopnie.

Przez chwilę Izabela wytrzymała jego wzrok, a potem spuściła oczy.

- Wybacz mi, *mon pere* - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - Co powinniśmy zrobić?

Przez chwilę zastanawiał się nad tym.

- Trzeba ją zbadać - oświadczył z wyraźnym ociąganiem. - I to natychmiast.

4 sierpnia 1610

Tylko ja potrafiłam w pełni docenić, jak sprawnie LeMerle wszystko rozegrał wczoraj wieczorem. Udając, że się wzdraga przed zbyt pochopnym wydawaniem wyroków, przyjmując przemyślaną postawę, sprzeczną z atmosferą strachu i braku zaufania, do której powstania wcześniej sam się przyczynił, sprawił, że wydawało się, iż to one, a nie on, podjęły decyzję. Siostrę Małgorzatę zabrano do infirmerii, gdzie pozostała z LeMerle'em i siostrą Wirginią przez całą noc i następny dzień. Jeśli wierzyć pogłoskom, Małgorzata miała tiki jeszcze przez ponad godzinę po nabożeństwie. Na polecenie siostry Wirginii dwa razy upuszczono jej krew, po których to zabiegach okazała się zbyt wyczerpana, żeby można ją było zbadać, i w końcu położono Małgorzatę do łóżka.

Słuchałam tych doniesień, z trudem powstrzymując irytację. Naturalnie wiedziałam, że siostra Wirginia jest głupią dziewczyną, której nie powinno się pozwolić opiekować chorymi. Ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowała Małgorzata, już osłabiona nadmiernymi postami i atakami nerwowymi, było puszczanie krwi. Powinna odpocząć, należało jej zapewnić spokój i dobre, pożywne jedzenie: chleb, mięso i odrobinę czerwonego wina - czyli to wszystko, czego zabroniła nam spożywać matka Izabela. Siostra Wirginia oświadczyła, że osoby o sangwinicznym usposobieniu są szczególnie podatne na opętanie przez diabły, a żeby temu zapobiec, należy rozrzedzić krew. Właściwie zabroniono wszystkiego, co ma czerwony kolor, robiąc wyjątek jedynie dla krzyży wyhaftowanych na naszych habitach, a matka Izabela patrzy podejrzliwie na każdą siostrę, która nie jest tak blada, jak ona. Czerwień to kolor diabła: niebezpieczny, nieskromny, wyzywający. Po raz pierwszy cieszę się, że noszę kornet, i mam nadzieję, że zapomniała, jakiego koloru mam włosy.

W taką skwarną pogodę złe humory i podejrzliwość szerzą się niczym dżuma. Są zaklęcia sprowadzające deszcz, ale nie mam odwagi się nimi posłużyć; już wyczuwam dezaprobatę siostry Tomasiny i innych, nie chcę niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi. Dlatego dziś wieczorem siedziałam sama w kaplicy u stóp nowego posągu Matki Boskiej. Zapaliłam świece za dusze Żermeny i Rozamundy i próbowałam uporządkować myśli.

A kysz, a kysz! Ale nie tak łatwo pozbyć się szóstki mieczy. Wiszą nad moją głową niczym klątwa. Spojrzałam na ławkę, gdzie zaledwie wczoraj wieczorem Małgorzata dostała ataku drgawek. Czułam, jak w moim sercu złe przeczucia walczą z ciekawością. Czy właśnie o to chodziło LeMerle'owi? Czy to kolejny punkt jego tajemniczego planu?

Spróbowałam zmówić krótką modlitwę - możecie to nazwać herezją, ale stara święta by mnie zrozumiała. Jednak nowa tylko stała, milcząc, i nie dała najmniejszego znaku, że mnie usłyszała. Ta nasza nowa Maria zna tylko poprawną łacinę, modlitwy takich jak ja jej nie interesują. Znow pomyślałam o Le Borgne'u - oraz o Żermenie i Rozamundzie - i zaczęłam rozumieć pragnienie zaatakowania tej czystej, nowej świętej; strącenia jej z piedestału, zbezczeszczenia, uczynienia bardziej podobną do nas.

Przyglądając się Marii uważniej, zobaczyłam, że wcale nie jest cała biała, jak początkowo sądziłam. Płaszcz Najświętszej Paniienki wykończony był wąską złotą lamówką, jej aureola też była złota. Święta, wyrzeźbiona z najszlachetniejszego, różowo żyłkowanego marmuru, stała na postumencie z tego samego kamienia, a na nim złożonymi literami wypisane było jej imię i nazwa naszego opactwa. Poniżej wryto herb. Po bliższym przyjrzeniu się rozpoznałam herb rodu Arnault. Ale tym razem dostrzegłam również mniejszy herb, skromnie umieszczony nieco niżej - biały gołąbek i lilie na złotym tle, symbol Matki Boskiej. Nagle wydał mi się dziwnie znajomy...

Dar od jej stryja, powiedziała Izabela; jej ukochanego stryja, w którego intencji musimy odprawić czterdzieści mszy dziękczynnych. Dlaczego więc jest

mi tak znajomy? Dlaczego czuję, jakbym była o krok od wielkiego odkrycia, które rzuci nowe światło na wszystko, co się wydarzyło w ciągu kilku ostatnich tygodni? Jeszcze bardziej zagadkowe było niewyraźne wspomnienie, towarzyszące temu uczuciu: zapach potu i wosku, dużo świateł i duchota, zawroty głowy, zgiełk panujący w Theatre Royal, tamten pomyślny rok w Paryżu...

Paryż! Nagle wszystko sobie przypomniałam. Ujrzałam wysokiego mężczyznę, wymizerowanego od samowyrzeczeń, o oczach tak jasnych, że zdawały się poślacane, jakby widział w swoim życiu zbyt wiele ołtarzy. Tylko raz słyszałam, jak mówił, ale zapamiętałam jego gniewne słowa, wypowiedziane tamtego wieczoru, kiedy wystawiliśmy „Ballet des Gueux”, gdy opuszczał salę huczącą od braw.

Głos LeMerle'a można uciszyć, oświadczył. Nawet jeśli taka zwierzyna jest objęta ochroną, gdy jego pieśń obraża...

Dziwnie dumnym mężczyzną jest ten mój LeMerle, mimo braku skrupułów; stanowi dziwne połączenie arogancji i niegodziwości. Tyle spraw w życiu traktuje jak grę, do tak niewielu przywiązuje wagę. Ale rozumie, co to zemsta. Ostatecznie sama to rozumiem i jeśli teraz postanowiłam z niej zrezygnować, to tylko dlatego, że Fleur zajmuje tyle miejsca w moim sercu, że nie stać mnie na tracenie czasu na takie głupstwa. LeMerle nie ma Fleur i, o ile mi wiadomo, pozbawiony jest również serca. Ma tylko dumę.

W milczeniu wróciłam do dormitorium. W końcu rozjaśniło mi się w głowie. Teraz wiedziałam, dlaczego LeMerle przyjechał do opactwa. Wiedziałam, dlaczego grał rolę ojca Saint-Amanda, dlaczego wydał polecenie, by zatruto studnię, dlaczego zachęcał do takich scen w kaplicy, do jakich doszło wczoraj, i dlaczego zadał sobie tyle trudu, by powstrzymać mnie przed wyjazdem stąd. Ale nie wystarczy wiedzieć dlaczego. Teraz muszę ustalić, co zamierza zrobić. I jaką ja mam odegrać rolę w tej jego sztuce? I jakie będzie jej zakończenie - jak w tragedii czy jak w farsie?

5 sierpnia 1610

Dobra robota, moja Ailee. Wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, nim skojarzysz fakty. A więc pamiętasz biskupa? Monseigneur okazał całkowity brak dobrego smaku i nie pochwalił mojego „Ballet Travesti”. Polecił, żeby przegnano mnie z Paryża. Musiałem ratować się ucieczką.

Rozwścieczył go mój „Ballet des Gueux”, z damami w strojach wyszywanych cekinami; a jeszcze bardziej mój „Ballet Travesti”, z małpą przebraną za biskupa i dwórkami w halkach i gorsetach. Prawdę mówiąc, właśnie tego chciałem. Jakie miał prawo cenzurować przedstawienie? Nikomu nie stała się żadna krzywda. Kilka osób wyszło, nie kryjąc oburzenia, na ogół świętoszki i hipokryci. Ale te brawa! Zdawało się, że nigdy nie ucichną. Kłanialiśmy się przez pięć minut, uśmiechając się, szminka spływała nam z twarzy, kiedy tak staliśmy w światłach rampy. Scena aż połyskiwała od monet, które rzucano. A ty, moja Ailee, jeszcze zbyt młoda, by dostać skrzydła, ale taka śliczna w swoich wywołujących zgorzenie bryczesach, z kapeluszem w dłoni, z oczami jak gwiazdy. To był nasz wielki triumf. Pamiętasz?

A potem, zanim się zorientowaliśmy, przyszedł koniec. List otwarty biskupa Evreux do de Bethune'a. Odwracanie głowy na mój widok, nieudolne wykrety tych, których uważałem za przyjaciół. Grzeczne usprawiedliwienia - madame wyjechała z miasta, monsieur jest nieobecny w domu dziś wieczorem - podczas gdy goście cieszący się większymi względami wchodzili i wychodzili, niemal nie kryjąc pogardy dla mnie.

Spodziewano się, że wyjadę cicho, dyskretnie, godząc się na taki afront. Ale nie tak łatwo uciszyć pieśń LeMerle'a. Kiedy spalili moją kukłę na stopniach Arsenału, sprawiłem sobie nową garderobę. Nie kryjąc się, paradowałem po mieście. Traktowałem kobiety jak biżuterię, zawsze dwie

uwieszone były obu moich ramion. Salon madame de Scudery był teraz dla mnie zamknięty, ale znalazło się wiele innych, których właścicielki nie były takie zasadnicze. Biskup obserwował mnie, rozwścieczony, ale co więcej mógł zrobić?

Wkrótce miałem się przekonać. Pobili mnie pachołkowie, kiedy wracałem pijany z nocnej hulanki. Bez de Bethune'a jako mecenasa byłem bezbronny, nie chroniło mnie nawet prawo, bo kto by stanął po mojej stronie przeciwko wielebnemu biskupowi? Byłem nieuzbrojony, nie miałem nawet szabli u boku. Napadło mnie ich sześciu. Ale okazało się, że nie jestem taki pijany - a może tylko byłem bardziej zdesperowany - jak myśleli. Musiałem salwować się ucieczką, kryć w zaułkach pełnych szczurów, kucać w otwartych rynsztokach, przemykać się w mroku, z walącym sercem, z bolącą głową, ze spierzchniętymi ustami.

Zupełnie jak we włoskiej farsie: Guy LeMerle uciekający przed sługusami biskupa, trzewiki ze srebrnymi sprzączkami ślizgają mu się w płynących ulicą pomyjach, jedwabny frak ma zachlapany błotem. Chyba lepsze to niż LeMerle leżący w rynsztoku, z połamanymi żebrami. Ale miałem dość; przegrałem partię. A Monseigneur będzie miał kolejną okazję. I jeszcze jedną. Mój limit szczęścia się wyczerpał i obydwaj o tym wiedzieliśmy.

Lecz człowiek ma dobrą pamięć, kiedy jeździ po kraju, mając do towarzystwa tylko dziewczki i karłów. A drogi są kręte, wiodą to tu, to tam. Spotkaliśmy się już wcześniej, jeśli sobie przypominasz, w wiosce nieopodal Montauban, a potem jeszcze w klasztorze tuż pod Agen. A ponieważ wszystkie drogi wiodą do Paryża, tam też się spotkaliśmy kilka razy. Przy jednej okazji uwolniłem cię od twojego srebrnego krzyża - nadal go noszę, co cię z pewnością ucieszy - ale znów miałeś wszystkie asy, uderzyłeś bardzo szybko. Wstydzilibyś się, *mon pere*. Straciłem jednego członka trupy i jeden z wozów. Ale moje piórka uległy tylko lekkiemu osmaleniu. A po tym wydarzeniu stawka wzrosła.

Każdy ma jakąś słabośćkę, Wasza Wielbność. Zajął mi trochę czasu, nim odkryłem twoją. Ale moja ciemna gwiazda w końcu pozwoliła mi poznać, co jest twoją największą ambicją. Przy okazji moje gratulacje. Taka pobożna rodzina. Dwaj bracia piastujący wysokie godności kościelne, siostra - ksienią opactwa na południu kraju. Niezliczona liczba kuzynów w klasztorach i katedrach całej Francji. Trzeba być ślepym, żeby nie dostrzec w tym nepotyzmu. Ale ród tak obfitujący w dziewice wcześniej czy później jest skazany na wymarcie. Z pewnością czujesz się niepocieszony, *mon pere*, że nigdy nie spłodziłeś syna, co zapewniłoby trwałość twojemu rodowi. Zamiast tego przelałeś wszystkie swoje uczucia na córkę zmarłego brata: Angelikę Saint-Herve Desiree Arnault, obecnie znaną jako matka Izabela, ksieni klasztoru Sainte-Marie la Mere.

Jest bardzo do ciebie podobna: równie podejrzliwa jak ty, i ma takie same posrebrzane oczy. Tak jak ty gardzi pospółstwem i tak jak ty jest wyniosła - pod tą maską pobożności wy, Arnaultowie, ukrywacie tyle nieposkromionej pychy, że jest to godne tragedii antycznej. Izabela zaś pod każdym względem jest godna ciebie. Dobrze ją wyszkoliłeś. Czyta twoje listy z oddaniem Heloizy dla Abelarda; już od najmłodszych lat jej pobożność przeszła wszelkie oczekiwania. Nie jada mięsa, wino pije tylko podczas komunii, pości w piątki. Przynosi ci zaszczyt, a taki zaszczyt można dobrze wykorzystać - prawda? Ostatecznie człowiek nie może wiecznie być biskupem. W kardynalskim kapeluszu może być Waszej Wielbności bardzo do twarzy, a przynajmniej w arcybiskupiej mitrze. Sprytnie wybrukowałeś jej drogę do drzwi Matki-Kościola: rozpowszechnianie pogłosek o objawieniach, anielskich głosach i nieoficjalne, ale dobrze nagłośnione przypadki uzdrowień. Twoim skrytym marzeniem jest kanonizacja któregoś z członków rodziny -ponieważ nie masz synów, to jedyny dostępny ci sposób zapewnienia nieśmiertelności twojemu rodowi, a mając w rodzinie kogoś takiego jak Izabela, to bynajmniej nie mrzonka. Chociaż zmarła matka dziewczyny uważała, że córka jest za młoda, by włożyć welon, ty wzięłeś

sprawy w swoje ręce; zachęcałeś dziewczynkę, by marzyła o opactwie, tak jak każde normalne dziecko marzyłoby o domku dla lalek.

Gdybyś tylko mógł ją zobaczyć, kiedy przekazałem jej wiadomość! Boże, niemal ją za to pokochałem. Zmrużyła oczy ze złości, usta wykrzywiła w podkówkę.

- Ksienią gdzie? - jęknęła. - Przecież to na końcu świata! Na zupełnym odludziu!

Rozpieściłeś ją, Monseigneur. Sprawileś, że uwierzyła, iż mimo swego młodego wieku może mierzyć wyżej. Może wyobrażała sobie, że trafi do Paryża, kokietka, z jego wieżami, fanaberiami i ulicznymi klęczącymi przed nią na kolanach. Tak, to do niej podobne.

A może to przez pokutę, jaką jej zadałem za okazanie niezadowolenia, przez moje strofowanie i przez czułość, z jaką ją rozgrzeszyłem, kiedy wypełniła pokutę. Bo jest w niej głód, którego - jestem tego pewien - nigdy nie widziałeś, zupełnie jakby grzech ocierał się o niewinność, tworząc jedno ostrze. Pewnego dnia będzie wystarczająco skuteczne, by nim ciąć, Monseigneur d'Evreux. Miej się na baczności.

Dziś w nocy przyszła do mnie Julietta, tak jak przypuszczałem. Dużo ryzykowała; musiała brać pod uwagę, że mogę być z Klementyną, ale odkrywszy moją tajemnicę, nie mogła się powstrzymać, żeby nie przyjść.

I jakie to do niej podobne: natychmiast przystąpić do rzeczy. Na jej miejscu nie zdradziłbym się z tym, co wiem, i trochę bym się poprzekomarzał; moja Uskrzydłona, jak zawsze, działając pod wpływem chwili, od razu pokazała wszystkie swoje asy, pragnąc doprowadzić do konfrontacji. Nie umie grać - popełnia błędy niczym jakaś nowicjuszka. I chociaż tym razem służy to mojemu celowi, poczułem pewne rozczarowanie. Myślałem, że lepiej ją wyuczyłem.

- A więc dlatego tu jesteś - powiedziała, kiedy otworzyłem drzwi. - Z powodu biskupa Evreux.

- Jakiego biskupa? - Udałem niewiniątko, ale niezbyt przekonująco, jedynie żeby ujrzeć błysk triumfu w jej oczach.

- A kiedyś tak dobrze potrafiłeś kłamać - dodała i minawszy mnie, weszła do środka.

Wzruszyłem ramionami.

- Może wyszedłem z wprawy - rzekłem skromnie.

- Nie sędzę.

Usiadła na oparciu fotela i zaczęła machać nogą. Zobaczyłem kawałek jej zakurzonej, opalonej stopy. Twarz Julietty rozświetlało poczucie zwycięstwa.

- A więc kiedy się go spodziewamy? - spytała. - I co zrobisz, kiedy tu przyjedzie?

- Czyżbyśmy się go spodziewali oboje? - spytałem z uśmiechem.

- Jeśli nie, to znaczy, że istotnie wyszedłeś z wprawy. Wzruszyłem ramionami, przyznając jej rację.

- Chyba sobie nie wyobrażasz, że ci powiem - oświadczyłem. -

Ostatecznie, jak do tej pory, nie okazywałaś mi zbyt dużo zaufania, prawda?

- A dlaczego miałabym to robić? - spytała. - Po Epinal...

- Julietto, robisz się nudna. Już ci to wyjaśniłem.

- Wyjaśniłeś, ale nie przeprosiłeś. - Powiedziała to oschle, ale było coś w zachowaniu Uskrzydłonej, co świadczyło, że odkrycie, jakiego dokonała, zamiast pogłębić jej podejrzliwość w stosunku do mnie, w jakiś sposób dodało Julietcie otuchy. - Powiedz mi o biskupie - poprosiła łagodniej. - Wiesz, że cię nie wydam.

Uśmiechnąłem się.

- Lojalność? Jestem wzruszony. Myślałem...

- Mylisz się - przerwała mi. - Masz moją córkę.

Och. Jeszcze jeden cios. Jednak podczas długiej gry wykalkulowana kapitulacja może przysłużyć się równie dobrze, jak zwycięstwo.

- Doskonale - pochwaliłem i przyciągnąłem ją do siebie delikatnie. Nie odsunęła się.

Wyznałem jej dość, by uśmierzyć jej obawy i się jej przypochlebić - tylko trochę - chociaż myślała, że zachowuje kamienną twarz, kiedy słuchała mnie w milczeniu. Kobiety tak często słyszą to, co chcą usłyszeć - nawet moja Harpia, która ma wszelkie powody, by uwierzyć w najgorsze. A niecała prawda często jest bardziej skuteczna niż całkowite kłamstwo.

Naturalnie sama domyśliła się tego, co najbardziej oczywiste. Liczyłem na to. Może nawet potrafi mnie chociaż trochę zrozumieć - sama jest pamiętliwa, mimo swej pozornej uczciwości, a ma równie mało powodów, by kochać biskupa, jak ja. Jedyne, czego teraz od niej chcę, to odrobina czasu; ostatecznie dobry skandal, jak dobre wino, potrzebuje czasu, by przefermentować i dojrzeć. Chateau d'Evreux nie jest szlachetnym winem, ale wystarczająco dobrym, żeby ci zasmakowało, moja Julietto. Niech jeszcze trochę dojrzeje. Kiedy przyjedzie biskup, chcę, żeby w nim utonął.

Och, byłem przekonujący. Julietta początkowo słuchała mnie ze sceptyczną miną, potem z satysfakcją, a na koniec z pewną sympatią. Kiedy skończyłem, wolno skinęła głową, patrząc mi w oczy.

- Domyślałam się, że chodzi ci o coś takiego. Specjalne przedstawienie, żeby zapłacił za tamto, co zrobił w Paryżu? Rewanż?

Udało mi się przybrać żalną minę.

- Nie lubię przegrywać.

- I uważasz, że to jest zwycięstwo? - spytała. - Masz pojęcie, ile wyrządziłeś szkód? Ile nadal wyrządzasz krzywd?

- Ja? - Wzruszyłem ramionami. - Tylko przygotowałem dekoracje. Resztę zrobiliście same.

Zacisnęła usta; wiedziała, że mam rację.

- A po spektaklu? - spytała. - Co zrobicie? Odjedziecie obaj, każdy w swoją stronę, i zostawicie nas w spokoju?

- Czemu nie? - powiedziałem. - Chyba że będziesz chciała pojechać ze mną. - Udała, że tego nie usłyszała, tak jak się spodziewałem. - Daj spokój, Julietto - dodałem, widząc jej minę. - Przecież wiesz, że nie jestem głupi. Jak myślisz, czy daleko bym ujechał, gdybym naprawdę coś zrobił biskupowi? Słyszałaś, jak skończył Ravillac? Zresztą czy nie sądzisz, że gdybym chciał zabić biskupa Evreux, do tej pory znalazłbym już jakiś sposób? - Pozwoliłem jej chwilę się nad tym zastanowić. - Pragnę go upokorzyć - wyjaśniłem cicho. - Monseigneur jest człowiekiem o wybujałych ambicjach; marzy o tym, żeby jego ród był wielki. Zamierzam położyć temu kres. Chcę, żeby Arnaultowie upadli tak nisko, jak to tylko możliwe, i chcę, żeby wiedział, że to przeze mnie tak się stało. Martwy biskup jest tylko o krok od kanonizacji; chcę, żeby ten żył bardzo, bardzo długo.

Umilkłem, a ona przez kilka minut nie odzywała się. W końcu skinęła głową.

- Bardzo dużo ryzykujesz - zauważyła. - Wątpię, czy biskup też będzie ci życzył długich lat życia.

- Jestem wzruszony twoją troską - odparłem - ale nie warto grać, jeśli stawka nie jest wysoka.

- Czy trzeba wiecznie grać? - spytała tak poważnie, że omal jej nie pocałowałem.

- No cóż, Julietto - rzuciłem lekko. - Co innego nam pozostaje?

6 sierpnia 1610

Ostatniej nocy w końcu spadł deszcz, ale tylko na zachodzie, nad Le Devin, więc nam nie przyniósł ulgi. My pociłyśmy się w dusznym dormitorium i obserwowaliśmy błyskawice rozrywające niebo nad zatoką. Parna pogoda przyniosła plagę muszek znad lądu, całe ich roje wlatywały przez okna i obsiadały nas, by pić krew. Tamtej nocy kiepsko spałyśmy, jeśli w ogóle; niektóre gorączkowo opędzały się przed muszkami, inne leżały wyczerpane i zrezygnowane. Dzięki olejkowi cytronelowemu i lawendzie udało mi się uwolnić swój kąć od owadów i mimo duchoty usnęłam. Należałam do nielicznych szczęściar; rano, kiedy się obudziłam, byłam prawie niepogryziona przez owady, Tomasina natomiast wyglądała tak, że aż żal patrzeć, a Antonina cała była pokryta czerwonymi bąblami. Na domiar złego muszki wtargnęły też do kaplicy, wyraźnie nic sobie nie robiąc ani z kadzidła, ani z dymu świec.

Minęła jutrznia i lauda. Wstał dzień i muszki wróciły na mokradła. Jednak w porze prymy powietrze zrobiło się jeszcze cięższe, a niebo było rozpalone do białości. Nie zapowiadało to niczego dobrego. Żadna z nas nie mogła usiedzieć spokojnie. Wszystkie się drapałyśmy i miałyśmy nerwowe tiki; nawet ja, chociaż w nocy uniknęłam pogryzienia przez owady, czułam, jak mnie swędzi skóra, chyba przez solidarność z innymi zakonnice. I właśnie wtedy pojawił się LeMerle, opanowany i poważny. Siostra Małgorzata szła po jego lewej ręce, a matka Izabela po prawej.

Wśród obecnych przeszedł szmer. Małgorzata przyszła na mszę po raz pierwszy od swojego ataku i nadal czekałyśmy na oficjalny komunikat o naturze jej dolegliwości. Zdania były podzielone. Jedne zakonnice mówiły, że to taniec świętego Wita, inne - że porażenie, jeszcze inne były przekonane, że opętał ją diabeł. Z całą pewnością wyglądała na zupełnie zdrową - nie dokuczały jej

żadne tiki, tylko oczy miała bardzo ciemne i duże. Doszłam do wniosku, że to za sprawą maku, którego jej dosypałam do mikstury na wzmocnienie. Miałam nadzieję, że dodałam go wystarczająco dużo.

Ale nie mogłam zaaplikować środków uspokajających wszystkim sześćdziesięciu pięciu z nas. Alfonsyna była zarumieniona i niespokojna; Tomasina tak pogryziona, że ledwo mogła spokojnie usiedzieć; Antonina cały czas drapała się w nogi; nawet Klementyna, zazwyczaj taka spokojna, sprawiała wrażenie poruszonej. Może silniej, niż myślałyśmy, przeżywała śmierć Żerмены, bo oczy miała podpuchnięte, a twarz ściągniętą. Zauważyłam, że ani na chwilę nie spuszcza wzroku z LeMerle'a, ale on się pilnował, żeby nie zwracać na nią uwagi, a nawet unikał jej wzroku. Może rzeczywiście już się znudził dziewczyną; byłam zła na samą siebie, że ta myśl sprawiła mi tyle satysfakcji.

- Moje dzieci - zwrócił się do nas. - Przez trzy dni cierpliwie czekałyście na wieści o naszej siostrze Małgorzacie.

Skinęłyśmy głowami, zmieniłyśmy pozycję, zaszurałyśmy nogami. Trzy dni to bardzo długo. Trzy dni plotek i niepewności; trzy dni podawania mikstur i mleka z miodem. Zakonnice zawsze były przesądne, nawet za czasów matki Marii; teraz, pozbawione dającej pocieszenie obecności naszej świętej, stałyśmy się jeszcze bardziej zabobonne. W obliczu tego kryzysu potrzebny nam był ktoś, kto zaprowadzi ład, zaprowadzi ład i weźmie nas w ryzy. Instynktownie zwróciłyśmy się ku LeMerle'owi, licząc, że przywróci porządek.

Ale ojciec Colombin miał zafrasowaną minę.

- Dokładnie zbadałem siostrę Małgorzatę - powiedział. - I stwierdziłem, że jest całkiem zdrowa - na ciele i umyśle.

Po obecnych przeszedł szmer niedowierzania. Musi jej coś dolegać, upierały się zakonnice. To on nas doprowadził do takiego stanu; karmił nas okruchami i zaostrzał nam apetyt na swoje słowa. Opactwem zawładnęły złe moce; czy ktoś mógł to zakwestionować?

- Wiem - powiedział LeMerle. - Rozumiem wasze wątpliwości. Modliłem się; pościłem. Zajrzałem do wielu ksiąg. Ale nawet jeśli jakieś duchy weszły w siostrę Małgorzatę, nie potrafię ich zmusić do mówienia. Mogę oświadczyć tylko tyle: siły, które opanowały nasze opactwo, mają zbyt wielką moc, żebym sam dał sobie z nimi radę. Nie udało mi się to.

Nie! Tłum zafalował jak łan pszenicy pod podmuchem wiatru. LeMerle, spuściwszy głowę w udawanej pokorze, nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Myślałem, że uda mi się wypędzić diabła, mając do dyspozycji jedynie własną wiarę i wasze zaufanie do mnie - powiedział. - Ale się myliłem. Nie widzę innego wyjścia, jak poinformować odpowiednie władze i oddać to miejsce - i siebie - w ich ręce. Niech Bóg ma nas w swej opiece. -

Powiedziawszy to, odszedł od pulpitu i dał znak Izabeli, by zajęła jego miejsce.

Popatrzyliśmy po sobie, przypomniawszy sobie ostatni raz, kiedy Izabela przemawiała do nas, i w kaplicy rozległ się szmer niezadowolenia.

Wiedzialiśmy, że nie możemy liczyć na to, że Izabela zaprowadzi porządek.

Tylko LeMerle mógł mieć nad nami kontrolę.

Ona też była kompletnie zaskoczona jego słowami.

- Dokąd idziesz? - spytała drżącym głosem.

- Nic tu po mnie - odparł. - Jeśli zdążę opuścić wyspę przed rannym przyływem, powinno mi się udać sprowadzić pomoc w ciągu tygodnia.

Teraz Izabela była bliska paniki.

- Nie możesz wyjechać - zaprotestowała.

- Muszę. Cóż innego mi pozostaje?

- *Mon pere!* - Klementyna też była przerażona. Stojąca obok niej Antonina zwróciła ku niemu swoją pokrytą bąblami twarz w niemym błaganu.

Po zgromadzonych przebiegł szmer, głośniejszy niż poprzednio. Straciliśmy wszystko; nie mogliśmy stracić ojca Colombina. Bez niego pograżymy się w całkowitym chaosie.

Próbował coś tłumaczyć, przekrzykując coraz głośniejszy gwar. Skoro złych mocy nie można zlokalizować... skoro nie znaleziono winowajcy... Ale na samą myśl, że mógłby je zostawić na pastwę tych złych mocy, siostry zaczęły zawodzić; było to dziwne zawodzenie, przypominające miauczenie kotki, zaczęło się w jednym końcu kaplicy i narastało, aż ogarnęło wszystkie obecne.

Matka Izabela ledwo panowała nad gniewem.

- Złe moce, ukażcie się! - poleciła przenikliwym głosem. - Ukażcie się i przemówcie!

Znów wybuchł lament i Perette, która stała niedaleko mnie, uniosła rękę do uszu. Ukradkiem zrobiłam znak chroniący przed złymi duchami. Okrzyk Izabeli, jak na mój gust, zbyt przypominał zaklęcie. Wyszepiałam pod nosem magiczną formułę, którą wypowiadała moja matka, żeby zapewnić przychyłność losu, ale wątpiłam, czy na wiele się ona zda w tej sytuacji.

Tymczasem LeMerle przyglądał się temu z zadowoloną miną. Wiedziała, że zdobył nad nimi władzę absolutną; teraz zrobią wszystko, co im każe. Pozostawało pytanie: która będzie pierwsza? Rozejrzałam się wokół. Zobaczyłam błagalną minę Klementyny i okrągłą twarz Antoniny. Małgorzacie już zaczął drgać kącik ust, bo mikstura przestawała działać. A Alfonsyna...

Początkowo sprawiała wrażenie zupełnie opanowanej. Potem przebiegł ją dreszcz, słabutki niczym od muśnięcia skrzydła ćmy. Wydawało się, jakby nie wiedziała, co się dzieje wokół niej. Całym jej ciałem wstrząsały drgawki. Wreszcie, bardzo wolno, rozpoczęła taniec.

Najpierw zaczęła poruszać nogami. Drobiła kroczyki, rozpostarłszy ręce, jakby dla zachowania równowagi. Przypominała tancerkę na linie, gołymi stopami wybijającą takt. Potem przyszła kolej na biodra: zaczęła nimi wykonywać ledwo dostrzegalne, płynne ruchy. Następnie zaczęła potrząsać dłońmi i ramionami.

Nie ja jedna to zauważyłam. Stojąca przede mną Toma-sina wstrzymała oddech. Któraś siostra krzyknęła przeraźliwie:

- Patrzcie!

Zapadła cisza; ale była to cisza groźna, jak skała, która za chwilę ma się stoczyć.

- Ktoś rzucił na nią urok! - jęknęła Benedykta.

- Tak jak na siostrę Małgorzatę!

- Opętana!

Musiałam położyć temu kres.

- Alfonsyno, przestań, to wcale nie jest zabawne! Lecz Alfonsyna wpadła w trans. Jej ciało poruszało się i wilo, jakby w rytm muzyki, którą słyszała tylko ona: najpierw w lewo, potem w prawo, potem obrót, a wszystko to wolno i statecznie. A z jej ust wydobywał się jakiś dźwięk, jakiś dźwięk, który niemal był słowem.

- Mmmmm...

- Są tutaj! - jęknęła Antonina.

- Mówią do nas...

- Mmmmm...

Jakaś zakonnica za mną zaczęła się modlić. Wydawało mi się, że słyszę słowa *Ave Maria*, dziwnie zniekształcone.

- Maaaa... riaaaa! Maaa... riaaa! - przeciągała samogłoski.

Siostry stojące w pierwszym rzędzie przed ołtarzem podchwyciły pieśń. Zobaczyłam, jak Klementyna, Piete i Wirginia niemal jednocześnie odrzucają głowy do tyłu i zaczynają się kołysać rytmicznie.

- Maria! Maria!

Kołysały się wolno, ciężko jak wielki statek, unoszący się na wodzie. Ten ruch okazał się zaraźliwy. Drugi rząd dołączył do pierwszego, potem trzeci. Przemieniło się to w falę, niepowstrzymaną falę, wprawiającą w ruch kolejne rzędy - chór, ławki, stalle. Sama się jej poddałam, obudziła się we mnie tancerka. Wszystko utonęło w tym przyprawiającym o zawrót głowy tańcu - nasze obawy, nasze myśli, nasz śpiew. Odrzuciłam głowę do tyłu; przez chwilę

widziałam gwiazdy wymalowane na sklepieniu kaplicy i cały świat zawirował mi przed oczami. Czułam wokół siebie spocone ciała. Mój głos zginął w głośnym mormorandzie. Wszystkie dałyśmy się porwać temu wolnemu, szalonemu tańcowi; nasze ruchy były skoordynowane, jakby coś nas ciągnęło najpierw w prawo, potem w lewo, wszystkie poddałyśmy się rytmowi, który jakbyśmy skądś znały. Czułam, jak taniec mnie zniewala, nakłania mnie, żebym się przyłączyła, żebym się poddała magii ruchów i dźwięków.

Wciąż słyszałam matkę Izabelę starającą się przekrzyknąć tłum, ale nie rozumiałam, co mówi; była tylko jednym z instrumentów w tej orkiestrze, jej głos stanowił ostry kontrapunkt dla monotonnego zawodzenia, wydobywającego się z dziesiątek ust, jeden z nielicznych, szybko zagłuszonych okrzyków protestu - wśród nich mój - w głośnym lamencie. Niebawem wszystkie uległyśmy temu szaleństwu...

A jednak jakaś część mojego umysłu zachowała jasność, unosząc się niczym ptak nad tańczącymi. Słyszałam głos LeMerle'a, ale nie rozumiałam słów; w tym ogólnym zamięcie brzmiał jak refren, podpowiedz kolejnych kroków, kadencji w tym „Ballet des Bernardines”.

A więc to miało być to jego specjalne przedstawienie? Stojąca przede mną Tomasina potknęła się i padła na kolana. Tańczące odsunęły się, żeby zrobić dla niej miejsce, i któraś potknęła się o jej skuloną postać. Razem ciężko upadły na marmurową posadzkę. Rozpoznałam Perette. Pozostałe zakonnice wirowały wokół niej jakby w zapamiętaniu.

- Perette!

Dopchnęłam się do swojej przyjaciółki. Upadając, uderzyła się w głowę i na czole już zrobił jej się guz. Pomogłam jej wstać i razem utorowałyśmy sobie drogę do otwartych drzwi. Kilka tańczących zatrzymało się - może dlatego, że przepychając się, wyrwałyśmy je z transu, a może po prostu opadły z sił. Zauważyłam, że Izabela przygląda mi się, ale nie miałam czasu się zastanawiać, co może zapowiadać jej podejrzliwy wzrok. Perette była spocona i blada,

zmusiłam ją, by głęboko oddychała, by spuściła głowę nisko, między kolana, i dałam jej do powąchania małą torebkę aromatycznych ziół, którą zawsze noszę w kieszeni.

- Co to jest? - rozległ się głos matki Izabeli w przerwie między zawodzeniami.

Zorientowałam się, że kilka z obecnych zakonnic przerwało taniec i patrzyło w moją stronę. Stopniowo robiło się coraz ciszej.

- To? Tylko lawenda, anyż, bazylia wonna i...

- Co z tym robisz?

Uniosłam saszetkę z ziołami.

- Nie widzisz? To saszetka z ziołami, z pewnością widziałaś takie wcześniej.

W kaplicy zaległa cisza. Sześćdziesiąt par oczu zwróciło się w moją stronę. Ktoś - chyba Klementyna - powiedział cicho, ale bardzo wyraźnie:

- Czary!

Miałam wrażenie, że wszystkie obecne jej przytaknęły. Ale z ich ust nie padło żadne słowo, usłyszałam tylko szelest, kiedy robiły znak krzyża, oblizywały spierzchnięte usta, i szmer przyśpieszonych oddechów. Tak, szepnęły, i moje serce szarpnęło się niby suchy liść.

Tak.

7

6 sierpnia 1610

Mogłem jednym słowem przerwać to wszystko. Ale widok był tak zniewalający, cały spektakl tak klasyczny, że nie miałem serca tego zrobić. Złowieszcze znaki, wizje, nagła śmierć i teraz na dodatek dramatyczne odkrycie w samym środku tego szaleństwa... Było to wspaniałe, niemal homeryckie; sam bym tego lepiej nie napisał.

Ciekaw byłem, czy zdawała sobie sprawę z tego, jak wygląda: z wysoko podniesioną głową, z kornetem zsuniętym do tyłu, spod którego widać było ciemne loki, z małą dzikuską, tulącą się do jej piersi. Wielka szkoda, że żywe obrazy wyszły już z mody; jeszcze większa szkoda, że tak niewiele z obecnych tu potrafiło je docenić. Ale wiązę wielkie nadzieje z małą Izabelą. Mimo surowego wychowania, które odebrała, jest zdolną uczennicą, sam nie mógłbym zaplanować bardziej porywającego przedstawienia.

Naturalnie to ja nauczyłem ją wszystkiego, co wiedziała, wychowałem ją, zmieniłem z potulnej i grzecznej dziewczyny w kogoś takiego. Widzicie, mam powołanie. Ogarnia mnie duma, kiedy sobie przypomnę, jaką kiedyś była posłuszną dziewczynką. Ale mówi się, że zawsze trzeba uważać na grzeczne dzieci. Nadchodzi chwila, kiedy nawet najbardziej uległe z nich dochodzą do takiego miejsca, za którym kartografom umysłu nie udało się jeszcze sporządzić żadnej mapy. Może to jej deklaracja niepodległości. Potwierdzenie samej siebie.

Rozumuje kategoriami prawd absolutnych, jak stryj. Marzy o tym, żeby zostać świętą, prowadzić batalie z demonami. Jednak nadal pozostała dzieckiem bujającym w obłokach, dręczonym przez wizjonerskie tęsknoty, wahającym się z uwagi na swój młody wiek i surowe konwenanse środowiska. Podejrzywałem, że dziś się zdeklaruje. Można powiedzieć, że to wyreżyserowałem: drobne divertimento między dwoma aktami wielkiego dramatu. Ale i tak wprawiła mnie w zdumienie. Między innymi swoim uporem, żeby wybrać na kozła ofiarnego akurat tę kobietę, którą wolałbym, żeby oszczędziła.

Wykluczone, żeby dziewczyna cokolwiek podejrzewała. Działa instynktownie, to dziecięce zamiłowanie do przekory. Czuje potrzebę udowodnienia mi, że jej podejrzenia są słuszne - mnie, który zawsze zachowywałem irytujący spokój, niemal okazywałem sceptycyzm w obliczu jej rosnącej pewności - żeby zasłużyć na moją pochwałę, nawet wywołać moją konsternację. Bo jest w niej teraz coś więcej niż pełne uległości uwielbienie dla nauczyciela. Fakt, że się zdeklarowała, dodał jej pewności siebie, zasiał w niej

ziarno hardości, które muszę pielęgnować, jednocześnie starając się nad tym utrzymać kontrolę. Nadal czuje przede mną respekt, zabarwiony teraz na nowo obudzoną podejrzliwością... Muszę się mieć na baczności. Jeśli dam jej swobodę działania, może rzucić się na mnie równie łatwo, jak na ciebie, moja Ailee, a jesteście obie bardziej do siebie podobne, niż przypuszczasz. Jest nożem, którym muszę się sprytnie posłużyć. Z pokorą przyjmuje drobne upokorzenia, których jej nigdy nie szczędziłem, ale to nieodrodne dziecko swojej klasy - dumne i bezwzględne.

Zrozum, Julietto, że w wyniku tego wszystko między nami się zmieniło. Nie mogę wzbudzić podejrzeń, że cię faworyzuję. Obydwoje możemy przypłacić to głowami. Muszę być teraz dyskretny albo moje plany spalą na panewce. Jednak przyznaję, że nie jesteś mi zupełnie obojętna. Może, kiedy już będzie po wszystkim... Ale na razie wiąże się to ze zbyt wielkim ryzykiem. Wytracono ci z ręki twój oręż przeciwko mnie, jeśli chciałaś się nim kiedyś posłużyć. Słowa szeptane i powtarzane w kaplicy muszą uciszyć wszelkie oskarżenia, które próbowałabyś wysunąć. Wiesz o tym; widzę to w twoich oczach. A jednak boli mnie, że muszę się podporządkować dziewczynie z rodu Arnault, nawet jeśli jest mi to na rękę. Stanowi to wyzwanie dla mojej pozycji. A jak wiesz, wyzwanie jest czymś, czemu rzadko potrafię się oprzeć...

- Na razie nie ma jeszcze powodu, by oskarżać naszą siostrę o czary - przemówiłem spokojnie i dość kategorycznie. - Nie znacie się na tym, powoduje wami tylko strach. W takiej sytuacji woreczek z lawendą staje się narzędziem sztuki czarnoksiężskiej. Gest litości przybiera złowrogie znaczenie. To niedopuszczalna naiwność.

Przez chwilę czułem, jak narasta ich sprzeciw. Klementyna krzyknęła:

- Ukazała się zjawa! Ktoś musiał ją wezwać! Dołączyły do niej głosy innych:

- Tak, widziałam ją!

- I ja!

- Czułam zimny podmuch powietrza... - I ten taniec...

- No właśnie, taniec!

- Owszem, zagnieździły się tu diabły! Wiele diabłów! - Improwizowałem teraz, posługując się swoim głosem jak wodzami, by okiełznać tę narowistą, niematerialną klacz. - To te same siły nieczyste, które uwolniliśmy, kiedy otworzyliśmy kryptę! - Pot zalał mi oczy, otarłem go, bojąc się zdradzić, jak zaczynają mi drżeć zaciśnięte dłonie. - *Vade retro, Satanas!*

Łacina ma moc, której, niestety, brak pospolitym językom. Szkoda, że konieczność zmusiła mnie do posługiwania się językiem narodowym, ale te siostrzyczki są takimi ignorantkami. Nie chwytają niuansów. I przez chwilę były zbyt rozkojarzone, by pojąć jakiegokolwiek subtelności.

- Powiem wam coś! - Mój głos wzniósł się nad ich szeptami. - Siedzimy na studni zepsucia! Nasze reformy zagroziły stuletniemu bastionowi piekieł i Szatan boi się przegrać! Ale bądźcie dobrej myśli, siostry! Złe moce nie mogą zrobić krzywdy tym, których serca są czyste. Działają podstępnie, deprawując dusze, ale nie mają przystępu do tych, którzy naprawdę wierzą!

- Ojciec Colombin słusznie mówi. - Matka Izabela spojrzała na mnie swoimi małymi, bezbarwnymi oczami. Było coś w jej minie, co niezupełnie mnie zadowalało: jakieś wyrachowanie, niemal niesubordynacja. - W swej mądrości wyśmiewa się z naszych kobiecych lęków. Jego siła nie pozwoli nam upaść.

Dziwne słowa, które niezbyt mi się podobały. Ciekaw byłem, do czego zmierza.

- Ale pobożność może mieć też swoje słabe strony. Prostoduszność naszego świątobliwego ojca nie pozwala mu widzieć, co się naprawdę dzieje, nie pozwala mu tego zrozumieć. On nie czuje tego, co my dziś czułyśmy!

Przeniosła wzrok w kierunku wejścia do kaplicy, gdzie stał nowy posąg Matki Boskiej, dopiero co wyszorowany, w pełnym gracji letargu.

- Miejsce to jest we władzy Szatana - ciągnęła. - Złe moce tak bardzo się tutaj rozpanoszyły, że nie śmiałam otwarcie wypowiedzieć swoich podejrzeń. Ale teraz... - Zniżyła głos jak dziecko zdradzające tajemnicę. Nawet nie wiedziałem, że ją tak dobrze wyszkoliłem, bo jej głos było wyraźnie słychać w całej kaplicy. Był to sceniczny szept, który docierał aż pod sklepienie. - Teraz mogę to wyjawić. Wstrzymały oddechy, czekając na jej słowa.

- Wszystko się zaczęło od matki Marii. Czy z pierwszym przejawem działalności złych mocy nie zetknęliśmy się w krypcie, w której złożyliśmy jej ciało? Czy zjawy, które widziałyście, nie miały jej rysów? I czy duchy nie przemawiają do nas w jej imieniu?

Zakonnice cicho przyznały jej rację.

- Czyli? - spytała Izabela. Nie podobało mi się to.

- I co z tego? - wtrąciłem. - Twierdzisz, że matka Maria była w zмовie z Szatanem? To nonsens. Dlaczego...

Przerwała mi - mnie! - i tupnęła małą nóżką.

- Kto polecił pochować matkę Marię w niepoświęconej ziemi? - spytała. - Kto stale podważał mój autorytet? Kto zajmuje się miksturami i zaklęciami, niczym jakaś wiejska znachorka?

A więc to tak. Siostry wokół niej wymieniły spojrzenia; kilka zrobiło znak chroniący przed urokiem.

- Czy może to być zbieg okoliczności - ciągnęła Izabela - że siostra Małgorzata napiła się jednej z jej mikstur, tuż nim zaczęła tańczyć pogrążona w transie? Albo że siostra Alfonsyna zaczęła pluć krwią po tym, jak zwróciła się do niej o pomoc? - Zbladła, widząc moją minę, ale i tak ciągnęła dalej: - Przy łóżku ma tajną skrytkę. Trzyma tam swoje amulety. Możesz sam się przekonać, jeśli mi nie wierzysz!

Spuściłem głowę. A więc zadeklarowała się i nie mogłem zrobić nic, żeby temu zapobiec.

- Niech tak będzie - powiedziałem przez zaciśnięte zęby. - Przeszukamy skrytkę.

8

6 sierpnia 1610

LeMerle poszedł za Izabelą do dormitorium, a siostry podążyły za nimi jak stadko kur. Zawsze potrafił maskować swój gniew, ale mnie nie zwiódł, poznałam to po tym, jak się poruszał. Nie patrzył na mnie. Za to wciąż rzucał spojrzenia Klementynie drepczącej obok Izabeli ze skromnie spuszczoną głową. Pomyślałam: niech wyciąga takie wnioski, jakie chce, ja nie mam wątpliwości, kto na mnie doniósł. Może mnie widziała, jak wychodziłam z jego domku ostatniej nocy; może zrobiła to przez zwykłą złośliwość. Tak czy inaczej, szła z udawaną potulnością, podczas gdy matka Izabela, zdenerwowana, ale pełna buty, poprowadziła nas do dormitorium i wskazała na obluzowany kamień w ścianie obok mojego posłania.

- To tutaj - oświadczyła.

- Pokaż mi.

Sięgnęła do kamienia i zaczęła się z nim mocować. Miała słabe, małe dłonie, a kamień mocno się trzymał. Próbowałam sobie przypomnieć, co mam w skrytce. Karty do tarota, nalewki i lekarstwa, dziennik. Już to wystarczyło, żeby mnie skazać - skazać nas oboje. Ciekawa byłam, czy LeMerle o tym wiedział; robił wrażenie spokojnego, ale wyczuwałam, że jest spięty. Zastanawiałam się, czy spróbuje przejąć dziennik - miał duże szanse powodzenia - czy też będzie blefował. Pomyślałam, że blef to coś bardziej w jego stylu. Cóż, możemy blefować obydwój.

- Czy wszystkie zostaniemy przeszukane? - spytałam głośno i wyraźnie. - Jeśli tak, proponuję, żeby w pierwszej kolejności zajrzano pod siennik Klementyny.

Klementyna obrzuciła mnie nienawistnym spojrzeniem, a kilka sióstr wyraźnie się zmieszało. Wiedziałam, że przynajmniej połowa z nich coś ukrywa.

Ale Izabela nie dała się zwieść.

- Sama zadecyduję, kogo jeszcze należy przeszukać - oświadczyła. - A na razie... - Zmarszczyła czoło, zniecierpliwiona, bezskutecznie zmagając się z obluzowanym kamieniem.

- Pozwól, że cię wyręczę - powiedział LeMerle. - Widzę, że nie możesz sobie poradzić.

Kamień z łatwością ustąpił pod zręcznymi palcami karcianego szulera. LeMerle wyjął go i położył na łóżku. Potem sięgnął do środka.

- Niczego tam nie ma - oznajmił.

Izabela i Klementyna zwróciły się w jego stronę, na ich twarzach malowało się niedowierzanie.

- Niech się przekonam! - powiedziała Izabela.

LeMerle cofnął się ostentacyjnie, z ironicznym uśmiechem. Izabela minęła go i jej mała twarzyczka się wykrzywiła, kiedy zobaczyła pustą skrytkę. Stojąca za nią Klementyna pokręciła głową.

- Przecież były tutaj... - zaczęła. LeMerle spojrzał na nią.

- A więc to ty rozsiewasz plotki. Oczy Klementyny zrobiły się okrągłe.

- Złośliwe, bezpodstawne plotki, by wzbudzać podejrzenia i zniszczyć naszą wspólnotę.

- Nie - szepnęła Klementyna.

Ale LeMerle już się odsunął i spoglądał na szereg posłań.

- Ciekaw jestem, co ty ukrywasz, siostrze Klementyno? Co znalazłbym pod twoim siennikiem?

- Proszę - powiedziała Klementyna, blada jak ściana.

Ale siostry stojące wokół niej już wzięły się do ściągania pościeli z jej łóżka. Dziewczyna zaczęła zawodzić. Matka Izabela przyglądała się temu, zacisnąwszy usta.

Nagle rozległ się okrzyk triumfu.

- Patrzcie! - To był głos Antoniny. Trzymała w dłoni ołówek. Czarny ołówek, taki sam, jakim zbezczeszczono posągi. To nie wszystko: pęk czerwonych gałganków, na niektórych wciąż widoczne były czarne nici - krzyże, które odpruwano z naszych habitów, gdy spałyśmy.

Zaległa ciężka cisza, kiedy spojrzenia tych sióstr, na które nałożono pokutę za usunięcie krzyża z habitu, zwróciły się na Klementynę. Potem wszystkie zakonnice naraz zaczęły krzyczeć. Antonina, która zawsze była dość krewka, uderzyła Klementynę z całych sił, aż dziewczyna się zachwiała.

- Ty szmato! - krzyknęła Piete i złapała barbet Klementyny. - Myślałaś, że to zabawne, tak?

Klementyna broniła się i piszczała, instynktownie zwracając się o pomoc do LeMerle'a. Ale Antonina już ją dopadła i przewróciła na ziemię. Przypomniałam sobie, że wcześniej też dochodziło między nimi do jakichś spięć podczas kapituł.

Teraz Izabela zwróciła się do LeMerle'a, zrozpaczona.

- Powstrzymaj je! - jęczała, próbując przekrzyczeć hałas. - Och, *mon pere*, proszę, powstrzymaj je!

LeMerle spojrzał na nią zimno.

- Ty to zaczęłaś - przypomniał. - Ty je do tego doprowadziłaś. Nie widziałaś, że próbowałem je uspokoić?

- Ale powiedziałaś, że nie ma demonów... Syknął na nią.

- Naturalnie, że są! Ale nie była to odpowiednia pora, żeby o tym mówić! Gdybyś mnie tylko posłuchała...

- Przepraszam! Proszę, powstrzymaj je! Proszę!

Ale kobiety już przestały się szarpać. Klementyna skuliła się, zasłoniwszy oczy rękami, a Antonina stała nad nią czerwona na twarzy, z nosa leciała jej krew. Obie były zziębnięte; wokół nich siostry, które nawet nie ruszyły palcem, by którejś z nich przyjść z pomocą, sapały ze współczucia. Rzuciłam LeMerle'owi szybkie spojrzenie, ale wyglądał niezwykle tajemniczo, jego mina nie zdradzała, o czym myśli. Wiedziałam, że jedna rzecz nie była wytworem mojej wyobraźni: jego zdumienie, kiedy się okazało, że skrytka jest pusta. Byłam pewna, że ktoś ją opróżnił bez jego wiedzy.

Na polecenie LeMerle'a Klementynę i Antoninę zabrano do infirmerii, a mnie do końca dnia kazano pracować w piekarni, gdzie przez trzy godziny było tyle roboty, że nie miałam zbyt wiele czasu na rozmyślanie. Wyrobiłam kilka partii ciasta, ukształtowałam podłużne bochenki i wsunęłam je do głębokich, wąskich piekarników, bardzo przypominających ciemne wnęki w krypcie, w których umieszczano trumny.

Potem też starałam się nie myśleć o tym, co wydarzyło się rano, ale i tak w kółko do tego wracałam. Taniec Alfonsyny, rozkołysane postacie, poruszające się jak w transie. I chwila, kiedy spotkały się nasze spojrzenia, moje i LeMerle'a. Na jego twarzy jeszcze malowało się rozbawienie, ale za tym rozbawieniem krył się strach, jakby znalazł się na dzikim rumaku i wiedział, że spadnie z siodła, ale na razie wciąż się śmiał, zachwycony szaleńczym galopem.

Przez jakiś czas sądziłam, że nie wstawi się za mną. Stracił chwilowo kontrolę nad sytuacją, chociaż byłam pewna, że szal, który ogarnął zakonnice, stanowi część jego planu. Tak łatwo byłoby mu pozwolić, by całą winę zrzucano na mnie, wykorzystać to, by przywołać swoje zwolenniczki do porządku. Ale tego nie zrobił. Cóż za głupota odczuwać wdzięczność. Powinnam go była nienawidzić za to, co mi zrobił, co zrobił nam wszystkim. A jednak...

Prawie skończyłam to, co miałam do zrobienia dziś rano. Byłam sama, stałam tyłem do drzwi, długą drewnianą szuflą wygarniając popiół z ostatniego paleniska. Odwróciłam się, słysząc jej kroki. Wiedziałam, kto przyszedł.

Rzykowałam, przychodząc tutaj, ale niezbyt wiele. Infirmeria znajdowała się tuż obok piekarni. Domyśliłam się, że musiała przejść przez ogrodzenie. Południowy skwar był obezwładniający, większość siostr skryła się przed nim w pomieszczeniach klasztornych.

- Nikt mnie nie widział - zapewniła siostra Antonina, jakby czytając w moich myślach. - A musimy porozmawiać.

Zmiana, którą dostrzegłam w niej tydzień temu, teraz była wyraźniejsza. Miała szczuplejszą twarz, kości policzkowe bardziej wydatne, usta zaciśnięte. Nigdy nie będzie smukłą kobietą, ale teraz jej tusza raczej przywodziła na myśl siłę, a nie pulchność; pod warstwą tłuszczu wyczuwało się dobrze rozwinięte mięśnie.

- Nie powinnaś tu przychodzić - zgaśniłam ją. - Jeśli siostra Wirginia się dowie, że tu jesteś...

- Klementyna wszystko wygada - przerwała mi Antonina. - Przez cały ranek słuchałam jej w infirmerii. *Wie* o Fleur. *Wie* o tobie.

- Antonino, nie wiem, o czym mówisz. Wracaj do...

- Wysłuchaj mnie - syknęła. - Jestem po twojej stronie. Jak myślisz, kto zabrał wszystkie te rzeczy ze skrytki?

Gapiałam się na nią bezmyślnie.

- Co? - powiedziała. - Myślisz, że jestem za głupia, żeby wiedzieć o twojej skrytce? Biedna, gruba, głupia siostra Antonina, która na niczym się nie zna i niczego nie rozumie? Widzę więcej, niż ci się wydaje, siostró Augusto.

- Gdzie schowałaś moje rzeczy? Moje karty i... Antonina pokiwała swoim grubym palcem.

- Są zupełnie bezpieczne, *ma soeur*, dobrze ukryte. Ale jeszcze nie jestem gotowa ci ich zwrócić. Ostatecznie jesteś moją dłużniczką.

Skinęłam głową. Nie spodziewałam się, że zapomni.

- Klementyna zacznie mówić, Augusto - powtórzyła. -Może nie teraz.

Chwilowo popadła w niełaskę, ale matka Izabela w nią wierzy. Prędzej czy później oskarży nas. A kiedy w pełni do niej dotrze, że ojciec Colombin nie stanie w jej obronie, wtedy go zniszczy.

Urwała na chwilę, aby się upewnić, że dotarły do mnie jej słowa. W głowie mi się kręciło.

- Antonino, skąd... - zaczęłam.

- Nieważne - przerwała Antonina ostrym głosem. -Dziewczyna jej uwierzy. Znam takie jak ona. Ostatecznie sama kiedyś byłam dziewczyną. I wiem... - Jej czerwona twarz wykrzywiła się w bolesnym uśmiechu. - Wiem, że nawet najśłodsze i najbardziej potulne dziewczynki pewnego dnia przeciwstawiają się swoim ojcom.

Zapadła długa chwila milczenia.

- Czego chcesz? - spytałam w końcu.

- Znasz się na ziołach. - Teraz Antonina mówiła łagodnie, ale z naciskiem.

- Wiesz, jak działają. Mogłabym... mogłabym jej czegoś dosypać do jedzenia, póki leży w infirmerii. Nikt by się nie dowiedział.

Gapiałam się na nią z niedowierzaniem.

- Otruć ją?

- Nikt by się nie dowiedział. Pouczyłabyś mnie, co trzeba zrobić. -

Wyczuła moje zgorszenie i mocniej ścisnęła mnie za ramię. - To dla dobra nas wszystkich, Augusto! Jeśli zacznie oskarżać ciebie, stracisz Fleur. Jeśli zacznie oskarżać mnie...

- Ciebie?

Zapadło długie milczenie.

- Żermena wiedziała o Klementynie i o ojcu Colombinie - odezwała się w końcu. - Zamierzała o tym powiedzieć.

Próbowałam zrozumieć. Ale było gorąco; ogarnęło mnie zmęczenie; słowa Antoniny zdawały się pozbawione sensu.

- Nie mogłam jej pozwolić - ciągnęła. - Nie mogłam jej pozwolić oskarżyć go. Jestem silna - przynajmniej silniejsza od niej. Wszystko trwało bardzo krótko. - I Antonina uśmiechnęła się lekko.

Tego było za dużo. Wprost nie mieściło mi się to w głowie. A jednak dostrzegałam w tym jakiś sens. Już mówiłam, że główna umiejętność LeMerle'a polega na sprawianiu, żeby ludzie widzieli w nim to, czego najbardziej pragną. Biedna Antonina. W wieku czternastu lat straciła dziecko, jedyną przyjemnością, jaka jej została, było jedzenie, teraz w końcu mogła dać upust swoim uczuciom macierzyńskim.

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl i zwróciłam się do zakonnicy z przerażeniem:

- Antonino, czy to on kazał ci to zrobić?

Nie wiem, dlaczego ta myśl tak mnie przerażała. Zabijał już wcześniej, z błahszych powodów. Ale Antonina pokręciła głową.

- Nic o tym nie wie. To dobry człowiek. Och, nie jest święty - dodała, gestem ręki zbywając uwiedzenie przez niego Klementyny. - Jest mężczyzną i ma męską naturę. Ale jeśli ta dziewczyna zwróci się przeciwko niemu... - Rzuciła mi ostre spojrzenie. - Rozumiesz, dlaczego trzeba to zrobić, prawda, Augusto? Wystarczy jedna dawka...

Musiałam położyć temu kres.

- Antonino, posłuchaj.

Spojrzała na mnie jak wierny pies, przechyliwszy głowę na bok.

- To byłby grzech śmiertelny. Czy to nie ma dla ciebie żadnego znaczenia? - Dla mnie powinno to mieć niewielkie znaczenie, ale zawsze uważałam, że Antonina naprawdę wierzy w Boga.

- Obojętne mi to! - Twarz jej poczerwieniała, kobieta groźnie podniosła głos.

Uświadomiłam sobie, że sama jej obecność tutaj może mnie narazić na niebezpieczeństwo. Dałam jej znak, żeby umilkła.

- Posłuchaj mnie, Antonino. Nawet gdybym wiedziała, jakimi posłużyć się roślinami, kogo by podejrzewali? Wiesz, że musi upłynąć nieco czasu, by trucizna zadziałała, a każdy głupi rozpozna objawy.

- Ale nie możemy pozwolić jej mówić! - upierała się Antonina. - Jeśli mi nie pomożesz, sama będę musiała podjąć pewne kroki.

- Co masz na myśli?

- To ja ukryłam twoje skarby, Augusto - wyznała. - Zawsze mogę je znów znaleźć. Teraz, kiedy zostałam oskarżona, będziesz stale obserwowana. Sądysz, że jeszcze raz się za tobą wstawi? A gdyby cię oskarżono o czary, jak myślisz, co stałoby się z Fleur?

W Akwitanii wszyscy członkowie rodziny czarownicy trafiają razem z nią na stos. A także jej świnię, owce, koty, kury... Kiedyś widziałam drzeworyt przedstawiający egzekucję czarownicy w Lotaryngii: czarownica na stosie, a poniżej klatki, w których siedziały skulone mniejsze postaci, wyciągając rączki. Ciekawa byłam, jaki zwyczaj panuje na wyspie.

Antonina przyglądała mi się cierpliwie.

- Nie masz wyboru - oznajmiła. Skinęłam głową. Miała rację.

9

7 sierpnia 1610

A więc znów mam władzę nad ksienią, nawet jeśli tylko chwilowo. Kiedy odmawiała akt skruchy, na kolanach, ze spuszczoną głową słuchając moich upomnień, płakała; ale były to raczej łzy złości, a nie prawdziwego żalu. Już raz mi się sprzeciwiła; muszę pamiętać, że może to uczynić znowu.

- To wszystko twoja wina! - Mój ostry głos odbijał się od kamiennych ścian jej celi. Srebrny krucyfiks połyskiwał w blasku świec. Z małej srebrnej

kadzielniczy wydobywał się wonny dym. - Naraziłaś Bóg wie ile niewinnych dusz, nie godząc się na zwrócenie się o pomoc!

Mamrotała łacińskie słowa, ale z całej jej postaci biła arogancja.

- *Mea culpa, mea culpa, mea maxima...*

- Siostra Żermena przypłaciła to życiem! - ciągnąłem bezlitośnie. - Siostra Klementyna też mogłaby zapłacić za to swoją duszą!

Trochę ściszyłem głos. Okrucieństwo to niebezpieczny instrument, lepiej nim poszturchiwać niż chłostać.

- A jeśli chodzi o twoją... - Spojrzała na mnie zalekniona i wiedziałem, że jestem bliski celu. - Tylko ty sama wiesz, jak bardzo zgrzeszyłaś i jak bardzo twoja dusza jest skalana. Uległaś największemu demonowi ze wszystkich. Lucyferowi, demonowi pychy.

Izabela się skrzywiła i wyglądało, jakby miała ochotę coś powiedzieć, ale zamiast tego spuściła głowę i nie chciała spojrzeć mi w oczy.

- Czy tak nie jest? - ciągnąłem zimnym, cichym głosem. - Czy nie myślałaś, że sama potrafisz rozwiązać wszystkie nasze problemy, sama i bez niczyjej pomocy? Czyż nie wyobrażałaś sobie triumfu zwycięstwa, hołdów, jakie cały świat katolicki składałby dwunastoletniej dziewczynie, która sama pokonała piekielne zastępy? - Przybliżyłem usta tuż do jej ucha. Zapach jej gorących łez był rozkoszny. - Co ci nakładł do głowy Diabeł, Angeliko? - wyszeptałem. - Jakimi obietnicami cię omamił? Marzyłaś o sławie? O władzy? Może o kanonizacji?

- Myślałam... - zakwiliła cichutko, jak małe dziecko. - Myślałam...

- Co myślałaś? - spytałem teraz z łagodną wymówką, nie kusząco, jak sobie wyobrażały głos Szatana te głupie dziewice. - Co sobie pomyślałaś, Angeliko? - Jakby nie zauważyła, że zwracam się do niej po imieniu, jakie nadano jej na chrzcie. - Chciałaś zostać świętą? Uczynić z tego miejsca sanktuarium, do którego ciągnęliby ludzie z całego świata? Obcierali sobie

kolana do krwi, klęcząc przed tobą i patrząc na ciebie z podziwem i uwielbieniem?

Skuliła się. Widzicie, za dobrze ją znam. Dostrzegłem w niej te ambicje wcześniej niż ona sama, i pielegnowałem je z myślą o takiej właśnie chwili.

- Nie... - Zniosła się łkaniem, z jej oczu płynęły gorące łzy. Była jeszcze taka dziecinna. - Nie myślałam... Nie wiedziałam...

Wtedy ją podniosłem i pozwoliłem jej się wypłakać na moim ramieniu. Wierzcie mi, że nie budzą we mnie współczucia tacy ludzie, jak ona, ale to było wskazane. Konieczne. Może ostatni raz udało mi się zdobyć nad nią taką władzę. Jutro może przynieść nową falę samodeklaracji, nowy bunt. Już mi się wydawało, że widzę w jej małych, bezbarwnych oczach taksujące spojrzenie... Ale na razie byłem wciąż dobrym ojcem, ciepłym, wybaczącym, strofującym ojcem...

- Co powinnam zrobić? - Patrzyła na mnie ufnie swoimi zapłakanymi oczami.

Natychmiast uderzyłem.

10

8 sierpnia 1610

Zmełłam nasiona powoju i wymieszałam z odrobiną oliwy; wzięłam ją ze spiżarni, do której Antonina nadal miała klucz. Otrzymałam papkę, którą trudno wyczuć, jeśli zostanie dodana do jedzenia. Przyprawiłam ją do smaku słodkimi migdałami, by zabić goryczkę, i ukryłam w bochenku chleba, który dałam Antoninie. Powiedziała mi, że da go Klementynie do zjedzenia podczas kolacji.

Wyglądało na to, że nie wątpi w skuteczność mojej mikstury ani niczego nie podejrzewa, jeśli chodzi o zmianę zdania przeze mnie; mogłam się tylko modlić o to, by ufała mi na tyle długo, żebym zdążyła przygotować plan własnej obrony. Nasiona powoju, chociaż trujące, nie powodują śmierci. Miałam

nadzieję, że Antonina, uświadomiwszy sobie to, będzie trzymała język za zębami. Przynajmniej przez jakiś czas.

Mój plan był dość prosty. Dawka zmielonych nasion, nawet podana z dwunastogodzinnym wyprzedzeniem, sprawi, że Klementyny nie będzie można następnego dnia poddać przesłuchaniom w kapitularku. Objawy są poważne, od torsji, przez omamy, do całkowitej utraty przytomności, i utrzymują się dwadzieścia cztery godziny. Do tego czasu zdążę już wyjechać.

Tamtego wieczoru w dormitorium długo panowało podniecenie. Perette krążyła w pobliżu mojego posłania, obserwując mnie. Wydawało mi się, że na coś czeka, bo oczy jej błyszczały, aż w końcu kazałam jej się położyć do łóżka. Wyraźnie miała ochotę mi się sprzeciwić, jej malutka twarzyczka była ściągnięta z niepokoju albo zniecierpliwienia. Zorientowałam się, że chce mi o czymś zakomunikować. Ale teraz nie była odpowiednia pora. Powtórnie dałam jej znak ręką, żeby odeszła, i odwróciłam się, udając, że śpię. Ale jeszcze długo po zgaszeniu światła słyszałam szmery świadczące o tym, że nie wszystkie zakonnice usnęły - westchnienia, przewracanie się z boku na bok, pobrzękiwanie paciorków różańca Małgorzaty w ciemnościach - aż się zastanawiałam, czy w ogóle zaryzykuję wyjście. Mały prostokąt nieba nad moim łóżkiem przybrał fioletowoniebieską barwę - w sierpniu niebo w tych stronach nigdy nie jest zupełnie czarne. Widziałam blask gwiazd daleko w górze i słyszałam cichy szum przypływu. Tuż obok jęczała Alfonsyna i ciekawa byłam, czy mnie obserwuje. Mogła jęczeć przez sen albo tylko udawać, że śpi, żeby mnie zmylić i skłonić do nieroztropnego kroku; ta myśl sprawiła, że zostałam w łóżku prawie godzinę dłużej, niż zamierzałam, nim w końcu desperacja skłoniła mnie do działania. Ostatecznie trudno czekać w nieskończoność, powiedziałam sobie, a rano mogę stracić swoją ostatnią szansę ratunku.

Starając się oddychać jak najciszej, wstałam i na bosaka przeszłam przez dormitorium. Żadna z zakonnice się nie poruszyła. Zbiegłam bezszelestnie po schodach i przebiegłam przez wirydarz, w każdej chwili spodziewając się, że

ktoś zacznie za mną krzyżeć. Ale na dziedzińcu panowała cisza i było ciemno, jeśli nie liczyć sierpa księżycy, wrzynającego się w mur. We wszystkich oknach też było ciemno.

W domku LeMerle'a również nie paliło się światło, ale widziałam lekką poświatę od ognia na palenisku, odbijającą się w suficie, i wiedziałam, że nie śpi. Zastukałam do drzwi; kilka chwil później otworzył je ostrożnie i oczy zrobiły mu się okrągłe ze zdumienia. Był w koszuli i w spodniach do konnej jazdy, a nie w sutannie. Na krześle zobaczyłam niedbale rzucony płaszcz. Buty miał zabłocone. Domyśliłam się, że on też krążył po opactwie, ale ani słówkiem się nie zdradził, w jakim celu.

- Cóż, u diabła, wyrabiasz? - syknął, wciągając mnie do środka, i zamknął za mną drzwi na zasuwkę. - Nie dość ci, że nadstawiłem dla ciebie karku?

- Wszystko się zmieniło, Guy. Jeśli zostanę, mogę zostać oskarżona o czary.

Powiedziałam mu o rozmowie z Antoniną i jej zamiarze otrucia Klementyny. A także o swoim podstępie, o powoju działającym przez dwadzieścia cztery godziny.

- Rozumiesz teraz? - zapytałam. - Rozumiesz, dlaczego muszę zabrać Fleur i wyjechać?

LeMerle ściągnął brwi i pokręcił głową.

- Musisz mi pomóc! - Nawet we własnych uszach mój głos zabrzmiał przenikliwie. - Nie myśl, że będę milczała, jeśli zostanę oskarżona! Nic ci nie jestem winna, LeMerle. Nic a nic.

Usiadł, jedną obutą nogę od niechcienia położył na oparciu fotela. Gniew mu minął i teraz Guy wyglądał na zmęczonego i - wydawało mi się, że szczerze - dotkniętego.

- Co to? - spytał. - Jeszcze mi nie ufasz? Myślisz, że pozwolę, żeby cię oskarżono?

- Już raz to zrobiłeś, nie pamiętasz?

- To przeszłość, Julietto. Uwierz, że to odpokutowałem.

Niewystarczająco, pomyślałam, i powiedziałam mu to.

- Przykro mi. Nie mogę pozwolić ci wyjechać - oświadczył
kategorycznym tonem.

- Nie wydałabym cię. Milczenie.

- Naprawdę, Guy.

Wstał i położył mi dłonie na ramionach. Nagle z całą ostrością poczułam jego zapach, ciężką woń potu i wilgotnej skóry. Uświadomiłam sobie z pełną jasnością, że chociaż jestem wysoka, góruje nade mną.

- Proszę - powiedziałam cicho. - Nie jestem ci potrzebna. Dotyk jego rąk był jak buchnięcie gorącego powietrza z pieca. Aż zjeżyły mi się włoski na karku.

- Zaufaj mi - poprosił. - Jesteś mi potrzebna. Dziesięć lat temu oddałabym wszystko, żeby usłyszeć te słowa. Trochę mnie zaniepokoiło, że jakaś część mnie nadal może tego chcieć, i zamknęłam oczy, żeby uniknąć jego wzroku. To była pułapka. Czyż do tej pory nie zdążyłam go już dobrze poznać? Jego skóra była gładka, jak w moich snach.

- Do czego? Jako pionek w twojej grze z biskupem? - Odepchnęłam go obiema rękami, ale moje ciało lgnęło do niego, więc staliśmy spleceni. Czulałam, jak przesuwa palcami po moim karku.

- Nie. - Powiedział to bardzo łagodnie.

- W takim razie po co?

Wzruszył ramionami i nie odezwał się.

- Po co, LeMerle? - krzyknęłam w bezsilnej złości. - Po co cała ta szarada? Dlaczego ryzykujesz nasze życie dla swojej zemsty? Ponieważ kiedyś jakiś człowiek wypędził cię z Paryża? Z powodu przedstawienia?

- Nie, Julietto. Nie dlatego.

- To dlaczego?

- Nie zrozumiałabyś.

- Przekonaj się.

To musiały być czary. Albo może szaleństwo. Walczyłam z tym, drapałam go po rękach, chociaż przywarłam do niego, zamknęłam mu usta swoimi ustami, jakbym w ten sposób mogła go całego zjeść. W całkowitej ciszy rozebraliśmy się, on i ja, i zobaczyłam, że jego ciało wciąż jest silne i twarde, takie, jakim je zapamiętałam. Aż się przeraziłam, kiedy sobie uzmysłowiłam, z jaką czułością przypominam sobie każdy znak, każdą szramę, jakby były moje własne. Stare znamię na ramieniu świeciło srebrzyście w blasku księżyca i chociaż wiedziałam, że popełniam niewybaczalny błąd, w głowie mi huczało. W tej chwili nie byłam istotą z krwi i kości. Byłam z siarki, byłam słupem ognia, który szalał, głodny i spragniony. Giordano zawsze mnie przed tym przestrzegał - przed tłumioną dzikością mojej natury, którą starał się poskromić, ale nigdy mu się nie udało. Dotarło wtedy do mnie, że chociaż Giordano mógł znać właściwości podstawowych substancji, istnieje znacznie potężniejsza alchemia od tej, na której się znał: alchemia, która sprawia, że człowiek topnieje jak wosk, która wypala przeszłość i zmienia nienawiść z powrotem w miłość. Wystarczy jedno proste zaklęcie.

Po jakimś czasie ogień w nas zgasł i leżeliśmy spokojnie, spleceni jak kochankowie. Już mi przeszedł gniew, czułam odrętwienie w całym ciele, jakby ostatnich pięć lat było tylko snem, grą cieni na ścianie, wywołanych poruszaniem lusterka chwytającego promienie słońca.

- Powiedz mi, LeMerle - odezwałam się w końcu. - Chcę zrozumieć.

W blasku księżyca zobaczyłam, że się uśmiecha.

- To długa historia - uprzedził mnie. - Jeśli ci ją powiem, zostaniesz?

- Powiedz mi - powtórzyłam.

Wciąż się uśmiechając, zaczął swoją opowieść.

8 sierpnia 1610

Cóż, musiałem jej coś niecoś powiedzieć, reszty w końcu i tak się domyśli. Szkoda, że jest kobietą; gdyby była mężczyzną, mógłbym ją uznać niemal za równą sobie. Ale ponieważ jest kobietą, wciąż miałem oręż, którym mogłem się posłużyć, i posłużyłem się. Walka była przez pewien czas nawet przyjemna. Jej włosy miały zapach karmelu, a skóra pachniała świeżym chlebem i lawendą. Przysięgam, że tym razem zamierzałem dotrzymać obietnicy. Kiedy nasze usta się złączyły, prawie uwierzyłem, że mówię prawdę. Obiecałem, że znowu rozpoczniemy wędrowne życie; razem możemy jeszcze dużo osiągnąć. Ailee znów będzie latać - prawdę mówiąc, nigdy w to nie wątpiłem. Słodkie marzenia, moja Uskrzydłona. Słodkie kłamstwa.

Chciała wysłuchać mojej opowieści, więc przekazałem ją słowami, które - o czym wiedziałem - sprawią jej przyjemność. Może nawet bardziej dałem się ponieść wyobraźni, niż początkowo zamierzałem, ukołyszany jej pieszczotami. Może wyznałem więcej, niż powinienem dla własnego bezpieczeństwa. Ale moja Ailee ma dobre serce, we wszystkim stara się doszukiwać tego, co najlepsze. Nawet w tej historii. Nawet we mnie.

- Miałem siedemnaście lat. - Wyobraź sobie. - Byłem synem miejscowej dziewczyny i jakiegoś pana, który zabawił tu przejazdem: niechcianym dzieckiem, nieuznanym. Uważano za coś oczywistego, że w tej sytuacji należą do Kościoła. Nikt mnie nie pytał o zdanie. Urodziłem się kilka kilometrów stąd, w pobliżu Montauban, i w wieku pięciu lat oddano mnie do klasztoru - tam nauczyłem się łaciny i greki. Opat był chorowitym, ale poczciwym człowiekiem, który zrezygnował z życia wśród ludzi dwadzieścia lat wcześniej, by wstąpić do zakonu cystersów. Jednak nadal pozostał człowiekiem ustosunkowanym; i chociaż zrzekł się swojego nazwiska, ponoć pochodził z

potężnego rodu. Trzeba przyznać, że opactwo za jego rządów znajdowało się w kwitnącym stanie. Dorastałem wśród mnichów i mniszek.

Moja opowieść jest niemal prawdziwa - imię drugiej protagonistki uleciało mi z głowy, ale pamiętam jej twarz, skromnie zasłoniętą welonem nowicjuszki, piegi na nosie, oczy koloru palonej umbry, w złotej oprawie.

- Miała czternaście lat. Trudziłem się w ogrodzie, byłem jeszcze za młody na tonsurę. Ona była kokietką; śmiejącymi się oczami obserwowała mnie przez mur, kiedy pracowałem.

Jak powiedziałem, to niemal prawda. Były jeszcze inne sprawy, moja Ailee, mroczniejsze, brzydsze, których nie zrozumiałabyś tak łatwo. W skryptorium ślęczałem nad Pieśnią nad pieśniami i starałem się nie myśleć o młodej mniszce, kiedy moi nauczyciele obserwowali uważnie, czy tekst nie budzi we mnie niezdrowego zachwytu.

Jestem lilią Saronu i różą dolin.

Potem nigdy nie mogłem znieść widoku ani zapachu tych kwiatów. Letni ogród pełen jest gorzkich wspomnień.

- Przez jakiś czas trwała idylla.

Właśnie to chce usłyszeć: opowieść o pogwałconej niewinności, o udaremnionej miłości. Jest bardziej trubadurem niż piratem ta moja Uskrzydłona, mimo swoich ostrych pazurków. Zrozumiesz to, Julietto, bo spędziłaś szczęśliwe i bezpieczne dzieciństwo wśród malowanych tygrysów.

Jeśli chodzi o mnie, nie była to taka sielanka, zapachy tamtych letnich kwiatów zabarwione były moją samotnością, moją zazdrością, moim uwięzieniem. Opuściłem się w nauce; odbywałem pokuty za wszelkie grzechy, o jakie tylko mnie podejrzewano, a nad pozostałymi rozmyślałem, czując coraz większe niezadowolenie i tęsknotę. Słyszałem plusk wody, dobiegający zza murów opactwa, i ciekaw byłem, dokąd płynie rzeka.

- Było lato. - Pozwolę ci uwierzyć, że chodziło o miłość. Czemu nie? Prawie sam w to uwierzyłem. Byłem pijany światłem księżyca, wrażeniami

zmysłowymi: puklem jej włosów, potajemnie uciętym i przekazanym mi w mszale, odciskiem jej stopy na trawie, jej zapachem, który sobie wyobrażałem, leżąc na moim posłaniu i wpatrując się w mały kwadracik rozgwieżdzonego nieba...

Jesteś ogrodem zamkniętym, ogrodem zamkniętym i źródłem zapieczętowanym.

Spotykaliśmy się potajemnie w otoczonych murami ogrodach, wymienialiśmy nieśmiałe pocałunki i dowody miłości jak kochankowie wprawieni w sztuce intrygi. Byliśmy niewinni... Nawet ja na swój sposób.

- To nie mogło trwać długo. - Tutaj, moja Ailee, nasze opowieści się różnią. - Przyłapano nas razem, może staliśmy się nieostrożni, upojeni szczęściem, rozkoszując się naszymi zakazanymi przyjemnościami...

Krzyczała, mała głuptaska. Uznano to za gwałt.

- Próbowałem wszystko wytłumaczyć. - Rozpuściłem jej długie włosy; sięgały do pasa. Pod habitem czułem małe piersi. Salomon opisał to najpiękniej: *Piersi twoje są jak dwoje sarniąt, jak bliźnięta łani, które pasą się między li-liami.*

Skąd mogłem wiedzieć, że jest taką małą świętoszką? Krzyczała, a ja ją uciszyłem, przyciskając jej ręce wzdłuż ciała, zasłaniając usta dłonią.

- Za późno. - Odciągnęli mnie, chociaż się opierałem. To nie była moja wina, przysięgam; jeśli już ktoś był winny, to Salomon i jego bliźnięta łani. Moja luba oświadczyła, że jest niewinna; to wszystko była moja wina, prawie mnie nie znała, nie zachęcała do zalotów. Zostałem zamknięty na klucz w mojej celi. Liścik, który do niej nabazgrałem, odesłała mi bez czytania. Zbyt późno zrozumiałem, że doszło do nieporozumienia. Moja ukochana marzyła o Abelardzie, nie o satyrze.

- Przez trzy dni siedziałem w zamknięciu, czekając na wyrok. Przez cały ten czas nikt nie odezwał się do mnie ani słowem. Brat, który przynosił mi

jedzenie, odwracał twarz. Ale ku mojemu zdumieniu nie głodzono mnie ani nie bito. Moje przestępstwo było zbyt poważne, by zadać mi zwyczajną pokutę.

Zawsze nienawidziłem siedzenia w zamknięciu, a moje uwięzienie odczuwałem jeszcze boleśniej z powodu wpadających przez okno zapachów ogrodu i odgłosów lata. Mogliby mnie wypuścić, gdybym okazał skruchę, ale sam zamknąłem przed sobą tę drogę przez swój upór i niepoczucie się do winy. Nie chciałem odwołać tego, co powiedziałem. Nie chciałem się poddać ich sądowi. Zresztą kim byli, żeby mnie sądzić?

Czwartego dnia przyjacielowi udało się przekazać mi liścik. Dowiedziałem się z niego, że opat postanowił poradzić się przebywającego u nas z wizytą duchownego - człowieka szanowanego, pochodzącego z zacnej rodziny - w jaki sposób mnie ukarać. Niezbyt się tym przejąłem. Zniósłbym chłostę, gdyby trzeba było, chociaż dobry opat zawsze był wobec mnie wyrozumiały i rzadko uciekał się do takich metod.

W końcu późnym popołudniem wyprowadzono mnie z mojej celi. Niespokojny, ponury i okropnie znudzony, zmrużyłem oczy przed jasnością dnia, kiedy opat wprowadził mnie z ciemnego korytarza do swojego gabinetu, gdzie już czekał wysoki, dystyngowany mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat.

Miał na sobie czarną sutannę, jak zwykły ksiądz, a na piersiach srebrny krzyż. W przeciwieństwie do siwego opata, był czarnowłosy, ale obaj mieli wydatne kości policzkowe i jasne, niemal srebrne oczy. Widząc ich obok siebie, nie można było mieć wątpliwości, że są braćmi.

Przybysz przez chwilę przyglądał mi się obojętnie.

- A więc to on. Jak ci na imię, chłopcze?

- Guy, *mon pere*.

Zacisnął usta, jakby wcale mu się to nie spodobało.

- Rozpieściłeś go, Michel - zwrócił się do opata. - Powinienem był się tego domyślić.

Opat nic nie powiedział, chociaż kosztowało go to sporo wysiłku.

- Nie da się zmienić natury człowieka - ciągnął nieznajomy. - Ale można i trzeba ją poskramiać. Przez twoje zaniedbanie ucierpiała niewinna dziewczyna, reputacja naszego domu...

- Nie skrzywdziłem jej - zaprotestowałem. To była prawda; jeśli już, to ona skrzywdziła mnie.

Przybysz spojrział na mnie tak, jakbym był ścierwem. Nie spuściłem oczu i jego zimny wzrok stał się jeszcze zimniejszy.

- A więc upiera się - powiedział.

- Jest młody - bronił mnie opat.

- To żadne usprawiedliwienie.

Ponieważ nie chciałem się przyznać do przestępstwa, znów kazano mi wrócić do mojej celi. Stawiałem opór, nie chcąc ponownie znaleźć się pod kluczem; walczyłem z braćmi, których przysłano, żeby mnie tam zaprowadzili, bluźniłem, rzucałem obelgi. Przyszedł opat, żeby przemówić mi do rozsądku, i może bym go usłuchał, gdyby był sam, ale towarzyszył mu jego gość, a coś we mnie sprzeciwiało się na myśl, że miałbym ulec temu człowiekowi, który najwyraźniej ocenił mnie i potępił od samego początku. Wyczerpany i zły usnąłem; zostałem obudzony o świcie - pomyślałem, że na jutrznię - i dwaj bracia wyprowadzili mnie, unikając mojego wzroku.

Na dziedzińcu czekał już opat, otoczony przez zakonników i zakonnice. U jego boku stał ksiądz, jego srebrny krzyż błyszczał w słabym świetle, ręce miał złożone na piersiach. Wśród zakonnice dostrzegłem moją małą nowicjuszkę, ale stała z odwróconą głową. Na twarzach pozostałych obecnych malowało się współczucie, przerażenie albo słabo maskowane podniecenie; w powietrzu czuło się nastrój oczekiwania.

Potem opat odsunął się i zobaczyłem, co sobą zasłaniał. Kosz z węglami rozżarzonymi do czerwoności i brata w grubych rękawicach, chroniących dłonie i ramiona przed wysoką temperaturą, wyciągającego z węgla żelazo.

Z ust obecnych wydobyło się westchnienie niemal rozkoszy. *Achhhh*.

Potem przemówił przybysz. Niewiele pamiętam z tego, co powiedział; byłem zbyt pochłonięty tym, co widziałem przed sobą. Znowu z niedowierzaniem spojrzałem na płonące węgle; na małe kwadratowe żelazo, rozgrzane do koloru twoich włosów. Powoli zaczęło do mnie docierać znaczenie tego wszystkiego. Walczyłem, ale mnie przytrzymało; brat podciągnął mi rękaw, by odsłonić gołe ciało.

W tamtej chwili wszystko odwołałem. Ostatecznie czym innym jest duma, a czym innym głupota. Ale było za późno. Opat odwrócił wzrok, jego brat zrobił krok w moją stronę i coś mi szepnął na ucho, kiedy dotknięto mojego ramienia żelazem.

Czasem jestem dumny z tego, że potrafię zgrabnie coś ująć słowami. Są jednak takie rzeczy, których nie da się opisać. Wystarczy, jak powiem, że nadal czuję tamten ból, a słowa, które mi wtedy powiedział, zapaliły iskrę, która wciąż się tli.

Być może, Wasza Wielbność, jestem ci coś winien; ostatecznie darowałaś mi życie. Ale życie klasztorne to żadne życie, jak niewątpliwie może ci powiedzieć Julietta, a wypędzenie było prawdopodobnie najlepszym, co mogło mnie spotkać. Nie żeby zrobił to Wasza Wielbność z troski o mnie. Prawdę mówiąc, wątpił Wasza Wielbność, czy przeżyję. Co umiałem? Znałem łacinę, potrafiłem czytać, odznaczałem się pewną wrodzoną przekorą. I dobrze mi się to przysłużyło; chciał Wasza Wielbność, żebym umarł, więc postanowiłem żyć. Widzi Wasza Wielbność, nawet wtedy byłem bezczelny. I tak narodził się LeMerle, wojowniczy i nieustraszony, rzucający swoją głupią pieśń w twarze tych, którzy nim gardzili, plądrujący należące do nich sady tuż pod ich nosami.

Wiele lat później jako Guy LeMerle pojawiłem się na dworze. Mój wróg był teraz biskupem Evreux. Powiniennem wiedzieć, że zwykła parafia nie zadowoli go na długo. Monseigneur pragnął czegoś więcej. Chciał bywać na

dworze; więcej, chciał mieć dostęp do króla. Henryka otaczało zbyt wielu hugenotów, jak na gust biskupa; to obrażało jego poczucie wrażliwości. I cóż za chwała dla domu Arnault - na tym i na tamtym świecie - gdyby mu się udało sprowadzić królewską owieczkę z powrotem do owczarni!

Kto się raz oparzy, ten na zimne dmucha. Nie w moim przypadku. Udało mi się drugi raz, ale ledwo-ledwo. Niemal czułem swąd osmalonych piór. Cóż, teraz moja kolej. Mówią, że Neron grał na skrzypcach, kiedy Rzym płonął. Żałośnie musiał wyglądać z tym swoim jednym instrumentem. Kiedy przyjdzie moja pora, powitam biskupa Evreux całą orkiestrą.

Byłem spocony. Rękę położyłem na jej piersi. Mój ból miał zapach kwiatów. Dodało to mojej opowieści pozorów prawdy. Zobaczyłem, jak oczy Julietty robią się wielkie ze współczucia. Reszta była prosta. Ostatecznie zemsta to coś, co oboje rozumiemy.

- Zemsta? - spytała.

- Chcę go upokorzyć. - Waż swoje słowa, LeMerle. Odpowiedz tak, żeby ci uwierzyła. - Chcę, żeby został zamieszany w skandal, którego nie uda się zatuszować nawet komuś tak ustosunkowanemu, jak on. Chcę go zniszczyć.

Obrzuciła mnie ostrym spojrzeniem.

- Ale dlaczego właśnie teraz? Dlaczego teraz, po tylu latach?

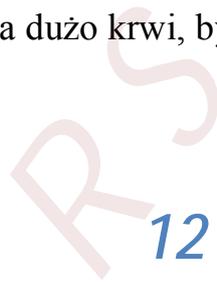
- Dostrzegłem okazję. - To, podobnie jak reszta mojej opowieści, jest bliskie prawdy. Ale człowiek mądry sam stwarza sobie okazje, tak jak dobry szuler dba, żeby mieć szczęście w grze. A jestem bardzo dobrym szulerem, Julietto.

- Jest jeszcze czas, żebyś porzucił ten zamiar - powiedziała. - Taki plan może przynieść same cierpienia. Może zaszkodzić tobie, Izabeli, opactwu. Nie potrafisz o tym zapomnieć i uwolnić się od przeszłości? - Spuściła wzrok. - Mogłabym odejść z tobą - dodała. - Jeśli postanowisz wyjechać.

Kusząca propozycja. Ale zbyt wiele w to zainwestowałem, żeby teraz zrezygnować. Pokręciłem głową z prawdziwym żalem.

- Tydzień - powiedziałem cicho. - Daj mi tydzień.
- A co z Klementyną? Nie mogę w nieskończoność podawać jej ziół.
- Nie musisz się przejmować Klementyną. Julietta spojrzała na mnie podejrzliwie.
- Nie pozwolę ci jej skrzywdzić. Ani nikogo innego.
- Nie zrobię tego. Zaufaj mi.
- Nie żartuję, Guy. Jeśli komukolwiek stanie się coś złego - przez ciebie albo z twojego polecenia...
- Zaufaj mi.

To niemal niewyobrażalne, żeby mi wybaczone. Jednak jej uśmiech mówi mi, że wszystko może być tak, jak było. Guy LeMerle - gdybym tylko nim był - mógłby skorzystać z tej propozycji. W przyszłym tygodniu będzie za późno; wtedy na moich rękach będzie za dużo krwi, by ktokolwiek kiedykolwiek mógł mnie z niej rozgrzeszyć.



9 sierpnia 1610

Powietrze było zimne, na nocnym niebie pojawiły się jasne smugi przedświt. Wkrótce rozlegnie się dzwon na czuwanie. Ale głowę zbyt miałam nabitą myślami, żeby spać, w uszach wciąż dźwięczały mi słowa LeMerle'a.

Co to było? Jakies czary, jakies zioła, które mi zadano podczas snu? Czy to możliwe, że mu teraz wierzyłam, że w jakiś sposób udało mu się odzyskać moje zaufanie? W duchu zganiłam samą siebie. To, co powiedziałam - to, co zrobiłam - powiedziałam i zrobiłam ze względu na Fleur. Cokolwiek obiecałam, obiecałam z uwagi na nas obie. Jeśli chodzi o resztę - odsunęłam na bok obrazy przedstawiające mnie i LeMerle'a znów wędrujących razem, znów jako przyjaciół, może nawet kochanków... Tak nigdy nie będzie. Nigdy.

Żałowałam, że nie mam przy sobie kart, ale Antonina dobrze je schowała; przeszukałam jej posłanie i piekarnię, ale nic nie znalazłam. Więc pomyślałam o Giordanie i spróbowałam dosłyszeć jego głos przez bicie mojego serca. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebna mi teraz twoja logika, przyjacielu. Nic nie wprowadzało dysonansu do twojego uporządkowanego, geometrycznego świata. Strata, śmierć, głód, miłość... Pozostawałeś obojętny na mechanizm wprawiający wszechświat w ruch. W swoich liczbach i działaniach arytmetycznych widziałeś tajemne imiona Boga.

A kysz, a kysz! Ale moje zaklęcia są bezużyteczne w obliczu tej potężniejszej magii. Jutro w nocy przy świetle księżyca nazbieram rozmarynu i lawendy; zapewniają jasność umysłu. Zrobię talizman z liści róży i morskiej soli, przewiążę go czerwoną wstążką i będę nosiła w kieszeni. Będę myślała o Fleur. I będę unikała jego wzroku.

Dziś rano Klementyny nie było na jutrzni ani na laudzie. Nikt nawet jednym słowem nie wspomniał o jej nieobecności, ale zauważyłam, że siostrę Wirginię też zwolniono z modlitw, i wyciągnęłam z tego swoje własne wnioski. A więc zioła działały. Pytanie tylko, jak długo?

Tak byłam pochłonięta rozmyślaniami o siostrze Klementynie, że dopiero po kilku godzinach dotarło do mnie, że Alfonsyna też nie przyszła do kaplicy. Początkowo nie przywiązałam do tego większej wagi; ostatnio Alfonsyna bardzo się zaprzyjaźniła z siostrą Wirginią i kilka razy zaproponowała jej swoją pomoc. Poza tym LeMerle tyle razy zaglądał do infirmerii, że Alfonsyna nie potrzebowała innego powodu, żeby też się tam kręcić.

Ale na prymie pojawiła się Wirginia i przyniosła wieści. Powiedziała, że Klementyna jest bardzo chora. Zapadła w głęboki letarg, z którego nikomu nie udało się jej obudzić, a od rana ma wysoką gorączkę. Piete pokręciła głową i oświadczyła, że od początku podejrzewała cholere; Antonina uśmiechnęła się z przekąsem. Małgorzata oznajmiła, że na nas wszystkie rzucono urok, i zaproponowała zadawanie surowszych pokut.

Ale to nie był koniec złych wieści. Alfonsyna znów gorzej się czuła. Wprawdzie nie miała gorączki, ale była niezwykle blada i prawie przez całą noc męczył ją kaszel. Upuszczenie krwi trochę jej pomogło, lecz wciąż zachowywała się bardzo niespokojnie i nie chciała jeść. Matka Izabela poszła ją odwiedzić i uznała, że nie jest zdolna do wykonywania swoich obowiązków, chociaż Alfonsyna próbowała ją przekonywać, że czuje się zupełnie dobrze. Ale każdy głupi by się zorientował, że to *cameras de sangre*, oznajmiła siostra Wirginia; i o ile nie usunie się złej krwi, pacjentce niechybnie grozi śmierć w ciągu tygodnia.

To zaniepokoiło mnie o wiele bardziej niż wieści o Klementynie. Alfonsyna już była osłabiona z powodu nadmiernej egzaltacji i zadawanych sobie z własnej woli pokut. Puszczanie krwi i post zabijają ją o wiele szybciej niż choroba. Powiedziałam to siostrze Wirginii.

- Wolalabym, żebyś się nie wtrącała - odparła. - Moje metody świetnie się sprawdziły w przypadku siostry Małgorzaty.

- Siostra Małgorzata ledwo wyżyła. Poza tym jest silniejsza od Alfonsyny. I nie ma zaatakowanych płuc.

Wirginia spojrzała na mnie z nieukrywaną pogardą.

- Jeśli już mówimy o tym, *ma soeur*, powinnaś przyjrzeć się sobie.

- O co ci chodzi?

- O to, że chociaż ostatnim razem uszło ci to na sucho, niektóre z nas uważają, że twój... entuzjizm, okazywany miksturem i proszkiem, może nie być taki niewinny, jak uważa ojciec Colombin.

Po tym ostrzeżeniu nie miałam odwagi się odzywać ani by próbować pomóc Alfonsynie, ani by poradzić, jak należy postępować z Klementyną. Słowa Wirginii były zbyt bliskie prawdy i chociaż LeMerle mógł się lekceważąco wyrażać na temat ewentualnego niebezpieczeństwa, aż za dobrze zdawałam sobie sprawę z tego, po jak cienkiej linie teraz stąпам. Wirginia miała wpływ na ksienię; pod pewnymi względami były do siebie podobne, do tego

prawie rówieśniczki. Poza tym nigdy mnie nie lubiła. Wystarczy niewiele - może słowa, jakie wypowie Klementyna w malignie -by mnie ponownie oskarżyć.

Porozmawiałabym o tym z LeMerle'em, ale nie pokazał się dziś, przebywając w infirmerii albo w swoim pokoju, otoczony książkami. Już niebawem, jeśli rzeczywiście dobrze znam się na ziołach, Klementynie minie gorączka i dziewczyna odzyska przytomność. Co się wtedy stanie, będzie zależało od LeMerle'a. Twierdził, że ma kontrolę nad Klementyną; nie podzielałam jego optymizmu. Publicznie wybrał ją zamiast mnie; to coś, czego żadna kobieta nie wybaczy.

Źle spałam, dręczona koszmarami. Obudził mnie mój własny krzyk i potem bałam się już zamknąć oczy z obawy, że znów coś powiem przez sen i się zdradzę. W domku LeMerle'a płonął ogień. Prawie się zdecydowałam pójść do niego, kiedy Antonina wstała, żeby skorzystać z sekretnego miejsca w głębi dormitorium, i musiałam leżeć z zamkniętymi oczami, udając, że śpię. Jeszcze dwa razy wstawała w nocy - widocznie nie służyła jej nasza dieta, składająca się z czarnego chleba i zupy - dlatego obie usłyszałyśmy wołanie, które dobiegło z infirmerii.

Klementyna w końcu odzyskała przytomność.

13

9 sierpnia 1610

Ja i Antonina pierwsze dotarłyśmy do infirmerii. Nie patrzyłyśmy na siebie, biegnąc krążankiem w kierunku otoczonego murem ogrodu, ale już z daleka słyszałyśmy, jak Klementyna krzyczy. W jednym z okien paliło się światło i skierowałyśmy się tam, a wkrótce dołączyły do nas Tomasz, Pieta, Benedykta i Maria Magdalena.

Infirmeria mieści się w jednej dużej, ale dość dusznej izbie. Wzdłuż ściany stoją łóżka - sześć, chociaż zmieściłoby się więcej. Między łózkami nie ma przepierzeń, więc prawie niemożliwością jest tu usnąć, bo chore nawzajem sobie przeszkadzają, wzdychając, kaszląc i pojękując. Siostra Wirginia próbowała jakoś odizolować Klementynę; jej łóżko stało w samym końcu sali, z jednej jego strony powiesiła kotarę, zasłaniając nieco światło lampy i zapewniając chorej dziewczynie trochę prywatności. Alfonsyna leżała koło drzwi, możliwie jak najdalej od Klementyny, i mijając ją, zobaczyłam jej otwarte oczy: dwa świecące punkciki w ciemnościach.

Ksieni już tam była. Wirginia i Małgorzata, które musiały na jej polecenie wszczać larum, stały obok niej, przestraszone i przejęte. LeMerle - trochę dalej, poważny w swojej czarnej sutannie; w jednym ręku trzymał swój srebrny krucyfiks. Na łóżku, z nogami przywiązanymi dwoma rzemieniami do drewnianej ramy, leżała Klementyna. Na małym stoliku przy łóżku była rozlana woda z dzbanka; cuchnący basen wepchnięto głębiej pod łóżko. Klementyna miała bladą twarz, a źrenice tak bardzo rozszerzone, że prawie nie było widać niebieskich tęczówek.

- Pomóż siostrze Wirginii ją przywiązać - poleciła ksieni Małgorzacie. - A ty... tak, ty, siostrzo Augusto! Przynies ziółka na uspokojenie.

Zawahałam się przez moment.

- Może... może byłoby lepiej, gdyby...

- Natychmiast, ty idiotko! - krzyknęła ostro, nosowym głosem. - Ziółka na uspokojenie i zmianę pościeli. Szybko!

Wzruszyłam ramionami. Nasiona powoju należy podać na pusty żołądek, żeby nie wywołały przykrych następstw. Ale usłuchałam; wróciłam dziesięć minut później, niosąc lekki napar z liści tarczycy, posłodzony miodem, i czysty koc.

Klementyna była w malignie.

- Zostawcie mnie samą, zostawcie mnie samą! - krzyczała, wymachując nieprzywiązaną ręką, kiedy próbowałyśmy podać jej kubek z naparem.

- Przytrzymajcie ją! - poleciła matka Izabela. Siostra Wirginia wlała Klementynie prawie cały napój do gardła, kiedy ta otworzyła usta, żeby znów coś krzyknąć.

- No, *ma soeur*. Po tym poczujesz się lepiej - usiłowała ją przekrzyczeć. - Spróbuj odpocząć...

Ledwo zdążyła to powiedzieć, a Klementyna dostała tak gwałtownych torsji, że wymiocinami pobrudziła ściany infirmerii. Aż się wzdrygnęłam wewnątrz. Wirginia krzyknęła, a matka Izabela, stojąca obok niej, uderzyła ją, jak rozpieszczone dziecko może uderzyć swoją nianię w napadzie złości.

Klementyna znów wymiotowała, brudząc nowy koc.

- Przyprawadźcie ojca Colombina. - Głos miała zachrypnięty od krzyku. - Przyprawadźcie go zaraz!

LeMerle stał w milczeniu. Teraz podszedł bliżej, omijając wymiociny na podłodze.

- Zróbcie mi przejście.

Prawdę mówiąc, nikt nie zagradzał mu drogi, ale usłuchałyśmy jego władczygo głosu. Klementyna też zareagowała; zwróciła twarz w jego stronę i zakwilila cicho.

LeMerle wysunął przed siebie krucyfiks.

- *Mon pere!* - Przez chwilę chora kobieta wydawała się zupełnie przytomna. Szepnęła zachrypniętym głosem: - Powiedziałeś, że mi pomożesz. Powiedziałeś, że mi pomożesz...,

LeMerle zaczął mówić do niej po łacinie, wciąż trzymając przed sobą krucyfiks niczym tarczę. Zorientowałam się ze słów, że to fragment wypowiedziany podczas egzorcyzmów, które niewątpliwie odprawi w całości trochę później.

- *Praecipio tibi, quicumque es, spiritus immunde, et omnibus sociis tuis hunc Dei famulum obsidentibus...*

Zobaczyłam, jak oczy Klementyny robią się wielkie. - Nie!

- *Ut per mysteria incarnationis, passionis, resurrectionis, et ascensionis Domini nostri...*

Pomimo wszystko ogarnęło mnie nagle poczucie winy za jej cierpienia.

- *Permissionem Spiritus Sancti, et per adventum eiusdem Domini.*

- Proszę, nie chciałam, nigdy nikomu nie powiem...

- *Dicas mihi nomen tuum, diem, et horam exitus tui, cum aliquo signo...*

- To Żermena, była zazdrosna, chciała mnie mieć tylko dla siebie...

Kiedy Żaneta używała ziół, stosowała małe dawki po długim okresie medytacji. Klementyna nie była na to przygotowana. Próbowałam sobie wyobrazić ogrom jej przerażenia. Teraz, w końcu, działanie ziół osiągnęło swoje apogeum. Wkrótce atak minie i Klementyna znów usnie. LeMerle uczynił znak krzyża nad jej głową.

- *Lectio sancti Evangelii secundum Ioannem.*

Ale zdaje się, że jego odmowa udzielenia pomocy jeszcze tylko pogłębiła poruszenie Klementyny. Zębami chwyciła rękaw sutanny LeMerle'a, niemal wytrącając mu krucyfiks z ręki.

- Powiem im wszystko - warknęła. - Będę patrzyła, jak płoniesz.

- Patrzcie, jak cofa się przed krzyżem! - zauważyła Małgorzata.

- Jest chora - wyjaśniłam. - W malignie. Nie wie, co robi. Małgorzata z uporem pokręciła głową.

- Jest opętana - oświadczyła, oczy jej błyszczały. - Opętana przez duszę Żermeny. Czyż sama tego nie powiedziała?

Nie była to pora na sprzeczki. Widziałam, jak matka Izabela przygląda nam się spod oka, i wiedziałam, że słyszała każde słowo. Ale LeMerle pozostał nieporuszony.

- Demony, które wstąpiłyście w tę kobietę, podajcie swoje imiona!

Klementyna zakwiliła.

- Nie ma demonów. Sam powiedziałaś...

- Podajcie swoje imiona! - powtórzył LeMerle. - Rozkazuję wam! W imię Ojca!

- Chciałam tylko... Nie pragnęłam...

- I Syna!

- Nie... proszę...

- I Ducha Świętego!

Wtedy Klementyna ostatecznie się załamała.

- Żermena! - krzyknęła. - Matka Maria! Behemot! Belzebub! Astarot!

Belial! Sabaoth! Tetragram! - Z jej ust wydobywały się szybkie, urywane łkania i padały jedne po drugim imiona - wiele znanych mi z różnych tekstów Gjordana, Klementyna niewątpliwie zasłyszała je podczas ataków Alfonsyny. - Hades! Belfagor! Mammon! Asmodeusz!

LeMerle położył jej dłoń na ramieniu, ale ona była tak podniecona, że znów krzyknęła i cofnęła się.

- Opętana! - znów szepnęła Małgorzata. - Patrzcie, jak odsuwa się od krzyża! Słuchajcie imion demonów!

LeMerle odwrócił się lekko w naszą stronę.

- Rzeczywiście mam złą wiadomość - rzekł. - Wczoraj byłem ślepy, wierząc, że może być inne wytłumaczenie jej choroby. Ale teraz usłyszeliśmy to z własnych ust Klementyny. Nasza siostra została opętana przez duchy piekielne.

- Proszę, pozwólcie mi jej pomóc. - Wiedziałałam, że niemądrze jest zwracać na siebie uwagę, ale nie mogłam dłużej na to patrzeć. Mimo że cały czas czułam na sobie czujny wzrok Wirginii, a także naszej małej ksieni, stojącej za nią.

LeMerle pokręcił głową.

- Muszę zostać z nią sam. - Wyglądał na wyczerpanego, wyciągnięta ręka, w której trzymał krucyfiks, wyraźnie drżała mu z wysiłku. - Każdy, kto tu zostanie, naraża swoją duszę na niebezpieczeństwo.

Klementyna zaczęła odmawiać Modlitwę Pańską, nie przestając łkać.

LeMerle cofnął się o krok.

- Patrzcie, jak demony nas zwodzą! - powiedział. - Wymieniłyście swoje imiona, demony, teraz ukażcie swoje twarze!

Kiedy mówił te słowa, zimny prąd powietrza powiał od strony otwartych drzwi, aż zamigotały płomienie świec oświetlających salę. Odruchowo odwróciłam się; inne poszły za moim przykładem. Za drzwiami, w ciemnym korytarzu, majaczyła w mroku biała postać. Ledwo mogłam dostrzec jej sylwetkę. Zdawało się, że unosi się nad ziemią. Pilnowała się, żeby nie wyjść z cienia, więc widziałyśmy tylko jej habit - tak podobny do naszych - i biały *quichenotte*, który całkiem zakrywał twarz.

- Duch zakonnicy!

Wyrwałam Wirginii lichtarz z dłoni i pobiegłam, osłaniając malutki płomyk świecy. Małgorzata krzyknęła piskliwie i uczepliła się mojego rękawa. Nie zwracając na to uwagi, zrobiłam trzy kroki w głąb korytarza, trzymając przed sobą lichtarz.

- Kto tam? - krzyknęłam. - Pokaż się!

Duch zakonnicy odwrócił się i zdążyłam zobaczyć nogi w ciemnych pończochach. A więc stąd to wrażenie unoszenia się w powietrzu. Na rękach postać też miała czarne rękawiczki. Potem zaczęła szybko biec korytarzem, uciekając przed światłem.

Któraś z sióstr krzyknęła za mną zniecierpliwiona:

- Co widziałaś?

Któraś inna ciągnęła za mój barbet, jeszcze inna za ramię. Z trudem uwolniłam się z czyjś uścisku, starając się nie upuścić lichtarza. Kiedy znów spojrzałam, zjawy zniknęła.

- Siostrzo Augusto! Co widziałaś? - To była Izabela, uczepiona mnie tak, jakby nigdy nie zamierzała puścić. Z bliska jej cera wyglądała gorzej niż kiedykolwiek, wokół ust i nosa miała drobne czerwone krosty. Żaneta przepisałaby jej dużo ruchu na świeżym powietrzu. *Świeże powietrze i słońce*, powiedziałyby swoim trajkoczącym głosem. *To coś dla dorastających dzieci. Dzięki temu stałam się taką słodką, jaką widzicie przed sobą.* Gdyby tylko była tu Żaneta...

- No właśnie, siostrzo Augusto, co widziałaś? - Tymi słowami zwrócił się do mnie LeMerle, przez jego grzeczny ton przebijała ironia, którą tylko ja potrafiłam rozpoznać.

- Widziałam... widziałam... - Głos mi się załamał. - Nie jestem pewna.

- Siostra Augusta jest sceptyczką - oświadczył LeMerle.

- Może nawet teraz wątpi w to, że w siostrę Klementynę weszły duchy.

Wpatrywałam się w płomień świecy, nie mając odwagi spojrzeć na jego uśmiechniętą twarz.

- Siostrzo Augusto - odezwała się Izabela ostrym tonem.

- Proszę nam natychmiast powiedzieć, co widziałaś. Czy to był duch zakonnicy?

Wolno, z ociąganiem, skinęłam głową.

Nastąpiła fala pytań. Dlaczego goniłam zjawę? Dlaczego się zatrzymałam? Co dokładnie widziałam? Czy na czepku była krew? A na barbecie? Czy widziałam jej twarz?

Próbowałam odpowiedzieć na wszystkie. Tam gdzie trzeba było kłamać, kłamałam. Z każdym wypowiedzianym słowem władza LeMerle'a nade mną rosła, ale nie miałam wyboru, nie miałam sił, żeby się temu oprzeć; kłamałam z konieczności. Bo przez mgnienie oka, kiedy zjawa odwróciła się w moją stronę, kiedy znalazłam się z nią twarzą w twarz i niemal tak blisko, że mogłam jej dotknąć w mrocznym korytarzu, rozpoznałam ducha zakonnicy. To była moja

najdroższa przyjaciółka, jej złoto obrzeżone oczy śmiały się. Jakby chodziło o zabawę, w której stawką jest garść szklanych kulek.

Wszystko pasowało jak ulał. Chroniła ją jej niewinność. Można było mieć pewność, że nic nie powie. I tylko ja usłyszałam cichy śmiech, który towarzyszył zniknięciu zjawy w mroku, to pohukiwanie, którego żadna istota ludzka nie potrafiłaby powtórzyć.

Nie mogłam się mylić, jeśli chodzi o ten głos, o te oczy.

To była Perette.

CZĘŚĆ CZWARTA

PERETTE

1

10 sierpnia 1610

Na razie wszystko idzie zgodnie z planem, ale to, co mi zostało do zrobienia, jest delikatnej natury. Mam tylko pięć dni do jego przyjazdu, a nici mojej delikatnej materii stają się coraz bardziej poplątane i zawiłe. Klementyna nadal leży w infirmerii, jak do tej pory spokojna, ale podejrzewam, że niebawem się to zmieni. Spędziłem u jej łóżka wiele godzin w obecności Wirginii, mając pod ręką kadzidło i wodę święconą. Ostra igła ukryta w rękawie sutanny idealnie spełniła swoje zadanie podczas ostatniej fazy działania ziół; kłułem ją z naukową precyzją wtedy, kiedy chciałem, żeby krzyknęła lub zaczęła przeklinać, a w stanie, w jakim się znajdowała, nie rozróżniała bólu wywołanego swoimi wizjami od tego, który zadawałem jej ukrytą igłą.

Z odpowiednio poważną miną ogłosiłem, że Klementyna jest opętana przez dwieście pięćdziesiąt diablów. Większą część ranka spędziłem wśród swoich książek, pogrążony w lekturze kilku tekstów na ten temat, by jeszcze przed południem pojawić się z listą ich imion. Odczytałem ją Klementynie wolno, miarowo, podczas gdy Wirginia przyglądała się temu zdjeta grozą, a biedna dziewczyna wiała się na łóżku i błagała o litość.

Wiedziałem, że Julietta odmówi podania kolejnej porcji naparu, ale miałem dość na swoje najpilniejsze potrzeby. Kiedy w miarę upływu godzin zobaczyłem, że Klementyna zaczyna odzyskiwać przytomność, coraz wyraźniej docierało do mnie, że trzeba powtórzyć wszystko od początku. Już wiedziałem, że moja Ailee tego nie pochwali. Ale cóż mogła zrobić?

Mszę, naturalnie, odwołano. „Studiowałem” w swoim domku, czytając książkę z maksymami Arystotelesa, ukrytą w okładce *Malleus maleficarum*. Domyślałem się, że nabożeństwa bez mojego udziału były nudne, ale udałem, że boję się, iż znów może dojść do szalonego tańca.

Tymczasem Małgorzata obserwowała Klementynę i -mimo moich wyraźnych instrukcji, by ani słówkiem nie wspomnieć o dzisiejszych wydarzeniach - w całym opactwie rozpuściła okropną wiadomość o jej opętaniu. Oczywiście właśnie na to liczyłem, a plotki, tym bardziej intrygujące, że zakazane, wkrótce zaczęto podawać z ust do ust, więc rozproszyły się jak nasiona dmuchawca.

Głównym powodem mojego niepokoju jest Julietta. Być może nie dało się uniknąć tego, by rozpoznała, kim jest duch zakonnicy, niemniej trochę mnie to martwi. Mała dzikuska jest jej przyjaciółką, jak mi powiedziano, i chce być wobec niej lojalna. Nie tyle boję się tej dzikuski, którą można kupić za świecidełko, a której milczenie jest bezcenne, ile tego, że Julietta pozna cały mój plan...

Oczywiście niepotrzebnie się martwię. Perette jest prostą dziewczyną o nieufornym umyśle, ma nie więcej rozumu od wytresowanej małpki.

Zajął mi trochę czasu nakłonienie jej do współpracy - prawdę mówiąc, spędziłem z nią w krypcie dwie bezsenne noce, przełamując nieuzasadniony lęk dziewczyny przed ciemnościami - ale teraz łasi się do mnie ufna jak psiak, składa swoje drobne rączki, prosząc o kolejną nagrodę. Bardzo mnie kusi, żeby zabrać Perette ze sobą, kiedy będę stąd wyjeżdżał. Mógłbym ją wykorzystać na tyle sposobów! A Julietta... Ale nie wolno mi myśleć o Julietcie. Do niedzieli w pełni pozna ogrom mojej zdrady i nie mam się co ludzi nadzieją, że tym razem znów mi wybaczy. Perette to co innego. Nawet niewyszkolona jest nadspodziewanie zwinna. Wszelkie sztuczki są dla niej dziecinnie proste. Potrafi się poruszać po sali pełnej śpiących osób, tak że nikt jej nie widzi ani nie słyszy. Potrafi biec jak wiatr, wspinać się jak wiewiórka, zwinąć się w kłębek i ukryć w najmniejszym zakamarku. Mógłbym ją nawet nauczyć tańca na linie. Nikt nie dorówna mojej Ailee, ale być może przy odrobinie praktyki... Mógłbym pomalować Perette twarz sokiem orzecha włoskiego i przedstawiać ją jako dzikuskę z Kanady. Ludzie płaciliby za możliwość oglądania jej.

Tak, spośród nich wszystkich mógłbym jeszcze uratować Perette.

2

10 sierpnia 1610

Oczywiście po tym, co zobaczyłam w infirmerii, najszybciej, jak tylko mogłam, udałam się na poszukiwania Perette. To było rano, po prymie. Wszystkie trochę później niż zwykle przystąpiłyśmy do wykonywania swoich obowiązków, bo ksieni rozmawiała ze swoim spowiednikiem i wyczuwałyśmy, że nie musimy być takie sumienne. Znalazłam Perette, tak jak się tego spodziewałam, w stajni, gdzie trzymałyśmy nasze zwierzęta. Wzięła ze sobą trochę czerstwego pieczywa i kłębiły się wokół niej kury, kaczki i nakrapiane pulardy. Spojrzała na mnie pytająco.

- Perette.

Uśmiechnęła się do mnie szeroko, bardzo zadowolona, i wskazała ptactwo. Była taka szczęśliwa - i taka niewinna - że nie miałam ochoty rozmawiać o porannym incydencie. Ale zmusiłam się do tego.

- Zostaw na razie kury w spokoju, Perette. Widziałam cię dziś rano w infirmerii.

Spojrzała na mnie szelmowsko, przechyliwszy głowę na bok.

- Widziałam cię, jak udawałaś ducha zakonnicy.

Z gardła Perette wydobyło się pohukiwanie, oznaczające u niej śmiech.

- To wcale nie jest zabawne. - Wzięłam ją za ramiona i odwróciłam przodem do siebie. - To mogło być bardzo niebezpieczne.

Perette wzruszyła ramionami. Czasami jest nad podziw bystra, ale kiedy zaczyna się mówić o tym, co może być, mogłoby być albo co by było gdyby, traci zainteresowanie.

Mówiłam wolno, cierpliwie, używając prostych słów, które znała.

- Perette, posłuchaj mnie. Powiedz mi prawdę. Uśmiechnęła się do mnie, nie zdradzając niczym, czy mnie zrozumiała, czy nie.

- Powiedz mi, Perette, ile razy... - Nie, tak niedobrze. - Perette, czy już wcześniej się tak bawiłaś?

Perette skinęła głową i zahuczała radośnie.

- A czy... czy ojciec Colombin poprosił cię, żebyś się w to bawiła?

Znow skinienie głową.

- Czy... czy ojciec Colombin powiedział, dlaczego chciał, żebyś się tak bawiła?

To było trudniejsze. Perette zastanawiała się przez chwilę, wzruszyła ramionami, a potem wyciągnęła brudną rękę. Spoczywało na niej coś małego, brązowego. Kostka cukru. Spojrzała na nią, polizała ją, a potem ostrożnie wsadziła z powrotem do kieszeni.

- Cukier? Daje ci cukier, kiedy się w to bawisz? Perette znów wzruszyła ramionami. Potem wydobyła spod stanika mały medalik. Widziałam, jak kilka tygodni temu LeMerle jej go odebrał. Teraz wisiał na kawałku żyłki. Święta Krystyna uśmiechała się z kolorowego, emaliowanego krążka.

Znowu przemówiłam wolno i wyraźnie.

- A więc, Perette, bawiłaś się w to dla ojca Colombina. Perette się uśmiechnęła i przechyliła głowę najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Medalik błysnął w słońcu.

- Ale dlaczego chciał, żebyś się w to bawiła?

Mała dzikuska wzruszyła ramionami i obróciła medalik w palcach tak, by błyskał w słońcu. Próbowalam nie okazać zniecierpliwienia.

- Tak, Perette, ale dlaczego cię o to prosił? Czy powiedział ci dlaczego?

Znowu wzruszyła ramionami. Czy to ważne, dlaczego tego chciał, mówiło to wzruszenie ramion, póki dostawała cukier i błyskotki?

Potrząsnęłam nią delikatnie.

- Perette, nie powinnaś się tak bawić.

Zrobiła zdumioną minę i zaczęła przecząco kręcić głową.

- Nie powinnaś! - powtórzyłam nieco podniesionym głosem. - To nie twoja wina, ale i tak to było coś złego. Ojciec Colombin nie powinien cię o to prosić.

Perette nadaśała się i jakby chciała się odsunąć ode mnie. Przytrzymałam ją.

- Pamiętasz Fleur? - spytałam niespodziewanie. - Pamiętasz, kiedy zabrali stąd Fleur?

Może nie pamięta, pomyślałam. Od zniknięcia Fleur minął prawie miesiąc i Perette mogła już zapomnieć swoją małą towarzyszkę zabaw. Przez chwilę miała zdziwioną minę, a potem uniosła rękę takim gestem, jakiego zawsze używała, by wskazać dziecko.

- To ojciec Colombin zabrał Fleur - powiedziałam jej. -Może się wydawać bardzo miły, może ci dawać prezenty, ale to zły człowiek, Perette, i muszę wiedzieć, co takiego zamierza zrobić! - Znów podniosłam głos i mocno ścisnęłam ją za ramię. Jej obojętna mina powiedziała mi, że za bardzo się śpieszę, że już przestała się interesować tym, co mówię. - Perette, spójrz na mnie!

Ale było za późno. Nić porozumienia między nami pękła i Perette znów skupiła całą uwagę na ptactwie. Kiedy się odwróciłam, wściekła na siebie za swoją niecierpliwość, zobaczyłam ją siedzącą pośród nich, z wyciągniętymi rękami, a na jej kolanach kłębiło się białe, brązowe, nakrapiane, złote, zielone i czerwone pierzaste bractwo.

Nie mogłam się jednak poddać. Jeśli jest klucz do tej zagadki, to jest nim ona. Moja słodka Perette, moje niewiniątko. Cokolwiek LeMerle planuje, ona o tym wie. Może tego nie rozumie, ale zna jego tajemnicę, jest w niej ukryta tak bezpiecznie, jak w chińskiej magicznej szkatułce. Gdybym tylko wiedziała, co to jest. Gdybym tylko potrafiła złamać twój szyfr, moja droga.

3

11 sierpnia 1610

Wczoraj przez cały dzień próbowałam porozmawiać z LeMerle'em, ale mnie unika, a ja nie mogę zwracać na siebie uwagi. Wieczorem drzwi do jego domku były zamknięte na klucz, świece zgaszone. Ciekawa byłam, czy jest w infirmerii, ale nie śmiałam tam pójść, żeby się przekonać. Antonina mi mówi, że z Klementyną nadal nie można się porozumieć, długie okresy letargu przerywają ataki szaleństw w malignie. Podczas tych ataków trzeba ją przywiązywać do łóżka, żeby nie zrobiła sobie krzywdy. Często drze na sobie ubranie, obnaża się i rzuca gwałtownie, jakby dopadł jej jakiś diabelski kochanek. Czasem krzyczy albo jęczy z rozkoszy, albo drapie twarz w napadzie nienawiści do samej siebie.

Lepiej ją przywiązywać, chociaż błaga, żeby tego nie robić, kręcąc głową to w jedną stronę, to w drugą, i zdumiewająco celnie plując na każdego, kto śmie się do niej zbliżyć.

Nie wolno mi jej odwiedzać. Antonina już nie leży w infirmerii, tylko Wirginia opiekuje się opętaną kobietą. Antonina oznajmia mi z mściwą satysfakcją: Klementyna postradała zmysły i może już nigdy nie wyzdrowieje. Tak jej mówi Wirginia. Antonina, powtarzając to, mruży złośliwie oczy. Zgłosiła się na ochotniczkę do pomocy w infirmerii, pierze pościel i przygotowuje dla chorej jedzenie, do którego niewątpliwie regularnie dosypuje nasiona powoju.

Śliczna Klementyna nie jest już taka śliczna, donosi mściwie; na twarzy zostaną jej blizny od ciągłego drapania się; włosy jej wychodzą całymi kępkami. Chciałabym do niej pójść, może ją pocieszyć albo wyjaśnić, że to nie moja wina...

Co to da? Może to Antonina wsypuje jej do jedzenia nasiona powoju, ale dostała je ode mnie. Gdyby sytuacja się powtórzyła, zrobiłabym to jeszcze raz. LeMerle, rozsądnie trzymając się z daleka, wie o tym. Znów wykopał we mnie przepaść, rozłożył ciemny wachlarz możliwości w moim wnętrzu.

Nie pozwolisz żyć czarownicy.

Giordano mawiał, że kiedyś w języku hebrajskim słowo „czarownica” znaczyło „trucicielka”.

Ciekawa jestem, czy Giordano poznałby teraz swoją dawną uczennicę.

12 sierpnia 1610

Tak jak się spodziewałem, wszystko przebiega zgodnie z planem. Matka Izabela jest potulna - na razie. Spędza dużo czasu na modlitwach, nie interesując się swoją coraz bardziej niesforną trzódką. Dostęp do Klementyny jest ograniczony, nawet ja mam trudności ze stałym podawaniem dziewczynie ziół, a ataki choroby stają się wciąż gwałtowniejsze.

Dlatego podsyłam obawy swojej uczennicy, karmię ją zabobonami i bzdurami, wyluskiwanymi z setek książek, zarówno tych uznawanych przez Kościół, jak i znajdujących się na indeksie. Rzekomo usypiając jej lęki, w sposób mistrzowski je pogłębiam opowieściami i zmyślonymi historyjkami. Świat jest areną wielu budzących grozę wydarzeń: podpaleń, otruc, zadawania czarów i opętań przez złe duchy - cokolwiek wymienić, ojciec Colombin o tym słyszał i dokładnie wie, co zrobić, żeby plastycznie je przedstawiać. Bardzo mi w tym pomaga moja bogata przeszłość; na jednym z wieczorków u Madame de Sevigne nawet spotkałem sławnego jurystę, Jeana Bodina, który zanudził mnie na śmierć swoim uczonym wywodem. Resztę zapożyczyłem od wielkich autorów i dzieł z dawnych czasów. Ajschylos, Plutarch, Biblia... Sama Klementyna zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, że imiona demonów, które wykrzykuje podczas napadów szału, są w większej części tylko tajemnymi, zapomnianymi imionami Boga; w jej udręczonym umyśle odrodziły się jako bluźnierstwa.

Moja uczennica od wielu dni prawie nie sypia. Oczy ma zapadnięte i przekrwione, usta blade. Czasem widzę, jak mnie obserwuje. Wydaje jej się, że robi to ukradkiem. Ciekaw jestem, czy coś podejrzewa. Tak czy inaczej, dla niej już za późno. Dawka powoju, podana Klementynie, wystarczyłaby, by przywołać ją do porządku, gdyby się zbuntowała, ale posunę się do tego tylko w

ostateczności. Chcę, żeby spadło to na Arnaulta jak grom z jasnego nieba. Nieodwołalny koniec jego najskrytszych marzeń.

Jak na ironię, dla mojej uczennicy jedyną pociechą stała się perspektywa niedzielnych uroczystości, od dawna oczekiwanego święta Marii Panny. Teraz, kiedy nasze opactwo zostało odebrane nieuznawanej świętej, Marie-de-la-mer, powinniśmy móc liczyć na osobiste wstawiennictwo Matki Boskiej. Tak przynajmniej myśli i jeszcze żarliwiej się modli. A ja tymczasem zajęty jestem umacnianiem naszej obrony przed duchami i w tym celu posługuję się licznymi łacińskimi sentencjami i dużą ilością kadzidła. Nie można pozwolić, by jakakolwiek diabelska siła zakłóciła największe święto w naszym opactwie.

Dziś wczesnym rankiem przyszła do mnie Julietta. Wiedziałem, że może to zrobić, i byłem przygotowany. Uniosłem głowę znad stosu książek, by spojrzeć na nią. Wyglądała bardzo oficjalnie w swoim czystym wykrochmalonym odzieniu, ani jeden lok nie łagodził rysów jej bladej, poważnej twarzy. Sprawa dotyczy Perette i muszę być ostrożny.

- Julietto, czy już wzeszło słońce? Zdaje się, że w izbie zrobiło się widniej, niż było jeszcze przed chwilą.

Z jej miny wywnioskowałem, że to niewłaściwa pora na komplementy.

- Proszę. - Jej głos był ostry, ale zauważyłem, że raczej pełen niepokoju niż gniewu. - Nie wolno ci w to wciągać Perette. Nie rozumie niebezpieczeństwa. Pomyśl, co by się stało, gdyby ją zdemaskowano! - Ponieważ milczałem, krzyknęła: - Naprawdę, LeMerle, chyba widzisz, że to jeszcze dziecko!

Ach, a więc o to chodzi. Obudziła się w niej matka. Próbowałem zmienić temat.

- Izabela źle się czuje - powiedziałem. - Kiedy odpoczywa w swoich komnatach, mogę się postarać, żebyś ty - i Antonina - mogła się wymknąć z opactwa. I zanieść kosz z jedzeniem - powiedzmy - biednemu rybakowi i jego rodzinie.

Przyglądała mi się przez chwilę i widziałem pragnienie w jej oczach.
Potem pokręciła głową.

- To bardzo do ciebie podobne, LeMerle - powiedziała obojętnym tonem.
- A co by się stało, gdyby mnie tu nie było? Kolejne objawienie? Kolejna msza z tańcem? - Znów pokręciła głową. - Znam cię - dodała cicho. - Nigdy nic nie dajesz za darmo. Zechcesz coś w zamian, potem jeszcze coś, potem...

- Moja droga, źle rozumiałaś moje intencje - przerwałem jej. -
Zaproponowałem to tylko i wyłącznie z troski o ciebie. Nie zagrażasz mi, Julietto; już jesteś tak samo winna, jak i ja.

Zadarła brodę, słysząc to.

- Ja? - Ale w jej oczach był strach.

- Samo twoje milczenie jest dowodem winy. Wiesz, kto się przebiera za ducha zakonnicy. I czyżbyś już zapomniała, jak to było ze studnią? Albo z podtruwaniem siostry Klementyny? A jeśli chodzi o twoje śluby czystości... -
Nie dokończyłem.

Milczała, policzki jej płonęły.

- Uwierz mi - powiedziałem - że możesz być oskarżona i skazana na stos za każdą z tych rzeczy. Już od dawna nie możesz mi zaszkodzić. Żaden człowiek nie zdoła teraz sprawić, by zwróciły się przeciwko mnie.

Wiedziała, że to prawda.

- Ja jestem skałą - oświadczyłem. - Kotwicą podczas burzy. Podejrzewać mnie to niedorzeczność.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

- Powinnam wszystko ujawnić, kiedy miałam okazję - rzekła w końcu Julietta.

Nie dałem się zwieść jej tonowi; w jej oczach było niemal uwielbienie.

- Nie zrobiłabyś tego, moja droga.

Jej oczy powiedziały mi, że też o tym wie.

- Przez tych kilka tygodni miałem z Perette dużo pożytku - oзнакомиłem. - Jest bystra - niemal tak bystra, jak kiedyś ty, Julietto - i sprytna. Kiedy pierwszy raz zobaczyłaś ducha zakonnicy, ukryła się w krypcie. Przez cały czas, kiedy go szukałaś, była tam, zwinięta w kłębek za jedną z trumien.

Julietta się wzdrygnęła.

- Ale jeśli tak się o nią martwisz, to może... - Udałem, że się waham. - Nie. Nadal jest mi potrzebna, Julietto. Nie mogę z niej zrezygnować. Nawet żeby sprawić ci przyjemność.

Połknęła przynętę.

- Powiedziałeś, że jest jakiś sposób.

- To niemożliwe.

- Guy!

- Nie, naprawdę. Nie powinienem był w ogóle o tym wspominać.

- Proszę!

Nigdy nie potrafiłem się oprzeć jej błaganiom. Wyjątkowy rarytas, rzadko smakowany. Udawałem wahanie, by dłużej rozkoszować się tą chwilą.

- Cóż, przypuszczam, że byłoby to możliwe, jeśli...

- Jeśli co?

- Jeśli się zgodzisz zająć jej miejsce.

Niemal było słyhać, jak pułapka się zatrzasnęła. Przez chwilę Julietta rozważała moje słowa. Nie jest głupia. Wie, że została wmanewrowana. Ale pozostaje jeszcze jej córka...

- Fleur nigdy nie została wywieziona z wyspy - zapewniłem łagodnie. - Umieściłem ją u rodziny pięć kilometrów stąd. Możesz się z nią zobaczyć za niespełną godzinę, jeśli tylko...

- Nikogo nie otruję.

- To nie będzie konieczne. Jej opór zaczyna słabnąć.

- Jeśli się zgodzę, przysięgniesz, że przestaniesz wciągać w to Perette? - zapytała.

- Naturalnie. - Szczycę się swoim wyglądem uczciwego człowieka. To szczerosc kogoś, kto nigdy w życiu nie oszukał w kartach ani w grze w kości. Zdumiewające, że po tych wszystkich latach nadal mi się to udaje.

- Trzy dni - powiedziałem, czując jej wahanie. - Trzy dni do niedzieli. Potem to się skończy. Obiecuję.

- Trzy dni - powtórzyła jak echo.

- Potem Fleur będzie mogła na dobre wrócić do ciebie - obiecałem. - Wszystko będzie tak jak dawniej. Chyba że zechcesz odejść ze mną.

Oczy jej się zaświeciły - nie wiem, z pogardy czy pasji - ale nic nie powiedziała.

- Czy naprawdę byłoby to takie złe? - spytałem delikatnie. - Znow wieść wędrownie życie? Być Ailee, wrócić tam, gdzie twoje miejsce... - Zniżyłem głos do szeptu. - Tam, gdzie jesteś mi potrzebna?

Milczała, ale czułem, że się odprężyła. Troszeczkę, ale tyle wystarczyło. Lekko musnąłem jej policzek.

- Trzy dni - powtórzyłem. - Cóż się może wydarzyć w ciągu trzech dni? Miałem nadzieję, że dość dużo.

5

12 sierpnia 1610

Fleur czekała na mnie, jak obiecał LeMerle, pięć kilometrów od opactwa. Pochylną do ziemi chałupę, z dachem krytym darnią i pobielonymi ścianami, osłaniały od strony drogi krzaki tamaryszku. Mogłabym ją minąć sto razy i jej nie zauważyć. Za chatą kucyk o zmierzwionej sierści skubał trawę; obok w drewnianej klatce siedziało kilka królików. Wszędzie wokół rowy w słonej równinie tworzyły rodzaj płytkiej fosy, w której zacumowano parę płaskoden-nych *platts*, by był dostęp do pól. W przybrzeżnych szuwarach stały czaple; z wysokiej, żółkłej trawy dobiegał śpiew cykad.

LeMerle, wiedząc, że nie opuszczę Perette, tym razem nie widział potrzeby towarzyszenia mi, przydzielił mi jedynie Antoninę w charakterze strażniczki. Patrzyła na mnie, zmrużywszy oczy, kornet miała mokry od potu. Zastanawiałam się, czy ma nade mną jakąś władzę. Trucicielka i zabójczym, ramię w ramię, jak nierozłączne przyjaciółki.

Przycisnęłam Fleur do serca, jakbym w ten sposób mogła sprawić, że zlejemy się w jedno i już nikt nigdy nie będzie mógł nas rozdzielić. Jej skóra była miękka, opalona, dziwnie ciemna w zestawieniu z lnianymi włoskami. Uroda mojej córeczki niemal mnie poraziła. Fleur miała na sobie swoją czerwoną sukieneczkę, z której już trochę wyrosła, na jednym kolanie zobaczyłam świeże otarcie.

- W niedzielę - szepnęłam jej na ucho. - Jeśli wszystko dobrze pójdzie, wrócę tutaj w niedzielę. W południe czekaj na mnie obok krzaków tamaryszku. Nic nikomu nie mów. Nikomu nie zdradź, że przyjdę.

Oczywiście LeMerle mnie oszukał. Jak tylko wróciłam ze swojego spotkania z Fleur, zorientowałam się po zapachu kadzidła, że znów nimi manipulował. Doszło do kolejnej mszy z tańcami, powiedziała z przejęciem siostra Piete, jeszcze bardziej szalonymi niż poprzednio; kiedy naciskałam ją, by mi zdradziła więcej szczegółów, powiedziała o ich ekstazie, o tym, że nią samą zawładnął jakiś lubieżny duszek, o wyciu i zwierzęcych odgłosach, które wydobywały się z ust nieszczęśnic powalonych na kolana przez armię demonów, o ich histerii w obliczu najświętszego sakramentu.

Ze łzami w oczach opowiedziała też o siostrze Małgorzacie, o tym, jak mimo jej modlitw została zmuszona do tańca, aż stopy zaczęły jej krwawić, i o ojcu Colombinie, oczyszczającym powietrze od demonów ogniem, o jego walce z siłami zła; w końcu sam padł na kolana, próbując powalić je na ziemię.

Jest teraz z nim matka Izabela, oznajmiła Piete. Kiedy złe moce zaczęły opuszczać zgromadzone kobiety, kiedy zakonnice, uwolnione od swego szaleństwa przez dźwięk jego głosu, zaczęły się zwracać ku sobie ze

z dumieniem i niedowierzaniem, ojciec Colombin osunął się na ziemię, omdlały, wypuszczając z bezwładnych rąk strony „Ritus exorcizandi”. Nastąpiła chwila zamieszania, kiedy osierocone i spanikowane zakonnice rzuciły mu się na pomoc, przekonane, że sam uległ siłom ciemności...

Ale to było tylko wyczerpanie, wyjaśniła Piete. Ku wielkiej uldze zakonnice, ojcu Colombinowi udało się wstać, podtrzymywały go z obu stron członkinie jego wiernej trzódki. Unosząc drżącą rękę, ogłosił, że potrzebna mu chwila odpoczynku, i pozwolił, by go zaniecono do jego domku, gdzie odpoczywa do tej pory, otoczony przez książki i święte obrazki. Próbuje znaleźć sposób, jak uwolnić zakonnice od demonów, które się na nie zawzięły.

To musiało być piękne przedstawienie. Przypuszczałam, że próba generalna przed niedzielną premierą, ale dlaczego LeMerle'owi zależało na tym, żebym była nieobecna? Czy możliwe, że mimo swych buńczucznych zapewnień, boi się, czego się mogę dowiedzieć? Czy LeMerle nie chce, żebym zobaczyła jakiś fragment jego przedstawienia?

6

13 sierpnia 1610

Oficjalnie ogłoszono, że Alfonsyna jest opętana. Jak na razie, doliczono się pięćdziesięciu pięciu diabłów, chociaż ojciec Colombin przysięga, że jest ich więcej. Skończy odprawiać egzorcyzmy, kiedy pozna imiona wszystkich. Ściany jego domku są obwieszane listami, do których wciąż dopisuje nowe imiona. Wirginia też jest blada i mizerna, kilka razy ją widziano, jak krążyła w otoczonym murem ogrodzie, mamrocząc coś do siebie. Kiedy ją poprosić, żeby usiadła i odpoczęła, unosi tylko głowę i niezwykle opanowanym głosem mówi: „Nie, nie”, a potem znów krąży bez celu. Pojawiły się pogłoski, że to jedynie kwestia czasu, by ona też została uznana za ofiarę opętania.

Matka Izabela nie opuściła dzisiaj swoich pokojów. LeMerle zaprzecza, żeby była opętana, ale tak słabo, że przekonał nieliczne z nas. Przed kaplicą postawiono kosz z węglami, które posypano kadzidłem i różnymi ziołami. Jak na razie, uchroniło to nas przed nowym atakiem sił zła. Kolejny kosz z węglami postawiono przed infirmerią, a trzeci w bramie do opactwa. Świeży dym jest słodki, ale szybko staje się gryzący, i powietrze, już parne, wisi niczym zakurzona kurtyna na rozpalonym do białości niebie.

Jeśli chodzi o objawienia, ducha zakonnicy widziano dziś dwa razy, a wczoraj - trzy, raz w dormitorium, dwa razy w krużganku i dwa razy w ogrodach. Nikt jeszcze nie zauważył, że zakonnica dziwnie urosła, ani nie dostrzegł wielkich śladów stóp, które zostawiła na grządkach warzywnych. Może teraz takie rzeczy nie mają już dla nas znaczenia.

Spędziłyśmy resztę dnia beczynnie, jak zaraz po śmierci poprzedniej ksieni. Matka Izabela źle się czuła, LeMerle studiował księgi, a my, pozostawione samym sobie, znów wróciłyśmy do ról, do których byłyśmy wdrożone, w myślach analizując wydarzenia ostatniego tygodnia, coraz bardziej zaleźnione i niespokojne. Nasza nawa dryfuje, pozbawiona steru, w kierunku skał, a my nie mamy sił, żeby ją zatrzymać. Zamiast tego plotkujemy i robimy rachunek sumienia.

Siostra Małgorzata szorowała nieskazitelnie czyste podłogi w dormitorium, dopóki kolana nie zaczęły jej krwawić. Potem z coraz większym zapamiętaniem szorowała plamy krwi, aż odesłano ją do infirmerii na badanie. Siostra Maria Magdalena leży na swoim łóżku, popłakując i uskarżając się na swędzenie między nogami, które nie ustępuje bez względu na to, ile by się drapać. Antonina uciekła z infirmerii - przebywają tam teraz cztery siostry, przywiązane do łóżek. Powiedziała, że hałas, jaki robią, doprowadza ją do szaleństwa, i uraczyła mnie ponurymi szczegółami, niewątpliwie upięszonymi dla wywarcia większego wrażenia. Wbrew sobie wysłuchałam jej.

Mówi, że siostra Alfonsyna jest bardzo chora. Dym z węgla w koszu nie tylko nie oczyścił płuc zakonnicy, ale jeszcze pogorszył ich stan. Siostra Wirginia traktuje to jako dowód opętania, bo mimo jej zabiegów leczniczych i częstych wizyt LeMerle'a chora siostra więcej pluje krwią niż kiedykolwiek.

Jeśli chodzi o siostrę Klementynę, donosi Antonina, przez trzy dni nic nie jadła i prawie nic nie piła. Jest tak osłabiona, że ledwo może się poruszać, wpatruje się w sufit szklanym, nic niewidzącym wzrokiem. Porusza ustami, ale nie można się dopatrzeć sensu w tym, co mówi. Śmierć będzie dla niej wybawieniem.

- Co ona ci zrobiła, Antonino? - wyrwało mi się, zanim się zorientowałam, co zrobiłam. - Jaką ci wyrządziła krzywdę, że tak bardzo jej nienawidzisz?

Antonina spojrzała na mnie. Nagle przypomniałam sobie tamten jeden, jedyny raz, kiedy wydała mi się piękną kobietą: gęste pukle jej niebieskoczarnych włosów, uwolnionych od kornetu, krągłość różowych ramion, miękki kark, kiedy LeMerle sięgnął po nożyczki. Od tamtej pory zmieniła się nie do poznania. Jej twarz jest jak wykuta z bazaltu, odległa i bezlitosna.

- Nigdy tego nie zrozumiesz, Augusto - odparła z lekką pogardą. - Staralaś się być dla mnie dobra na swój sposób, ale nigdy nie zrozumiesz. - Przez chwilę taksowała mnie wzrokiem, trzymając się pod boki. - Jak mogłabyś? Wszystko w życiu zawsze przychodziło ci łatwo. Mężczyźni patrzyli na ciebie i widzieli to, co chcieli zobaczyć: piękną kobietę. - Uśmiechnęła się, ale ten uśmiech nie rozświetlił jej twarzy, tylko sprawił, że stała się jeszcze bardziej posępna. - Ja zawsze byłam koniem pociągowym, grubą flądą, zbyt głupią, żeby słyszeć ich śmiech, nawet zbyt poczciwą, żeby ich nienawidzić w skrytości serca. Dla mężczyzn byłam tylko potężnym cielskiem, na tyle ciepłym, by się nim zabawić, parą nóg, parą cyków, ustami i brzuchem. Dla kobiet byłam głupią krową, zbyt ograniczoną, by utrzymać mężczyznę, zbyt głupią

nawet, żeby... - Urwała gwałtownie. - Nigdy się nie interesowałam, kto był ojcem. Nigdy sobie nie zadawałam pytania, kto nim był. Moje dziecko należało tylko do mnie. Nikt nawet nie podejrzewał, że grubaska spodziewa się dziecka. Zawsze miałam duży brzuch. Zawsze miałam obfite piersi. Chciałam wszystko utrzymać w tajemnicy, może ukryć dziecko, mieć je tylko dla siebie. - Jej wzrok stał się nagle twardy. - Miało należeć do mnie. Tylko i wyłącznie do mnie. Miało być kimś, komu byłabym potrzebna, komu nie przeszkadzałoby, że jestem gruba czy głupia. - Spojrzała na mnie. - Pewnie wiedziałabyś, jak sobie poradzić. Nie myśl, że kiedykolwiek uwierzyłam w twoją opowieść, Augusto. Może jestem głupia, ale nawet ja wiem, że nie byłaś bogatą wdową. - Uśmiechnęła się, dosyć miło, ale nie serdecznie. -Zatrzymałaś swoje dziecko, chociaż nie miało ojca. Nie istniał nikt, kto by ci mówił, co robić, a nawet jeśli ktoś coś ci mówił, nie słuchałaś niczyich rad. Prawda?

- Prawda, Antonino.

- Miałam czternaście lat. Miałam ojca. Braci. Ciotki i wujów. Wszyscy uznali, że nie będę wiedziała, co zrobić. Wszystko załatwili, zanim mogłam powiedzieć choć słowo. Twierdzili, że nie wiedziałabym, jak opiekować się dzieckiem. I że nie mogłabym żyć z takim wstydem.

- Co zrobili?

- Zamierzali je oddać mojej kuzynce Zofii - powiedziała Antonina. - Nigdy mnie nawet nie spytali o zdanie. Zofia miała już troje dzieci, a liczyła zaledwie osiemnaście lat. Wychowałyby moje dziecko razem ze swoimi. Wkrótce wszyscy zapomnieliby o skandalu. Śmialiby się z tego. Wyobraźcie sobie! Grubaska ma dziecko! Ale, mój Boże, kto jest ojcem? Jakiś ślepiec?

- Co się stało? - zapytałam.

- Wzięłam poduszkę. - Jej głos był cichy i pełen refleksji. - Położyłam ją na główce dziecka. Na miękkiej, ciemnej główce mojego synka. Oczekałam. - Uśmiechnęła się z rozdzierającą serce czułością. - Nikt go nie chciał, Augusto.

On jeden jedyny należał wyłącznie do mnie. Tylko w ten sposób mogłam go zachować dla siebie.

- A Klementyna? - spytałam szeptem.

- Wyznałam jej wszystko - odparła Antonina. - Myślałam, że jest inna. Myślałam, że zrozumie. Ale wyśmiała mnie. Tak jak inni... - Znów ten uśmiech; przez chwilę znów widziałam posępną urodę kobiety. - Ale to nie ma znaczenia - dodała z nutką złośliwości. - Ojciec Colombin obiecał mi...

- Co ci obiecał? Pokręciła głową.

- To moja tajemnica. Moja tajemnica i ojca Colombina. Nie chcę się nią dzielić z tobą. Zresztą wkrótce i tak się dowiesz. Dowiesz się w niedzielę.

- W niedzielę? - Cała drżałam z niecierpliwości. - Antonino, co on ci powiedział?

Przechyliła głowę na bok absurdalnie kokieteryjnym ruchem.

- Obiecał mi. Wszystkie kobiety, które śmiały się ze mnie. Wszystkie, które sobie kpiły i nakładały na mnie pokutę za chciwość. Nie będzie więcej biednej siostry Antoniny, głupiej siostry Antoniny, której można dokuczać i nad którą można się znęcać. W niedzielę zapalimy płomień.

Umilkła i nie powiedziała nic więcej, tylko złożyła swoje grube ręce na piersiach i odwróciła się z tym anielskim, doprowadzającym do szaleństwa uśmiechem.

7

14 sierpnia 1610

Odszukała mnie w kaplicy o wschodzie słońca. Byłem akurat sam. Powietrze wydawało się słodkawe od palonego wczoraj kadzidła, nikłe światło słoneczne wpadało przez warstwy unoszącego się w powietrzu pyłu. Na chwilę zamknąłem oczy i wdychałem gorącą woń dymu, swąd przypalanego ciała... Ale tym razem nie mojego, Monseigneur. Nie mojego.

Ale będą tańczyły! Habity, dziewice, hipokrytki. Cóż to będzie za przedstawienie! Jaki szalony, pogański finał!

Jej głos wyrwał mnie z zadumy, niemal z drzemki. Prawdę mówiąc, nie spałem od trzech dni.

- LeMerle.

Nawet półprzytomny poznałbym ten głos. Otworzyłem oczy.

- Moja Harpia. Świetnie się spisujesz. Pewnie już nie możesz się doczekać jutrzejszego spotkania ze swoją córeczką.

Trzy dni temu ten numer mógłby jeszcze przejść. Ale prawie nie zwróciła uwagi na moje słowa, strząsnęła je z siebie, jak pies otrząsa się po kąpieli.

- Rozmawiałam z Antoniną.

Ach. Szkoda. Od samego początku wiedziałem, że moja pulchna uczennica jest zanadto gadatliwa. Można się było spodziewać, że coś powie, nie bacząc na późniejsze konsekwencje. Lojalna niewolnica z tej Antoniny, ale niezbyt rozgarnięta.

- Tak? Mam nadzieję, że była ciekawą rozmówczynią.

- Wystarczająco inspirującą. - Jej oczy błysnęły jak cekiny. - LeMerle, co się dzieje?

- Nic, czym musiałybyś się przejmować, moja Uskrzydłona.

- Jeśli zamierzasz kogoś skrzywdzić, powstrzymam cię.

- Czyżbym cię mógł okłamać?

- Wiem, że tak.

Wzruszyłem ramionami i uniosłem ręce do góry.

- Wybacz jej, Panie, słowa, które ranią. Co jeszcze mam zrobić, żebyś mi zaufała? Zadbalem, żeby Fleur nie stała się żadna krzywda. O nic więcej nie poprosiłem Perette. Myślałem, że jutro rano będziesz mogła opuścić mszę i pójść po swoją córeczkę - wybrać się w drogę, kiedy ja tutaj będę finalizował swoje sprawy - zaczekać na mnie gdzieś niedaleko i...

- Nie. - Ton jej głosu świadczył, że to nieodwołalna decyzja.

Zaczynałem tracić cierpliwość.

- W takim razie co? Czego jeszcze ode mnie chcesz?

- Chcę, żebyś poinformował o wizycie biskupa.

Nie spodziewałem się tego; zawsze można na ciebie liczyć, moja Uskrzydłona, że znajdziesz mój słaby punkt.

- Jak to? I zepsuć niespodziankę?

- Niepotrzebne są nam już żadne niespodzianki. Musnąłem jej twarz palcami.

- Julietto, to nie ma znaczenia. Jutro będziemy w Pornic albo w Saint Jean-de-Monts, pijąc wino ze srebrnych kielichów. Odłożyłem trochę pieniędzy; możemy zacząć od początku, stworzyć trupę teatralną albo cokolwiek chcesz...

Ale nie dała się zwieść złudnymi obietnicami.

- Poinformuj o tym podczas kapituły - powiedziała. -Zrób to dziś wieczorem, Guy, albo sama to zrobię.

Cóż, właśnie o to mi chodziło. Bardzo mi zależało na twojej współpracy, moja droga, ale właściwie tak naprawdę nie liczyłem na to. Znalazłem Antoninę przy studni - miejsce to zdaje się zajmować szczególne miejsce w jej sercu, odkąd powiesiła się Żermena. Szybko zareagowała na znak, na który czekała przez ostatni tydzień. Może nie jest taka głupia, za jaką ją brałem, bo zobaczyłem, że aż pokraśniała z zadowolenia. W tamtym momencie nie wyglądała ani na głupią, ani na brzydką, i przez chwilę poczułem się nieswojo. Ale i tak podąża za mną bez pytania, a tylko to się liczy; nie ma skrupułów, jak ty, i przynajmniej rozumie, co to znaczy zemsta.

Och, naprawdę, Julietto. Zawsze byłeś w głębi duszy prostą dziewczyną, mimo całego swojego wykształcenia. Czy cokolwiek zawdzięczasz komukolwiek poza sobą? Co zawdzięczamy Stwórcy siedzącemu na złotym tronie i ferującym wyroki? Czy prosiliśmy, żeby nas stworzono? Czy prosiliśmy, żeby nas rzucono w ten świat niczym kości? Rozejrzyj się wokół siebie, moja siostrze. Cóż ci takiego zrobił, żebyś brała Jego stronę? Poza tym

powinnaś już do tej pory wiedzieć, że lepiej nie grać przeciwko mnie; w końcu zawsze wygrywam.

Wiedziałem, że zaczeka do kapituły. Wiedząc o tym, uderzyłem pierwszy, a raczej uderzyła Antonina, z pomocą siostry Wirginii. Słyszałem, że to było podniosłe przedstawienie - wizja zaprowadziła je do twojej kryjówki i do dowodów, które tam trzymałaś: kart do tarota, trucizn i zakrwawionego *quichenotte* ducha zakonnic. Walczyłaś, ale nie miałaś szans przeciwko brutalnej sile Antoniny; na polecenie ksieni zabrano cię do cellarium i tam uwięziono. Miałaś czekać na decyzję. Natychmiast zaczęły krążyć plotki.

- Czy ona jest...

- Opętana?

- Oskarżona?

- Nie, nie Augusta...

- Zawsze wiedziałam, że ona...

To był niemal wspaniały widok: szeptały po kątach - szu, szu, szu - z fałszywą skromnością, trzepocząc rękami i zniżając głos. Takie zachowanie zdawałoby się bardziej na miejscu w paryskim salonie - nigdy w klasztorze. Te zakonnice znają więcej kobiecych sztuczek niż armia świętoszek żyjących wśród ludzi świeckich, ćwiczą swoje zakłamanie, by mieć. Ich pożądanie pachnie cierpkimi liliami.

Przybrałem poważny ton.

- Wysunięto oskarżenie - oznajmiłem. - Jeśli to prawda, to od samego początku mieliśmy... pielęgnowaliśmy... wysłanniczkę piekieł pośród nas.

Zwrot ten je zachwycił. Wysłanniczka piekieł. Dobry tytuł burleski albo *tragedie-ballet*. Zobaczyłem, jak wiercą się z ledwo ukrywanym podnieceniem.

- Szpiegiem parodiującym nasze rytuały, potajemnie współpracującym z siłami, które chcą nas zniszczyć!

„Zaufałam ci” - powiedziałaś, kiedy prowadziłem cię do drzwi cellarium. A potem plunęłaś mi w twarz i rzuciłabyś się na mnie z pazurami, gdyby siostra Antonina nie wepchnęła cię do izby i nie zatrzasnęła za tobą drzwi.

Otarłem czoło batystową chusteczką. Przez szparę w drzwiach widziałem twoje oczy. Nie mogłem ci wtedy wyjaśnić, dlaczego cię zdradziłem. Nie mogłem wyjaśnić, że tylko w ten sposób mogę ci uratować życie.

8

14 sierpnia 1610 Nona

Początkowo nie mogłam się zorientować, gdzie jestem. Pomieszczenie - aneks magazynowy obok cellarium, pośpiesznie przerobiony na celę pierwszy raz, odkąd opactwo opuścili dominikanie - tak przypominało loch w Epinal, że przez chwilę się zastanawiałam, czy ostatnich pięć lat to nie był tylko sen.

Wystarczyły karty od Giordana, żeby utwierdziły się w swoich podejrzaniach. Żałowałam teraz, że nie przywiązywałam większej wagi do ostrzeżeń, jakie mi dawały: do pustelnika, lekko uśmiechniętego, z latarnią; do dwójki pucharów, miłości i roztargnienia; do płonącej wieży. Minęło już południe, a w pomieszczeniu jest ciemno, jeśli nie liczyć kilku smug światła wpadającego przez otwory wentylacyjne; umieszczono je zbyt wysoko, by ich dosięgnąć, zresztą i tak są za małe, by można było myśleć o ucieczce tamtędy.

Nie płakałam. Może podświadomie spodziewałam się tej zdrady. Nie mogę nawet powiedzieć, że czułam żal - ani nawet strach. Pięć lat względnego spokoju. Wytchnienia. Myślę o Fleur, która jutro w południe będzie na mnie czekała w pobliżu tamaryszków.

Dziś to pomieszczenie spełni swoją pierwotną funkcję. Dominikanie kiedyś w takich celach odprawiali pokutę, ukryci przed światłem dziennym, jedzenie podawano im przez wąską szparę w drzwiach, powietrze wypełniały modlitwy i poczucie winy.

Nie będę się modliła. Zresztą i tak nie wiem, do kogo miałabym się modlić. Moja Bogini jest pogańskim bóstwem, moją Marie-de-la-mer wrzucono do morza. Słyszę stąd szum fal, niesiony przez zachodni wiatr nad mokradłami. Czy moja córeczka mnie zapamięta? Czy będzie dorastała, przechowując w swoim sercu mój obraz, tak jak ja zachowałam obraz mojej matki w swoim sercu? Czy też będzie niechcianym dzieckiem, wychowywanym przez obcych ludzi, a może gorzej - pokocha ich jak rodziców, będzie wdzięczna, zadowolona, że się ode mnie uwolniła?

Nic nie przyjdzie z takich myśli. Próbuję odzyskać jasność umysłu, ale buzia Fleur nie daje mi spokoju. Moje serce tęskni za dotykiem jej rączek. Tylko raz, proszę, Marie-de-la-mer. Bez względu na to, ile by mnie to miało kosztować, jeszcze jeden raz. Moja Fleur. Moja córeczka. Giordano nie zrozumiałby tej modlitwy, ale i tak to jest modlitwa.

Czarny różaniec czasu odmierza niekończące się chwile.

14 sierpnia 1610

Nieszpory

Chyba usnęłam. Uśpiły mnie ciemności i szum morza. Nawet coś mi się przyśniło. Mijały mnie tanecznym krokiem jasne postaci: Żermena, Klementyna, Alfonsyna, Antonina... Widziałam srebrzystą szramę na ramieniu LeMerle'a, uśmiech w jego oczach.

Zaufaj mi, Julietto.

Potem przyśniła mi się czerwona sukieneczka mojej córeczki, jej otarte kolano, jej śmiech i jak biła brawo komediantom w upalny dzień, od którego minęło chyba tysiąc lat. Kiedy się obudziłam, smugi światła słonecznego były wysoko na ścianie. Przybrały czerwonawy odcień, bo słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Oceniałam, że jest wczesny wieczór. Czułam się odświeżona po

drzemce. Wstałam, żeby się rozejrzeć. W pomieszczeniu nadal śmierdziało octem i przetworami, które tutaj przedtem trzymano. Podczas ich wynoszenia stłukł się słoik z piklami, na klepisku została wilgotna plama, pachnąca goździkami i czosnkiem. Obmaciałam podłogę, mając nadzieję, że może znajdę okruch szkła, który w pośpiechu przeoczono, ale nie znalazłam nic. Zresztą i tak nie wiedziałam, co bym z nim zrobiła, gdybym go znalazła; na myśl o mojej krwi na ziemi, być może zmieszanej z aloesem i octem od pikli, aż mnie zemdlilo. Ostrożnie zaczęłam macać ściany swojej celi. Były z kamienia, z dobrego, szarego granitu, w słońcu połyskującego mika, ale w mroku przybierającego niemal czarną barwę. Uświadomiłam sobie, że wryte są w nim krótkie napisy, a nawet pojedyncze znaki w pewnej odległości od siebie; przesunęłam po nich palcami w panującym półmroku; pięć znaków, starannie przekreślonych, i znów pięć znaków. Może jakiś zakonnik próbował w ten sposób znaczyć upływ czasu; pół ściany pokrył starannymi żłobkami, oznaczającymi dni i miesiące.

Podeszłam do drzwi. Oczywiście były zamknięte. Zrobiono je z masywnych drewnianych belek i jeszcze wzmocniono żelaznymi okuciami. Otwór, zabezpieczony od zewnątrz metalową zasuwką, służył chyba do dostarczania mi posiłków. Nasłuchiwałam pod drzwiami, ale nie usłyszałam nic, co mogłoby świadczyć o tym, czy ktoś mnie pilnuje, czy też nie. Zresztą dlaczego mieliby mnie pilnować? I tak nie udałoby się stąd uciec.

Światło dnia niknęło, aż przemieniło się w fioletową, niewyraźną plamę. Ponieważ moje oczy przywykły do panującego w celi mroku, nadal odróżniałam zarys drzwi, nieco jaśniejsze szpary, służące do wentylacji, stos worków z mąką, zostawionych w kącie, by służyły mi za posłanie, drewniane wiadro w przeciwległym kącie. Bez kornetu -zabrano mi go, kiedy mnie tu prowadzono, odpruto mi również krzyż, wyszyty na moim habicie - czułam się dziwnie, jakbym była istotą z innego świata. Jednak ta Ailee była opanowana, szybko obliczała czas, niczym żeglarz oceniający nadciąganie sztormu, a nie więzień,

czekający na godzinę swojej egzekucji. Pomimo wszystko nadal czułam w sobie energię, którą mogłabym wykorzystać, gdybym tylko wiedziała jak.

Ciekawe, że nikt nie przyszedł ze mną porozmawiać. A najdziwniejsze, że nie przychodził LeMerle, aby się usprawiedliwić albo triumfować. Wybiła siódma, potem ósma. Siostry szykują się na nieszpory.

Czyżby więc to sobie zaplanował? Czy miałam zostać usunięta ze sceny, aż jego przedstawienie - obojętne, jak miało wyglądać - dobiegnie końca? Czy nadal stanowiłam zagrożenie dla LeMerle'a? A jeśli tak, to jakie?

Z zamyślenia wyrwał mnie stuk za drzwiami. Trzask otwieranego judasza, potem głuchy odgłos, jakby coś, co wrzucono do środka, odbiło się od ziemi, kiedy spadło. Nie zobaczyłam w judaszu światła, nie usłyszałam niczyjego głosu, kiedy metalowa zapadka znów została zatrzaśnięta z zewnątrz. Zaczęłam macać podłogę, żeby znaleźć to, co mi wrzucono, i z pewnym trudem znalazłam drewniany talerz, z którego spadł kawałek chleba.

- Zaczekaj! - Wstałam, trzymając talerz w dłoni. - Kto tam jest?

Żadnej odpowiedzi. Nawet odgłosu cichnących kroków. Doszłam do wniosku, że ktokolwiek przyszedł, musiał czekać pod drzwiami, nasłuchując.

- Antonino, czy to ty?

Słyszałam jej oddech za metalową zasuwką. Pięć lat spędzonych w dormitorium nauczyło mnie rozpoznawać odgłosy oddechów i odróżniać je. Ten krótki, świszczący oddech nie należał do Antoniny. Domyśliłam się, że to Tomasina.

- Siostro Tomasino. - Dobrze się domyśliłam. Usłyszałam, jak z jej gardła wyrwał się okrzyk, nim zasłoniła usta ręką. - Porozmawiaj ze mną. Powiedz mi, co się dzieje.

- Nie... - Ledwo słyszałam piskliwe kwilenie, dobiegające zza drzwi. - Nie wypuszczę cię!

- W porządku - szepnęłam. - Nie proszę cię o to. Tomasina zamilkła na chwilę.

- To czego chcesz? - Jej głos wciąż był piskliwy. - Nie... nie powinnam z tobą rozmawiać. Nie powinnam na ciebie... patrzeć.

- Dlaczego? - spytałam ironicznie. - Boisz się, że wyfrunę przez judasza? Albo wyślę inkuba, żeby chwycił cię za gardło?

Znów zakwiliła.

- Uwierz mi - powiedziałam - że gdybym mogła zrobić którąś z tych rzeczy, to już by mnie tu nie było.

Zapanowała cisza, kiedy Tomasina trawiła moje słowa.

- Ojciec Colombin zapalił węgle w koszu. Demony nie mogą przedostać się przez dym. - Głośno przełknęła ślinę. - Nie mogę zostać. Nie...

- Zaczekaj!

Ale było za późno. Usłyszałam jej kroki cichnące w oddali.

- Do licha!

A jednak dobre i to na początek. LeMerle pragnął, żebym pozostała w ukryciu. Tak nastraszył biedną Tomasinę, że nawet nie śmiała ze mną rozmawiać. Cóż takiego chciał ukryć? I przed kim - przed biskupem czy przede mną?

Przemierzałam celę tam i z powrotem, zmuszając się do jedzenia chleba, który przyniosła mi Tomasina, chociaż był suchy, a ja nigdy nie byłam taka niegłodna. Słyszałam, jak dzwon zadzwonił na kompletę. Miałam może sześć godzin. Żeby co zrobić? - zadałam sobie pytanie, krążąc po celi. Chociaż nikt nie stał na straży pod drzwiami, i tak nie było stąd drogi ucieczki. Nikt mi nie pomoże. Nikt nie śmiał nie posłuchać ojca Colombina. Chyba że... Nie. Gdyby Perette miała zamiar przyjść, już by to zrobiła. Straciłam ją tamtego dnia w stodole, straciłam ją na rzecz LeMerle'a i jego świecidełek. Byłam głupia, wierząc, że akurat ona mogłaby mi pomóc. Jasne, złoto obrzeżone oczy były głupie jak u wróbla, bezlitosne jak u jastrzębia. Nie przyjdzie.

Nagle rozległo się drapanie w drzwi. A potem ciche pohukiwanie, jakby pisklęcia sowy.

- Perette!

Księżyc wzeszedł; przez szpary wentylacyjne wpadało srebrne światło. W jego blasku zobaczyłam, jak zapadka nieco się uchyla, a po chwili błyszczące oczy Perette.

- Perette! - Poczułam taką ulgę, że aż zasłabłam. Potykając się, podbiegłam do niej. - Przyniosłaś klucze?

Mała dzikuska pokręciła głową. Przysunęłam się bliżej do otworu w drzwiach, wystarczająco blisko, by móc dotknąć palców Perette. Jej skóra wyglądała zjawiskowo w blasku księżyca.

- Nie? - Poczułam rozczarowanie, ale nie dałam tego po sobie poznać. - Perette, kto je ma? - Staralam się mówić jak najwolniej. - Kto ma klucze, Perette?

Wzruszyła ramionami. Zakreśliła prawą ręką koło, co miało oznaczać szeroką, okrągłą twarz Antoniny.

- Antonina? - upewniłam się. - Powiedziałaś, że ma je Antonina? Skinęła głową.

- Słuchaj, Perette. - Mówiłam wolno i wyraźnie. - Muszę się stąd wydostać. Musisz mi... przynieść... klucze. Możesz to zrobić?

Spojrzała na mnie obojętnie. Zdesperowana, wbrew swej woli podniósłszy głos, rzuciłam błagalnie:

- Perette! Musisz mi pomóc! Pamiętasz, co powiedziałam... Pamiętasz Fleur? - Zrozpaczona próbowałam do niej jakoś dotrzeć. - Musimy ostrzec biskupa!

Kiedy wspomniałam biskupa, przechyliła głowę na bok i zahukała. Gapiłam się na nią.

- Biskup? - spytałam. - Czy wiedziałaś o jego przyjeździe? Czy ojciec Colombin mówił o jego wizycie?

Znów pohukiwanie. Perette wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Czy powiedział ci, co... - To było złe pytanie. Postarałam się je ująć jak najprościej. - Czy jutro znów będziesz się bawiła? Robiła sztuczkę? - Z przejęcia aż zacisnęłam pięści, paznokcie wbiły mi się w skórę dłoni, kostki zachręściły. - Jakaś sztuczkę dla biskupa?

Dzikuska tak się zaśmiała, aż przeszedł mnie dreszcz.

- Jaka, Perette? Jaka sztuczkę? Jaka sztuczkę?

Ale już się odwracała, nagle straciwszy zainteresowanie, jej uwagę przykuła jakaś inna myśl, jakiś cień, jakiś dźwięk, głowę przechyliła najpierw w jedną stronę, a potem w drugą, jakby do rytmu jakiejś muzyki, którą słyszała tylko ona. Wolno uniosła jedną rękę, żeby zamknąć judasza.

Szczęk.

- Perette, proszę! Wróć!

Ale odeszła bez jednego słowa, nawet nie zahukawszy na pożegnanie. Położyłam głowę na kolanach i rozplakałam się.

15 sierpnia 1610 Czuwanie

Znowu musiałam usnąć, bo kiedy się obudziłam, światło księżyca przemieniło się w zielonkawą poświatę. W głowie mi pulsowało, zdrętwiałam z zimna, panujący przeciąg nisko nad podłogą sprawiał, że dygotałam. Najpierw rozprostowałam ręce i nogi, potem zaczęłam rozcierać lodowate palce, żeby przywrócić w nich krążenie. Byłam tym tak pochłonięta, że przez jakiś czas nie uświadamiałam sobie znaczenia tego przeciągu, którego przedtem nie było.

W końcu zobaczyłam, że drzwi są leciutko uchylone. Wpadała przez nie odrobina przyćmionego światła. Perette stała na progu, z ręką przy ustach. Zerwałam się na równe nogi.

Pośpiesznie dała mi znak nakazujący milczenie. Pokazała klucz w swojej dłoni, uderzyła się w udo, a potem zaczęła naśladować chód utykającej Antoniny. Pochwaliłam ją bezgłośnie.

- Zuch dziewczyna - szepnęłam, zbliżając się do drzwi, ale zamiast pozwolić mi przejść, Perette pokazała mi na migi, żebym ją wpuściła.

Prześlizgnęła się obok mnie, zatrzasnęła za sobą drzwi i przycupnęła na podłodze.

- Nie, Perette - próbowałam jej wyjaśnić. - Musimy stąd wyjść. Teraz, zaraz, zanim odkryją, że zniknęły klucze.

Mała dzikuska pokręciła głową. Trzymając klucze w jednym ręku, drugą wykonała szereg gwałtownych ruchów. Widząc, że nie zrozumiałam, powtórzyła je wolniej, ledwo ukrywając zniecierpliwienie.

Poważna mina, znak krzyża. Ojciec Colombin.

Większy znak krzyża. Szybkie, zabawne naśladowanie jazdy konnej, przytrzymywanie jedną ręką mitry, żeby nie porwał jej wiatr. Biskup.

- Tak. Biskup. Ojciec Colombin. Co potem? Zacisnęła pięści i zahukała bezsilnie.

Gruba kobieta o kołyszącym chodzie. Antonina. Znów ojciec Colombin. Potem siostra Małgorzata, tańcząca i podrygująca. Potem skomplikowany gest, jakby kilkakrotnie dotykała czegoś gorącego. Następnie coś, czego nie rozumiałam: rozpostarte ramiona, jakby szykowała się do lotu.

Perette powtórzyła to z większym naciskiem. Nadal nie rozumiałam.

- Co, Perette?

Znów gest, oznaczający latanie. Potem grymas na określenie mąk piekielnych i trzepoczące ruchy. Znów symbol „gorąco”, Perette wciągnęła powietrze i zmarszczyła nos, jakby coś śmierdziało.

Prawie zaczęłam rozumieć.

- Ogień, Perette? - spytałam z wahaniem, ale z rosnącą pewnością. Perette się rozpromieniła, pokazując zaciśnięte pięści. - Zamierza rozpalić kolejny ogień?

Perette pokręciła głową i pokazała na siebie. Potem wskazała dach, zatoczyła ręką koło, obejmując opactwo, siebie, wszystko. I znów znak oznaczający fruwanie. W końcu wyjęła spod swojej sukni medalik i pokazała mi świętą Krystynę, ogarniętą płomieniami.

Gapiałam się na nią, zaczynając w końcu rozumieć.

Uśmiechnęła się.

Jutrznia

Rozumiecie teraz, dlaczego nie mogę odejść.

Plan LeMerle'a był bardziej bezwzględny, bardziej szalony niż cokolwiek, co mogłabym sobie wyobrazić. Posługując się gestami, pohukiwaniami, minami i rysunkami na ziemi, Perette wyłożyła mi go, czasami się śmiejąc, czasami tracąc zainteresowanie w swej niewinności, kiedy jej uwagę przykuł płatek miki błyszczący w granicie albo krzyk nocnego ptaka, dobiegający przez mur. Była całkowicie niewinna, moja słodka Perette, moja mądra głuptaska; zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, jakie straszne następstwa będzie miała przysługa, o którą poprosił ją LeMerle.

I to był jego jedyny błąd. Nie docenił mojej Perette, wierząc, że ma nad nią pełną władzę. Ale mała dzikuska nie należy do nikogo, nawet do mnie. Jest jak ptak, którego można wytresować, ale nie da się go oswoić; niech no tylko rękawica się zsunie, chociaż na mgnienie oka, a on zaraz udziobie.

Teraz przynajmniej zdobyłam sobie jej niepodzielną uwagę. Mogę ją stracić w każdej chwili, ale jest moim jedynym orężem, kiedy próbuję obmyślić swój własny plan. Nie wiem, czy sprytem dorównuję LeMerle'owi. Ale wiem, że muszę spróbować. Dla siebie, dla Fleur. Dla Klementyny i Małgorzaty. Dla tych wszystkich, których skrzywdził, których oszukał i wykił. Dla tych

wszystkich, których karmił okruchami swego gorzkiego serca, trując ich w ten sposób.

Może to oznaczać moją śmierć. Zdaję sobie z tego sprawę. Jeśli mi się uda, z całą pewnością będzie to oznaczało jego śmierć, i z tego też zdaję sobie sprawę.

Laudy

Perette z powrotem zamknęła mnie w celi. Każde inne rozwiązanie byłoby po prostu zbyt niebezpieczne. Mam nadzieję, że Fleur zrozumie, jeśli mój plan się nie powiedzie - i mam nadzieję, że Perette zapamięta swoją rolę. Mam nadzieję... mam nadzieję. Wszystko zdaje się opierać na tych dwóch słowach, tych dwóch słowach, przypominających krzyk jakiegoś zrozpaczonego ptaka: mam nadzieję.

Na dworze śpiewają ptaki. W oddali słyszę bicie fal o zachodni brzeg wyspy, chociaż nie jest takie głośnie, jak ostatniej nocy. Gdzieś tam woda kołysze posąg Marie-de-la-mer, leżący na dnie, pokrytym miłkim piaskiem, który poleruje go, ściera, aż nic z niego nie zostanie. Nigdy nie byłam tak świadoma czasu - tego, który nam pozostał, jego mijania, jego przyływów i odpływów.

Kilka minut temu ktoś próbował otworzyć drzwi, ale stwierdziwszy, że są zamknięte, odszedł. Aż przeszedł mnie dreszcz na myśl o tym, co mogłoby się stać, gdyby Perette zostawiła je otwarte. Moje śniadanie, kawałek chleba i kubek wody, podano mi przez judasza, klapka zatrzasnęła się, gdy tylko wzięłam jedzenie i picie, jakbym była zadżumiona. Woda miała ostry zapach, chyba ktoś ją zanieczyścił, i chociaż jestem spragniona, nie tknęłam jej. W ciągu najbliższej godziny okaże się, czy moje nadzieje były uzasadnione.

Jeśli Perette wszystko zapamięta. Jeśli LeMerle niczego nie będzie podejrzewał. Jeśli zachowałam dawne umiejętności. Jeśli moje słowa zabrzmiały prawdziwie.

Jeśli.

Perette, nie zawieźdź mnie.

13

Laudy

Od wczorajszego wieczoru siostry są zajęte przygotowaniami do dzisiejszych uroczystości. Wszędzie są kwiaty; w kaplicy zapalono setki wysokich białych świec, ołtarz przykryto haftowanym obrusem, który, jak *mi* powiedziano, pochodzi z czasów, kiedy w opactwie mieszkali dominikanie, i używany jest tylko podczas tej uroczystości. Święta relikwia, przechowywana w kaplicy - kość z palca Matki Boskiej w złotym relikwiarzu - została wystawiona na widok publiczny razem z kolekcją uroczystych szat i sukienek Matki Boskiej. Nowy posąg Marii Panny przybrano na niebiesko i biało, u jej stóp złożono lilie - jakże by inaczej? Czuję zapach kwiatów z odległości dwudziestu metrów nawet przez dym węgla płonących w dodatkowych koszach, ustawionych we wszystkich wejściach pomimo panującego skwaru; płoną w nich kadzidło i drewno sandałowe, by odpędzić złe myśli. W uchwytych na ścianach też umieszczono pochodnie, i wota wszędzie, gdzie tylko jest kawałek wolnego miejsca. Powietrze wypełnia dym; światło z okna witrażowego wygląda niemal tak, jakby można je było kroić nożem.

Przyglądam się ukradkiem, jak na drugim końcu grobli pojawia się orszak biskupa. Nawet z tej odległości potrafię rozróżnić kolory - jakie to żałosne, że wciąż potrzebuje tyle pompy i ceremonii. Świadczy to o dumie, której jeszcze do tej pory nie pohamował, a która podwójnie nie przystoi osobie duchownej. Żołnierze w liberiach, pozłacane uprząże, połyskujące w słońcu... Już wkrótce wszystko to pięknie zapłonie, ale najpierw odtańczymy nasz krótki taniec, on i ja. Tak długo czekałem na tę chwilę.

Naturalnie nie zdążył na odpływ. Tak jak tego chciałem; nie na próżno obserwowałem przypląwy i odpływy na grobli. Spodziewał się, że przyjedzie do

nas wczoraj wieczorem, przed nieszporami, ale na tamtym brzegu między jednym a drugim odpływem mija jedenaście godzin. Na szczęście jest tam gospoda, w której tacy podróżni, jak on, mogą się zatrzymać na noc. Niewątpliwie gniewnie złązał głupca, który źle go poinformował. Odpływ jest o siódmej. Dam mu jeszcze dwie godziny na dotarcie do opactwa. Wszystko jest gotowe. Przy odrobinie szczęścia - i starannego planowania - powinien się pojawić w samą porę, bym mógł rozpocząć swoją małą komedię.

Rzeczywiście można uciszyć pieśń kosa. Ale nie uda się to takiemu pozłacanemu strachowi na wróble, jak ty, Monseigneur. Obiecuję, że z tego przedstawienia nie wyjdiesz wcześniej. Szkoda, że mojej Ailee nie będzie wśród nas podczas wielkiego finału, ale to było nieuniknione. Niemniej jednak szkoda; z pewnością potrafiłaby to docenić.

Pryma

Nadeszła pora; wszystkie siostry już były w kaplicy, kiedy tam wszedłem. Na nabożeństwo przyprowadzono nawet moje biedne chore - tyle tylko, że pozwolono im siedzieć podczas całej długiej mszy, nie musiały stać ani klęczeć. Oczywiście nie było Perette, ale nikt nie zwrócił na to większej uwagi; zawsze pojawiała się i znikwała, kiedy chciała, nikt nie odczuwał braku jej obecności. Dobrze. Mam nadzieję, że zapamiętała swoją rolę. Drobną, ale istotną; byłbym bardzo rozczarowany, gdyby nie udało się dziewczynie odegrać jej jak należy.

- Moje dzieci.

Dobrze je wyszkoliłem; oczami załzawionymi od dymu płonącego kadzidła wpatrywały się we mnie, jakbym był ich jedynym zbawieniem. Matka Izabela stała po mojej prawej ręce, blisko kosza z węglami; przez zasłonę dymu jej twarz wydawała się popielata.

- Dziś obchodzimy największe i najdroższe nam ze wszystkich świąt. Święto Matki Boskiej.

Wśród zgromadzonych przebiegł szmer, przeciągłe „achhh” satysfakcji i ulgi. Poprzez ich westchnienie dosłyszałem stukanie kropli o dach; w końcu zaczął padać deszcz. Nie mógłbym tego lepiej zorganizować. Jak o tym pomyśleć, przydałyby się jeszcze grzmoty. Może Pan mi ich nie poskąpi, kiedy nadejdzie pora, udowadniając tym samym, że ma poczucie humoru. Ale odbiegam od tematu. Wracajmy do Dziewicy, zanim straci swoją świeżość. O czym to ja mówiłem?

- Matki, która nie opuszcza nas w obliczu złego. Dziewicy, która nas pociesza w godzinie potrzeby, która jest czysta jak gołąbka i biała lilia - bardzo ładnie, LeMerle - której dobroć i współczucie są bezgraniczne.

Ach. Nie na próżno posługujemy się językiem miłości, by uwodzić te głupie dziewice; retoryka ambony jest nieprzystojnie bliska tej sypialnianej, tak jak niektóre ciekawsze fragmenty Biblii stanowią echo pornografii starożytnych ludów. Grałem teraz na tym pokrewieństwie słowami, które dobrze znały, obiecując uniesienia, jakich nie jest w stanie znieść żaden człowiek, niewyobrażalną ekstazę w ramionach Pana. Ziemskie cierpienia to nic, powiedziałem im, w obliczu przyszłych rozkoszy: owoców Raju - zobaczyłem, jak Antonina zaczyna się ślinić - szczęścia wiecznego służenia w Domu Bożym.

Początek był niezwykle obiecujący. Już widziałem, jak siostra Tomasina się uśmiecha; twarz stojącej obok niej Małgorzaty wykrzywiały tiki. Dobrze.

- Ale dziś jest dzień nie tylko radości. To także dzień naszej bitwy. Dzisiaj rzucimy ostateczne wyzwanie złym mocom, które nam nie dawały spokoju i nadal nas niepokoją.

Ach. Wyrwane ze swoich przyjemnych myśli, siostry drgnęły i bryknęły jak nerwowe klacze.

- Nie wątpię, że dziś pokonamy siły ciemności, ale jeśli zdarzy się najgorsze i nasza wiara znów zostanie wystawiona na największą próbę, nie

traćcie nadziei. Zawsze jest ratunek dla tych, którzy naprawdę wierzą i nie boją się bronić swojej wiary.

Twarz Izabeli była spięta. Święta albo męczennica, mówiła mi jej mina; tym razem nic jej nie powstrzyma. Angelika Saint-Herve Desiree Arnault zawsze stawia na swoim.

Z oddali dosłyszałem odgłos końskich podków na drodze. Wiedziałem, że mój wróg jest blisko i pojawi się w samą porę. Wycucie czasu, najważniejsze narzędzie takich artystów, jak ja: właściwe wycucie czasu jest precyzyjnym instrumentem, prowadzącym komedię albo tragedię od jednego punktu kulminacyjnego do następnego; złe wycucie czasu to pałka, która zabija napięcie i niszczy zarówno dramat, jak i puentę. Według moich szacunków, miałem może osiem, może dziesięć minut do pojawienia się Arnaulta; dość, by zgotować mu przyjęcie, na jakie zasłużył.

- Odwagi, moje dzieci, odwagi. Szatan wie, że na niego czekamy. Razem stawiliśmy mu czoło i stoimy teraz zjednoczeni naszą wiarą i naszym przekonaniem, gotowi na wojnę. Diabeł pojawia nam się pod najróżniejszymi postaciami: jego oblicze jest gładkie lub szpetne, może być kobietą albo mężczyzną, dzieckiem albo zwierzęciem, może przybrać rysy tych, których kochamy, ludzi potężnych, czasem nawet biskupa czy króla. Następna twarz, którą zobaczycie, będzie jego twarzą, moje dzieci; Pan Ciemności już się zbliża. Słyszę turkot jego diabelskiego powozu, którym nadjeżdża. Szatanie, jesteśmy tutaj. Ukaż nam swoje oblicze!

Rzadko kiedy widownia - czy to na dworze, czy na prowincji - była tak zauroczona kunsztem aktorskim jednego wykonawcy. Już wpatrywały się we mnie tak, jakby od tego zależało ich zbawienie. Kosze z węglami oświetlały moją twarz jak ognie czyścica. Nad nami padał katartyczny deszcz; po tylu dniach upałów i suszy wprowadził je w stan uniesienia, zwróciły twarze ku niebu, wpatrywały się w krokwie, a nogi zaczęły się poruszać niezależnie od ich woli; moja *dea ex machina* szykowała się do wkroczenia na scenę...

Nadciągał orszak biskupa. Widziałam go na drodze niespełna kilometr od opactwa; słyszałam tętent koni jeźdźców i odgłos kół powozu przez padający deszcz. Orszak biskupi był duży; w miarę jak się zbliżał, zobaczyłam dwa sztandary i zorientowałam się, że biskupowi towarzyszy jeszcze jakaś inna osoba duchowna. Może poprosił swego przełożonego, by dzielił z nim triumf jego rodziny. Zajrzałam do kaplicy i zobaczyłam, że Perette z chyżością, która tak dobrze jej służyła w roli zjawy zakonnicy, znów ukryła się w cieniu. Mogłam tylko mieć nadzieję, że zapamiętała wszystkie polecenia, jakie jej wydałam. Oczy dziewczyny błyszczały jak u ptaka, ale wiedziałam, że najdrobniejsze rozproszenie uwagi - przelot mew obok okna, muczenie krów na pastwisku, kolory witraży, odbijające się od kamiennej posadzki - może oznaczać naszą zgubę.

Moja kryjówka znajdowała się wysoko w dzwonnicy, niedaleko samego dzwonu, który wisi na żelaznej belce w najwyższej części iglicy wieży. Moje orle gniazdo było niebezpieczne, dostępne jedynie od strony prowizorycznych rusztowań, wzniesionych przez robotników naprawiających dach, lecz było to jedyne miejsce, z którego mogłam działać. Ale i tak nie mogłam być niczego pewna; tego przedstawienia nie poprzedzała żadna próba, nie będzie też drugiego spektaklu. Panował półmrok. Niebo było zachmurzone i niewiele światła dziennego wpadało przez popękane dachówki, blask świec w dole tłumiał całun kadzidła, więc przypominały w ciemnościach robaczki świętojańskie. Miałam na sobie habit w kolorze dymu, a na głowie kaptur, zatem moja blada twarz nie rzucała się w oczy. Liną - miałam nadzieję, że jest wystarczająco długa - trzy razy okręciłam się wokół pasa, jej koniec obciążylam kawałkiem ołowiu. Kiedy zapadła cisza i LeMerle rozpoczął swoje przedstawienie, zdawało mi się, że mój oddech wypełnia całe opactwo.

Och, był bardzo dobry. Też o tym wiedział. I chociaż z miejsca, gdzie się znajdowałam, nie widziałam jego twarzy, z tonu głosu wywnioskowałam, że świetnie się bawi. W kaplicy panowała idealna akustyka; każde słowo niosło się

do najdalszego zakątka. Wszystkie dekoracje były na miejscu: kosze z węglami, świece, kwiaty, obietnica nieba lub piekła. Wiele można osiągnąć, jak mnie uczył LeMerle w Paryżu, przez mistrzowskie rozmieszczenie kilku prostych rekwizytów: lilia we włosach albo różaniec w ręku sugeruje czystość - nawet w wypadku najbardziej rozpustnej ulicznicy; błyskająca rękojeść miecza, noszona ostentacyjnie u boku, odstraszy napastników - nawet jeśli brakuje samego miecza. Ludzie widzą to, co chcą widzieć. Dlatego on wygrywa w karty i dlatego siostrom nie udało się rozpoznać zjawy zakonnicy. Jest mistrzem zwodzenia. Chociaż widzę snopy rozmieszczone w całej kaplicy, chociaż czuję oliwę, którą nasączył słomę, i domyślam się, że pod wszystkimi ławkami leżą skropione oliwą szmaty, siostry są w tej chwili na to ślepe, czują jedynie dym i kadzidło, nie widzą niczego poza sceną i przedstawieniem, w które zostały tak przemyślnie wciągnięte.

Ale ja - ja widzę to wszystko z mojego idealnego punktu obserwacyjnego. Giordano nauczył mnie co nieco o machinach i lontach; reszty łatwo można się było domyślić. Wystarczy iskra z odpowiedniego miejsca - na przykład z ambony - żeby wszystko zapoczątkować. A potem, jak powiedziała Antonina, *zapalimy pochodnię*.

Muszę być ostrożna, powiedziałam sobie. Najważniejsza jest synchronizacja. Myślałam, że znam jego sposób rozumowania; teraz się modliłam, żebym miała rację. Nie zrobi niczego, póki się nie ujawni; pokusa, żeby trochę się pochełpić, była zbyt wielka, żeby jej się oprzeć. Próżność jest jego największą słabością. Ale przede wszystkim to aktor i potrzebna mu widownia. Co, miałam nadzieję, doprowadzi go do upadku. Dlatego czekałam, zagryzając usta, kiedy szmer przebiegł przez tłum zakonnic i pojawił się od dawna oczekiwany biskup.

Pojawił się w samą porę. Czas na odrobinę muzyki, pomyślałem. Muzyka wspaniale wzmacna nastrój, przydając dodatkowego patosu i dramatyzmu nudnemu przedstawieniu. Nie żeby akurat ten spektakl miał być nudny, ale prze-

konalem się, że odrobina łaciny zawsze czyni cuda; poza tym dzięki temu zyskamy trochę na czasie, pozwalając Arnaultowi wejść spokojnie. A więc psalm trzydziesty; dałem znak i zakonnice powstały.

- *In te, Domine, speravi, non confundar in aeternum: in iustitia tua libera me.*

Widziałem, jak Małgorzata drgnęła na dźwięk łaciny. Klementyna zwiesiła głowę i uśmiechnęła się szeroko.

- *Inclina ad me aurem tuam, accelera ut eruas me.*

Naturalnie Klementyna nigdy nie była pojętną uczennicą, jeśli chodzi o ten język; może w swoim chorym umyśle zaczęła go kojarzyć z naszymi nocnymi sesjami, a później stanami pobudzenia, wywołanymi miksturami Julietty, i sprytnym posługiwaniem się przeze mnie ukrytą igłą. Tak czy inaczej, zaczęła się kołysać nerwowo, coraz szybciej w miarę śpiewania psalmu. Stojąca za nią Tomasina jeła naśladować jej ruchy, Przeszczepując z nogi na nogę.

- *Esto mihi in Deum protectorem, et in domum refugium: ut salvum me facias.*

Niepokój już się udzielił Wirginii, która z twarzą zwróconą ku górze gapiała się w przestrzeń z natężeniem idioty. Na wspomnienie Boga cicho krzyknęła i chwyciła się za piersi. Pięte zachichotała. Czekałem na nieuniknione z uśmiechem satysfakcji, kiedy Arnault i jego mały orszak kierowali się do głównego wejścia.

Zapach kadzidła był silny i zmysłowy - mam nadzieję, że obrazi to jego fałszywie skromny nos! Mieszał się z zapachem ciał kobiecych. Nawet gdybym nie nauczył ich niczego więcej, pomyślałem, przynajmniej doprowadziłem je do takiej zmiany, że teraz się pocą - śmierdzą - cuchną - kiedy czują lęk, kiedy budzi się w nich apetyt. Coś w nich otworzyłem, tajemniczy ogród, jeśli chcecie (wiedzicie, jak Salomon wciąż mnie inspiruje!), pełen żądź i życia. Miałem nadzieję, że on też to poczuje. A najwięcej tych żądź i życia było w jego bratanicy,

jego ukochanej bratanicy, dumie całej rodziny. Miałem nadzieję, że się tym udławi.

W samą porę. Zaduch panujący w kaplicy sprawił, że biskup lekko zmarszczył czoło, jego wydelikacowany nos nie był przyzwyczajony do takich zapachów. Uniósł do ust wyperfumowaną chusteczkę, jakby chciał nią przytrzymać łaskawość, przywołaną na twarz. Na mój znak - który był również sygnałem dla Perette - chór zaczął słodkimi głosami śpiewać psalm dziesiąty, *In Domino confido*, i na oblicze biskupa powrócił uśmiech, udawany jak mój, ale niebudzący takiego zaufania. Poprzez słowa psalmu nadal słyszałem ich głosy, a właściwie ich jednobrzmiący głos, głos niezłomnej wiary we mnie, głos demonów, które w nich obudziłem.

Cofnąłem się o krok. Dzięki panującemu półmrokowi i dymowi węgla płonących w koszach moja twarz było częściowo niewidoczna. Arnault mnie nie poznał. Kroczył w głąb kaplicy, z arcybiskupem u boku. Był wyraźnie niezadowolony z tego, co tu ujrzał, ale nie mógł przerwać psalmu. Z pewnym zażenowaniem spojrział na arcybiskupa, na którego twarzy malowała się jawna dezaprobata.

Czułem, że zakonnice ogarnia niepokój, ich szeregi niemal niedostrzegalnie zafalowały, niczym opadłe liście, poruszone podmuchem wiatru. Zadbalem o to, żeby Tomasinę, Wirginię, Małgorzatę i inne, bardziej wrażliwe siostrzyczki posadzono w pierwszych rzędach; siedziały z posepnymi minami, szklanymi, przestraszonymi oczami przyglądały się gościom, wolno idącym w stronę ołtarza.

Wystarczyło, żebym powiedział jedno słowo, a pułapka się zatrzasnęła.
- Witajcie.

Widziałam, jak to się zaczęło. Jedna wzniesiona w górę twarz, potem druga - przez chwilę byłam pewna, że nagle wszystko do nich dotarło, ale ich wzrok był obojętny. Kolejna twarz zwrócona w górę, ręce wyciągnięte w nagłym uniesieniu. Potem przez wszystkie zgromadzone przeszedł dreszcz,

jakby iskra przeskakiwała z jednej siostry na drugą. Śpiew się urwał, rozległy się okrzyki, błagania, zaklęcia, bluźnierstwa. Msza z tańcem została udoskonalona, odkąd ostatni raz ją oglądałam. Szaleństwo osiągnęło apogeum w obecności przybysza: siostry drobily kroczyki, podrygiwały, padały na kolana, nieskromnie zadzierały spódnice... Jeszcze chwila, a nikomu nie uda się tego przerwać. W wypełnionej dymem kaplicy było widać, jak wymachują rękami. Ich twarze wyłaniały się tylko po to, by znów zniknąć. Kobiety rwały na sobie szaty i zrzucały je. Wirginia, zawsze pragnąca się wyróżniać, zaczęła się obracać jak szalona, spódnice zawirowały wokół jej nóg.

Biskup patrzył na nie kompletnie zaskoczony. Było to tak dalekie od tego, czego się spodziewał, że wprawilo go w osłupienie. Wciąż starał się dostrzec w tych chaotycznych obrazach to, co oczekiwał ujrzeć. Izabela przyglądała mu się ze swojego miejsca obok kosza z węglami, jej twarz zalała się szkarłatem w blasku płomieni. Nie poruszyła się, żeby powitać stryja. Zamiast tego zacisnęła drobne dłonie na pulpicie i otworzyła usta, kiedy gwar przybrał na sile i LeMerle wyszedł naprzeciwko gościom.

- Witajcie.

Takie chwile są stworzone do tego, by je smakować. Wyobraźcie to sobie, jeśli potraficie: najwybitniejszy przedstawiciel rodu Arnault, z jednej strony na wpół obnażona zakonnica, z drugiej strony inna, ekstatycznie uśmiechnięta, a wszystko to przy akompaniamencie kwików, pisków i pohukiwań!

Przez moment bałem się, że mnie nie pozna, ale to wściekłość odebrała mu mowę, a nie dezorientacja. Oczy zrobiły mu się wielkie, jakby chciał mnie nimi pożreć; otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden głos. Ze złości aż się nadał, jak ropucha w bajce, więc kiedy w końcu udało mu się przemówić, jego głos przypominał zabawne skrzeczenie:

- Ty tutaj? Ty tutaj?

Jeszcze nie dotarło to do niego w pełni. Ojciec Colombin Saint-Amand, człowiek, z którym korespondował, nie mógł być tym mężczyzną. Ten intruz w

jakiś sposób zajął miejsce świątobliwego męża, a zakonnice, zakonnice... Ale zakonnice zdawały się go poznawać. Z wyciągniętymi rękami błagały, modliły się. Nawet Izabela - biedne dziecko, przez ostatnie miesiące tak zmizerniała, jej twarz była ściągnięta z cierpienia i niepokoju - nawet ona patrzyła na niego jak na zbawiciela, łzy błyszczały na jej małej, zmarszczonej twarzyczce, kiedy sięgała po jakiś przedmiot, ukryty za pulpitem...

Niedowierzenie spowolniło jego reakcje. Dałem znak Izabeli, by się wstrzymała, a Perette, która musiała wciąż czaić się gdzieś w mroku, żeby zajęła swoje miejsce.

W tym czasie Arnault gapił się na mnie, jakby jednemu z nas odebrało rozum.

- Ty tutaj! Jak śmiesz! Jak śmiesz!

- Och, zdolny jestem do wszystkiego. Sam to powiedziałeś przy okazji jednego z naszych spotkań. - Zwróciłem się do zakonnice, które zapomniały o swoim podrygiwaniu i gapiły się na nas z ustami otwartymi z zaciekawienia. - Czyż nie ostrzegłem was, że jak pięknym obliczem może się skryć diabeł? Człowiek, którego widzicie przed sobą, nie jest tym, za kogo uchodzi.

Powstrzymałem je gestem, kiedy rzuciły się do przodu. Strażnicy w liberiach, należący do orszaku, już zostali rozdzieleni ze swoimi panami. Arcybiskup był odcięty - chociaż z zadowoleniem stwierdziłem, że zajmuje dobre miejsce, żeby być świadkiem wszystkiego - i tylko biskup stał między mną a zakonicami.

Nie dajcie sobie nikomu wmówić, że nie warto było. Im dłużej trzeba czekać, tym potem zemsta jest słodsza. Widziałem teraz strach w jego oczach - lekki strach, bo wciąż wierzył, że to jakiś sen, ale z każdą chwilą ten strach będzie się powiększał. Jedna z kobiet, stojąca za nim, jęknęła i zemdlała. Pozostałe zakonnice znów zaczęły się nerwowo poruszać; zmarszczka na wodzie wkrótce ponownie przemieni się w falę. Zdjąłem swój krzyż i ująwszy go za skórzany

rzemień, na którym wisiał, uniosłem go przed sobą. Potem go odłożyłem - niedbale, albo tak to przynajmniej wyglądało - na pulpit i czekałem na finał.

Pomyślałam, że właśnie teraz Perette miała się pojawić. Zorientowałam się, że w dole nieco się uciszyło, dosłyszałam w głosie LeMerle'a lekkie wahanie, którego nie zauważył nikt oprócz mnie. Podziwiałam jego wyczucie czasu: chwila wytchnienia, nim duch zakonniczy pojawi się po raz ostatni i w najbardziej dramatycznych okolicznościach. Jednak w przeciwieństwie do mnie LeMerle nie polegał wyłącznie na Perette. Nie była nieodzownym elementem jego planu, tylko ozdobnikiem, bez którego w razie potrzeby całkiem dobrze sobie poradzi. Z pewnością będzie rozczarowany; ale miałam nadzieję, że jej nieobecność nie obudzi w nim żadnych podejrzeń. Wiedział, że Perette jest zbyt nieprzewidywalna, żeby jej ufać; ryzykowałam swoje życie, mając nadzieję, że taka nie jest.

Biskup podszedł bliżej, zbyt zagniewany, by zachować ostrożność albo okazać zaciekawienie. Był wysoki, wyższy nawet od LeMerle'a, a z miejsca, gdzie siedziałam, bardziej przypominał ptaka - może czarnego żurawia albo czapłę - kiedy wmaszerował po stopniach i zbliżył się do pulpitu, jego długa szata ciągnęła się za nim po posadzce. Dym z płonących w koszach węgla szczypał mnie w oczy, krople deszczu padały mi na kark, ale musiałam zobaczyć tę scenę. Musiałam mieć pewność - musiałam wiedzieć, że nie ma innej drogi poza tą, którą wybrałam - zanim wykonam swój ruch.

Ich głosy dobiegały mnie wyraźnie, zaledwie trochę zniekształcone. Czysty głos LeMerle'a i zachrypnięty z niedowierzania i słusznego gniewu głos biskupa, wykrzykującego do strażników polecenia, których nie byli w stanie wykonać, zablokowani przez tłum zakonnic w stanie ekstazy.

Jeszcze nie mogłam wykonać swojego ruchu. LeMerle wciąż stał zbyt blisko kosza z węglami i przyparty do muru mógłby zapalić lont i zapoczątkować ciąg straszliwych wydarzeń. Czy nie będzie za późno? Czy miałam przyglądać się beczynnemu, jak LeMerle realizuje swój plan zemsty?

Wtedy, jakby w odpowiedzi na moją modlitwę, biskup wszedł na ambonę i w tej samej chwili, niby za sprawą cudownego zrządzenia losu, LeMerle odsunął się od kosza z węglami. Teraz nadeszła pora, pomyślałam, teraz - i wypowiedziawszy krótkie zaklęcie, które miało mi zapewnić bezpieczne lądowanie, oraz wyszeptawszy modlitwę świętego Franciszka do ptaków, ujęłam linę w obie ręce.

- *Mon pere*. Jestem wzruszony - powiedziałem w taki sposób, żeby mój głos się nie niósł. - Po naszym ostatnim spotkaniu nie spodziewałem się tak ciepłego przyjęcia.

Stojąca za mną Izabela przyglądała się nam, biała jak ściana. Perette mnie zawiodła - szkoda, chociaż nie ma to większego znaczenia - ale teraz nadeszła chwila prawdziwej próby. Czy Izabela odegra swoją rolę do końca? Czy zła- małem ją, czy też zwróci się przeciwko mnie? Muszę przyznać, że niepewność w jakiś sposób mnie podniecała. Zresztą, pomyślałem, mam zabezpieczoną drogę ucieczki, Antonina już o to zadbała. Na tym etapie mogłem sobie pozwolić na odrobinę ekstrawagancji.

- Dopilnuję, żebyś za to trafił na stos! - Mało oryginalne, ale pasowało do scenariusza. - Zniszczę cię! - Widzicie, jak nieświadomie przyłączył się do mojej gry; jego emocje zdradzały wszystkie jego zamiary, co mógłby wam powiedzieć każdy szuler.

W jego srebrzystych oczach widać było mordercze instynkty, podszedł do mnie niczym wielki pozłacany kruk. Przez sekundę dałbym sobie głowę uciąć, że spróbuje mnie uderzyć, ale byłem od niego młodszy i szybszy, więc nie zaryzykował, bojąc się ośmieszyć, gdybym zrobił unik. Wciąż jeszcze wierzył, że to tylko zapierające dech w piersiach zuchwalstwo; zbyt przejmował się Izabelą i tak mu teraz nie na rękę obecnością arcybiskupa, by zastanawiać się nad moimi głębszymi motywami.

- Ten człowiek nie jest księdzem! - zwrócił się do zakonnic głosem drżącym z gniewu. - To oszust! Oszust, zwykły komediant!

Dość tego, ojcze. Udowodnię ci, że o całe lata wyprzedzam swoją epokę.

- Czyżby to było możliwe? - odparowałem z uśmiechem. - Czyż nie jest bardziej prawdopodobne, że ta... ta odrażająca postać w mitrze... jest właśnie prawdziwym oszustem?

Ich okrzyki świadczyły o tym, że w to wierzą, chociaż rozległo się kilka głosów sprzeciwu.

- Z całą pewnością w tej kaplicy znajduje się jeden uzurpator - dodałem. - Ale któż rozstrzygnie, kto nim jest? Fałszywy ksiądz, fałszywy biskup. A może każdy z nas udaje kogoś innego? Czy ktokolwiek z tu obecnych może z ręką na sercu przysiąc, że jest wierny samemu sobie? Powiedz mi, ojcze - tutaj zwróciłem się do biskupa ściszym głosem - jak dalece byłeś uczciwy? O ile bardziej godny, by nosić te szaty, od aktora, rozpustnika albo małpy?

Wtedy rzucił się na mnie, tak jak się tego spodziewałem; śmiejąc się, zrobiłem unik. Ale był to manewr mający wprowadzić w błąd; zamiast rzucić się na mnie, złapał srebrny krzyż, który zostawiłem na ambonie, i zaczął nim triumfalnie wymachiwać.

Jednak jego triumf był krótkotrwały. Po chwili, wydając okrzyk bólu, upuścił krzyż i spojrzał na swoją rękę, na której zaczęły rosnać białe bąble. Uciekłem się do prostej sztuczki: metalowy krzyż, położony blisko kosza z płonącymi węglami, rozgrzał się, ale moje podejrzliwe siostry już dawno straciły zdolność logicznego myślenia i nagle rozległ się okrzyk, który w mgnieniu oka dotarł do ostatnich rzędów:

- Krzyż! Nie może dotknąć krzyża!

- To śmieszne! - obruszył się biskup, starając się przekrzyczeć gwar. - Ten człowiek to oszust!

Ale zakonnice napierały, opuściwszy ławki; strażnicy nadal byli zbyt daleko, by móc się na cokolwiek przydać, i Monseigneur już chciał posłużyć się pięściami, nim się zreflektował i zacisnąwszy zęby, opuścił ręce.

- Bardzo rozsądnie - oświadczyłem i uśmiechnąłem się. - Spróbuj tylko dotknąć mnie ręką - ba, dotknij mnie palcem, a rozpęta się tutaj piekło.

Lina zaczepiła się za pierwszym razem. Poczułam, jak koniec obciążony ołowiem owinał się o rusztowanie po drugiej stronie. Delikatnie pociągnęłam, ale mocno się trzymała. Dobrze. Nie było czasu na dalsze upewnianie się, czy wszystko jest w porządku. Przywiązałam linę najlepiej, jak umiałam, do zmurszałych belek. Nie była tak napięta, jak bym tego chciała, ale nie mogłam ryzykować dalszej zwłoki. Zdjęłam płaszcz z ramion, pozbyłam się brązowego habitu, który mnie okrywał, i mając na sobie jedynie białą koszulę, stanęłam na wąskiej platformie. Pasem niebieskiej tkaniny zasłoniłam swoje aż nadto charakterystyczne włosy. Chwila przerażenia - za późno, minęło zbyt dużo czasu, spadnę, spadnę - a potem płaszcz Uskrzydłonej opatulił mnie, nietknięty upływem czasu, i ogarnęła mnie jakaś euforia.

Z wysoko uniesioną głową, gołymi nogami trzymając się liny, z lekko rozpostartymi rękami, dumna Ailee wyłoniła się z mroku.

Od razu ją poznałem. Nie wierzycie mi? Moja pierwsza i najzdolniejsza uczennica - jedyne, co mi się naprawdę w życiu udało. Naturalnie, że ją poznałem, nawet bez jej skrzydeł wyszywanych cekinami, spowitą długą szatą, z włosami okrytymi chustką. Poznałem ją po pełnych gracji ruchach, po bijącej od niej pewności siebie, po niepowtarzalnym stylu. Ja pierwszy ją zobaczyłem; w chwilę później zobaczyli ją też inni. Przez moment rozpierała mnie duma. Ach, to była moja Ailee, wszyscy utkwili w niej tęskny wzrok, nie kryjąc zazdrości. Rozpierała mnie duma, chociaż byłem kompletnie zaskoczony i coraz wyraźniej widziałem, na co się zanosi.

Powinienem to przewidzieć. Tylko ją byłoby stać na takie zuchwalstwo. Ciekawe, jak się domyśliła, co zamierzam. Może to czysty przypadek i ta jej złośliwość. Zawsze lubiła mi krzyżować szyki i ranić moją dumę. Chociaż jej zamysł z góry skazany był na niepowodzenie, i tak zdobyła się na śmiały krok.

Patrząc z dołu, nie widziałem podtrzymującej ją liny. W przyćmionym blasku świec zdawała się utkana z mgiełki, ciepła, zwiewna postać Uskrzydłonej jakby świeciła wewnętrznym światłem. Przeciągły grzmot, który nadleciał z oddali, od strony morza, posłużył jej jako werble.

Ktoś krzyknął w tłumie.

- Patrzcie! Nad wami! Patrzcie, mówię!

Więcej twarzy odwróciło się w jej stronę. Więcej głosów, początkowo donośnych, potem przechodzących w pełen podziwu szmer, kiedy biała postać szybowała w półmroku, jakby unosiła się tuż nad ich głowami.

- Matka Maria! - rozległ się czyjś zawodzący głos.

- Duch Żerminy!

- Duch zakonnicy!

Zawoalowana postać na chwilę przerwała swój lot w powietrzu i zrobiła znak krzyża. Znów zapadła cisza, pełna trwogi, a tajemnicza postać szykowała się, żeby przemówić.

- Moje dzieci! - Mój głos brzmiał jakby gdzieś z daleka, słowa wydobywały się z głębin czeluści wieży, ledwo można je było zrozumieć. Słyszałam uderzenie deszczu o drewniane poszycie dachu niespełna dwa metry nad moją głową i niewyraźne grzmoty. - Moje dzieci, czy mnie nie poznajecie? Jestem święta Marie-de-la-mer. - Mówiłam głosem niskim i dźwięcznym, jak w tragediach, w których kiedyś występowałam w Paryżu. Szeregi zakonnice poruszyły się, jakby poczuły tchnienie wiatru znad morza. - Moje biedne, oszukane dzieci. Padłyście ofiarą okrutnego uzurpatora.

LeMerle nie odrywał ode mnie oczu. Ciekawa byłam, w którym momencie się zorientuje, że wszystko dla niego stracone, i co wtedy zrobi.

- Moje dzieci, ojciec Colombin nie jest tym, za kogo go bierzecie. Człowiek, którego widzicie przed sobą, jest samozwańcem. Nie jest żadnym księdzem. To oszust, którego prawdziwe imię znam.

Oczy wszystkich przeniosły się z mężczyzny na kobietę, z unoszącej się w powietrzu kobiety na mężczyznę... Cisza była przeraźliwa. Wtedy LeMerle zwrócił oczy w moją stronę i zobaczyłam wyzwanie na jego twarzy, mającej daleko w dole.

Czy to oznacza wojnę, moja Harpio?

Nie było złości w niewypowiedzianym pytaniu, tylko czysta spekulacja, kalkulacje urodzonego hazardzisty.

Skinęłam głową, niemal niedostrzegalnie, ale wiedziałam, że mnie zrozumiał.

Rozległ się grzmot. Miałaś szczęście, Julietto; równie dobrze mogło się poszczęścić mnie.

Czy spodziewała się, że ucieknę? - spytałem siebie. Czy spodziewała się, że ukryję się w cieniu? Powinna była to wiedzieć. A jednak w jakiś absurdalny sposób sprawiło mi przyjemność, że moja uczennica próbowała przechytrzyć niedoścignętego mistrza w sztuce oszukiwania. Spojrzała na mnie, moja śliczna ptaszyna, i zrozumieliśmy się bez słów.

Wbrew sobie, mimo ryzyka, wziąłem udział w twojej grze, pragnąc się dowiedzieć, jak dobrze cię wyuczyłem.

Stały wszystkie z otwartymi ustami, jakby czekały na mannę z nieba. W górze szybko nadciągała burza; deszcz przemienił się w grad, który walił w dach niczym kości do gry. Chociaż byłam częściowo osłonięta, dach był w bardzo złym stanie i doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że jeden z tych okruchów lodu wystarczy, żebym się zdekoncentrowała i spadła na łeb na szyję. Czy LeMerle właśnie na to liczył? Spodziewałam się, że przynajmniej zaprzeczy moim oskarżeniom, ale on czekał, zupełnie jakby zaplanował coś innego...

Kiedy sobie to uświadomiłam, niemal straciłam równowagę. Ależ naturalnie! Nawet patrząc z mojego punktu obserwacyjnego, skąd wszystko w dole widziałam jak na dłoni, dałam się zwieść. Byłam tak pochłonięta

obserwowaniem LeMerle'a, że prawie nie zwracałam uwagi na Izabelę, stojącą w jego cieniu. Dopiero teraz, kiedy przyjrzałam się temu żywemu obrazowi, w pełni zrozumiałam, co zamierza LeMerle. Sama Izabela miała być lontem. Nie zamierzał osobiście zapalać płomienia, chciał jedynie obserwować twarz biskupa, kiedy jego bratanica poświęci własne życie i kto wie, życie ilu jeszcze osób, w rozpaczliwej próbie pokonania diabła. Stać było Izabelę na coś takiego; jedno słowo mogło ją skłonić do działania. Teraz rozumiałam powtarzane kazania, stałe odniesienia do takich męczennic, jak święta Agata, Perpetua, Małgorzata z Aleksandrii, czy takich świątobliwych cudotwórczyń, jak Krystyna, która przeszła bezpiecznie przez płomienie i trafiła prosto do nieba.

Widziałam to oczami duszy: w ciężkiej szacie, namaszczona olejami, spłonie w ogniu tak szybko, jak suche ściernisko. Słyszałam, że takie wypadki zdarzają się podczas przedstawień baletowych, kiedy aktorka niechcący dotknie tiulową spódniczką rozgrzanego klosza któregoś ze świateł rampy. Ogień przenosi się z jednej tancerki na drugą jak akrobata, przemieniając je w pochodnie, płomienie ogarniają ich włosy, strzelają po sam strop, przypominając drżącą wieżę ognia i dymu. Całe zespoły teatralne ginęły w ciągu kilku sekund, mówił mi LeMerle, który raz był tego świadkiem, ale - mój Boże! - cóż to za przedstawienie!

Czuję na sobie wzrok Izabeli, teraz, kiedy uświadomiłam sobie jej obecność. Muszę być ostrożniejsza niż kiedykolwiek; nie wystarczyło przerwać przemówienia LeMerle'a ani uwolnić nieszczęsne kobiety od szalonego tańca, nie wystarczyło nawet posiać w ich sercach zwątpienia w ojca Colombina przez poparcie zarzutów, które wysunął przeciwko niemu biskup. Musiałam przekonać Izabelę - samą Izabelę. Pytanie tylko, ile zostało z dawnej Izabeli?

- Nie ma takiej świętej, jak Marie-de-la-mer. - Zupełnie jakby czytała w moich myślach.

Siostry zgromadzone wokół niej czekały na znak, a LeMerle przyglądał się swojej uczennicy z uśmiechem człowieka, który ma w ręku wszystkie atuty.

- Jak wam już powiedziałem - przemówił spokojnym głosem - jest tu przynajmniej jeden uzurpator. Kto nim jest? Komu ufacie? Kto nigdy was nie okłamał?

Izabela spojrzała na mnie, a potem na LeMerle'a.

- Ja ci ufam - powiedziała cicho i wyciągnęła rękę w kierunku kosza z węglami.

Lina jest za krótka. Natychmiast to zauważyłem. Przed chwilą widziałem, jak Julietta, zmieniając pozycję, zachwiała się, palcami nóg uczepiła się niewidocznej liny, by nie stracić nad nią kontroli. I co teraz, moja Harpio? Dzie sięć sekund i wszystko tu stanie w ogniu. Śmiała próba, Julietto, lecz za późno, o wiele za późno. Nawet mi ciebie żal, ale sama tego chciałaś. Muszę przyznać, że nigdy nie myślałem, iż naprawdę mnie zdradzisz, lecz człowiek mądry przewiduje każdą ewentualność. Spadniesz, moja ptaszyno, ogarnięta płomieniami. Może to lepszy koniec, niż żyć z przyciętymi skrzydłami pośród gęsi domowych.

- *Vade retro, Satanas!*

Ręka Izabeli zatrzymała się kilka centymetrów nad płonącymi węglami. Nawet to mogłoby wystarczyć, gdyby nie nagły powiew zimnego powietrza, które wpadło przez otwarte boczne drzwi. A niech cię, Antonino. Powiedziałem ci, żebyś nie opuszczała swojego posterunku bez względu na to, co się będzie działo. Tak czy inaczej, dziewczyna się zawahała, odruchowo uniosła wzrok, reagując na prastary język, który zawsze wzbudzał respekt. To był cios poniżej pasa, Julietto; posłużyć się przeciwko mnie moją własną bronią. Ale czy coś zyskasz? I widząc swoją przewagę, czy będziesz dalej grała, czy też złożysz broń?

- Diabeł też zna łacinę - przypomniałem łagodnie Izabeli.

Zacząłem się bardzo wolno przesuwając w kierunku bocznych drzwi i drugiego kosza z węglami. Przezorny zawsze ubezpieczony. Jeśli nie zapłonie jeden lont, dobrze mieć drugi w zapasie. Ale Antonina stała w bocznym wejściu,

zagradzając mi drogę swoją zwalistą postacią, i zauważyłem, że ona też przygląda się fałszywej Dziewicy z dziwną miną na twarzy.

- Posłuchajcie mnie wszyscy. - Uskrzydłona znów przemówiła, jej głos był lekko zachrypnięty. - Ojciec Colombin was okłamał. Oszukiwał was i zwodził od chwili, kiedy się tutaj pojawił. Pamiętacie klątwę krwi? To był tylko barwnik, czerwony barwnik, który wrzucił do studni, żeby was przestraszyć. A ducha zakonniczy? To była... - Urwała, uświadomiwszy sobie swój błąd, a ja się uśmiechnąłem i zacząłem odmawiać tekst egzorcyzmów.

- *Praecipio tibi, quicumque es, spiritus immunde...*

- Obejrzyjcie jego ramię! - krzyknęła nieprawdziwa Maria głosem Julietty. - Każcie mu pokazać znak Dziewicy na lewym ramieniu!

Wycucie czasu, moja droga, wycucie czasu. Gdybyś pomyślała o tym na samym początku, mogłabyś mi bardzo zaszkodzić. Ale minęła pora na znaki i symbole. Na tym etapie potrzebujemy czegoś mocniejszego, czegoś bardziej dramatycznego.

- Ujawnij swoje imię - zwróciłem się do niej z uśmiechem. - Ujawnij swoje imię, ponieważ nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek z tutaj obecnych wierzył, że jesteś Matką Boską.

- To jest Guy LeMerle, aktor teatralny i...

- Powiedziałem: ujawnij swoje imię!

Ręka Izabeli znów zaczęła się zbliżać do kosza z węglami.

- W Imię Ojca!

- Robi to, żeby się zemścić...

- ...i Syna!

- ...na biskupie Evreux!

- ...i Ducha...

Zamierzała to zrobić; jej ręka znajdowała się parę centymetrów nad węglami; za chwilę długi rękaw zajmie się ogniem...

- Biskupie, swoim ojcu!

Było to tak niespodziewane, że aż się zachwiałem. Wszystkie zakonnice wokół mnie znieruchomiały. Izabela gapiała się na mnie; biskupowi twarz pożółkła z szoku. Strażnicy w liberiach znów zaczęli się przepychać przez tłum kobiet, wyciągnawszy miecze. A moja Ailee ciągnęła:

- Przyznaj to, LeMerle! - krzyknęła. - Czyż nie jest twoim ojcem? Nie jest?

Mój Boże, pomyślałem, jest niezrównana. Marnuje swój talent przed tymi potulnymi biedactwami, powinna być gwiazdą paryskich scen. Ukłoniłem jej się lekko w dowód uznania, a potem odwróciłem się do biskupa, który przyglądał mi się z przerażeniem.

- Cóż, ojciec - powiedziałem z uśmiechem. - Czy to prawda?

Burza szalała teraz prawie nad naszymi głowami. Przez szpary w dachu mogłam obserwować, jak nadciąga. Świece w dole nagle przygasły, kiedy zimne powietrze wdarło się przez szpary pod drzwiami. Kobiety w dole zaczęły jęczeć, jak wtedy, kiedy dokucza zepsuty ząb. Przenosiły wzrok z biskupa na księdza, z Dziewicy na biskupa. Noga w kostce zaczęła mi drżeć z wysiłku, tak długo tkwiłam bez ruchu. Zmieniłam nieco pozycję, by jej ulżyć.

- A więc? - spytał LeMerle niemal pieszczotliwie. - Czy to prawda?

Nastąpiła chwila milczenia. Teraz zrozumiałam, jak sprytnie LeMerle wykorzystał moje słowa. Gdyby biskup zaprzeczył oskarżeniom wysuniętym przez Dziewicę, wtedy będzie to jednoznaczne z uznaniem LeMerle'a za prawdziwego księdza i Izabela podpali lont. Jeśli biskup się przyzna, że jest jego ojcem, zostanie publicznie pohańbiony w obecności arcybiskupa, swojego orszaku i kaplicy pełnej zakonnice. Ale był jeden szczegół, o którym zapomniał LeMerle, chociaż nie miałam jeszcze pewności, jak - i czy w ogóle - mogę go obrócić na swoją korzyść. Przy bocznych drzwiach, niemal niewidoczna w dymie z węgla płonących w koszu, stała siostra Antonina z pochyloną głową, niczym byk gotowy do natarcia.

Chyba powinienem ci być wdzięczny, moja Julietto. Nie mam pojęcia, w jaki sposób się tego dowiedziałaś. Ale cóż za wspaniały sposób, żeby zmusić go do spowiedzi! Może mój plan był bardziej dramatyczny - wiesz, że zawsze lubowałem się w fajerwerkach - ale powinienem był się domyślić, że spróbujesz uratować te biedne owieczki, które nazywasz swoimi siostrami. Cóż, moja droga, niech będzie tak, jak chcesz. Niech sobie dalej żyją - jeśli można to nazwać życiem. Tak czy inaczej, sprawiedliwości stanie się zadość.

- A więc, ojcze? Arnault skinął głową.

Ach. Rozległ się szmer, przypominający szelest, jaki towarzyszy rozsypującej się wieży z kart.

- To kłamstwo - powiedziała Izabela.

- Nie, moja droga. To prawda. - LeMerle, przyglądając się biskupowi, gwałtownym ruchem rozsunął swoją sutannę i pozwolił, by osunęła się na ziemię. Z ust sióstr wyrwał się okrzyk. Pod spodem miał strój podróżny: wysokie buty z ostrogami, skórzaną kamizelkę bez rękawów, na lewym ramieniu widać było znamię. To był LeMerle z dawnych lat, który teraz stał uśmiechnięty przed widownią, i jakby dla dopełnienia tego żywego obrazu akurat w tej chwili niebo przecięła błyskawica, na moment oświetlając go białym światłem.

Ledwo mogłam znieść jęk kobiet, rozchodzący się u moich stóp niczym fala. Przez chwilę patrzyłam prosto w dół i nagle świat się zakołysał. Poczułam początki skurczu w lewej nodze, delikatne łaskotanie mięśnia łydki; jeśli temu nie zapobiegnę, nie uda mi się przytrzymać nogą liny.

Zrozumiałam, że właśnie na to czekał LeMerle, że pozornie lekkomyślne ujawnienie prawdy było tak samo zimno wykalkulowane, jak cały jego plan. Istniała jedna szansa na tysiąc, że zawahałby się, ale gdybym spadła...

Znów zmieniłam pozycję, z całą ostrością zdając sobie sprawę z tego, że lina nie jest wystarczająco naprężona. Widziałam w dole ich białe kornety, czekające niczym mewy w morzu spojrzeń.

Jeszcze dziesięć sekund i spadnie. Jeszcze dziesięć sekund. Oczy wszystkich są wpatrzone w białą postać w powietrzu. Powinno wystarczyć lekkie odwrócenie uwagi - kiedy będzie spadała, kiedy roztrzaska się na marmurowej posadzce - wystarczy mi chwila, żeby rzucić się do wyjścia. Jeśli nie, to chwycę za broń. Każda z tych mniszek może mi zapewnić bezpieczną ucieczkę, ale wolę na zakładniczkę

Izabelę. Miecz, koń i galopem umknę z wyspy. Może zostawię ciało smarkuli w jakimś rowie, żeby je później znalazł. Ale jeszcze lepiej, jak zatrzymam dziewczynę przy sobie. Znajdę dość sposobów, by ją wykorzystać, i codziennie będę się mścił. Tym razem nie za siebie, tylko za nią, za Juliette, moją słodką oszustkę.

Dożyć dnia, by pragnąć być świadkiem upadku mojej Ailee! On też mi za to zapłaci, zobaczycie, co do grosza. Zakonnice przeistoczyły się w chór. Z ich ust wydobywa się przeciągły okrzyk, unosi się, opada, znów nabrzmiewa. Niektóre płaczą zdezorientowane, inne drapią sobie twarze. Ale oczy wszystkich są utkwione teraz w nas dwojgu, ja patrzę na nią, a ona na mnie. Wystarczy, że karta się odwróci - walet na dole, dama na górze - i znów wszystko może się potoczyć inaczej. Nawet strażnicy znieruchomieli, do połowy wyciągnąwszy miecze z pochew, czekając na rozkaz, który nigdy nie padnie.

Wiem, co robisz, LeMerle. Czekasz na mój upadek. Chcesz zyskać na czasie. Czuję, jak chcesz, jak pragniesz, żeby lina mi się wysunęła, żebym popełniła błąd, żeby lina wystrzeliła w powietrze beze mnie. Czuję, jak twoje myśli mnie osaczają. Jestem teraz zupełnie mokra, woda leci z rynny do środka wieży. Dzwon, ledwie metr nade mną, rozbrzmiewa tysiącami dźwięków od uderzeń kropli deszczu. Nie spadnę - nie spadnę. Ale przepaść w dole ciągnie mnie, a moje zdrętwiałe mięśnie wołają o chwilę wytchnienia. Czuję się tak, jakbym od wielu godzin tkwiła tu nieruchomo.

Lina znów się szarpnęła w odpowiedzi na jakiś mimowolny skurcz. Lament moich sióstr przyprawia mnie o zawrót głowy. Ale nie...

...upadnę...

...nie wolno mi.....upaść...

Widzę to jak we śnie. Seria żywych obrazów, każdy utrwalony przez błyskawice, rozcinające niebo jedna po drugiej. Zsuwa się, stara się uchwycić linę, nie udaje jej się to. Przez chwilę widzę szeroko rozpostarte ramiona, obejmujące ciemność. Uderzenie. Grzmot, głośniejszy od poprzednich, tak nisko nad głowami, że przez chwilę niemal uwierzyłem, że piorun trafił w wieżę... I podczas krótkiej chwili ciemności, która nastąpiła, słyszę, jak lina się wyślizguje.

Wiem, że powinienem teraz uciec, kiedy ich uwagę pochłania co innego. Ale nie mogę; muszę to zobaczyć na własne oczy. Siostra Antonina pilnuje drzwi. Ma groźną minę, ale z całą pewnością jest zbyt powolna, żeby mi przeszkodzić. Kiedy patrzę na nią, zaczyna iść w moją stronę. Kroczy z kamienną twarzą i od razu przypominam sobie, jak silne są jej wielkie, czerwone ręce, jak wielkie są jej pięści. Ale jest tylko kobietą. Nawet jeśli zwróci się przeciwko mnie, co może mi zrobić?

Siostry się tłoczą, z pewnością, żeby zobaczyć ciało na posadzce. Lada chwila zaczną krzyczeć, zrobi się zamieszanie, i podczas tego zamieszania ucieknę. Siostra Wirginia patrzy na mnie, zacisnąwszy swoje małe piąstki; obok niej stoi siostra Tomasina, jej zmrużone oczy przypominają szparki. Znów robię krok do przodu i zakonnice skupiają się, niby wystraszone kury, za głupie nawet, żeby odsunąć się na bok. Wiem, że mój nagły strach jest absurdalny. To śmieszne pomyśleć, że mogłyby spróbować mnie zatrzymać; równie dobrze można spodziewać się po gęsiach, że zaatakują lisa.

Ale coś jest nie tak. Oczy, które powinny wpatrywać się w ciało na posadzce, zwracają się w moją stronę. Nawet gęsi, przypominam sobie z czasów mojego dzieciństwa, mogą być groźne, kiedy się je sprowokuje. A teraz mają czelność zagradzać mi drogę, dziobać mnie, osaczać mnie swoim smrodem i wyrzutami... Kiedy przepycham się, siostra Antonina unosi pięść, przed którą

mógłbym się uchylić, ale już jestem obezwładniony zdumieniem, potykam się, zanim jeszcze mnie uderzyła. Czy to jakieś czary? Padam na kolana, w głowie mi szumi od silnego ciosu w kark, ale czuję jedynie zdumienie.

Na podłodze nie ma ciała.

Znów cios.

A wieża jest pusta.

15

7 września 1611

Theatre Ambulant du GrosJean Caremes

Niektóre wspomnienia nigdy nie blakną. Nawet podczas tej ciepłej jesieni, w tym gościnnym mieście, jakaś cząstka mnie nadal przebywa tam, w opactwie siekanym deszczem. Może ta cząstka umarła - umarła albo narodziła się na nowo, sama nie wiem. Tak czy inaczej, ja, która nie wierzyłam w cuda, byłam świadkiem czegoś, co mnie odmieniło - tylko trochę, ale na zawsze. Może w tamtej chwili święta Marie-de-la-mer była z nami. Siedząc teraz tutaj dwanaście miesięcy później, jestem niemal gotowa w to uwierzyć.

Poczułam, jak lina mi się wysuwa. Może spowodowane to było skurczem mięśnia łydki, albo poluzowaniem liny, albo zmurszałymi belkami rusztowania, które nie wytrzymały ciężaru. Ogarnął mnie całkowity spokój, znieruchomiałam w ogniu błyskawicy niczym owad, zatopiony w bursztynie. Potem w ostatnim geście desperacji wyciągnęłam rękę, w głowie miałam całkowitą pustkę, kołatała się w niej jedna jedyna myśl: gdybym tylko była ptakiem...

Rozczapierzyłam palce, ale nie natrafiałam nimi na nic, na nic.

A potem zobaczyłam coś tuż przed swoją twarzą: pajęczynę, wytwór wyobraźni, linę. Nie zastanawiałam się, skąd

się nagle tutaj wzięła; spadając, miałam ją niemal poza zasięgiem rąk, nim na tyle odzyskałam przytomność umysłu, by się jej uchwycić. Nie złapałam jej

prawą ręką, tylko lewą, wisiałam przez chwilę w powietrzu, nie myśląc o niczym, tylko przepełniona niedowierzaniem - a potem zobaczyłam bladą twarz, spoglądającą na mnie przez otwór w dachu, i wszystko zrozumiałam.

Perette mnie nie zawiodła. Musiała wspiąć się po rusztowaniu pozostawionym przez robotników i obserwować wszystko przez dziury w dachu. Wciągnęłam się - umiejętność wspinania się po linie, podobnie jak zachowywania równowagi na niej, to coś, czego nie zapomina się tak szybko - i opadłam jak mokra ryba na śliski dach.

Leżałam przez chwilę kompletnie wyczerpana, podczas gdy Perette obejmowała mnie, pohukując radośnie. Z dołu dobiegał narastający gwar, zupełnie niezrozumiały. Chyba straciłam przytomność; przez chwilę unosiłam się, zalewana przez deszcz, czując w płucach zapach morza. Wiedziałam, że już nigdy nie pofrunę; to był ostatni występ Ailee.

Ale teraz Perette wyciągnęła swoją małą rączkę i potrząsnęła mną gwałtownie. Otworzyłam oczy; zobaczyłam, jak szybko rysuje coś w powietrzu. Koń; znak „szybko”; gest, jakim zawsze określała Fleur. I znowu: Fleur, jazda na koniu, pośpiech. Usiadłam, w głowie mi się kręciło. Mała dzikuska miała rację. Bez względu na to, jak zakończy się przedstawienie LeMerle'a, byłoby rzeczą nierozsądną zostać tutaj. Siostra Augusta też wystąpiła po raz ostatni i stwierdziłam, że ostatecznie wcale tego nie żałuję.

Perette ujęła moją dłoń, poprowadziła mnie zgrabnie ku drabinie, nadal stojącej jakieś pięć metrów niżej. Moja mała przyjaciółka sprawiała wrażenie, jakby wcale się nie bała niebezpieczeństwa. Wspinała się z kocią zręcznością, balansując ostrożnie na skraju zniszczonych rynien, kiedy robiła mi przejście. Deszcz siekał nam twarze i bębnił w głowy, grzmoty przewalały się nad nami niby wybuchy bomb, sto metrów od nas niebo przecięł zygzak błyskawicy, oświetlając wszystko ponurym, apokaliptycznym światłem. I akurat wtedy roześmiałyśmy się, Perette i ja, jak szalone; śmiałyśmy się, ciesząc się deszczem i burzą, czując ulgę, że udało mi się uciec, a przede wszystkim śmiałyśmy się z

jego miny, z miny LeMerle'a, kiedy szykował się na największe manto w swoim życiu z rąk rozgniewanych zakonnic...

Słyszałam później, że prawie nie walczył i tylko słabo utrzymywał, że jest niewinny, wciąż gapiąc się ze zdumieniem tam, gdzie dopiero co mnie widział. Zupełnie jakby ziemia mu się usunęła spod nóg, jego słowa straciły swoją hipnotyczną moc w obliczu tych nowych, potężniejszych czarów. Z całą pewnością musiało to wyglądać tak, jak gdybym rozplynęła się w powietrzu. Cud, prawdziwy cud, i z całą pewnością ta unosząca się w górze kobieta musiała być świętą Marie-de-la-mer, która pośpieszyła na ratunek, jak w starych legendach.

Odkrycie drzewa, w które uderzył piorun, niespełna sto metrów od kaplicy, również przyczyniło się do powstania plotek o cudzie. Słyszałam, że dziś jest tam mała kaplica ku czci świętej Matki Morza, że posąg Marii zabrano z wyspy, a nowa figura syreny, tak podobna do poprzedniej, że niemal identyczna z nią, znów się pojawiła w opactwie. Już się mówi, że ma moc uzdrawiania, i pielgrzymi ciągną nawet z Paryża, żeby zobaczyć miejsce, gdzie się pojawiła sześćdziesięciu świadkom.

Biskup Evreux szybko potwierdził prawdziwość opowieści o objawieniu się świętej, która zdemaskowała LeMerle'a, ogłosiła go uzurpatorem i potwierdziła, że dopuścił się licznych oszustw i zbrodni. Cudowne pojawienie się lilii, herbu Matki Boskiej, na ramieniu oskarżonego interpretowano jako niepodważalny dowód autentyczności ducha świętej i przymierza LeMerle'a z władcą ciemności. Rzekomy ojciec Colombin, oszołomiony, nawet niezbyt się opierał, kiedy go prowadzono do karceru.

Trochę mi żal LeMerle'a. Nienawidziłam tego człowieka w przeszłości, ale od tamtej pory chyba lepiej go poznałam i nawet jeśli mu nie wybaczyłam, to przynajmniej go zrozumiałam. Słyszałam, że został zabrany do Rennes, gdzie ma stanąć przed sądem. Sama spędziłam jakiś czas w Rennes i widziałam więzienie, w którym go trzymano, czytałam przybite do drzwi obwieszczenia,

informujące o jego aresztowaniu. Zapowiadano rychłą egzekucję - wydawało mi się, że dostrzegam mściwość biskupa w pewnych szczegółach, które swoją pomysłowością i okrucieństwem przewyższają nawet egzekucję Ravillaca, zabójcy króla.

Biskup i jego bratanica wrócili do Montauban, siedziby rodu Arnaultów. Widocznie Izabela wyraziła życzenie, by wieść prostsze życie, gdzieś w głębi kraju, i wstąpiła do zakonu kontemplacyjnego - tym razem jako zwykła mniszka. Mam nadzieję, że odzyskała tam spokój ducha i nauczyła się wybaczać ludziom.

Samemu biskupowi gorzej się powiodło. Chociaż utrzymywał, że jego wyznanie w naszej kaplicy było wynikiem strachu, nigdy do końca nie uwolnił się od odium, jakie na niego spadło. Plotki o jego tchórzostwie rozniosły się szeroko po całym kraju; drzwi, które kiedyś stały przed nim otworem, teraz cicho się zamknęły, przyjaciele się od niego odwrócili, musiał zrezygnować ze swoich ambicji. Słyszałam, że on też zamierza przejść w stan spoczynku - oficjalnie ze względu na zły stan zdrowia - i osiąść w tym samym klasztorze, w którym kiedyś opatem był jego zmarły brat.

Jeśli o mnie chodzi, tamtego dnia opuściłam opactwo. Nie mogłam zostać, bo groziło mi aresztowanie - zresztą zbyt wiele rzeczy się tam wydarzyło, żebym mogła to miejsce nadal uważać za swój dom. Więc wyjechałam, zabierając ze sobą pięknego wierzchowca LeMerle'a, a także pieniądze i prowiant na drogę, które znalazłam w sakwach.

Fleur czekała na mnie w umówionym miejscu, z jej buzi zniknęła mina sieroty - czy kiedykolwiek na niej gościła? - i pogalopowałyśmy groblą, cały czas gonione przez przyływ, by trzy godziny później dotrzeć do Pornic.

Nie przypuszczam, żeby ścigano mnie bardzo wytrwale. Biskup już miał swoją ofiarę i nie leżało w jego interesie rozgłaszanie hańby Izabeli. Myślę, że wolał pozwolić mi uciec, niż być zmuszonym do wysłuchania mojej opowieści.

Zresztą dzięki przyływowi zyskałam przewagę, bo pościg musiał czekać jedenaście godzin, zanim mógł bezpiecznie przebyć przesmyk.

Podczas lat spędzonych na wędrówkach z LeMerle'em nauczyłam się ostrożności. Sprzedałam jego konia, tak jak dawno temu sprzedałam muła Giordana, a za uzyskane pieniądze kupiłam wóz i muła. Dobrze sobie żyłyśmy, Fleur i ja, zatrzymując się w miastach targowych, by robić zakupy, ale poza tym podróżując bocznymi drogami z obawy przed ludźmi biskupa. W pobliżu Perpignan napotkaliśmy grupkę Cyganów. Wysłuchawszy mojej opowieści, przyjęli nas jak swoich. Podróżowałyśmy z nimi prawie przez trzy miesiące, kiedy natknęliśmy się na włoską trupę teatralną, która zgodziła się zaangażować nas obie.

Od tamtej pory objeżdżamy miasta prowincjonalne w całym okręgu. Commedia dell'arte zaczyna odzyskiwać popularność wraz z powrotem mody na wszystko, co włoskie, a ja, występując w masce, nie muszę się obawiać, że zostanę rozpoznana jako dawna Uskrzydłona. Jesteśmy szczęśliwe, Fleur i ja, wśród naszych nowych przyjaciół: Fiorella, który gra Scaramuccię, i Domenica, wcielającego się w postać Arlekina. Fleur gra na bębenku i tańczy, a ja znów odtwarzam rolę skromnej Izabeli. To, że powierzono mi akurat tę rolę, zawsze wywołuje we mnie śmiech tak przypominający płacz, że czasem trudno mi je rozróżnić. Ukrywam swoją twarz pod maską, a Beltrame, kierownik trupy, mówi mi, że jeszcze nigdy nie widział tak uduchowionej Izabeli.

A jednak zdarzało się - i to wiele razy podczas tej ostatniej zimy - że zadawałam sobie pytanie, czy nie skończyć z tym wszystkim. Deski sceny nie są tak solidne, jak ziemia pod nogami, i myśl o posiadaniu kawałka ziemi na własność nie opuszcza mnie nawet teraz, kiedy jestem szczęśliwa. Fleur potrzebuje bezpiecznej przystani, domu. Chatki na wsi, kominka, stadka gęsi i kozy, ogródka warzywnego... Może lata spędzone w opactwie zabiły we mnie zamiłowanie do wędrownego życia, a może zaczynam czuć nadciąganie zimy. Liczę swoje złoto z chciwością w sercu i obiecuję sobie, że zanim nadejdzie

zima, będę miała swój domek, swoje palenisko... Fleur wali w bębenek, śmiejąc się.

Minął ponad rok, odkąd opuściłam opactwo. Nadal czasami o nim śnię, o przyjaciółkach, które tam zostawiłam, o mojej słodkiej Perette - jakże żałuję, że nie mogłam jej zabrać z nami! Pod pewnymi względami brakuje mi życia w opactwie; mojego ogródka ziołowego, codziennych kapituł, biblioteki, lekcji łaciny, długich spacerów płaskim brzegiem morza. Ale tutaj jesteśmy wolne. Fleur już dawno przestały w nocy dręczyć koszmary, a w tym roku urosła, włosy jej pociemniały i przybrały niemal rdzawy kolor, tylko same końce pozostały jasne. Chociaż czasem robi mi się smutno, że z każdą chwilą oddala się ode mnie, przeistaczając się w młodą dziewczynę - kobietę, jaką kiedyś będzie - nadal jest tą samą słodką Fleur, upartą, ale ufną, wciąż niemogącą się nadziwić cudom tego świata.

W zeszłym tygodniu posłaniec podróżujący z grupą aktorów z północy dał mi paczuszkę. Była zaadresowana do „Juliett s. Augusty, tancerki” okrągłym pismem, którego nie znam. Sądząc po jej wyglądzie, wiele miesięcy podróżowała, nim aktorzy przypadkiem się na mnie natknęli. Na przesyłce nie było adresu nadawcy, ale posłaniec powiedział, że dostał ją pięć miesięcy temu od jakiejś zakonnicy w Bretanii.

Otworzyłam ją. W środku była kartka grubego papieru, zapisana tym samym, nieznanym mi, okrągłym pismem, i dwie zadrukowane strony. Kiedy je rozkładałam, coś wypadło spomiędzy kartek i z brzękiem upadło na ziemię. Pochyliłam się, żeby to podnieść. To był mały, emaliowany medalik, tak dobrze mi znany: przedstawiał świętą Krystynę, cudotwórczynię, unoszącą się z rozpostartymi rękami, otoczoną pierścieniem pomarańczowych płomieni. Przeczytałam list. Oto on:

Kohana Augusto!

Mam nadzieję, że ten List dotrze do Ciebie, o co się Modłę każdego Dnia, że tak się stanie. Myślę o Tobie i Modłę się za Ciebie, za Ciebie i Fler. Opiekuję

się tutaj Twoim Ogrodem, a siostra Perpetua, która jest dla Mnie bardzo Dobra, uczy mnie, jak go Uprawiać i jak dbać o ptactwo domowe, co należy do Moich Obowiązków. Naszą nową ksienią jest teraz Małgożata i dość Dobrze sobie radzi. Znowu jesteśmy Opactwem Marie-de-la-mer, z czego bardzo się Cieszę. Siostra Perpetua uczy mnie Czytać i Pisać. Jest Bardzo Cierpliwa i nie przeszkadza jej, że Wolno się uczyć. To Pierwszy List, jaki kiedykolwiek Napisałam, i Proszę, żebyś Mi Wybaczyła Błędy. Przekażę go aktorom podczas Ostatków. Kocham Cię, Julietto, i Małą Fler. Przesyłam Ci też Wieści o Ojcu Colombin. Mam nadzieję, że to nie Gzech Cieszyć się z Tego, co go spotkało. Życzę Wam Obu Szczęścia

Twoja Perett

Tekst drukowany z września 1610 roku Więzienie w Rennes

Cudowna i Budząca Grozę Opowieść o Czarach!

Dnia dwudziestego pierwszego miesiąca sierpnia w Opactwie Sainte-Marie Mere zatrzymano najbardziej Podstępnego Czarnoksiężnika, którego oskarżono, osądzono i uznano za winnego rozmaitych przestępstw przeciwko Bogu i Świętemu Kościołowi. Okazało się, że podający się za osobę duchowną oskarżony Guy LeMerle, przezywany Kosem, współpracował z siłami ciemności, zadawał się z duchami ukazującymi się pod postacią ptaków i przywoływał Szatana. Uciekając się do najnikczemniej szych sztuczek, doprowadził do śmierci kilku zakonnic z opactwa. Uznano go za winnego zatrucia studni i bezczeszczenia świętych posągów w opactwie. Podczas przesłuchania Nędznik przyznał się do zbrodni, o które został oskarżony, okazując godną największego potępienia dumę ze swoich czynów i nawet podczas przesłuchania odmawiając wyparcia się swej współpracy z Księciem Zła. Strażnicy pilnujący więźnia opowiadali o cudownych i budzących grozę znakach podczas wigilii tamtego dnia, kiedy to diabły, przybierając postać różnych ptaków i zwierząt, odwiedzały go w jego celi i rozmawiały z nim przez

całą noc, zachęcając go, żeby odfrunął z nimi z tego miejsca, ale na nic się to nie zdało. Więzień był pilnie strzeżony, wielbny biskup Evreux poświęcił celę, która została potrójnie okratowana. W dniu dziewiątego września Guy LeMerle zostanie stracony na placu targowym w obecności biskupa, sędziego Rene Duranta i mieszkańców miasta. W imieniu Boga i Jego Królewskiej Mości, Ludwika Dieudonne.

Drugi tekst drukowany z września 1610 roku

Rennes

Najpotworniejsza i Najokropniejsza Opowieść o Duchach

Dnia siódmego miesiąca września w Rennes rzezimieszek i skazany za czary Guy LeMerle dokonał śmiałej i najbardziej niesłychanej ucieczki z aresztu w więzieniu miejskim, będąc w zмовie z duchami i siłami czarnoksięskimi.

O północy strażnikom, którzy stali u bram, by pilnować więźnia, ukazała się niewiasta w płaszczu, niosąca latarnię. Ostrzegła ich, żeby się cofnęli, jeśli drogie im są ich dusze.

Strażnicy Philippe Legros i Armand Nuillot zażądali, żeby dziwna kobieta podała swoje nazwisko, i natychmiast za sprawą czarów utracili władzę we wszystkich członkach ciała i chociaż stawiali dzielnie opór, padli jak nieżywi na ziemię.

Ogarnięci przemożnym strachem, dygocząc na całym ciełe, byli świadkami, jak Niewiasta weszła do gmachu więzienia za sprawą diabelskiej siły i w towarzystwie różnych inkubów i sukubów. Wprawdzie nie stracili zupełnie przytomności, jednak ta dziwna i diabelska Czarownica nie pozwoliła sobie przeszkodzić.

Po krótkiej chwili Niewiasta opuściła więzienie, a za nią szła jakaś postać w płaszczu, jak się potem okazało, Guy LeMerle. Ze śmiechem zrzucił swoje przebranie. Następnie Czarownica dosiadła razem z nim wideł, które leżały

porzucone obok stogu siana, i poleciała na nich w górę, wykrzykując ironiczne uwagi o nieszczęśnikach, co zostali w dole. Widzieli one różne duchy i inkuby, przebrane za ptaki, nietoperze i sowy, które dołączyły do nich w locie. Monsieur biskup Evreux nakazuje, żeby każdy, kto coś wie o tym człowieku albo o jego wspólnikach, bądź ma jakieś podejrzenia, dotyczące miejsca ich pobytu, jak najszybciej podzielił się tą wiedzą, iżby ten łotr mógł stanąć przed sądem boskim i kościelnym. Każdy informator otrzyma nagrodę w wysokości pięćdziesięciu luidorów.

Cóż, nie przypominam sobie żadnych pomocników. Ani szalonej ucieczki na widłach. Niewątpliwie strażnicy wymyślili sobie to wszystko, żeby uniknąć kary. Jeśli o mnie chodzi - tak, Perette, byłam Niewiastą z Latarnią - i nie potrafię tego wytłumaczyć. A jednak, jak ty, cieszę się, że udało mu się uciec. Może ma to związek z moją wcześniejszą lojalnością albo pragnieniem, żeby zakończył się ten długi sen.

Zawsze wiedziałam, że któregoś dnia przyda mi się wiedza alchemiczna Giordana. Całe przedsięwzięcie było ryzykowne, bo karcer miał grube mury i zakratowane okna, ale znajdował się w dobrym miejscu. Kiedy zrobiłam lont prowadzący do środkowej izby, nabrałam pewności, że mi się uda. Najpierw podeszłam do strażników, zaproponowałam im piwo i swoje towarzystwo, w tym czasie zgrabnie opróżniając ich kieszenie. Mogłabym im poderżnąć gardła - niewykluczone, że dawna Julietta zrobiłaby coś takiego - ale wolałam tego uniknąć, jeśli tylko się da; byłam świadkiem zbyt wielu okrucieństw, by dopuszczać się kolejnego. Strażnicy uciekli, gdy tylko proch się zapalił, i oceniłam, że mam przynajmniej dwie minuty, zanim wrócą.

Kiedy weszłam do celi, LeMerle był pogrążony w półśnie, leżał zwinięty w kłębek na sianie, owinięty w swój podarty płaszcz. Powiedziałam sobie, że lepiej na niego nie patrzeć, tylko zostawić latarnię oraz klucze i pozwolić mu uciec, jeśli zdoła. Zobaczyłam, że drgnął jak budzący się kot, i odwróciłam się, żeby wyjść. Może się bałam, że jeśli tego nie zrobię, nigdy nie znajdę dość sił,

by znów go zostawić. Ale było za późno; wymamrotał coś niewyraźnie i uniósł rękę, by osłonić twarz, a ja - jak Orfeusz - obejrzałam się za siebie.

Naturalnie torturowali go; spodziewałam się tego. Wiem, co się dzieje podczas przesłuchań. Nawet pełne przyznanie się do winy liczy się tylko, kiedy towarzyszą temu tortury. Jego twarz, częściowo ukrytą w mroku, pokrywał brud i zaschnięta krew. Podniesiona ręka przywodziła na myśl szpony, bo złamano mu wszystkie palce.

- Julietta? - Był to ledwo szept, ledwo głos. - Mój Boże, czy to sen?

Nie mogłam odpowiedzieć. Patrzyłam na niego, leżącego na podłodze karceru, i widziałam siebie - w celi w Epinal i w cellarium w opactwie. Przypomniałam sobie, jak mu przysięgałam wieczną zemstę, jak przysięgałam, że postaram się, żeby cierpiał. Poczulałam ukłucie zdumienia, że myśl o jego cierpieniu nie sprawiła mi takiej satysfakcji, jak kiedyś to sobie wyobrażałam.

- To nie sen. Pośpiesz się, jeśli chcesz być wolny.

- Julietta? - Stał się bardziej czujny mimo okaleczeń, jakich doznał. - Na Boga, czy to jakieś czary?

Obiecałam sobie, że mu nie odpowiem.

- Moja Uskrzydłona. - Teraz mogłam przysiąc, że w jego głosie zabrzmiał śmiech. - Wiedziałem, że nie może się to tak zakończyć. Po tym wszystkim, czym byliśmy dla siebie...

- Nie - powiedziałam. - Urodziłeś się, żeby zawisnąć na stryczku, a nie spłonąć na stosie. Takie jest twoje przeznaczenie.

Na te słowa roześmiał się w głos. Mogli mu podciąć skrzydła, pomyślałam, ale mój Kos nadal śpiewa. Byłam zaskoczona, kiedy sobie uświadomiłam, jak bardzo ta myśl mnie uradowała.

- Dlaczego zwlekasz? - spytałam ostrym tonem. - Tak ci tutaj dobrze?

Bez słowa uniósł w górę swoje skute łańcuchami ręce. Rzuciłam mu pęk kluczy.

- Nie mogę. Moje ręce...

Śpiesząc się, musiałam być niezręczna i go urazić, kiedy przekreślałam klucz w żelazach. Ale patrzył na mnie swoimi błyszczącymi oczami, jak zawsze ironicznymi.

- Wiesz, że mogłoby się to skończyć tak, jak miało się skończyć - rzekł, uśmiechając się na myśl o przyszłych triumfach. - Ukryłem trochę złota. Możemy wszystko zacząć od nowa. Ailee może znów latać. Zapomnij o wesołych miasteczkach, zapomnij o występach w dni targowe - ta twoja sztuczka w wieży była warta złote...

- Oszalałeś. - Naprawdę tak pomyślałam. Tortury, uwięzienie, ruina, klęska, hańba... A jednak nic nie zachwiało tą jego arogancką pewnością siebie. Tym jego spojrzeniem człowieka, któremu się nie odmawia. Nigdy mu nawet nie powstało w głowie, że ktoś mógłby mu odmówić, odtrącić go. Wzięłam latarnię, gotowa do wyjścia.

- Wiesz, że byś to pokochała - powiedział.

- Nie.

Już się odwracałam w stronę drzwi. Mieliśmy w najlepszym wypadku sekundy do powrotu strażników. Ale może zło już zostało wyrządzone, na zawsze zapadła mi w serce jego twarz, oświetlona miękkim blaskiem latarni, poznakowana ogniem.

- Proszę, Julietto. - Przynajmniej w końcu wstał, idąc za mną tam, gdzie czekała wolność. - Przez te wszystkie lata wędrowałem po kraju, szukając czegoś, i aż do tej chwili nigdy nie wiedziałem czego. Przez cały ten czas dążyłem do czegoś, czego wydawało mi się, że pragnąłem, a co okazało się jedynie przelotnym kaprysem w pogoni za drugim końcem tęczy; wszystkie te kobiety, których pożądałem i z którymi się zabawiałem, by ostatecznie je ukarać za to, że były za niskie albo za krągłe, albo za młode, albo za piękne...

- Nie mamy na to czasu - przerwałam mu. Straciłam jego dłoń z mojego ramienia, ale nic by go nie powstrzymało, każde wypowiedziane przez niego słowo sprawiało mi ból.

- Daj spokój, przyznaj to. W przeciwnym razie dlaczego miałabyś wrócić po mnie? To byłaś ty, Julietto. Zawsze ty. Nie miało znaczenia, czy mnie kochałaś, czy mnie nienawidziłaś, jesteśmy dwoma połówkami jednej całości. Pasujemy do siebie. Uzupełniamy się nawzajem.

Nie patrząc na niego, zaczęłam iść, zmuszając się do tego całym wysiłkiem woli.

- Uparta! Czy nie goniłem cię wystarczająco długo?

Dosłyszałam teraz gniew i jakby desperację w jego głosie. Przyśpieszyłam kroku. W świetle pochodni widziałam półotwarte drzwi karceru. Wybiegłam na zimne powietrze. Wciąż słyszałam za sobą LeMerle'a, potykającego się i przeklinającego w ciemnościach. Mój cień biegł przede mną niczym jakieś dzikie stworzenie.

- Jesteś głupia! - Krzyczał teraz, nie zważając na to, że mógłby kogoś obudzić. - Nie rozumiesz? Julietto! Czy muszę to mówić, posługując się tyloma słowami?

Nie mogłam tego słuchać. Nie chciałam tego słuchać. Pobiegnęłam przed siebie w noc, w uszach dźwięczała mi cisza, chociaż gdy przyciskałam do nich ręce, wydawało mi się, że wciąż go słyszę, jego ducha, echo pożądania.

Uciekłam jak najszybciej z Rennes. Tylko ja wiedziałam, że uciekam przed dwójką myśliwych. I Perette, jeśli to grzech cieszyć się, w takim razie obie jesteśmy grzesznicami, bo wydaje mi się, że świat bez LeMerle'a gdzieś tam w ogóle straciłby sens. Napiszę do ciebie, najdroższa, i przekażę list z podróznymi w przyszłym sezonie. Dbaj o mój ogród ziołowy, ale nie uprawiaj powoju. Rumianek sprowadza słodkie sny, a lawenda - słodkie myśli. Życzę ci jednego i drugiego, moja Perette, a razem z nimi całej miłości, na jaką zasługujesz.

EPILOG

Kończy się to tak, jak się zaczęło, przyjazdem komediantów. Przez moment, spoglądając w świetle dnia na szkarłatny wóz, jadący tuż za moim, skłonna byłabym nawet uwierzyć, że to ta sama trupa, którą gościliśmy tamtego dnia. Światowej sławy trupa Lazarilla, tragedie i komedie, cuda niewidy. Mówię sobie, że dość się na to wszystko napatrzyłam. Ale ich kostiumy połyskujące w słońcu, cekiny, futra, koronki, szkarłaty, złoto, szmaragdy i przykurzony róż, piśkliwy głos fletu i bicie w bębunki, maski i szczudła, tancerki z uszmińkowanymi twarzami i kurz na drogach budzą w moim sercu tak słodkie wspomnienia, że nieco uchyliłam okno w swoim wozie, by posłuchać.

Fleur kręciła się wśród nich, jej niebieska sukienka powiewała na wietrze, a bosa pięty błyskały w słońcu. Piszcziała i klaskała, kiedy połykacz ognia buchnął płomieniem ku niebu, akrobaci robili fikołki, Geronte spoglądał pożądliwie na wyniosłą Izabelę, Arlekin i Scaramuccia pojedynkowali się drewnianymi mieczami, przystrojonymi pękami wielobarwnych wstążek.

Fleur zauważyła, że się im przyglądam. Pomachała mi i zobaczyłam coś białego w jej dłoni, może chusteczkę albo skrawek papieru. Zobaczyłam, jak coś mówi do Scaramuccii - wysokiego Scaramuccii, kulejącego na jedną nogę, z włosami przewiązanymi wstążką - a on coś jej szepcze na ucho i zdawało mi się, że pod maską z długim nosem dojrzałam jego uśmiech. Fleur go wysłuchała, skinęła głową, zaczęła biec w moją stronę, wymachując ręką, w której trzymała coś białego - zobaczyłam teraz, że rzeczywiście był to kawałek kartki. Odsunęła zasłonę z brokatu, służącą latem jako drzwi.

- *Maman*, pan w masce powiedział, żeby ci to dać.

Kolejny list? Sięgnęłam po kartkę ogrzaną przez słońce i lekko zmiętą, bo Fleur mocno ścisnęła ją w rękę. Zobaczyłam, że to nie list, tylko afisz.

Przeczytałam:

Le Theatre du Phenix prezentuje:

„La Belle Harpie" sztuka w pięciu aktach

Pod pochyłymi literami był rysunek uskrzydłonej kobiety z rozwianymi włosami, stojącej na szczycie wieży, a w dole tłum widzów gapiących się na nią z zachwytem. Wyżej -herb przedstawiający płonącego ptaka nad liliami i dewiza, na którą patrzyłam bardzo długo:

Moja pieśń przetrwa

W końcu zaczęłam się śmiać. Czy można było mieć jakieś wątpliwości? Feniks nad liliami, już nie kos, tylko ptak odradzający się z popiołów... Jego zuchwałość nie zna granic, jego arogancja jest niewyobrażalna!

Fleur przyglądała mi się z lekkim niepokojem.

- Płaczesz, *maman*? - spytała szeptem. - Jest ci smutno?

- To nic takiego - zapewniłam, ocierając oczy. - To przez słońce odbijające się w kartce. Ukłuło mnie w oczy.

- Pan w masce prosił, żeby ci to dać - ciągnęła, uspokojona. - Powiedział, że zaczeka na odpowiedź.

Odpowiedź? Podeszłam wolno do okna. Przyglądając się bardzo uważnie, mogłam dostrzec na boku wozu słowa, wypisane złotą farbą: Theatre du Phenix, Aktorzy wciąż grali, powietrze mieniło się od barw fioletowej, szmaragdowej i szkarłatnej. Tylko Scaramuccia stał nieruchomo w swoim prostym, czarnym płaszczu, patrząc w kierunku okna mojego wozu. Nic nie mogłam wyczytać z jego oczu, ukrytych za maską.

- Powiedział, że odjedzie, jeśli mu każesz - usłyszałam za sobą głos Fleur. A po chwili, kiedy wciąż się nie odzywałam: - Dlaczego go przynajmniej nie zaprosisz do środka? Mówi, że przebył długą drogę, setki mil, żeby z tobą porozmawiać. Byłoby niegrzecznie go odesłać, prawda?

Milczenie, długie jak wieczność. Fleur patrzyła na mnie swoimi pytającymi, niewinnymi oczami.

- Prawdą - przyznałam w końcu. - Chyba tak.

Serce mi waliło. Mój oddech stał się szybki. Widzę małą figurkę w niebieskiej sukieneczce, biegnącą przez trawnik w kierunku aktorów. Scaramuccia pochyla się, żeby wysłuchać wiadomości, szybko bierze Fleur na rękę i podnosi ją. Z oddali słyszę, jak moja córeczka piszczy z uciechy. Potem on stawia dziewczynkę ostrożnie z powrotem na ziemi, znów się odwraca i wskazuje swój wóz, odzianego w aksamity karła, siedzącego na stopniach z małpką na kolanach... Potem jeszcze raz odwraca wzrok w moją stronę, nie widzę jego oczu, ale wiem, że są bardzo jasne.

Czuję ogromne pragnienie, żeby wybiec mu na spotkanie, i równie ogromną chęć ucieczki jak najdalej od niego. Stoję bez ruchu. Lekko drzę, w żołądku czuję łaskotanie, jakiego nigdy nie czułam, nawet kiedy chodziłam po linie.

Wolno, niemal od niechcenia, postać w masce kieruje się w moją stronę. W połowie drogi zdejmuje pelerynę i zarzuca ją na ramię. Słońce pada na znamię wysoko na jego drugim, lewym ramieniu, połyskujące srebrzyście w świetle dnia. Potem mężczyzna wyciąga rękę w geście pełnym czułości, a zarazem ironii, na jego ustach drży lekki uśmiech.

Z mojego okna wygląda to niemal jak zaproszenie do tańca.